



**BOB SHAW**

**Cicha Inwazja**

**II Tom Trylogii Overland**

## Spis treści

Strona tytułowa

### Powrót Cieni

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

### Pole Bitwy

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

### Inwazja Symbolów

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

## Powrót Cieni

### ROZDZIAŁ 1

Lord Toller Maraquine wyjął błyszczącą szablę z ozdobnego futerału i ustawił ją tak, że przed-dzienne słońce rozgorzało wzdłuż klingi. Jak zawsze, urzekło go jej czyste piękno. W przeciwieństwie do broni koloru czarnego, jakiej używali jego rodacy, ta szabla zdawała się posiadać cudowne przymioty, niczym promień słoneczny przeszywający grubą watę mgły. Toller wiedział jednak, że drzemiące w niej możliwości nie mają nic wspólnego z siłami nadprzyrodzonym. Nawet w najprostszej, nie ulepszonej postaci ten rodzaj oręża był jak dotąd najskuteczniejszym narzędziem śmierci – a Toller pchnął jego ewolucję o krok do przodu.

Dotknął przycisku ukrytego wśród zdobień rękojeści i mała, wygięta klapka odskoczyła odsłaniając cylindryczną wnękę, którą wypełniała szklana fiołka o cienkich ściankach, zawierająca żółtawy płyn. Upewniwszy się, że jest na swoim miejscu, Toller zatrzasnął klapkę. Nie spiesząc się z odłożeniem szabli, przez kilka sekund sprawdzał w dłoni ułożenie i wyważenie broni, a potem ustawił ją w pozycji wyjściowej. W

też w chwili ciemnowłosa żona Tollera, posiadająca przedziwną umiejętność zjawiania się zawsze w najmniej odpowiednich momentach, otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

– Och, przepraszam. Myślałam, że jesteś sam. – Gesalla posłała mu uśmiech pełen nieszczerzej słodyczy. – Ale gdzie się podział twój przeciwnik? Poszatkowałeś go na tak małe kawałeczki, że ich nie widać? A może od początku był on niewidzialny?

Toller westchnął i opuścił klingę szabli.

– Sarkazm do ciebie nie pasuje.

– A zabawa w wojnę nie pasuje do ciebie. – Poruszając się lekko i bezgłośnie Gesalla podeszła do niego i zaplotła rękę na jego szyi. – Ile masz lat, Tolerze? Pięćdziesiąt trzy! Kiedy wreszcie przestaniesz myśleć o wojaczce i zabijaniu?

– Gdy tylko wszyscy ludzie staną się świętymi, a nie zanoszą się na to w przeciągu najbliższego roku lub dwóch.

– No i kto teraz pozwala sobie na sarkazm?

– Widocznie jest zaraźliwy – odparł Toller, uśmiechając się do Gesalli. Patrzenie na nią sprawiało mu niewymowną przyjemność, która wcale nie malała z biegiem lat. Dwadzieścia trzy lata na Overlandzie, w dużej części spędzone na ciężkiej pracy, nie wpłynęły na jej urodę ani nie pogrubiały smukłej sylwetki. Jedyną zauważalną zmianą w wyglądzie Gesalli były pojedyncze pasemka srebra we włosach, lecz z powodzeniem mogły uchodzić za dzieło cyrulika. Nadal ubierała się w długie, powiewne suknie w stonowanych kolorach, choć raczkujący przemysł włókienniczy Overlandu nie produkował jeszcze tego cienkiego materiału, jaki ceniła sobie w starym świecie.

– O której godzinie masz spotkanie u króla? – spytała, odstępując o krok i obrzucając jego strój krytycznym spojrze-

niem. Wiele niesnasek między nimi wynikało z tego, że pomimo wyniesienia do szlacheckiej godności Toller obstawał przy tym, by ubierać się jak zwykły człowiek, przeważnie w koszulę z rozpinanym kołnierzykiem i proste bryczesy.

– O dziewiątej. Powinienem niedługo ruszać. – Masz zamiar jechać w tym ubraniu?

– Dlaczego nie?

– Nie przystoi w takim stroju iść na audyencję do króla – zawyrokowała Gesalla. – Chakkell może odczytać to jako nieuprzejmość z twojej strony.

– Niech sobie odczytuje, jak chce. – Toller nachmurzył się i odłożywszy szablę z powrotem do skórzanego futerału, zatrzasnął wieko. – Czasem mam wrażenie, że cała rodzina królewska i ich zwyczaje wychodzą mi już bokiem.

Dostrzegł wyraz zaniepokojenia, który przemknął po twarzy Gesalli, i natychmiast pożałował swojej uwagi. Włożywszy futerał pod ramię, uśmiechnął się, by pokazać, że w rzeczywistości jest w pogodnym i niewojowniczym nastroju. Ujął smukłą dłoń Gesalli i razem ruszyli w stronę frontowego wejścia do domu. Zajmowali parterowy budynek

O dość prostej architekturze, skromnie zdobiony, podobny do większości domostw Overlandu. Jednak fakt, że jako budulca użyto kamienia oraz to, że mieszkańcy mogą poszczycić się aż dziesięcioma przestronnymi pokojami, wskazywał, że jest on siedzibą rodziny o szlacheckim rodowodzie. Choć od czasu Migracji upłynęło ponad dwadzieścia lat, wciąż brakowało murarzy i stolarzy i większość Overlandczyków musiała zadowolić się stosunkowo kruchymi schronieniami.

Szabla Tollera wisiała w pochwie na pasku w holu wyjściowym. Sięgnął po nią, ale spojrzawszy na Gesallę machnął

tylko ręką i otworzył drzwi. Podwórko jaśniało w słońcu tak silnie, że miało się wrażenie, iż chodniki

I murki świecą własnym światłem.

– Nie widziałem dzisiaj Cassylla – zauważył Toller. Żar panujący na zewnątrz buchnął mu w twarz. – Gdzie on się podziewa?

– Wstał wcześniej i pojechał prosto do kopalni. Toller skinął głową z aprobatą.

– Ciężko pracuje.

– Odziedziczył to po mnie – odparła Gesalla. – Wrócisz przed małonocą?

– Tak, nie mam ochoty przedłużyć spotkania z Chakkellem. – Toller podszedł do niebieskorożca, który czekał cierpliwie przy krzewie przypominającym kształtem włócznie. Przytroczył skórzany futerał w poprzek szerokiego zadu zwierzęcia, wskoczył na siodło i pomachał Gesalli na pożegnanie. Odpowiedziała mu powolnym skinieniem głowy, a twarz jej nagle się zasępiła.

– Przecież jadę tylko do pałacu – rzucił Toller. – Czemu się niepokoisz?

– Nie wiem. Chyba mam złe przeczucia. – Gesalla uśmiechnęła się słabo. – Może zbyt długo siedziałeś cicho.

– Mówisz tak, jakbym był przerośniętym dzieckiem. Gesalla otworzyła usta, by coś powiedzieć, po czym zmieniła zdanie i bez słowa zawróciła do domu. Trochę zbity z tropu, Toller zaciął niebieskorożca. Przy drewnianej bramie wyszkolone zwierzę trąciło pyskiem zamek uruchamiający jej skrzydła, urządzenie skonstruowane przez Cassylla, i po kilku sekundach gnał już poprzez jaskrawą zieleń wiejskiego krajo-  
brazu.

Droga – pas piachu i kamieni opasany z obu stron bliźniaczymi wstęgami skał – biegła prosto na wschód, przecinając trakt prowadzący do Prądu, głównego miasta Overlandu. Na całym obszarze posiadłości Tollera ziemię uprawiali dzierżawiący ją farmerzy. Mieniła się pasmami różnych odcieni zieleni, lecz wzgórza poza granicami włości Maraquine'ów miały naturalną, jednolitą barwę soczystego szmaragdu rozlewającą się aż po linię horyzontu. Na niebie nie unosiła się ani jedna chmurka, ani nawet najlżejsza mgiełka, która mogłaby przytępić słoneczne promienie.

Firmament jaśniał niczym wieczna, nieskalana świątynia światła, i tylko migocące gwiazdy albo zbłąkany meteor odciły się na tle jednolitego blasku. Prosto nad głową Tollera widniała na niebie ogromna tarcza Starego Świata, symbol najdonioślejszego epizodu w historii Koicorronu, ale choć przygniatała swoim ogromem, nie budziła lęku.

Zazwyczaj w podobny przeddzień Toller czułby się pogodzony ze sobą i całym wszechświatem; jednak niepokój, który w nim zaprószyła swym ponurym nastrojem Gesalla, nie opuszczał go. Czy naprawdę umiała wyczuć przyszłe zdarzenia, nagłe przemiany, jakie zajdą w ich życiu? A może, co wydawało mu się bardziej prawdopodobne, znała go lepiej niż on sam i odczytywała w nim to, o czym on nie miał pojęcia?

Bez wątpienia w ostatnim czasie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Usługi, jakie oddał królowi przy zawładnięciu Overlandem, przyniosły mu honory i wielkie dobra; ożenił się z kobietą, którą kochał, i miał syna, z którego był dumny. A jednak dziwnym zrządzeniem losu życie straciło dla niego smak. Perspektywa egzystowania tak miło i bez większych problemów, aż zgnuśnieje z wiekiem i umrze, przyprawiała go o



mdłości. Czując się jak gdyby ją zdradzał, ukrywał swój stan ducha przed Gesalla, ale nigdy nie udawało mu się oszukiwać jej zbyt długo...

W oddali zauważył nieliczny oddział żołnierzy sunących Iraktem na północ. Nie poświęcał im zbytnej uwagi, aż w pewnej chwili przyszło mu do głowy, że jak na oddział jadący wierzchem mają nad wyraz ospałe tempo. Z zadowoleniem witając okazję do oderwania się od własnych rozterek, wyjął z sakwy podróżnej niedużą lunetę i skierował ją na żołnierzy w oddali. Powód powolnej jazdy natychmiast wyszedł na jaw. Czterech żołnierzy na niebieskorożcach eskortowało pieszego, który ponad wszelką wątpliwość był więźniem.

Toller złożył lunetkę i wsunął ją na powrót do sakwy. Ze zmarszczonym czołem zadumał się nad faktem, że Overland był właściwie wolny od przestępców. Wszyscy mieli ręce pełne pracy, a niewielu posiadało przedmioty warte kradzieży, ponadto mała liczba mieszkańców sprawiała, że winowajcom raczej trudno było ukryć się w tłumie.

Powodowany ciekawością Toller przyspieszył i dotarł do skrzyżowania na krótko przed oddziałem. Ściągnął cugle wierzchowca i zaczął przypatrywać się nadciągającym żołnierzom. Zielona rękawica w herbie na piersiach jeźdźców wskazywała, że służą w gwardii przybocznej barona Panvarla. Drobnym mężczyzną zataczającym się pośrodku kwadratu, jaki tworzyły cztery niebieskorożce, miał około trzydziestu lat i ubrany był jak prosty rolnik. Nadgarstki związane mu z przodu, a strużki zaschniętej krwi biegnące od czarnych zmierzwionych włosów świadczyły o tym, że obchodzono się z nim bezwzględnie.

Toller czuł, jak kiełkuje w nim niechęć do żołnierzy. Na-

raz zauważył, że oczy więźnia spoczęły na nim i że pojawia się w nich błysk rozpoznania, co z kolei pobudziło jego własną pamięć. Zmylił go niechlujny wygląd tego człowieka, ale teraz już poznał Oaslita Spennela, hodowcę owoców, którego ziemia leżała o kilka mil na południe od skrzyżowania. Od czasu do czasu Spennel zaopatrywał dom Maraquine'ów w jagody i cieszył się reputacją cichego, pracowitego człowieka o łagodnym usposobieniu. Początkowa niechęć Tollera do żołnierzy przerodziła się w otwartą wrogość.

– Przeddzień dobry, Oaslit! – zawołał, podjeżdżając na niebieskorożcu, tak by zastawić drogę. – Dziwi mnie doprawdy, że widzę cię w tak podejrzanym towarzystwie.

Spennel wyciągnął do przodu spętane dłonie.

– Niesłusznie mnie aresztowano, mój...

– Milcz, zasrańcu! – Sierżant prowadzący oddział zamierzył się na więźnia, po czym skierował złowrogie spojrzenie w stronę Tollera. Był to beczkowaty mężczyzna, nieco za stary na swoją rangę, o tępych rysach i ponurym spojrzeniu człowieka, który wiele w życiu widział, ale nie skorzystał z tego ani krztyny. Sierżant omiótł wzrokiem Tollera, gdy ten przyglądał mu się bez ruchu, świadom, że /ołnierz stara się pogodzić jego prosty ubiór z faktem, iż dosiada niebieskorożca paradującego w bogatej uprzęży.

– Zejdź nam z drogi – zażądał ostatecznie. Toller potrząsnął głową.

– Chcę usłyszeć, jakie to zarzuty stawia się temu człowiekowi.

– Dużo chcecie – sierżant zerknął na swoich trzech kompanów, którzy odpowiedzieli mu szerokim uśmiechem – jak na kogoś, kto wyprawia się na przejażdżkę bez broni.

– Nie muszę nosić broni w tej okolicy – odparł Toller. – Jestem lord Toller Maraquine. Pewnie o mnie słyszeliście.

– A któż by nie słyszał o Królobójcy – mruknął sierżant doprawiając brak szacunku w głosie odwlekanym należącego tytułu. – Panie.

Toller uśmiechnął się notując w pamięci twarz sierżanta.

– Jakie zarzuty postawiono waszemu więźniowi?

– Ta świnia winna jest zdrady i będzie dziś stracona w Prądzie.

Toller zsiadł z niebieskorożca i powoli, by odczekać, aż oswoi się z tą wiadomością, zbliżył się do Spennela.

– Cóż ja słyszę, Oaslit?

– To wszystko kłamstwa, panie. – Spennel mówił szybko, głosem niskim, przerażonym i bezbarwnym. – Zaklinam się, panie, że jestem bez winy. Nie ubliżyłem baronowi.

– Mówisz o Panvarlu? A co on ma z tym wspólnego? Zanim Spennel udzielił odpowiedzi, zerknął bojaźliwie na żołnierzy.

– Moja farma, panie, przylega do ziem pana barona. Strumień, który nawadnia moje drzewka, płynie dalej przez jego tereny i... – Spennel urwał i potrząsnął głową, przez chwilę nie mogąc wydusić słowa.

– Mów dalej, człowieku – ponaglił go Toller. – Nie będę ci mógł pomóc, póki nie dowiem się wszystkiego.

Spennel przełknął głośno ślinę.

– Woda zbiera się w kotlinie, co powoduje, że ziemia staje się bagnista w miejscu, gdzie pan baron lubi ujeżdżać swoje niebieskorożce. Dwa dni temu przyjechał do mnie i rozkazał, bym postawił na strumieniu tamę z kamieni i cementu. Odparłem, że woda potrzebna jest w gospodarstwie i

zapropnowałem, że odprowadzę ją kanałami z jego terenów. Pana barona bardzo to rozsierdziło i kazał mi bezzwłocznie wybudować tamę. Wówczas pozwoliłem sobie wyjaśnić, że to nie ma sensu, gdyż woda i tak znajdzie sobie ujście na powierzchni... i właśnie wtedy... wtedy pan baron oskarżył mnie o to, że go obrażam. Odjechał grożąc, że uzyska od króla nakaz aresztowania i egzekucji pod zarzutem zdrady.

– I wszystko z powodu skrawka błotnistej ziemi! – Toller skubał wargę w zakłopotaniu. – Panvarl postradał chyba rozum.

Spennel zdobył się na koślawą parodię uśmiechu.

– Wcale nie. Pan baron skonfiskował już ziemię niejednemu farmerowi.

– A więc tak się sprawy mają – powiedział Toller niskim, gardłowym głosem, czując jak ogarnia go znajome rozczarowanie, które nieraz kazało mu unikać ludzi. W swoim czasie, zaraz po przylocie na Overland, żywił głębokie przekonanie, że jego rasa stanęła u progu nowego etapu. Miało to miejsce w niespokojnych latach eksploracji i zasiedlania zielonego kontynentu opasującego pierścieniem planetę, łudził się, że wszyscy staną się równi, że wyprą się starych, wielkopańskich zwyczajów. Miał tę nadzieję nawet wówczas, gdy rzeczywistość im zaprzeczyła, jednak w końcu zmuszony był zadać sobie pytanie, czy nie odbyli podróży między dwoma bliźniaczymi planetami na próżno.

– Nic się nie bój – powiedział Spennelowi. – Nie zginiesz z ręki Panvarla. Masz na to moje słowo.

– Dziękuję, panie, bardzo dziękuję... – Spennel zerknął ponownie na żołnierzy i zniżając głos szepnął: – Czy jest w waszej mocy, panie, uwolnić mnie teraz?

Toller potrząsnął przecząco głową.

– Gdybym zakwestionował nakaz króla, pogorszyłoby to tylko twoją sytuację. Poza tym, w naszym interesie leży, byś poszedł do Prądu na piechotę. W ten sposób dotrę tam przed tobą i będę miał dość czasu, by porozmawiać z królem.

– Bardzo dziękuję, panie, z całego... – Spennel urwał, zażenowany. – Gdyby jednak coś mi się przydarzyło, panie, czy bylibyście tak... czy powiadomilibyście moją żonę i córkę, i dopatrzyli, by...

– Nic złego cię nie spotka – uciął Toller. – Teraz uspokój się, na ile możesz, a resztę pozostaw mnie.

Odwrócił się, podszedł niedbałym krokiem do niebieskorożca i wdrapał się na siodło, odczuwając pewien niepokój na myśl o Spennelu, który nie zważając na gwarancje, jakie mu dał, w duchu nadal liczył się ze śmiercią. Toller odebrał to jako znak czasu, przypomnienie, że nie jest już w łaskach u króla, i że fakt ów powszechnie znano. Dotąd nie zaprzętał sobie tym głowy, ale jeśli nie uda mu się pomóc Spennelowi...

Spiął niebieskorożca i przybliżył się do sierżanta.

– Jak się nazywacie? – spytał

– A czemu chcecie wiedzieć? – odparował sierżant. – Panie.

Ku swojemu zdziwieniu Toller stwierdził, że przed oczami

– Cicha i na krańcach pola widzenia rozbłysły języczki czerwieni, co zawsze towarzyszyło najzapalczywszej złości w młodszych latach. Pochylił się do przodu, zatopił wzrok w twarz sierżanta i patrzył, jak znika z niej wyzywająca mina.

– Pytam po raz ostatni, sierżancie – wycedził. – Jak brzmi wasze nazwisko?

Tym razem sierżant zawahał się tylko na ułamek sekundy.

– Gnapperl.

Toller posłał mu szeroki uśmiech.

– Świetnie, Gnapperl. Teraz, gdy się poznaliśmy, możemy zostać dobrymi przyjaciółmi. Jadę w tej chwili do Prądu na audiencję u króla, i pierwszą rzeczą, jaką uczynię, będzie uniewinnienie Oaslita Spennela. Do tego czasu biorę go pod moją osobistą opiekę i choć przykro mi mówić

O tym teraz, gdy zostaliśmy już dobrymi przyjaciółmi, jeśli coś złego stanie się temu człowiekowi, na waszą głowę spadnie o wiele gorsze nieszczęście. Myślę, że wyrażam się jasno...

Sierżant posłał mu nieżyczliwe spojrzenie i nerwowo poruszając wargami zastanawiał się, co odpowiedzieć. Toller skinął mu z udawaną grzecznością, zawrócił wierzchowca zmusił do szybkiego galopu. Od głównego miasta Kolcorronu dzieliło ich parę mil, miał więc nadzieję znaleźć się w Prądzie przynajmniej godzinę przed Gnapperlem i jego drużyną. Rzucił okiem na ogrom bliźniaczej planety wiszącej dokładnie nad jego głową i grubość oświetlonego słońcem sierpu upewniła go, że dotrze na umówione spotkanie w samą porę. Nawet mając do omówienia uwolnienie Spennela, zdąży załatwić resztę spraw i znaleźć się z powrotem w domu, nim słońce zajdzie za Stary Świat. Oczywiście jeśli król jest w dobrym nastroju.

Postanowił, że najlepiej będzie zagrać na niechęci, z jaką Chakkell odnosił się do pomysłu, by szlachta znowu powiększała swe terytoria. Kiedy powstało nowe państwo

Kolcorronu, Chakkell, pierwszy nie dziedziczny władca

w historii, zadbał o wzmocnienie własnej pozycji, poważnie okrajając włości arystokratów. Działania te spotkały się z pewnymi protestami, lecz Chakkell rozprawił się z nimi stanowczo, a w niektórych przypadkach krwawo. Toller miał wówczas zbyt wiele pilnych spraw, by zaprzętać sobie głowę podobnymi sprawami.

Tamte wczesne lata po Migracji kołatały się teraz w jego pamięci jak sen. Z trudem przywoływał przed oczy obraz chybotającego się sznura statków podniebnych, tworzących wysoką na wiele mil piramidę, zmierzających ku Overlandowi z zenitu nieba po trudach międzyplanetarnej przeprawy. Większość statków rozebrano zaraz po lądowaniu, materiał balonów gazowych posłużył osadnikom za namioty albo czasem, po ponownym zszyciu, został użyty do konstrukcji powłok niektórych konstrukcji. Kaprys Chakkella sprawił, że pewną liczbę statków zachowano jako załazek przyszłego muzeum, jednak Toller od dawna nie miał okazji bliżej się im przyjrzeć. Widoku bezwładnych, opatrzonych podporami uwiecznionych balonów nie dało się pogodzić z twórczym dynamizmem nowego etapu w życiu Tollera.

Wspiąwszy się na szczyt wzniesienia, ujrzał w oddali Prąd, który miał swoją kolebkę w zakolu szerokiej rzeki. W oczach Tollera miasto przedstawiało przedziwny widok, gdyż, w odróżnieniu od Ro-Atabri, gdzie się wychował, wyrosło z abstrakcyjnej myśli, architektonicznego planu. Skupisko wysokich budynków znaczyło serce stolicy, wyraźnie rysując się na tle zielonej płaszczyzny krajobrazu, natomiast układ pozostałych dzielnic był wciąż zaledwie zaznaczony. Przyszłe aleje i skwery wytyczały w paru miejscach wstęgi drewnianych domostw, przeważnie jednak tylko samotne słupy i pomalo-

wane na białe kamienie. Tu i ówdzie, na przedmieściach, wzniesiona z kamienia konstrukcja państwowego urzędu nadawała architektonicznemu planowi znamiona rzeczywistości. Budynki te przywoływały obraz samotnych posterunków obleganych przez zastępy traw i krzewów. Na szerokich polach ziemi nic się nie poruszało, tylko kuliste ptery posuwały się łagodnymi skokami naprzód po otwartych polach lub wzdłuż płotów.

Toller wjechał traktem do miasta. Odwiedzał je bardzo rzadko. Mijając wzbierający nurt pieszych – mężczyzn, kobiet i dzieci, dotarł do centralnej dzielnicy, gdzie wpadł w sam środek kipiącego zgiełku, który przypominał mu dawne miasteczko targowe w Starym Świecie. Publiczne budynki wzniesiono w tradycyjnym kolcorroniańskim stylu, który cechowały ząbiate romboidalne wzory z różnokolorowej cegły i tynku, a zmodyfikowanym z konieczności. Narożniki i obrzeża domów powinien zdobić ciemnoczerwony piaskowiec, jednak na Overlandzie nie natrafiono na użyteczne złoża tego kamienia i architekci zastępowali go brązowym granitem. Większość sklepów i zajazdów budowano tak, by przypominały te w Starym Świecie, zatem w niektórych miejscach Toller miał wrażenie, że znalazł się z powrotem w Ro-Atabri.

Mimo wszystko widok surowych i nie wykończonych budynków utwierdzał go w przekonaniu, że Chakkell chciał zrobić zbyt dużo w zbyt krótkim czasie. Przeprawę na Overland udało się przeżyć zaledwie dwunastu tysiącom ludzi, i choć rozmnażali się w szybkim tempie, populacja całej planety nie przekraczała pięćdziesięciu tysięcy. Dużą liczbę Kolcorronian stanowiła młodzież, a na skutek dążeń Chakkella, pragnącego opanować cały glob, mieszkała w skupiskach poroz-



rzucanych po kontynencie. Nawet ludność Prądu, zwanego miastem stołecznym, nie sięgała ośmiu tysięcy, człowiek czuł się tam jak wiosce, przedziwnym zrządzeniem losu okrzykniętej stolicą.

Kiedy dojeżdżał do północnej części miasta, w polu widzenia Tollera coraz częściej migał pałac królewski wznoszący się na drugim brzegu rzeki. Była to prostokątna budowla o niepełnej konstrukcji, bez skrzydeł i wież, ich wzniesienie nawet niecierpliwy Chakkell musiał powierzyć przyszłym pokoleniom. Biało-różowy marmur, którym ozdobiono pałac, prześwitywał przez rzędy niewyrośniętych drzewek. Wkrótce Toller jechał już przez jedyny most, łączący brzegi rzeki. Przy pałacowej bramie z drzewa brakka dowódca straży rozpoznając nadjeżdżającego Tollera dał znak, że może wjechać nie zatrzymując się.

Na dziedzińcu stało około dwudziestu powozów i tyleż samo niebieskorożców, dowód bardzo pracowitego przednia króla. Tollerowi zaświtała myśl, że może wcale nie uda się mu zobaczyć z Chakkellem, i poczuł nagły dreszcz niepokoju o Spennela. Groźba, jaką rzucił sierżantowi, nie na wiele się zda, jeśli kat i wysocy urzędnicy dostaną nakaz egzekucji. Zsiadł z niebieskorożca, odwiązał skórzany futerał i pospiesznie skierował się w stronę opatrzonego łukiem głównego wejścia. Wartownicy rozstąpili się przed nim bezzwłocznie, ale tak jak się obawiał, przed rzeźbionymi drzwiami do sali audiencji drogę zagrodzili mu halabardnicy w czarnych zbrojach.

– Przykro mi, mój panie – rzekł jeden z nich. – Macie poczekać tu, aż król was poprosi.

Toller zerknął na ludzi, którzy stali w korytarzu w grupkach po dwóch lub trzech. Kilku nosiło szable i pióra –

insygnia królewskich posłańców.

– Ale ja mam wyznaczone spotkanie na godzinę dziewiątą.

– Niektórzy czekają tu od siódmej, mój panie. Tollera ogarnął silniejszy niepokój. Spacerował wkoło

po mozaikowej posadzce, podczas gdy dojrzewała w nim decyzja. Potem podszedł ponownie do halabardników, starając się wyrzeć wrażenie człowieka odprężonego i spokojnego. Kiedy wdał się z nimi w swobodną pogawędkę, zauważył, że przyjęli to jako zaszczyt, ale nie do końca – sprawowanie warty przy tych drzwiach przydawało im powagi w kontaktach z wieloma petentami. Toller przez kilka minut prowadził rozmowę i gdy zaczynał już mieć kłopoty z wymyśleniem odpowiednio trywialnych tematów, po drugiej stronie podwójnych drzwi rozległy się kroki.

Halabardnicy otworzyli skrzydła drzwi i z sali wyłoniła się mała grupka mężczyzn ubranych w szaty komisarzy królewskich, którzy kiwali głowami wyraźnie zadowoleni z wyniku rozmowy z monarchą. Białowłosego mężczyznę wyglądającego na administratora okręgowego uczynił krok naprzód, spodziewając się oczywiście, że zostanie dopuszczony przed oblicze Chakkella.

– Najmocniej przepraszam – mruknął Toller, wyprzedzając go. Zaskoczeni halabardnicy próbowali zagrozić mu drogę, ale nawet w wieku pięćdziesięciu paru lat Toller zachował wiele z szybkości i siły, która wyróżniała go podczas żołnierskiej służby za młodu. Bez trudu odepchnął ich na boki i w chwilę później sunął zamaszystymi krokami przez wysoką komnatę w kierunku podniesienia, na którym siedział Chakkell. Król podniósł głowę, zaniepokojony klekotem zbroi ha-

labardników, którzy puścili się w pogoń za Tollerem, i twarz wykrzywiła się mu ze złości.

– Maraquine! – parsknął dźwigając się na nogi. – Co oznacza to wasze wtargnięcie?

– Wasza Wysokość, jest to sprawa życia lub śmierci! – Toller pozwolił, by strażnicy chwycili go za ramiona, ale skutecznie opierał się próbom odciągnięcia z powrotem do drzwi. – Idzie o życie niewinnego człowieka, i błagam Waszą Wysokość o rozpatrzenie tej sprawy bezzwłocznie. Poza tym radzę Waszej Wysokości kazać waszym odźwiernym mnie puścić, bo kiedy odetnę im dłonie, na nic się już wam nie przydadzą.

Słowa Tollera kazały strażnikom podwoić wysiłki, by go wyprowadzić, lecz Chakkell wskazał na nich palcem, po czym powoli zatoczył nim łuk w stronę drzwi. Strażnicy puścili Tollera, skłonili się i wycofali z komnaty. Chakkell stał wlepiając wzrok w Tollera, dopóki nie zostali sami, wtedy usiadł ciężko i przyłożył dłoń do czoła.

– Nie mogę w to uwierzyć, Maraquine – rzekł. – Nadal nic się nie zmieniliście, prawda? Miałem nadzieję, że pozbawiając was włości Burnoru ukręcę to wasze przekłete zuchwalstwo, ale widzę, że byłem niepoprawnym optymistą.

– Nie mogłem ścierpieć... – Toller urwał, uświadamiając sobie, że obiera złą drogę do celu. Obrzucił króla wzrokiem starając się wysondować, ile szkody wyrządził już sprawie Spennela. Chakkell liczył sobie sześćdziesiąt pięć lat; jego zbrązowiała od słońca czaszka była niemal pozbawiona włosów, a sylwetka niknęła w fałdach tłuszczu, jednak król nie utracił ani odrobiny umysłowej sprawności. Nadal był nieustępliwym, mało tolerancyjnym człowiekiem i czas tylko w niewielkim stopniu, jeśli w ogóle, stępił bezwzględność, dzięki

której nigdyś zdobył tron.

– Mów dalej! – Chakkell ściągnął brwi tak, że ułożyły się w pojedynczą kreskę. – Czego nie mogłeś ścierpieć?

– To nie ma znaczenia, Wasza Wysokość – odparł Toller. – Najgorzej przepraszam za wtargnięcie przed wasze oblicze, ale jak powiedziałem, jest to sprawa życia niewinnego człowieka i nie ma czasu do stracenia.

– Jakiego niewinnego człowieka? Dlaczego zawracacie mi tym głowę? – Kiedy Toller opisywał całe wydarzenie, Chakkell bawił się niebieskim klejnotem, który nosił na piersi, a gdy opowieść dobiegła końca, na jego usta wypełził sceptyczny uśmiech. – Skąd macie pewność, że wasz prostacki przyjaciel nie obraził Panvarla?

– Przysiągł mi.

Chakkell nadal się uśmiechał.

– A zatem stawiacie słowo jakiegoś marnego farmera ponad słowo szlachcica?

– Znam go osobiście – rzekł Toller pośpiesznie. – Ręczę za jego prawdomówność.

– Co mogłoby jednak skłonić Panvarla do kłamstwa w sprawie tak małej wagi?

– Ziemia. – Toller odczekał, aż to słowo dotrze do króla w całym swoim znaczeniu. – Panvarl wyrugowuje rolników z ich włości graniczących z jego włościami i przyłącza ich grunty do swojej domeny. Jego zamiary są dość oczywiste i, jak śmiem twierdzić, nie po waszej myśli.

Chakkell odchylił się do tyłu w swoim pozłacanym krześle i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Dobrze wiem, do czego zmierzacie, mój drogi Tollerze, ale jeśli Panvarl zadowoli się połykaniem kolejnych poletek

uprawnnych, upłynie tysiąc lat, nim jego potomkowie poważnie zagrożą panującej monarchii. Pozwolicie teraz, że wrócę do pilniejszych spraw.

– Ależ... – Toller poczuł smak nadchodzącej porażki, gdy zrozumiał, co kryje się za tym, że Chakkell zwrócił się do niego po imieniu i że nagle poprawił mu się humor. Miał zostać ukarany za przeszłe i terażniejsze błędy śmiercią tamtego człowieka. Ta świadomość sprawiła, że jego niepokój urósł do mrozącej krew w żyłach paniki.

– Wasza Wysokość – rzekł. – Muszę odwołać się do waszego poczucia sprawiedliwości. Jeden z waszych uległych poddanych, człowiek, który nie ma środków na swoją obronę, zostaje pozbawiony własności i życia.

– Ależ taka jest właśnie sprawiedliwość – odparł Chakkell spokojnie. – Powinien był lepiej przemyśleć całą sprawę, nim zachował się obraźliwie w stosunku do Panvarla, a pośrednio w stosunku do mnie. Moim zdaniem baron postąpił jak najbardziej stosownie. Miał wszelkie prawo położyć tego gbura trupem na miejscu bez potrzeby starania się o nakaz.

– Uczynił to, by nadać swoim zbrodniczym działaniom pozory legalności.

– Uważaj, Maraquine! – Dobroduszość zniknęła ze śniadej twarzy króla. – Możesz posunąć się za daleko.

– Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość – powiedział Toller i w desperacji postanowił sprowadzić rozmowę na osobiste tory. – Moim jedynym zamiarem jest uratowanie życia niewinnemu człowiekowi. W tym celu pozwolę sobie przypomnieć, że Wasza Wysokość winna jest mi przysługę.

– Przysługę? Toller skinął głową.

– Tak, Wasza Wysokość. Mam tu na myśli chwilę, kiedy

uratowałem nie tylko wasze życie, ale także życie królowej Daseene i trójki waszych dzieci. Nigdy nie poruszałem tej sprawy, ale nadszedł czas...

– Dosyć! – Ryk niedowierzania wyrwał się z ust Chakkella i poniósł echem pod sklepieniem komnaty. – Przyznaję, że w trakcie ratowania własnej skóry przypadkowo uratowaliście moją rodzinę, ale to miało miejsce ponad dwadzieścia lat temu! A co do nieporuszania tej sprawy, to sięgaliście po nią zawsze, gdy chcieliście wyłudzić ode mnie jakieś ustępstwo. Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że mówiliście głównie o niej! O nie, Maraquine, pozwalałem wam frymarczyć tym zdarzeniem zbyt długo.

– Ale mimo wszystko, Wasza Wysokość, cztery królewskie życia za cenę jednego zwy...

– Milczeć! Zakazuję wam niepokoić mnie w tej sprawie. A w ogóle to po co tu przyjechaliście? – Chakkell złapał plik papierów z podstawki przy swoim krześle i zaczął je wertować. – Aha, twierdzicie, że macie dla mnie podarunek. Co to jest?

Rozumiejąc, że dalsze naciskanie byłoby zbyt ryzykowne,

Toller otworzył skórzany futerał i przedstawił jego wartość.

– Naprawdę szczególnie podarunek, Wasza Wysokość.

– Metalowa szabla. – Chakkell wydał z siebie przesadzone westchnienie. – Maraquine, wasza monotematyczność zaczyna mnie nużyć. Myślałem, że ustaliliśmy raz na zawsze, że w produkcji broni żelazo ustępuje drzewu brakka.

– Ale klingę tej szabli wykonano ze stali. – Toller wziął broń do ręki i miał ją właśnie podać królowi, gdy zaświtał mu

w głowie pewien pomysł. – Odkryliśmy, że ruda wytapiana w górnych partiach pieca daje o wiele twardszy metal, otrzymuje się z niego doskonale ostrza. – Położywszy futerał na posadzce, Toller przyjął odpowiednią postawę, trzymając szablę w pozycji wyjściowej.

Chakkell poruszył się niespokojnie na krześle.

– Maraquine, wiecie, co etykieta mówi na temat noszenia broni w pałacu. Wezwę strażników i każę się im z wami rozprawić.

– Byłaby to świetna okazja do zademonstrowania wam, Wasza Wysokość, wszystkich walorów tego podarunku – odparł Toller z uśmiechem. – Tą szablą mogę pokonać najlepszego szermierza w królewskiej armii.

– Zaczynacie mnie śmieszyć. Wracajcie do domu i pozwólcie, że zajmę się ważniejszymi sprawami.

– Wiem, co mówię. – Toller nadal swojemu głosowi nutkę nieustępliwości. – Najlepszego szermierza w królewskiej armii.

Chakkell zwęził źrenice w odpowiedzi na wyzywający ton Tollera.

– Zdaje się, że wiek osłabił nie tylko wasz umysł, ale także i wasze ciało. Słyszeliście pewnie o Karkarandzie. Zdajecie sobie sprawę, co on zrobi z człowiekiem w waszym wieku?

– Dopóki mam w dłoni tę szablę, będzie bezsilny. – Toller opuścił broń do boku. – Jestem tak mocno o tym przekonany, że gotów jestem założyć się o moją jedyną posiadłość. Wygram pojedynek z Karkarandem. Wiem, iż macie słabość do hazardu, Wasza Wysokość, czy zatem podejmujecie ten zakład? Moja cała posiadłość przeciwko życiu jednego farmera.

– A więc o to chodzi! – Chakkell potrząsnął głową. – Nie

jestem skłonny...

– Jeśli chcecie, możemy bić się na śmierć i życie. Chakkell poderwał się na nogi.

– Jesteście aroganckim głupkiem, Maraquine! Tym razem dostaniecie to, o co tak wytrwale zabiegaliście, od kiedy się spotkaliśmy. Widok światła dziennego docierającego do waszego tępego łba sprawi mi największą przyjemność.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odrzekł Toller sucho. – A w tym czasie... wstrzymanie egzekucji?

– Nie będzie to konieczne. Zakład rozstrzygniemy bezzwłocznie. – Chakkell uniósł dłoń i przygarbiony sekretarz, który widocznie patrzył przez ukryty otwór, wbiegł drobnymi krokami do komnaty przez małe drzwiczki.

– Słucham, Wasza Wysokość? – spytał, kłaniając się z wigorem, jakby wskazywał Tollerowi, że zdobył swoją pozycję latami uległości.

– Po pierwsze – rzekł Chakkell – powiedz ludziom czekającym w korytarzu, że muszę oddalić się w innej sprawie, ale niech się nie niecierpliwią, gdyż moja nieobecność potrwa krótko. Niezwykle krótko. Po drugie, przekaz dowódcy straży, że za trzy minuty chcę widzieć Karkaranda na placu defilad. Niech przyjdzie uzbrojony i gotów do przeprowadzenia sekcji zwłok.

– Tak, Wasza Wysokość. – Sekretarz ukłonił się ponownie i rzuciwszy przeciągłe, zaciekawione spojrzenie na Tollera, pobiegł susami w stronę podwójnych drzwi. Posuwał się żwawym krokiem człowieka, którego nudny dzień nagle rozjaśniła nadzieja niezapomnianej rozrywki. Toller patrzył, jak sekretarz się oddala, i mając czas do namysłu zastanawiał się, czy w obronie Spennela nie przekroczył przypadkowo granic



rozsądku.

– Cóż ja widzę, Maraquine – rzucił Chakkell, na powrót przybierając jowialny ton. – Czyżby ogarniały was wątpliwości? – Nie czekając na odpowiedź kiwnął na niego palcem i wyprowadził z sali audiencji przez zasłonięte tajne wyjście.

Podążającemu za plecami króla korytarzem o ścianach wykładanych boazerią Tollerowi stanął nagle przed oczami obraz Gesalli w chwili, gdy się rozstawali, jej szare, pełne niepokoju oczy, i na nowo opadły go złe przeczucia. Czy za sprawą jakiejś intuicji wiedziała, że wyrusza w objęcia niebezpieczeństwa? Choć żył w społeczeństwie, w którym gwałtowna śmierć nie należała do zdarzeń rzadkich, w minionych latach nie doszły go wieści o szybkich procesach i niesprawiedliwych egzekucjach. Spotkanie ze Spennelem i jego oprawcami było oczywiście całkowicie przypadkowe, ale on sam być może, odczuwając zabójcze rozgoryczenie, po prostu szukał okazji, jak to spotkanie na drodze, by wystawić się na niebezpieczeństwo.

Jeśli podświadomie chciał narazić własną głowę, udało mu się to wyśmienicie. Nie widział tego Karkaranda na oczy, ale słyszał o nim wiele. Karkarand był utalentowanym szermierzem, nie skrępowanym żadnymi więzami moralności czy szacunku dla ludzkiego życia, tak zbudowanym, że jednym uderzeniem pięści kładł trupem niebieskorożca. Człowiek w średnim wieku, bez względu na to jak dobrze uzbrojony, stając w szranki z taką maszyną do zabijania popełniał czyn szalenie nierozważny. Po prostu samobójstwo. A on, jak skończony idiota, założył się o ziemie, z których utrzymywał rodzinę, że rozstrzygnie ten pojedynek na swoją korzyść!

„Wybacz mi, Gesallo”, poprosił spuszczać w myślach

wzrok pod nieugiętym spojrzeniem żony. „Jeśli przeżyję tę awanturę, będę świecił przykładem rozstropności aż do śmierci. Obiecuję, że będę taki, jakim ty chcesz, żebym był”.

Stanąwszy u drzwi wychodzących na zewnątrz, Chakkell, w zupełnej sprzeczności z pałacową etykietą, otworzył je i gestem dłoni zaprosił Tollera, by jako pierwszy wszedł na plac defilad. Resztką dobrego wychowania kazała Tollerowi się zawahać, potem dostrzegł jednak uśmiezek Chakkella i zrozumiał symboliczne znaczenie tego gestu. Król chętnie odstąpił od etykiety w zamian za przyjemność wyprowadzenia starego przeciwnika ze świata żyjących.

– Coś was gnębi, Tollerze? – spytał, a jowialność ponownie zabrzmiała w jego głosie. – Niejeden człowiek na waszym miejscu by się rozmyślił. Czy wy też się namyślacie, a może żałujecie?

– Wprost przeciwnie – odparł Toller, odwzajemniając uśmiech. – Nie mogę doczekać się tego przemiłego ćwiczenia.

Położył futerał na posypanej żwirem nawierzchni zamkniętego placu i wyjął szablę. Jej wyważony ciężar, pewność, z jaką leżała w dłoni, dodały mu otuchy i poczuł, jak pozbywa się obaw. Zerknął na ogromną tarczę Starego Świata i stwierdził, że mija właśnie dziewiąta godzina, co oznacza, że wciąż może zdążyć do domu przed małonocą.

– Czy te strudziny odprowadzają krew? – spytał Chakkell. Po raz pierwszy baczniej spojrzął na stalową szablę i zauważył rowek, który biegł po klindze od rękojeści. – Nie uda ci się wbić tak długiego ostrza w całości.

– Nowe materiały, nowe kształty. – Toller, nie chcąc, by sekret broni wyszedł na jaw zbyt szybko, odwrócił się i przebiegł wzrokiem po niewysokich wojskowych kwaterach i

składach, które okalały plac defilad. – Gdzie się podział ten wasz szermierz, Wasza Wysokość? Ufam, że w walce porusza się żwawiej.

– Niedługo sam się o tym przekonasz – odrzekł Chakkell pewnym głosem.

W tej chwili w murze po drugiej stronie placu otworzyły się drzwi i stanął w nich mężczyzna w mundurze formacji liniowych. Zza jego pleców wysunęli się żołnierze i rozsypali się na boki, zlewając się z luźnymi szeregami widzów, wyrosłych jak spod ziemi na obrzeżach placu. Wieść

O pojedynku rozeszła się błyskawicznie, zwabiając tych, którzy mieli nadzieję ujrzeć, jak bryzgi szkarłatu ożywiają monotonię pałacowego dnia. Toller skupił uwagę na żołnierzu, idącym teraz w ich stronę.

Karkarand nie był aż tak wysoki, jak się tego spodziewał, ale jego niezwykle szeroki tors dźwigały dwie kolumny nóg tak silne, że poruszał się sprężystym krokiem mimo masywności ciała. Ramiona objuczone mięśniami, nie mogąc zwisać pionowo wzdłuż boków, sterczały pod pewnym kątem, przydając i tak przerażającej postaci wygląd prawdziwego potwora. Karkarand miał szeroką czaszkę, choć nieco węższą od szyi, a twarz przesłaniał mu kilkadziesiąt zarost. Oczy wbite w Tollerę pały bladym blaskiem, tak że zdawały się fosforyzować w cieniu rzucającym przez hełm z drzewa brakka.

Toller z miejsca pojął, że zrobił poważny błąd, rzucając królowi wyzwanie. Nie miał przed sobą ludzkiej istoty, lecz maszynę wojenną, która nie potrzebowała żadnej broni, by wzmocnić niszczycielską siłę, jaką natura obdarzyła groteskową postać. Nawet gdyby udało się mu rozbroić Karkaranda, ten i tak potrafiłby zadusić przeciwnika. Toller instynk-

townie mocniej zacisnął dłoń na rękojeści szabli

I postanowiwszy nie zwlekać dłużej, dotknął ukrytego przycisku. Poczuł, jak wewnątrz szklana fiolka zadrżała i uwolniła ładunek żółtego płynu.

– Wasza Wysokość – odezwał się Karkarand zadziwiająco melodyjnym głosem, salutując królowi.

– Przeddzień dobry, Karkarandzie. – Ton głosu Chakkella był równie lekki, niemal towarzyski. – Lord Toller Maraquine, o którym bez wątpienia słyszałeś, zadurzył się w śmierci. Bądź tak dobry i spełnij natychmiast jego życzenie.

– Tak jest, Wasza Wysokość. – Karkarand zasalutował i pociągnąwszy dalej ten gest, z gracją dobył szabli. W miejscu zwykłych oznaczeń regimentu gładką czerń drzewa brakka czerwieniła szkarłatna emaliowana intarsja w kształcie kropelek krwi, oznaka, że właściciel broni jest królewskim faworytem. Karkarand niespiesznie obrócił się w stronę Tollera, podczas gdy na jego twarzy trwał wyraz spokoju i lekkiego zaciekawienia, po czym uniósł szablę. Chakkell usunął się kilka kroków w tył.

Serce waliło Tollerowi w piersiach, gdy przygotowywał się do walki, próbując zgadnąć, jaką formę ataku wybierze Karkarand. Na wpół świadomie oczekiwał nagłej szarży, która zakończyłaby pojedynek w kilka sekund, ale jego przeciwnik najwyraźniej obrał inną taktykę. Poruszając się wolno do przodu Karkarand wysoko podniósł szablę i opuścił ją, jak gdyby wykonywał proste, bezpośrednie cięcie, jak dziecko podczas zabawy. Toller automatycznie sparował cios i omal nie krzyknął głośno, gdy wstrząs przebiegł po klindze, wykręcił mu rękę i osłabił uchwyt palców na rękojeści, wywołując gejer bólu w dłoni.

Pierwszy niedbały cios Karkaranda niemal wyrwał mu szablę z dłoni!

Zacisnął odrętwiałe palce na wciąż drgającej szabli w sam czas, by odparować dokładne powtórzenie pierwszego uderzenia. Tym razem był lepiej przygotowany na siłę ciosu i szabla bezpiecznie pozostała w uchwycie dłoni, lecz ból okazał się bardziej dojmujący niż za pierwszym razem, napływając falą do nadgarstka. Karkarand nadal parł naprzód niespiesznym krokiem, powtarzając bez zmian uderzenie w dół, aż w końcu Toller zrozumiał taktykę swojego przeciwnika. Miał ponieść śmierć z rąk wcielenia pogardy. Karkarand słyszał oczywiście o lordzie Tollerze Maraquine i postanowił powiększyć swą sławę przechodząc po Królobójcy niczym automat, unicestwiając go prostacką, brutalną siłą. „Nie wymagało to żadnych szczególnych umiejętności” – takie miało być przesłanie dla widzów i reszty świata. „Wielki Toller Maraquine stał się łatwą ofiarą pierwszego prawdziwego wojownika, jakiego spotkał”.

Toller odskoczył daleko od Karkaranda, by odetchnąć trochę od wyczerpujących zbliżeń z czarną szablą oraz by zyskać czas do namysłu. Przekonał się, że broń Karkaranda jest grubsza i cięższa od zwykłej szabli, stosowniejsza do oficjalnych egzekucji niż dłuższej walki, i tylko ktoś dysponujący nadludzką siłą mógł posługiwać się nią w pojedynku. Kłopot leżał w dziwnym stylu walki, jaki przyjął Karkarand. Bezlistosny deszcz pionowych ciosów stanowił i przecież najlepszy sposób, aczkolwiek wybrany nieświadomie, na zneutralizowanie dodatkowej sekretnej mocy stalowej szabli. Jeśli Toller chciał żyć i udowodnić słuszność swoich racji, musiał narzucić radykalną zmianę stylu walki. Utwierdzając się w swoim po-

stanowieniu poczekał, aż szabla Karkaranda ponownie znajdzie się w górze, i wówczas podbiegł w mgnieniu oka do przeciwnika i zablokował spadający cios zwierając szable u rękojeści. Taki ruch zaskoczył Karkaranda, gdyż mógł się powieść tylko przeciwnikowi o większej sile fizycznej, którą w sposób oczywisty Toller nie dysponował. Karkarand zamrugał oczami, po czym sapnąwszy naparł w dół całą siłą potężnego prawego

Tramienia. Toller opierał się, by ustąpić po chwili, a gdy napór przeciwnika nabrał rozpędu, zatoczył się w tył haniebnie, co o mały włos nie skończyło się upadkiem.

Widzowie ściśnięci w krąg przyjęli to z ironicznym aplauzem, w którym Toller wyłowił nutkę zapadającego wyroku. Skłonił się nisko Chakkellowi, który dał niecierpliwy sygnał, by kontynuować pojedynkę. Z satysfakcją i ulgą Toller przypuścił gwałtowne natarcie na przeciwnika, wiedząc, że górne części szabli złączyły się na czas wystarczająco długi, by broń Karkaranda hojnie powlekła się złotym płynem.

– Dość tych aktorskich popisów, Królobójco! – ryknął Karkarand wymierzając jeszcze jeden świszczący w powietrzu, morderczy pionowy cios.

Zamiast odbić go w prawo, Toller, używając szabli niczym rapieru, owinął swoją klingę wokół szabli Karkaranda, i zakończył cios uderzeniem przez oś klingi. Szabla Karkaranda pękła tuż pod rękojeścią i czarne ostrze pokoziołkowało po żwirze. Podbiegając kilka kroków w stronę zniszczonej broni, Karkarand wydał okrzyk bolesnego zdziwienia, który zabrzmiał wyraźnie w ciszy, jaka spowiła tłum.

– Jak ty to zrobiłeś, Maraquine?! – zaryczał król Chakkell i ruszył do przodu zamaszystym krokiem, falując tłustym brzuchem. – Co to za sztuczki?

– Żadne sztuczki! Niech Wasza Wysokość sam sprawdzi!  
– zawołał Toller, poświęcając tylko część uwagi królowi. Pojedynek dobiegłby teraz końca lub został odroczone, gdyby obowiązywały normalne kolcorroniańskie zasady, ale Toller wiedział, że Karkarand jest człowiekiem, dla którego kodeksy postępowania nic nie znaczą, i który zabija mając się wszelkich sposobów. Tylko przez chwilę patrzył na króla, szacując ile ma czasu, po czym wykonał szybki półobrót trzymając płasko błyszczącą klingę szabli. Karkarand, pędzący na Tollera z pięściami niczym maczugi uniesionymi w górze, zatrzymał się z poślizgiem, z czubkiem szabli Tollera w swojej przeponie. Szkarłatna plama rozlała się szybko po szorstkim, szarym materiale munduru. Ale Karkarand nie upadł. Oddychając ciężko, zdawał się przeć naprzód nie bacząc na metal, który przenikał mu ciało.

– Wybieraj, potworze – rzekł Toller łagodnym głosem. – Życie albo śmierć.

Karkarand patrzył na niego bez słowa, nadal nie odstępował. Oczy osadzone w spłaszczonej twarzy zmieniły się w blade, jadowite szparki i Toller gotował się na posunięcie, które już dawno stało się obce jego naturze.

– Rusz głową, Karkarandzie! – zawołał Chakkell. – Nie będę miał z ciebie wiele pożytku z przetrąconym kręgosłupem. Wracajcie natychmiast do swoich zajęć. Tę sprawę możemy dokończyć innego dnia.

– Rozkaz. – Karkarand uczynił krok w tył, zasalutował królowi, nadal nie spuszczać wzroku z twarzy Tollera. Obrócił się i pomaszerował w kierunku koszar, przechodząc przez pierścień widzów, którzy rozstąpili się przed nim pospiesznie. Chakkell, z ochotą folgując swoim poddanym póki sądził, że

Toller nie wyjdzie z pojedynku żywy, uczynił odpędzający gest dłonią i tłumek w mgnieniu oka się rozproszył. Po chwili Toller i Chakkell stali sami na zalanej słońcem arenie.

– No dobrze, Maraquine! – Chakkell wyciągnął rękę. – Pokażcie mi tę szablę.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. – Toller otworzył schovek w rękojeści, odsłaniając strzaskaną fioletową skapaną w żółtej mazi. Ostry capach, przypominający smród białej paproci, rozszedł się w ciepłym powietrzu. Trzymając szablę za koniec klingi podał ją Chakkellowi.

Chakkell zmarszczył nos z obrzydzeniem.

– Śluz z drzewa brakka.

– Rafinowany. W tej postaci daje się łatwiej usunąć ze skóry.

– To, w jakiej jest postaci, nie ma tutaj żadnego znaczenia. – Chakkell zerknął na ziemię i trącił końcem buta porzuconą rękojeść szabli Karkaranda. Czarny kikut klingi kipiał i otaczał się pianą pod działaniem zabójczego płynu. – Posłużyliście się sztuczką.

– A ja utrzymuję, że nie było w tym żadnej sztuczki – odparował Toller. – Kiedy pojawia się nowa, doskonalsza broń, jedynie głupiec trzyma się kurczowo starej – taką zasadą kierowano się zawsze w wojskowej logice. A od dzisiejszego dnia broń wyrabiana z drzewa brakka trzeba uznać za przestarzałą. – Przerwał, by zerknąć w górę na krąg Starego Świata. – Należy do tamtego miejsca – do przeszłości.

Chakkell zwrócił mu stalową szablę i w zamyśleniu podreptał w kółko, po czym ponownie utkwiał wzrok w Tollerze.

– Nie rozumiem was, Maraquine. Dlaczego posunęliście się aż tak daleko? Dlaczego zadaliście sobie tak dużo trudu?



– Wyrąb drzew brakka musi się skończyć. A im szybciej, tym lepiej.

– Zawsze ta sama stara śpiewka! A co, jeśli zataję szczegóły waszej nowej zabawki?

– Za późno – odrzekł Toller, wskazując kciukiem kwatery wojskowe. – Wielu żołnierzy widziało, jak stalowa szabla przetrwała najpotężniejsze uderzenia Karkaranda i to, co stało się z jego klingą. Zatuszowanie tych informacji nie leży w mocy żadnego władcy. Żołnierze zawsze będą gadać między sobą, Wasza Wysokość. Czują niepewność i urazę, jeśli kazać im walczyć bronią, o której wiadomo, że nie jest najlepsza. Gdyby w przyszłości, nie daj Boże, wybuchło powstanie, zdrajca stojący na jego czele zrobiłby wszystko, by uzbroić swoich żołnierzy w stalowe szable nowej konstrukcji. A wtedy setka ludzi mogłaby rozbić w perzynę tysią...

– Dość. – Chakkell przycisnął dłonie do skroni i stojąc tak przez chwilę, oddychał ciężko. – Dostarczcie dwanaście egzemplarzy waszej cholernej szabli Gagronowi z Rady Wojennej. Porozmawiam z nim.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odrzekł Toller, starając się, by w jego słowach zabrzmiała wdzięczność, a nie triumf. – Jest jeszcze sprawa wyroku na tego farmera.

Coś drgnęło w głębi brązowych oczu Chakkella.

– Nie możecie mieć wszystkiego, Maraquine. Pokonaliście Karkaranda podstępem, więc przegraliście zakład. Powinniście być wdzięczni, że nie żądam przewidzianej w naszej umowie zapłaty.

– Postawiłem jasne warunki – odparował Toller, zatrwożony tą zmianą. – Powiedziałem, że potrafię pokonać najlepszego szermierza w waszej armii, dopóki dźmierzę w dłoni tę

szablę.

– Zaczynacie gadać jak tani kailiański prawnik – odparł Chakkell, a uśmiech na jego twarzy z wolna zamierał. – Pamiętajcie, że jesteście człowiekiem honoru.

– To nie mój honor stoi pod znakiem zapytania. Słowa, które wypowiedział – własny wyrok śmierci –

szybko rozmyły się w otaczającej ich ciszy, a jednak Tollerowi zdawało się, że słyszy, jak brzmią dalej niczym refren, wolniutko zapadając w jego duszę. Ale dlaczego ciało postąpiło według własnego planu? Dlaczego tak szybko uczyniło ten śmiertelny krok? Czy uważa, że umysł to chwiejny i niepewny współnik? Czy każdy samobójca obwinia się, gdy patrzy na pustą buteleczkę po truciźnie?

Zamroczony i otepiały, z kamienną twarzą, gdyż ostatnią rzeczą, jaką umiałby teraz zrobić, to okazać skruchę, Toller czekał na nieuchronny wyrok. Próby przeproszenia lub obietnice poprawy nie miały sensu. W społeczeństwie kolcorroniańskim karą za uwłaczanie władcy była śmierć. Tollerowi nie pozostało już nic innego, tylko postarać się nie myśleć o wyrazie twarzy Gesalli w chwili, gdy dowie się, jak sam zgotował sobie taki koniec...

– W pewnym sensie, między nami zawsze toczyła się gra – odezwał się Chakkell, spoglądając na niego raczej z wyrzutem niż z gniewem. – Raz za razem pozwalałem, żeby uszły wam płazem sprawy, za które kazałbym kogoś innego obdrzeć ze skóry; i nawet w ten przeddzień, gdyby wasz zatarg z Karkarandem potoczył się naturalną koleją rzeczy, sądzę, że wstrzymałbym jego szablę i nie pozwolił wam umrzeć. A wszystko z uwagi na naszą małą, prywatną farsę, Tollerze. Naszą sekretną grę. Czy to rozumiecie?

Toller potrząsnął głową.

– Nie, obawiam się, że przekracza to umysł człowieka mojego pokroju.

– Dokładnie wiecie, o czym mówię. Wiecie też, że ta gra dobiegła końca chwilę temu, kiedy złamaliście wszystkie zasady. Nie pozostawiłeś mi żadnego innego wyjścia, jak tylko...

Słowa Chakkella umknęły Tollerowi, gdy spoglądając ponad ramieniem króla, dostrzegł oficera, który wybiegł z drzwi w północnej ścianie pałacu. Przeszło mu przez myśl, że Chakkell pewnie dał tajny sygnał. Zaciśnął dłoń na stalowej rękojeści, a serce podskoczyło mu w piersiach. Przez krótką chwilę rozważał, czy nie wziąć króla jako zakładnika i wymieńczyć go na wolną drogę z pałacu, ale twarda strona jego natury szybko doszła do głosu. Nie pociągała go wizja ucieczki przed pościgiem i życia niczym zwierzę zaszczute w potrzasku. Poza tym czyn taki odbiłby się na jego rodzinie. Lepiej pogodzić się z myślą, że wybiła ostatnia godzina i rozstać się z życiem zachowując resztki godności i honoru.

Toller odsunął się od Chakkella i gdy podnosił szablę, zdał sobie sprawę, że kapitan w hełmie z pomarańczowym pióropuszem wcale nie wygląda na oficera, który ma rozkaz go aresztować. Nie prowadził ze sobą strażnika pałacowego, miał podniecony wyraz twarzy i niósł lornetkę zamiast obnażonej szabli. Daleko w tyle, na obrzeżach placu defilad, ukazywali się inni żołnierze i nadworni urzędnicy zwracając twarze w stronę południowej części nieba.

– ...jeśli nie będziesz próbował się opierać – mówił Chakkell. – W przeciwnym razie będę zmuszony uciec się do...  
– przerwał, zaniepokojony odgłosem zbliżających się kroków, i obrócił się do biegnącego kapitana.

– Wasza Wysokość! – zawołał kapitan. – Przynoszę wiadomość przekazaną heliopisem od marszałka powietrznego Yeaparda. Najwyższy stopień pilności. – Kapitan zatrzymał się z poślizgiem, zasalutował i czekał na pozwolenie, by mówić dalej.

– No, mówże! – rzucił zirytowany Chakkell.

– Dostrzeżono statek podniebny na południe od miasta, Wasza Wysokość.

– Statek podniebny?! – Chakkell ryknął na kapitana. – O czym ten Yeopard bredzi?

– Nie mam żadnych innych informacji – odpowiedział kapitan, nerwowo ściskając oprawioną w skórę lornetkę. – Marszałek poprosił, by Wasza Wysokość raczył z niej skorzystać.

Chakkell chwycił lornetkę i wycelował ją w niebo. Toller upuścił szablę na ziemię i sięgnął do sakwy po lunetę, mrużąc oczy, gdy natrafił wzrokiem na lśniący na południu obiekt, mniej więcej w połowie drogi między horyzontem a tarczą bliźniaczej planety. Z wyćwiczoną sprawnością nastawił lunetę, ustawiając obcy statek w centrum niebieskiego blasku. Powiększony obraz wywołał w nim falę odczuć tak silną, że zamazała natychmiast wszystkie myśli o nieuchronnej śmierci.

Zobaczył gruszkowaty balon imponujących rozmiarów, co było widoczne nawet z odległości wielu mil, oraz podwieszoną pod nim prostokątną gondolę. Dostrzegł stożek wylotu silnika odrzutowego sterczący z gondoli w dół i mógł niemal rozróżnić ledwo widoczne linie rozperek przyspieszenia, które łączyły górną i dolną część lecącego statku. I to właśnie widok tych rozperek, które miały jedynie statki skonstruowane dwadzieścia lat wcześniej na potrzeby Migracji, potwierdził to,

o czym intuicyjnie wiedział od początku. Chwilę walczył z chaosem ogarniających go myśli.

– Nic nie widzę – gderał Chakkell, kręcąc zbyt raptownie lornetką. – Jak ten podniebny statek mógł się tam znaleźć? Nie wydałem pozwolenia na żadne renowacje.

– Wydaje mi się, że właśnie w tym tkwi sens wiadomości od marszałka – odezwał się Toller bez drżenia w głosie. – Mamy gości ze Starego Świata.

## ROZDZIAŁ 2

Trzydzieści parę wozów Pierwszej Ekspedycji Osadniczej zajęchało zbyt daleko.

Deski wozów wypaczyły się i popękały, niewiele pozostało z farby, jaką je pomalowano, a awarie zdarzały się tak często, że kolumna rzadko pokonywała więcej niż dziesięć mil dziennie. Choć wzdłuż drogi nie brakowało odpowiednich pastwisk, niebieskorożce, siła pociągowa ekspedycji, miały zapadnięte boki i powłóczyły nogami osłabione przenoszonymi przez wodę chorobami i atakami pasożytów.

Bartan Drumme, przewodnik wyprawy, trzymał w dłoni lejce niebieskorożca ciągnącego wóz jadący na czele rozproszonej kolumny, która wspinała się na szczyt niskiego pasma wzgórz. Przed nim rozpostarł się widok na przedziwnie ubarwione moczary. W kolorystyce przeważała brudna biel i mdła zieleń, a całość nakrapiana była drzewami o obwisłych gałęziach i niesymetrycznych kształtach i poskręcanyymi iglicami czarnych skał. Podobny krajobraz nie ująłby za serce przeciętnego wędrowca, a w oczach kogoś, kto wiezie gromadę pełnych nadziei farmerów do rolniczego raję, wyglądał strasznie przygnębiająco.

Bartan jęknął na głos, gdy rozważając różne czynniki doszedł do wniosku, że co najmniej pięć dni zajmie grupie

wozów przedostanie się do wstęgi niebiesko-zielonych wzgórz na linii horyzontu, znaczących drugi brzeg bagnistej kotliny. Jop Trinchil, który obmyślił i zorganizował wyprawę, z każdym dniem tracił złudzenia w stosunku do Bartana, a obecne niepowodzenie na pewno nie poprawi ich wzajemnych stosunków. Teraz, gdy o tym myślał, Bartan zdał sobie sprawę, że będzie dobrze, jeśli którykolwiek farmer zechce jeszcze mieć z nim coś wspólnego. Dotąd odzywali się do niego, gdy to było konieczne, i w Bartanie zaczynało kiełkować niejasne uczucie, że nawet lojalność jego narzeczonej, Sondeweere, zaczyna się kruszyć wobec tych wszystkich niepowodzeń.

Zdecydowany, że najlepiej uczciwie stawić czoło złości farmerów, zatrzymał wóz, zaciągnął hamulec i zeskokczył na trawę. Był wysokim, dwudziestoparoletnim, ciemnowłosym mężczyzną, szczupłej budowy, o żywym usposobieniu i krągłej chłopięcej twarzy. To właśnie jego gładka, wesoła, bystra twarz doprowadziła do wcześniejszych kłopotów z farmerami, którzy mieli skłonność do obdarzania nieufnością każdego, kto nie był ulepiony z tej samej gliny co oni. Gdy dawał kolumnie wozów sygnał do postoju, Bartan bardzo starał się, by zachowywać się ze znajomością rzeczy i niezmałym spokojem, świadom problemów, z którymi będzie musiał sobie poradzić w ciągu najbliższych kilku minut.

Tak jak się spodziewał, nie musiał zwoływać zebrania. Po paru sekundach od chwili gdy ich wzrok prześlizgnął się po rozciągającym się przed nimi posępnym terenie, farmerzy i ich rodziny opuścili wozy i zebrali się wokół niego. Wydawało się, że każdy krzyczy o czymś innym, co wzbudziło hałaśliwy zgiełk, ale Bartan domyślał się, że swoje szyderstwa kierują mniej więcej w równym stopniu pod adresem jego umiejętno-

ści jako przewodnika, jak i kolejnej z nieurodzajnych, nie nadających się do uprawy polaci ziemi. Nawet małe dzieci patrzyły na niego z otwartą pogardą.

– No, Drumme, jaką to zmyśloną historyjkę opowiesz nam tym razem? – spytał Jop Trinchil z rękami skrzyżowanymi na potężnej klatce piersiowej. Był to siwy mężczyzna pokazanej tuszy, jednak nadmiar ciała nie przeszkadzał mu poruszać się sprężysto, a dłonie miał niczym dwa bochny. W bezpośrednim starciu poradziłby sobie z Bartanem nie dostając nawet zadyszki.

– Historyjkę? Historyjkę? – Bartan, grając na czas, postanowił okazać oburzenie. – Nie zajmuję się opowiadaniem historyjek.

– Naprawdę? Co w takim razie robiłeś, gdy opowiadałeś mi, że znasz te okolice?

– Mówiłem, że kilkanaście razy przelatywałem nad tymi terenami z moim ojcem, ale to było bardzo dawno temu, a człowiek nie jest w stanie wszystkiego zobaczyć i zapamiętać.

– Ostatnie słowo wyrwało się Bartanowi z ust, nim zdążył je w sobie zdusić. Zbeształ się w myślach za to, że dał staremu kolejną okazję do użycia ulubionego i dowcipnego w jego mniemaniu powiedzonka.

– Dziwię się, że w ogóle pamiętasz – cedził Trinchil dobitnym głosem, rozglądając się wokół po towarzyszach – by odchyłać od siebie fujarę, gdy sikasz.

„A ja się dziwię, że ty w ogóle pamiętasz, gdzie masz fujarę”, pomyślał Bartan, z trudem zachowując tę ripostę dla siebie, gdy wszyscy, a zwłaszcza dzieci, wybuchnęli niepohamowanym śmiechem. Jop Trinchil był prawnym opiekunem Sondeweere i mógł nie dopuścić do ślubu. Gdy Bartan okpiwał



go w słownym pojedynku, Trinchil znosił to tak źle, że Sondeweere kazała narzeczonemu przysiąc, że nigdy już nie będzie starał się z nim wygrać.

– Nie widzę sensu, by dalej podążać na zachód – wtrącił młody farmer nazwiskiem Raderan. – Jestem za tym, żeby skrócić na północ.

Ktoś inny dorzucił:

– Zgadzam się. Pchając się dalej na zachód, jeśli niebieskorożce wytrzymałyby taką podróż, w końcu dobrnęlibyśmy tam, skąd wyruszyliśmy, tyle że z przeciwnego kierunku.

Bartan potrząsnął głową.

– Jeśli pojedziemy na pomoc, dotrzemy jedynie do Nowej Kaili, która jest już zasiedlona. Trzeba będzie się rozdzielić i zająć co gorsze pola. Myślałem, że głównym celem tej ekspedycji jest objęcie w posiadanie żyznej gleby i stworzenie wspólnoty.

– Taki mieliśmy cel, ale popełniliśmy błąd nie wynajmując zawodowego przewodnika odparował Trinchil. – Nasz błąd polega na tym, że wynajęliśmy ciebie.

Prawda zawarta w tym oskarżeniu ubodła Bartana mocniej niż gwałtowny sposób, w jaki ją wypowiedziano. Kiedy poznał i zakochał się w Sondeweere, nie mógł pogodzić się z myślą, że opuszcza ona okolice Ro-Amass wraz z ekspedycją. Powodowany pragnieniem, by Trinchil i reszta osadników przyjęli go do siebie, wyolbrzymiał w opowieściach swoją znajomość tej części kontynentu. W swojej gorliwości przekonywał sam siebie, że przypomina sobie ukształtowanie geograficzne rozległych obszarów, ale kiedy kolumna wozów brnęła po omacku na zachód, zawodna pamięć oraz niedokładności garstki szkiców coraz wyraźniej wychodziły na jaw.

Płacił teraz za oszustwo, a coś w zachowaniu Trinchila mówiło mu, że w tej zapłacie jest miejsce i na fizyczny ból. Zaniepokojony obrotem spraw, Bartan osłonił oczy i przyjrzał się bacznie połyskującym w słońcu moczarom, z nadzieją, że dojrzy jakiś charakterystyczny punkt, który wpłynie pobudzająco na jego pamięć. Niemal od razu wpadło mu w oko coś jakby supeł na opasującej mokradła linii horyzontu, który mógł świadczyć o wąskim przedłużeniu moczarów w korycie rzeki. Jak by to wyglądało z powietrza? Jak smukły biały palec skierowany na zachód? Czyżby ponownie oszukiwał sam siebie, czy też rzeczywiście podobny obraz tkwił gdzieś w zakamarkach jego umysłu? I czy łączył się on naprawdę z wizją bujnych, falujących łąk poprzecinanych kryształowymi strumieniami?

Decydując się postawić wszystko na jedną kartę Bartan wybuchnął śmiechem, wykorzystując pełnię swoich głosowych możliwości, tak by zabrzmiało to możliwie naturalnie i swobodnie. Trinchilowi nie ogolona szczeka opadła ze zdziwienia, a niezadowolone pomruki reszty osadników ucichły raptownie.

– Nie widzę nic zabawnego w naszym położeniu – powiedział Trinchil. – A tym bardziej w twoim – dodał złowieszczo.

– Przepraszam, bardzo przepraszam. – Bartan chichotał i pocierał pięściami oczy, sprawiając wrażenie człowieka, który stara się opanować szczere rozbawienie. – Postąpiłem okrutnie, ale widzicie, czasem nie mogę się powstrzymać, by nie spłatać komuś figła. Po prostu musiałem zobaczyć wasze miny, kiedy pomyślicie, że całe przedsięwzięcie wzięło w łeb. Bardzo przepraszam, naprawdę.

– Postradałeś zmysły? – warknął Trinchil, a jego dłonie zwinęły się w ogromne, twarde jak kamień kule. – Gadaj w tej chwili, o co ci chodzi.

– Z przyjemności. – Bartan uczynił teatralny gest, którym omiół całość bagnistej kotliny. – Pewnie miło wam będzie usłyszeć, że tamta oto miseczka spleśniałej owsianki jest właśnie punktem, do którego zmierzaliśmy od samego początku wyprawy. Po drugiej stronie, zaraz za tamtymi wzgórzami, znajdziecie dostatek najżyźniej-szych ziem uprawnych, jakie widzieliście w życiu, ciągnących się mila po mili w każdą stronę świata, jak okiem sięgnąć. Przyjaciele, nasza wędrówka dobiega końca. Wkrótce skończą się dni znoju i poświecenia, i będziemy mogli zająć...

– Dość tego pieprzenia! – wrzasnął Trinchil, podnosząc ręce, by uciszyć wzbierające odgłosy podniecenia pośród farmerów. – Już nieraz w przeszłości karmiłeś nas podobnymi krasomówczymi wzlotami. Dlaczego mielibyśmy uwierzyć ci tym razem?

– Nadal twierdzę, że powinniśmy skierować się na północ – odezwał się Raderan, występując naprzód. – Jeśli wszyscy się zgadzają, to lepiej zdecydujmy się na to teraz i nie marnujmy czasu na okrażanie moczarów wierząc wymysłem tego głupka.

– Głupek to za słabe słowo na niego – włączyła się tęga żona Raderana, Firenda. Po chwili namysłu zaproponowała odpowiednie według niej określenie, które u paru innych kobiet wywołało głośne zachłyśnięcie się powietrzem, a u dzieci ekstatyczny ryk.

– Ma pani szczęście, że chroni panią suknia – rzucił Bartan, wąpiąc w ducha, czy umiałby dotrzymać pola temu ko-

biecemu gigantowi dłużej niż przez kilka sekund. Ku jego przerażeniu kobieta od razu zaczęła gmerać przy pasku.

– Jeśli odstrasza cię tylko mój damski przyodziewek – zazgrzytała – to zaraz...

– Zostaw to mnie, kobieto! – Trinchil wyprężył się w całej okazałości swojego wybujałego wzrostu, w widoczny sposób dając do zrozumienia, kto tu dzierży władzę. – Wszyscy tutaj jesteśmy ludźmi rozumnymi i wypada nam rozstrzygać nasze dysputy na drodze rozumu. Zgodzicie się z tym, prawda, panie Drumme?

– Całym sercem – przytaknął Bartan, a ulgę, jaką odczuł, przytłumiło podejrzenie, że zamiary Trinchila wobec niego wcale nie stały się życzliwsze. Poza kręgiem ludzi dostrzegł żółtowłosą postać Sondeweere, która ukazała się zza plandeki wozu. Domyślił się, że nie ruszała się z miejsca, gdyż wiedząc, że narzeczony znów znalazł się opałach, nie chciała swoją obecnością przydawać mu cierpienia. Miała na sobie zieloną bluzkę bez rękawów i obcisłe spodnie w kratę w nieco ciemniejszym odcieniu. W społeczności wiejskiej podobny strój młode kobiety nosiły na co dzień, lecz Bartanowi wydawało się czymś oczywistym, że Sondeweere nosi go w specjalny sposób, który odróżnia ją od innych dziewcząt i wskazuje na jej rzadkie zalety umysłu. Pomimo że obecne trudne położenie pochłaniało jego myśli, czerpał niewysłowioną przyjemność z widoku wdzięcznych ruchów bioder, gdy Sondeweere schodziła z wozu na ziemię.

– W takim razie, panie Drumme – zawyrokował Trinchil, kierując się w stronę wozu Bartana – sądzę, że nadszedł czas, by obudzić waszą śpiącą pasażerkę i kazać jej zapłacić za przejazd.

Tego momentu Bartan pragnął uniknąć od samego początku ekspedycji.

– Ach... będzie to wymagało dużo trudu.

– Na pewno nie więcej niż przekroczenie tamtych wzgórz i natknięcie się po drugiej stronie na bagna lub pustynie.

– Tak, ale...

– Ale co? – Trinchil chwycił poplamione płócienne nakrycie wozu. – Trzymasz tam statek powietrzny? Umiesz na nim latać, prawda? Jeśli okaże się, że przewróciłeś mojej bratanicy w głowie1 stekiem kłamstw, bardzo mnie to rozgniewa. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Bardziej niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Bartan zerknął na Sondeweere, która docierała właśnie do krańca grupy, i przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa widząc, że patrzy na niego wzrokiem pytającym, żeby nie powiedzieć wąpiącym.

– Oczywiście, że trzymam tam statek – rzucił pośpiesznie. – To znaczy, jest to raczej latająca łódź niż statek, ale zapewniani was, że jestem świetnym pilotem.

– Statek, łódka czy czółno – nie mamy zamiaru słuchać więcej twoich wykrętów. – Trinchil zaczął odwiązywać plan-dekę, a pozostali mężczyźni skwapliwie podbiegli, by mu w tym pomóc.

Nie ośmielając się zaprotestować Bartan przyglądał się całemu przedsięwzięciu w mrocznym nastroju. Statek powietrzny był jedynym cennym przedmiotem, jaki odziedziczył po ojcu, człowieku, którego pasja latania wpierw zubożyła, a w końcu zabiła. Zdolność statku do lotu była w najwyższym stopniu wąpiłwa, lecz Bartan zataił ten fakt, gdy przedstawiał

argumenty za tym, by pozwolono mu dołączyć do ekspedycji. Przekonywał, że powietrzny zwiadowca może wyświadczyć cenne usługi wyprawie, aż w końcu Trinchil, choć niechętnie, przeznaczył dla statku miejsce w wozie. Podczas podróży kilkakrotnie nadarzały się okazje, gdy rzeczywiście warto było dla powietrznego rekonesansu podjąć wysiłek posłania statku w górę, jednak za każdym razem Bartan naciągał swoją pomyślność do granic możliwości, wymyślając mające choć cień prawdy powody, by nie odrywać się od ziemi. Teraz wyglądało jednak na to, że w końcu nastał sądny dzień.

– Popatrz, z jakim zapałem się krzątają – rzucił przysuwając się do Sondeweere. – Jakby ścigali się, kto szybciej. Można by pomyśleć, że wątpią w moje umiejętności pilota.

– Wkrótce poddamy je próbie. – Głos Sondeweere był jeszcze zimniejszy, Bartan się tego nie spodziewał. – Mamy nadzieję, że jesteś lepszym pilotem niż przewodnikiem.

– Sondy!

– Cóż – odparła bez żadnych oznak skruchy – musisz przyznać, że jak dotąd okazywałeś się kompletną dupą we wszystkim, co robiłeś.

Bartan patrzył na nią zraniony, z zakłopotaną miną. Twarz Sondeweere byk najpiękniejszą, jaką widział w życiu, o dużych, szeroko rozstawionych niebieskich oczach, kształtnym nosku i wyraźnie zarysowanych, zmysłowych ustach, a przecucie podpowiadało mu, że Sondy ma równie urocze wewnętrzne powaby. Lecz czasem Sondeweere mówiła coś, co nasuwało podejrzenia, że jest tak samo prostacka jak reszta tej gromady. A może było to z jej strony rozmyślne działanie? Czyżby na swój sposób starała się go ostrzec, że życie farmera, które miał wkrótce podjąć, nie jest dla fajtłapy? Powróci my-

śłami do rzeczywistości, gdy ujrzał, jak jeden ze stojących na wozie farmerów podnosi pomalowaną na zielono skrzyneczkę i przymierza się do zrzucenia jej na ziemię.

– Ostrożnie! – krzyknął Bartan i popędził w jego stronę.  
– W środku są kryształy!

Farmer wzruszył obojętnie ramionami i złożył skrzynkę w dłonie Bartana.

– – Podajcie mi od razu tę purpurową – – poprosił Bartan. Otrzymałszy drugą skrzynkę, włożył obie pod ramię i odniósł w bezpieczne miejsce, starannie układając je na płaskim gładzie. Zielone kryształy pikonu i purpurowe halvellu, pozyskiwane z ziemi przez korzenie drzew brakka, nie były niebezpieczne, chyba że zmieszało się je razem w zamkniętym pojemniku. Kosztowały jednak sporo i trudno było je dostać poza wielkimi ośrodkami miejskimi, dlatego Bartan obchodził się troskliwie z niewielką ilością, jaka mu pozostała. Pogodziwszy się z tym, że przyjął na siebie zobowiązanie wykonania lotu pomimo związanego z tym ryzyka, zaczął nadzorować rozpakowywanie i składanie powietrznego statku.

Pomimo że mała gondola ważyła bardzo niewiele, Bartan nie miał żadnych obaw co do jej wytrzymałości, a wiedział, że wykonany z drewna brakka silnik odrzutowy jest praktycznie niezniszczalny. Martwił się przede wszystkim stanem powłoki. Impregnowane płótno, gdy je pakował, nie wyglądało najlepiej, a długi okres przechowywania w tyle wozu z pewnością nie poprawił jego stanu. Gdy chłopcy rozposcierali powłokę na ziemi, Bartan sprawdzał materiał, szwy klinów i linki nośne. To, co zobaczył, spotęgowało tylko jego obawy. Tkanina przypominała w dotyku papier, a na linkach powiewało wiele luźnych nitek.

„To zupełne szaleństwo”, pomyślał Bartan. „Nie zamierzam dać się dla kogoś zabić”.

Zastanawiał się właśnie, czy stawić czoło Trinchilowi i zwyczajnie nie zgodzić się lecieć, czy może cichaczem uszkodzić statek, przedziurawiając powłokę, gdy zauważył zmianę zachodzącą w pozostałych członkach wyprawy. Mężczyźni pytali go o konstrukcję i obsługę statku, i z uwagą przysłuchiwali się temu, co mówił. Nawet najbardziej niesforne dzieciaki odnosiły się do niego z większym szacunkiem. Powoli zaczęło Bartanowi świtać, że osadnicy i ich rodziny niegdy przedtem nie widzieli z bliska latającej maszyny, i że budzi się w nich zaciekawienie. Statek i dziwne pokładowe urządzenia, oglądane po raz pierwszy, stanowiły dowód na to, że Bartan naprawdę umie latać. W przeciągu kilkunastu minut z me budzącego zaufania nowicjusza, ciężaru dla całej wyprawy, stał się człowiekiem posiadającym arkana tajemnej wiedzy, rzadkie zdolności i boską umiejętność stąpania po chmurach. Ta nowa pozycja bardzo go ucieszyła, szkoda tylko, że skazana była na tak krótki żywot.

– Ile czasu zajmie ci dotarcie do tamtych wzgórz? – spytał Trinchil bez śladu zwykłej protekcjonalności w głosie.

– Około trzydziestu minut. Trinchil zagwizdał.

– Naprawdę imponujące. Nie boisz się latać?

– Ani odrobinę – odparł Bartan, żałując, że nie może dłużej zwlekać z wyjawieniem swojego postanowienia. – Widzisz, ja nie mam najmniejszego zamiaru lecieć tym...

– Bartan! – Sondeweere podbiegła do niego w wirze żółtych warkoczy i objęła go w pasie. – Jestem z ciebie taka dumna.

Zdobył się na słaby uśmiech.



– Muszę ci coś...

– Muszę ci coś szepnąć na ucho. – Przyciągnęła w dół jego głowę jednocześnie przywierając do niego ciałem tak, że poczuł napór ciepłych piersi na swoich żebrach i łona, którym otarła się o jego udo. – Przepraszam, że zachowałam się wobec ciebie szorstko – wyszeptała mu w ucho. – Bałam się o nas, a wujek Jop wpadł w taki ponury nastrój. Nie zniósłabym, gdyby coś stanęło na drodze do naszego małżeństwa, ale teraz wszystko jest znów w porządku. Pokaż im wszystkim, jaki jesteście wspaniali, Bartanie – zrób to dla mnie.

– Ja... – Bartanowi głos uwiązł w gardle, gdy spostrzegł, że Trinchil przygląda mu się badawczym wzrokiem.

– Chciałeś coś powiedzieć. – W oczach Trinchila zdawała się gorzeć dawna animozja. – O tym, że nie masz zamiaru lecieć.

– Nie mam zamiaru lecieć? – Bartan poczuł, jak dłoń Sondeweere ześlizguje się mu po plecach i zatrzymuje na pośladkach. – O nie, nie! Chciałem powiedzieć, że nie grozi mi niebezpieczeństwo, gdyż nie mam zamiaru lecieć zbyt szybko ani bawić się w jakąś nieroztropną akrobatykę. Lotnictwo jest moim zawodem, wyłącznie zawodem.

– Miło to słyszeć – odrzekł Trinchil. – Jestem jak najdalej od pouczania innych, jak mają pracować w swoim zawodzie, ale czy pozwolisz, że dam ci pewną przydatną radę?

– Proszę – odpowiedział Bartan, zastanawiając się, dlaczego uśmiech starego nie wydaje się szczególnie uspokajający.

Trinchil zacisnął potężne dłonie na ramionach Bartana i potrząsnął nim z udaną wesołością.

– Jeśli przypadkowo nie znalazłbyś dobrej ziemi za tymi

wzgórzami, leć prosto przed siebie i postaraj się zwiększyć dzielącą nas odległość, na ile tylko będzie cię stać.

Statek posłusznie reagował na ruchy sterów i gdyby nie strach przed nieprzewidzianym i katastrofalnym w skutkach zapadnięciem się powłoki, uczucie wznoszenia się w powietrze podniosłoby Bartana w równym stopniu na duchu.

Silnik, który zaprojektował i skonstruował ojciec Bartana, choć farmerom wydał się bardzo skomplikowany, miał jedynie trzy podstawowe urządzenia sterujące. Manet-ka tłoczyła pikon i halvell do komory spalania, a uzyskany w ten sposób gorący gaz miglignowy uciekał skierowaną ku rufie rurą wylotową wprawiając statek w ruch. Rurę można było obrócić poziomo za pomocą rumpla, by uzyskać kierunkową kontrolę lotu; jeśli zaistniała taka potrzeba, trzecia dźwignia kierowała gaz w górę do wnętrza balonu, by wytworzyć i utrzymać siłę nośną. Jako że nawet ochłodzony miglign był lżejszy od powietrza, cały układ był wydajny i zajmował mało miejsca.

Bartan poprowadził łódź na wysokość piętnastu metrów i pożeglował wokoło grupy wozów, po części pragnąc sprawić przyjemność Sondeweere, ale przede wszystkim by sprawdzić, czy dodatkowe napięcia podczas skręcania nie przeciążą klinów powłoki. Stwierdziwszy z ulgą, że statek jest zdalny do lotu, przynajmniej na razie, królewskim gestem pomachał przyglądającym się mu farmerom i wziął kurs na zachód. Miało południe, a słońce stało w zenicie. Zatem żeglował, w ochronnym cieniu kuli balonu mając możliwość oglądania otoczenia z niezwykłą ostrością. Moczary ciągnęły się z przodu niczym zabarwiony pastelami śnieg, a na ich tle odległe wzgórza zdawały się niemal czarne. Niebo było czyste, nie licząc

sporadycznych rozbłysków meteorów. Jego blask spowijał wszystko prócz najjaśniejszych gwiazd, i nawet Drzewo, najważniejsza konstelacja południowej części nieba, było prawie niewidoczne po lewej stronie.

Po kilku minutach nie zakłóconego lotu Bartan przestał bać się o swoje bezpieczeństwo. Przerywany odgłos silnika niknął szybko w przenikliwej ciszy. Bartan nie miał nic innego do roboty, jak tylko trzymać kurs, pompując kryształy do silnika. Lot sprawiałby mu nawet przyjemność, gdyby nie pożegnane słowa Jopa Trinchila. Po raz kolejny pożałował, że nie udało się mu przekonać Sondeweere, by opuściła grupę osadników.

W czasie Migracji miał zaledwie dwa lata, toteż tamte wydarzenia zatarły mu się w pamięci, ale ojciec dużo mu, o nich opowiadał, wyrobił więc sobie dobre pojęcie o ich historycznym tle. Kiedy pterty zmusiły króla Prada do wybudowania floty ewakuacyjnej zdolnej przenieść ludzi z Landu na bliźniaczą planetę Overland, Kościół wystąpił z silnym protestem. Podstawowy dogmat religii głosił, że po śmierci dusza odlatuje na Overland, gdzie w drodze reinkarnacji przeżywa kolejne życie i wraca na Land w ten sam sposób, w ramach wiecznego i niezmiennego procesu wymiany. Propozycja, by tysiąc statków fizycznie podjęło przeprawę na Overland, była afrontem wobec ówczesnego Lorda Prałata i wywołane przez niego rozruchy zagroziły całemu przedsięwzięciu. Migracja odbyła się jednak pomimo niesprzyjających okoliczności.

Gdy okazało się, że na Overlandzie nie ma ludzi i żadnego odpowiednika landyjskiej cywilizacji, wiara niemal zanikła wśród kolonizatorów. To, że nie wyginęła do końca, było, według ojca Bartana, triumfem upartego irracjonalizmu. No do-

brze, nie mieliśmy racji – argumentowali ostatni pobożni ludzie – ale tylko dlatego, że nasze umysły są zbyt maluczkie, by w pełni docenić wspaniałość zamysłów Wielkiej Niezmienności. Wiedzieliśmy, że po śmierci dusza podejmuje wędrówkę do innego świata, a nasze wyobrażenie było tak niedoskonałe, że uważaliśmy, iż tym światem jest Overland. Teraz rozumiemy już, że faktycznym celem wędrówki odchodzącej duszy jest Farland. Niebieska Droga jest o wiele dłuższa, niż przypuszczaliśmy, bracia.

Farland leżał mniej więcej dwa razy dalej od słońca niż para Land-Overland. Minie wiele setek lat, nim overlandzkie statki podejmą taką wyprawę, wywnioskował Ylodern Drumme, zaszczepiając wrodzony cynizm w swoim synu. Święci kapłani dokonali zatem mądrego wyboru, zabezpieczyli swoje stołki jeszcze na długie lata...

Jak się okazało, ojciec Bartana nie miał racji. Kładąc podwaliny pod raczkujące państwo Overlandu król Chakkell, odwieczny wróg Kościoła, dopatrywał, by nie ostał się nawet ślad oficjalnej religii. Potem jednak zajął się innymi sprawami, nie zauważając, że swoim edyktem stworzył próżnię, którą zapełnili kaznodzieje nowej generacji, a których Jop Trinchil był właśnie przedstawicielem.

Trinchil został wyznawcą religii w późnym okresie swego życia. W wieku czterdziestu lat ochoczo wziął udział w międzyplanetarnej migracji, nie odczuwając ani odrobiny wyrzutów sumienia depreczając świętą Niebieską Drogę. Większa część życia na Overlandzie upłynęła mu na ciężkiej pracy w małym gospodarstwie w okolicy Ro-Amass. Dobiegającego sześćdziesiątki Trinchila znudziła uprawa ziemi i postanowił zostać świeckim kaznodzieją. Niepiśmienny, nieokrzesany,

skłonny do przemocy, dysponował jednak pewną prymitywną siłą osobowości i po niedługim czasie omotał niedużą kongregację, której datki znacznie uzupełniały wynagrodzenie za znój fizycznej pracy na roli.

W końcu Trinchil wpadł na pomysł poprowadzenia swojej trzódki do takiej części Overlandu, gdzie mogliby praktykować własną religię nie niepokojeni przez wścibskich, gotowych donieść o zakazanych praktykach Trinchila prefektowi w Ro-Amass.

Właśnie podczas przygotowań do ekspedycji osadniczej przecięły się drogi Trinchila i Bartana Drumme'a. Bartan miał godziwy, choć nieregularny dochód ze sprzedaży taniej biżuterii własnego pomysłu i wyrobu. Zazwyczaj miał dobre handlowe rozeznanie, ale na krótki czas zadurzył się w urodzie nowo odkrytych metali miękkich – złota i srebra, i w efekcie skończył z garstką świecidełek, których, jak się okazało, nie był w stanie sprzedać na rynku, zdominowanym przez tradycyjne materiały takie jak szkło, ceramika, steatyt i drewno brakka. Nie zniechęcając się zaczął objeżdżać wiejskie okolice Ro-Amass w poszukiwaniu mniej wymagającej klienteli. I poznał Sondeweere Trinchil.

Jej żółte włosy oślepiły go swoim blaskiem mocniej niż złoto i z miejsca zakochał się w niej na zabój, marząc o tym, by zabrać ją do miasta jako swoją małżonkę. Sondeweere odpowiedziała przychylnie na zaloty Bartana, wyraźnie zadowolona z perspektywy poślubienia człowieka, który wyglądem i manierami różnił się bardzo od przeciętnego młodego rolnika. Plany Bartana napotkały jednak dwie poważne przeszkody. Żądza nowości sąsiadowała u Sondeweere z upartą niechęcią do zmiany trybu życia. Niewzruszenie obstawała, że będzie

mieszkać tylko na wsi. Bartan więc odkrył w sobie drzemiące dotąd w ukryciu zamiłowanie do rolnictwa i pragnienie pracy na własnej ziemi. Jednak drugi problem zdecydowanie oparł się rychłemu rozwiązaniu.

Od pierwszej chwili Jop Trinchil i Bartan zapawali do siebie niechęcią. U jej korzeni nie leżał ani konflikt interesów, ani nawet niebaczenie wypowiedziane słowo. Głęboko zakorzeniona, niewzruszona wzajemna wrogość narodziła się zaraz od pierwszego spotkania. Trinchil natychmiast doszedł do wniosku, że Bartan będzie haniebnym nieudacznikiem jako mąż i ojciec; a Bartan wiedział i nikt mu nie musiał tego mówić, że zainteresowanie Trinchila religią było tylko sposobem na wypchanie sobie kieszeni.

Bartan musiał przyznać, że Trinchil szczerze lubił swoją bratanicę i choć chwycił się każdej okazji, by ośmieszać wady zalotnika, nie zabronił małżeństwa. Tak przedstawiała się sytuacja do tej chwili, Bartan przeczuwał, że teraz waży się jego przyszłość, a stanu ducha nie poprawiało mu wspomnienie zachowania się Sondeweere. Postąpiła tak, jak gdyby jej miłość poczęła się chwiać, jakby mogła odwrócić się od niego, jeśli nie uda mu się dotrzymać ostatniej obietnicy.

Myśl ta kazała Bartanowi skupić wzrok na nieregularnym punkciku w odległym końcu podmokłej kotliny. Teraz, gdy znajdował się wyżej i bliżej, miał prawie pewność, że rzeczywiście oznacza on przedłużenie moczarów w okresowo wysychającym korycie rzeki. Być może więc rzeczywiście przypominał sobie widok tego miejsca z powietrza. Żałując, że nie może bardziej polegać na swojej pamięci, wpuścił kilka podmuchów miglignu do kołyszącej się nad nim kuli balonu i statek powoli zaczął nabierać wysokości potrzebnej, by prze-

lecieć ponad wzgórzami. Iglice skał sterczące z bladej równiny skurczyły się do rozmiarów czarnych świec.

Łódź przemknęła nad nieregularną granicą mokradeł i Bartan upewnił się, że ich wąska końcówka wybiega na zachód na odległość około trzech mil. Z rosnącą pewnością i podnieceniem podążył wzdłuż biegu wyschniętej drogi wodnej. Gdy pod łodzią wyrosły trawiaste kontury, Bartan dostrzegł stado podobnych do jeleni zwierząt, które wystraszone odgłosem silnika odrzutowego, puściły się krętym biegiem, a białe zady migąły znacząc susy. Przestraszone ptaki wyrываły się spomiędzy drzew niczym tańczące w powietrzu zawirowania płatków śniegu.

Bartan nie spuszczał oczu ze stoków wznoszących się w oddali. Zdawały się tworzyć barierę, która rosła coraz wyżej, przesłaniając widok, aż w końcu Bartan przebrnął ponad ich granią i z zapierającą dech w piersi szybkością horyzont cofnął się, uciekając w dal, a leżące wokół tereny zalsniły żywymi barwami sawann, łagodnych pagórków, jezior i lasów.

Bartan wydał z siebie okrzyk radości widząc wszystko to wyłożone przed nim jak skarbiec bogacza, jak spełniający się sen rolnika! Gnany pierwszym impulsem chciał zawrócić powietrzną łódź i popędzić do Trinchila i reszty z dobrą nowiną, ale górskie zbocze uchylało się przed nim łagodnie, zapraszając do kontynuowania lotu. Doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi poświęcić kilku minut na bliższe i dokładniejsze przyjrzenie się najbliższymi połaciom ziemi, a może i odnalezienie strumienia, który posłużyłby za dobre miejsce postoju jak na początek. W ten sposób sprawi na farmerach wrażenie człowieka kompetentnego i praktycznego.

Pozwalając, by łódź wytracała naturalnie wysokość po-

przez oziębienie miglingu, Bartan leciał dalej na zachód, czasem śmiejąc się na głos z czystej radości, czasem wzdychając z ulgą – jeszcze niedawno był o krok od poniżenia i wydalenia z ekspedycji... Czystość powietrza spłaszczała pespektywę, piętrząc nierówności terenu jeden na drugim jak na skrupulatnie wykonanym obrazie, umożliwiając mu dostrzeżenie szczegółów ukształtowania skał i roślinności z tak wielkich odległości, że w normalnych warunkach uznałby to za niemożliwe. Właśnie dlatego, choć znajdował się dobre parę mil od białej cętki na zboczu pagórka, wiedział, co oznacza, w chwili gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Przed oczami miał zabudowania gospodarcze!

Ukłucie rozczarowania zdało się poszarzyć niebo i oziębic powietrze, wyrywając mu z ust bezwiedny jęk protestu. Bartan wiedział, że pierwszą ważną decyzją króla Chakkella po tym, jak wstąpił na tron, było ustanowienie państwa Kolcorronu na całej planecie. W tym celu użyto ogromnej flotylii statków powietrznych, która rozwiozła świeżo przybyłych migrantów po całym globie. Podobne zarodki państwowości posłużyły za punkty węzłowe do dalszej energicznej ekspansji, ale, jak mniemał Bartan, ta część kontynentu pozostawała dotąd nie tknięta. Żeby utrzymać tempo rozwoju, rolnicy przeprowadzający się na nowe obszary mieli prawo zajmować znacznie większe działki, niż te przydzielane w bardziej zaludnionych obszarach. Zasada ta stała się motywacją dla Jopa Trinchila, a teraz wyglądało na to, że pokrzyżuje mu ona zamiary. Plany Bartana spełzną również na niczym, jeśli nie okaże się, że zasiedlanie tego terenu dopiero co się zaczęło. W takim przypadku znalazłyby się liczne połacie ziemi dla wielu nowych rodzin osadniczych. Bartan musiał zasięgnąć dokład-



nych informacji przed powrotem do ekspedycji.

Z cieniem nadziei w sercu Bartan zmienił kurs lekko na pomoc, kierując się prosto na biały prostokąt chałupy. Wkrótce znalazł się niespełna pół mili od zagrody i mógł wychwycić wzrokiem stojące wokół domu płowe komórki. Zmniejszając siłę nośną przygotowywał się do lądowania, gdy zauważył, że w wyglądzie tego miejsca jest coś dziwnego. Nigdzie nie widać było ani ludzi, ani zwierząt czy pojazdów, a ziemia wślizgująca się pod dziób łodzi nie sprawiała wrażenia uprawianej. Słabe różnice w kolorycie roślin dowodziły, że siano je niegdyś w dobrze znanym układzie sześciu pasm, lecz krawędzie poszczególnych pasów zacierały się już, a inwazja dzikich traw osnuła pole równą zieloną mgiełką.

Fakt, że farma świeci pustkami, wywołał u Bartana głębokie zdziwienie. Być może właściciele zabiła epidemia albo będąc nowicjuszami, zniechęcili się i wrócili do miasta, ale na pewno znalazłoby się wielu chętnych do przejęcia gospodarstwa, w którym wszystkie poważne prace wykonali już poprzedni właściciele.

Zdjęty ciekawością Bartan zamknął dopływ paliwa do silnika i sprowadził łódź na płaską ziemię otaczającą dom i zabudowania. Lekkość bryzy umożliwiła mu wylądowanie dokładnie opodal zagonu winorośli cierpnika. Gdy tylko wysiadł z łodzi, jej konstrukcja stała się lżejsza od powietrza i zaczęła wzlatywać w górę, ale Bartan trzymał ją za płożę, póki nie zarzucił cumy na najbliższą gałąź winorośli. Wówczas łódź łagodnie uniosła się na długość liny i zatrzymała się kołysząc, trącana z lekka słabymi prądami powietrza.

Bartan skierował się w stronę zagrody, coraz bardziej zaintrygowany tajemniczym miejscem, dostrzegając po drodze

pokryty kurzem przewrócony pług. Tu i ówdzie leżały inne narzędzia. Zrobione były z drewna brakka, ale niektóre miały nity z żelaza, metalu, który stawał się szeroko dostępny. Sądząc po grubości rdzy, narzędzia spoczywały nie tknięte przynajmniej rok. Bartan zmarszczył brwi, oceniając praktyczną wartość porzuconego wyposażenia. Gospodarstwo wyglądało tak, jakby jego właściciele pewnego dnia najzwyczajniej w świecie wszystko porzucili lub jakimś niewiadomym sposobem zostali porwani za pomocą czarów.

Dziwna była ta myśl, która przysła Bartanowi do głowy, gdy stał skąpany w słońcu poddnie, zwłaszcza że sam żywił jedynie pogardę dla ludzi, którzy dawali wiarę opowieściom o mocach nadprzyrodzonych. Uświadomił sobie jednak z niepokojem, że jego rasa zamieszkuje Overland od zaledwie dwudziestu czterech lat i że wiele spraw na tej planecie nadal osnutych jest tajemnicą. Jeszcze niedawno myśl o tym, że jest przybyszem na prawie nie zbadanej planecie przyprawiała go o dreszcz emocji, lecz teraz nagle poczuł, że jego zapał stygnie.

„Nie zachowuj się jak dziecko”, skarcił się w duchu. Czego się tutaj bać?

Obrócił się w stronę domu. Miał on solidną konstrukcję z piłowanych bali uszczelnionych pakułami, a wybielone ściany dowodziły, że stanowił niegdyś przedmiot czyjejs chluby. Bartan ponownie zmarszczył brwi, gdy wzrok jego padł na pożółkłe firanki, które wisiały w oknach, jaśniejąc w cieniu okapu. Zdjęcie ich było kwestią krótkiej chwili. Jak sądził, postąpiłby tak każdy domator, bez względu na pośpiech, z jakim opuszczał to miejsce.

Czy możliwe, że właściciele wcale nie wyjechali? Czy cała rodzina jest nadal w środku? Zabita jakąś chorobą? Albo...

zamordowana?

– Sąsiedzi na pewno by tu zajrzeli – powiedział na głos, by zatamować potok pytań w głowie. – Sąsiedzi na pewno by tu zajrzeli, nawet do tak odosobnionego miejsca. Zabraliby narzędzia. Farmer nigdy nie pozwoli, by coś się zmarnowało. – Dodawszy sobie otuchy tym rozumowaniem, podszedł szybko do parterowego domu, nacisnął klamkę i pchnął drzwi.

Oczy przywykły do silnego słońca, więc minęło kilka sekund, nim przystosowały się do cienia pod okapem i względnego półmroku wewnątrz domu – minęło kilka sekund, zanim wyraźnie ujrzał bezimienną bestię czekającą, aż wejdzie.

Bartan jęknął, odskoczył w tył i upadł, a głowę wypełnił mu ten okropny obraz... ciemnej, wolno falującej piramidy ciała, wyprostowanej i wysokiej jak człowiek... obwisłej, rozpływającej się twarzy z ranami w miejscu oczu... pojedynczej, wąskiej macki łagodnie wysuwającej się ślepo do przodu...

Bartan gruchnął tyłkiem i dłońmi w ziemię, okręcił się w kurzu i już gnany strachem podrywał się do ucieczki jak najdalej od tego domu, gdy obraz w jego głowie zadrżał i uległ zmianie. Zamiast koszmarnego potwora ujrzał przeróżne stare łachy wiszące na kołku w ścianie. Był tam ciemny płaszcz, porwana kurtka, kapelusz i poplamiony fartuch z jednym paskiem poruszonym raptownym otwarciem drzwi.

Powoli podniósł się na nogi i otrząpał kurz, przez cały czas wpatrując się w ciemny prostokąt drzwi. Teraz, gdy stało się jasne, co spowodowało to chwilowe złudzenie, Bartan doznał palącego uczucia wstydu na myśl o swojej reakcji, ale pomimo to opanowała go dziwna niechęć, by wchodzić do domu.

„Co mnie podkusiło, żeby tam wchodzić?”, pomyślał. „To jest czyjaś własność. Nie mam czego tu szukać...”

Obrócił się i właśnie robił pierwszy krok w stronę łodzi, gdy zatrzymała go nowa myśl. Uciekał z tego miejsca tylko dlatego, że ogarnął go niewytłumaczalny strach. Jeśli tak uczyni, to okaże się mniej męski, niż Trinchil przypuszczał. Mrużąc posępnie pod nosem, Bartan zawrócił na pięcie i pomaszerował w stronę domu.

Pobieżna inspekcja zatęchłych pokoi potwierdziła, że jego najgorsze obawy były bezpodstawne. W domu nie znajdowały się żadne ludzkie szczątki. Wszystkie większe meble zabrano, ale Bartan natknął się na dodatkowe dowody na to, że właściciele wyjechali w wielkim pośpiechu. W dwóch pokojach pozostawiono maty, a w niszy w kamiennym palenisku znalazł słoik soli. Ludzie żyjący na roli nie zwykli porzucać podobnych rzeczy.

Skonstatowawszy z ulgą, że nie ma powodu, by dłużej przebywać w przykrej atmosferze domu, wyszedł na zewnątrz, ocierając się o drgające lekko ubrania wiszące obok drzwi, i skierował się prosto do łodzi. Część siły nośnej uszła wraz z ochłodzeniem się gazu i łódź spoczywała teraz łagodnie na płozach. Bartan odwiązał cumę, usadził się w gondoli i poprowadził ją w górę. Niewiele czasu minęło od chwili, gdy wybiło południe i po krótkim namyśle Bartan postanowił kontynuować lot na zachód, posuwając się wzdłuż traktu ledwie widocznego w bujnym zielonym krajobrazie. Cały obszar pokrywały gęsto drumliny – niskie grzbiety wzgórz, wygładzone przez pradawne lodowce – ułożone tak regularnie, że przywodziły mu na myśl gigantyczne jajka w koszyku. „To dobra nazwa dla tych żyznych terenów, pomyślał. Koszyk Jaj!”

Po krótkiej chwili dostrzegł kolejną farmę położoną dogodnie na zboczu jednego z okrągłych wzgórz. Przechylił statek w zakręcie i poleciał w jej stronę. Tym razem, zachowując czujność, szybciej zauważył, że ziemia wokół leży odłogiem. Znalazłszy się nad farmą, zatoczył nad nią koło na niskiej wysokości, by upewnić się w swoich spostrzeżeniach. Nigdzie nie zauważył żadnych narzędzi ani sprzętów, a dom wydawał się kompletnie ogołocoony – znak, że ewakuacja przebiegła bez pośpiechu, w sposób bardziej uporządkowany. Ale dlaczego w ogóle miała miejsce?

Bartan, mocno zaintrygowany tym, co zobaczył, ruszył dalej, lecąc zakosami, co ułatwiało przepatrywanie okolicy, a opóźniało posuwanie się na zachód. W przeciągu następnej godziny odkrył kolejne osiem farm, każdą na idealnej ziemi ornej, wszystkie zupełnie opuszczone. Gospodarstwa miały zbyt duże powierzchnie, by dała na nich radę pracować jedna rodzina. Zajmowano je najwyraźniej z zamiarem położenia podwalin pod fortuny potomków. Wraz ze wzrostem liczby ludności Overlandu można by sprzedawać lub dzierżawić ziemię przyszłym pokoleniom. Z takiej zdobyczy nie rezygnuje się tak łatwo, a jednak coś skłoniło farmerów do spakowania rzeczy i ruszenia dalej w świat.

W końcu Bartan natrafił wzrokiem na odbłask słońca w szerokiej rzece i postanowił, że wyznaczy ona naturalny koniec dzisiejszemu lotowi. Na północnym końcu jednego z zakosów wypatrzył mglisty słup dymu wyrastający z miejsca, które zdawało się leżeć blisko rzeki. Była to pierwsza oznaka ludzkiego siedliska, jaką widział od ponad dziesięciu dni. Zaciekawiony, tym bardziej że pojawiła się szansa zasięgnięcia języka o pustych ziemiach, przez które przeleciał, wziął kurs

na strużkę dymu, lecąc tak szybko jak tylko śmiał z uwagi na niepewny stan powłoki balonu. Po niedługim czasie doszedł do wniosku, że miejsce, do którego zdążył, nie jest kolejną farmą, lecz małym miasteczkiem.

Leżało ono w rozwidleniu w kształcie litery igrek, tam gdzie do dużej rzeki wpadała mniejsza. Kiedy łódź podleciała bliżej, Bartan doliczył się około czterdziestu budynków, z których kilka miało rozmiary magazynów. Białe kwadraty i trójkąty żagli oznaczały, że rzeka jest żeglowna aż do południowego oceanu. Miasteczko miało wyraźnie charakter ośrodka handlowego, który mógł z czasem rozrosnąć się w ważną i kwitnącą miejscowość, a jego obecność tak blisko opuszczonych farm tym bardziej czyniła całą sprawę nadzwyczaj tajemniczą.

Na długo zanim Bartan dotarł do obrzeży miasta, ryk silnika zwrócił na siebie uwagę mieszkańców. Dwaj mężczyźni nadjechali galopem na niebieskorożcach, machając do niego rękami, po czym dotrzymywali kroku lecącej łodzi, podczas gdy Baytan sprowadzał ją w dół, w kierunku otwartej piędzi ziemi obok mostu przewieszzonego przez mniejszą z dwóch rzek. Mężczyźni i kobiety wysypywali się z pobliskich budynków zbierając się w koło. Kilku młodzieńców, nie potrzebując zachęty, ochoczo pochwyciło płozy i przytrzymało statek, dopóki Bartan nie uwiązał go do odpowiedniego młodego drzewka.

Czerwony na twarzy mężczyzna o przedwcześnie posiwiałych włosach zbliżył się do Bartana. Pomimo że był niższego wzrostu niż przeciętny mieszkaniec, sprawiał wrażenie pewnego siebie, i co dziwne w takim miejscu, nosił rapier.

– Jestem Majin Karrodall, kasztelan miasta Nowa Min-

nett – odezwał się przyjacielskim tonem. – Nieczęsto widzimy powietrzne statki w tych okolicach.

– Jestem przewodnikiem grupy osadników – odpowiedział Bartan na niewypowiedziane pytanie. – Nazywam się Bartan Drumme i byłbym wdzięczny za trochę wody do picia. Zalecałem dziś dalej, niż zamierzałem, a praca wzmagą pragnienie.

– Możesz swobodnie wypić tyle wody, ile chcesz, ale jeśli wolisz, możesz dostać dobrego ciemnego piwa. Co ty na to?

– Poproszę dobrego ciemnego piwa. – Bartan, który nie próbował napoju alkoholowego od czasu przyłączenia się do ekspedycji, wyszczerzył zęby w uśmiechu, żeby okazać, jak bardzo docenia tę propozycję. Wśród gapiów rozległ się pomruk aprobaty i mężczyźni podążyli gromadnie ku otwartemu z przodu, podobnemu do stodoły budynkowi, który zdawał się spełniać podwójną rolę – miejsca zebrań i tawerny. Bartana usadzono przy długim stole w towarzystwie Korrodalla i około dziesięciu innych mężczyzn, z których większość przedstawiono mu jako kupców i załogantów statków rzecznych. Z miłego przekomarzania się Bartan wywnioskował, że podobne biesiady nie należą tutaj do rzadkości, oraz że jego przybycie było wygodnym pretekstem. Postawiono przed nim okazały kufel o dwóch uchach i gdy z niego upił, stwierdził, że piwo jest schłodzone, mocne i jak na jego gust wcale nie za słodkie. Podniesiony na duchu powitaniem i nieoczekiwaną gościnnością, począł gasić pragnienie i odpowiadać na pytania o siebie, łódź powietrzną i cele ekspedycji Trinchila.

– Obawiam się, że nie to chcielibyście usłyszeć, ale będziecie zmuszeni skrócić na północ. Ziemia na zachód stąd uszczuplają góry, a na południu ocean, a wszystkie lepsze

skrawki już zajęto i zarejestrowano. Szczerze mówiąc, wasza sytuacja nie będzie też lepsza, gdy skręcicie na północ w stronę Nowej Kaili, ale doszły mnie słuchy o jednej czy dwóch małych, zacisznych, jak dotąd nie tkniętych dolinach po drugiej stronie pasma Bariery.

– Widziałem te dolinki – wtrącił pulchny mężczyzna nazwiskiem Otler. – Jedynym sposobem, by stanąć tam prosto, jest zapuszczenie sobie jednej nogi dłuższej od drugiej.

Uwaga ta wywołała wybuch śmiechu i Bartan poczekał, aż wszyscy ucichną.

– Przelatywałem właśnie nad wyśmienitymi ziemiemi uprawnymi na wschód od rzeki. Rozumiem, oczywiście, że jest już za późno, by je zająć, lecz dlaczego tamtejsze farmy świecą pustkami?

– Nigdy nie będzie za późno, żeby zająć to przeklęte miejsce – mruknął Otler, wbijając wzrok w kufel.

Bartan natychmiast nastawił uszu.

– Co mó...

– Nie zwracaj na niego uwagi – rzekł Karrodall pośpiesznie. – Piwo przemawia przez niego.

Otler siadł prosto, z nadąsanym wyrazem twarzy.

– Nie jestem pijany! Twierdzisz, że jestem pijany? Wcale nie!

– Jest pijany – upewnił Karrodall Bartana.

– Mimo wszystko chciałbym wiedzieć, co miał na myśli.

– Bartan zdawał sobie sprawę, że ciągnąc ten temat irytuje kasztelana, ale dziwna uwaga Otlera kołatała się mu w głowie.

– Dla mnie jest to rzecz dużej wagi.

– Powiedz mu to, co chce wiedzieć, Majin – rzucił ktoś inny. – Sam się przekona.



Karrodall westchnął, rzucił Otlerowi złowieszcze spojrzenie i gdy zaczął mówić, jego głos stracił uprzednią śpiewność.

– Ziemie, o których wspomniałeś, nazywamy Złą Doliną. Prawdą jest, że wszystkie próby zasiedlenia tego terenu spełzły na niczym, jednak informacja ta na nic się tobie nie przyda. Twój lud nigdy się tam nie osiedla.

– Dlaczego nie?

– A jak myślisz, dlaczego nazywamy je Złą Doliną? To siedziba zła, przyjacielu. Wszyscy, którzy tam idą, zostają opętani.

– Przez duchy? Widma? – Bartan nie starał się ukryć niedowierzania i radości w głosie. – Mówisz, że na drodze do zajęcia tej ziemi stoją tylko chochliki?

Twarz Karrodalla przybrała poważny wyraz, jego oczy patrzyły bacznie na Bartana.

– Mówię, że nie radzimy się wam tam osiedlać.

– Dziękuję za radę. – Bartan dopił piwo, odstawił ozdobny kufel i wstał. – Dziękuję za gościnność, panowie. Wkrótce się wam odpłacę.

Odszedł od stołu i wyszedł na podziemne słońce, pragnąc jak najszybciej wzbić się w powietrze i powrócić do ekspedycji z dobrą nowiną.

### ROZDZIAŁ 3

Podniebny statek, niesiony leciutką bryzą, kierował L<sup>^</sup> się na wschód, a teren, ponad którym szybował, urozmaicały wzniesienia i porastały krzewy, co sprawiało, że jeźdźcy mieli niejakie trudności, by doścignąć tę dziwną „zwierzynę”.

Pułkownik Mandle Gartasian, który kłusował na czele kolumny, trzymał wzrok nieruchomo utkwiony w statku, powierając swojemu niebieskorożcowi wyszukiwanie drogi wśród wertepów. Widok okazałego balonu z uczeponą poniżej gondolą o rozmiarach pomieszczenia mieszkalnego wywołał w jego pamięci zblakłe wspomnienia, które zadawały mu ból, jakiego nie doświadczył od czasu pierwszych lat pobytu na Overlandzie, a jednak nie potrafił odwrócić wzroku.

Był wysokim mężczyzną o mocnej budowie ciała typowej dla kolcorroniańskiej kasty wojskowych i prawie nic nie wskazywało, że dobiegł już pięćdziesiątki. Co prawda cień siwizny przyprószył czarne, krótko ostrzyżone włosy, a kwadratową twarz porały zmarszczki, lecz prócz tego w jego wyglądzie nie zaszły żadne zmiany od czasów pospiesznej ewakuacji z Ro-Atarbi. Był wówczas młodym porucznikiem, idealistą, który bez wahania zaokrętował się na jeden z pierwszych powietrznych statków wojskowych, by wyruszyć z tamtego przeklętego miasta. Od owego dnia tysiące razy przeklinał swoje naiwne zaufanie do starszych oficerów, które kazało mu wystartować przed żoną i malutkim synkiem.

Ronodę i chłopca umieszczono na pokładzie statku cywilnego i Gartasian rozstał się z nimi wierząc, że armia w pełni kontroluje sytuację, oraz że załadunek odbędzie się według planu, a ich rozłąka potrwa tyle co przelot. Dopiero gdy w okularach lornetki objawił mu się wzbierający daleko w dole chaos, poczuł pierwsze ukąszenia strachu, lecz wtedy było już o wiele za późno...

– Niech pan spojrzy, panie pułkowniku! – Doszły go słowa porucznika Keero, który podążył u jego boku. – Chyba przygotowują się do lądowania.

Gartasian skinął głową.

– Macie rację. Pamiętajcie, by nie pozwolić ludziom tłoczyć się wokół statku, gdy wyląduje. Nikomu nie wolno się zbliżać na odległość mniejszą niż dwieście kroków, nawet gdyby okazało się, że statek ma trudności z lądowaniem. Nie znamy intencji załogi. No i na pokładzie może znajdować się groźne uzbrojenie.

– Rozumiem, panie pułkowniku. Trudno uwierzyć w to, co się dzieje. Myśli pan, że naprawdę przylecieli tu z Landu? – Czyniąc nieistotne uwagi Keero naruszał dyscyplinę polową, lecz można to było złożyć na karb podniecenia, które zaróżowiło jego twarz. Gartasian, zazwyczaj surowy w takich przypadkach, uznał, że jest to potknięcie wybaczone ze względu na wyjątkowe okoliczności.

– Bez wątplenia przybyli ze Starego Świata – odparł. – A pierwsze pytanie, jakie sobie musimy zadać brzmi... dlaczego? Po co, skoro upłynęło już tyle lat? Oraz kto? Czy mamy do czynienia z niewielką grupą, która zdołała przetrwać ataki ptert, a na koniec udało jej się zbiec? Czy też...? – Gartasian nie dokończył pytania. Przypuszczenie, że pterty oszczędziły część

ludności wystarczająco liczną, by odbudować zorganizowane społeczeństwo, brzmiało tak niesamowicie, że trudno było o nim mówić. Poza tym z pewnością nie należało wygłaszać podobnych fantastycznych domysłów w obecności młodszego oficera, szczególnie jeśli skrywały się w nich ziarenka znacznie śmielszej koncepcji. Czy mógł żywić choćby cień nadziei, że Ronoda i Hallie nadal żyją? Czyżby przez te wszystkie lata tracił czas nurzając się w poczuciu winy i wyrzutach sumienia? Czy gdyby posiadał dar przewidywania oraz wystarczającą dozę przedsiębiorczości i odwagi, udałoby mu się zorganizować powrotny lot na Land? Wir wątpliwości i opary rojeń, w których spełniały się jego marzenia, napewno nie były tym, czego potrzebował Gartasian, by sprawnie wypełniać rolę dowódcy operacji wojskowej. W myślach dał sobie porządnego kuksańca i zmusił umysł do skupienia się na namacalnych realiach sytuacji. Po chwili dobiegł go głuchy, niosący się echem ryk palnika, który wydzielał gorący gaz do balonu podniebnego statku. Oznaczało to, że załoga wyszukuje odpowiednie miejsce do lądowania. Gondola wisiała teraz niezbyt wysoko nad ziemią i Gartasian dostrzegł na pokładzie sylwetki kilku mężczyzn, którzy najwidoczniej uwijali się przy armatce zamocowanej na relingu. Gdy armatka strzeliła w dół, zaczął się zastanawiać, czy dwieście kroków to wystarczający margines bezpieczeństwa. Cztery kotwice w kształcie harpunów wczepiły się w ziemię wlokąc za sobą liny. Załoga momentalnie zaczęła wybierać cumy doprowadzając gondolę do kontrolowanego przyziemienia. Balon, wciąż napełniony gazem, zakołysał się niezgrabnie w górze. – Jedno jest przynajmniej pewne – zwrócił się Gartasian do porucznika. – Nasi goście ani przez chwilę nie myśleli składać nam dłuższej wizyty, w prze-

ciwnym razie wypuściliby gaz z balonu.

W odpowiedzi Keero tylko zsalutował pospiesznie i oddalił się z sierżantem u boku, by rozstawić żołnierzy wokół statku. Z sakwy przy siodle Gartasian wydobył lornetkę i skierował ją na gondolę.

Jego oczom ukazały się głowy czterech przybyszów krzątających się przy cumach, lecz nie to przykuło jego uwagę w powiększonym obrazie. Kształt gondoli był właściwie taki sam, jaki miały statki za czasów Migracji, z tym, że przy burtach brakowało działek przeciw ptertom. Choć broń ta stanowiła nie lada obciążenie, powszechnie uważano, iż jest niezbędnym wyposażeniem statku, który ma przedrzeć się przez dolne warstwy atmosfery Landu, toteż jej brak zaintrygował Gartasiana. Czyżby był to znak, że pterty, których jad o mało nie unicestwił Kolcorronu – zaprzestały rzezi ludzkości? Serce Gartasiana zabiło żywiej, gdy ponownie o tym pomyślał. Cywilizacja obejmująca obydwa światy... powrót na Land tych, których rozczarował Overland... cudowne spotkanie z najbliższymi, których od dawna uważano za zmarłych...

– Jaki ze mnie głupiec! – skarcił się szeptem Gartasian opuszczając lornetkę. – Co za bzdury przychodzą mi do głowy?! Czy jestem już tak wspaniałym dowódcą, że mogę pozwolić sobie na to, by moją uwagę rozpraszały nierealne mrzonki?

Gotów, by podjechać bliżej, starał się pamiętać o dwóch istotnych sprawach. Na drodze do awansu stanęła mu ambiwalencja wyrastająca z poczucia winy; a teraz los zsyła mu wyjątkową sposobność zrekompensowania tego, rzucając go w pobliże miejsca lądowania statku. Z Prądu przekazano heliopisem wiadomość, że król Chakkell jest już w drodze oraz że

do czasu jego przybycia pułkownik Gartasian ma prawo podejmować działania i kroki, jakie uzna za stosowne. Jeśli się sprawdzi wykonując to zadanie, może liczyć na korzyści w przyszłości.

– Zostańcie tutaj – rozkazał porucznikowi Keero. Ruszył stępą, rozmyślnie utrzymując wolne tempo, by okazać gościom, iż nie żywi wobec nich wrogich zamiarów. Gdy zbliżał się do statku, przejęła go nieprzyjemna świadomość, że pancerz z gotowanej skóry nie będzie najskuteczniejszą ochroną, jeśli zaczną do niego strzelać, lecz nadał jechał wyprostowany w siodle, przybrawszy wygląd człowieka pewnego, że umie poradzić sobie w obecnej sytuacji.

Załoga statku, patrząc jak się zbliża, przerwała pracę i zebrała się na zwróconym w jego kierunku boku gondoli. Gartasian szukał wzrokiem kogoś, kto wyglądałby na kapitana, lecz wszyscy na pokładzie zdawali liczyć sobie niewiele więcej niż dwadzieścia lat, wszyscy też nosili identyczne brązowe koszule i kaftany. Jedynymi widocznymi dystynkcjami były małe kółka w różnych kolorach przyszyte do klap kaftanów, lecz znaczenia różnic w barwach Gartasian nie potrafił rozszyfrować.

Zaskoczyło go, że mężczyźni są do siebie tak podobni, że można ich było przez pomyłkę wziąć za braci – wszyscy mieli wąskie czoła, blisko osadzone oczy i wąską, wystającą szczękę. Wkroczywszy w cień balonu, z nagłym dreszczem niepokoju stwierdził, że cała czwórka ma ciemną cerę jak u chorych na żółtaczkę i szczególnie, metaliczny połysk skóry. Podobny wygląd sugerowałby przebycie jakiejś okrutnej choroby, gdyby nie promieniowała od nich nieświadoma buta, której źródłem jest na ogół doskonała kondycja fizyczna. Obserwowali Garta-

siana z minami, które zdawały się wyrażać zarazem rozbawienie i potępienie.

– Jestem pułkownik Gartasian – przedstawił się zatrzymując niebieszczorożca w pobliżu gondoli. – W imieniu króla Chakkella, władcy tego świata, witam was na Overlandzie. Niesłychanie poruszył nas widok waszego statku i wiele pytań kołocze się w naszych głowach.

– Zatrzymaj te swoje pytania i powitanie dla siebie – przemówił po kolcorrniańsku, lecz z dziwnym akcentem mężczyzna stojący po prawej stronie, najwyższy z czterech. – Nazywam się Orracolde, jestem kapitanem statku, a także mam zaszczyt być kurierem królewskim. Przybywam na tę planetę z posłaniem od króla Rassamardena.

Gartasiana zaszokowała niespodziewana, otwarta wrogość rozmówcy, lecz postanowił trzymać gniew na wodzy.

– Nigdy nie słyszałem o królu Rassamardenie.

– Nic dziwnego, zważywszy na okoliczności – odparł Orracolde z uśmiechem pogardy. – Spodziewałem się, że Prąd nie żyje, ale jak Chakkellowi udało się zostać królem? A co się stało z synem Prada, Leddravohrem? I z Pouchem?

– Również nie żyją – odparł szorstko Gartasian zdając sobie sprawę, że w imię honoru trzeba będzie podjąć wyzwanie ukryte w zachowaniu Orracolde. – By cię bardziej oświecić, oznajmiam ci, że w dalszym przebiegu nasze spotkanie odbywać się będzie według innych reguł. Ja będę zadawał pytania, a ty będziesz na nie odpowiadał.

– A jeśli ja zadecyduję inaczej, stary wojaku?

– Moi ludzie otoczyli twój statek.

– Fakt ten nie umknął mojej uwagi – odpowiedział Orracolde. – Lecz o ile ich zawszone kobyły nie potrafią wzbić się

w powietrze jak orły, nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. Możemy odfrunąć w mgnieniu oka. – Odwrócił się od relingu, a w chwilę później palnik na statku buchnął oddechem gorącego gazu prosto do środka mającego w górze balonu podtrzymując siłę nośną. Niebieskorożec Gartasiana, poderwany niosącym się rykiem, stanął dęba i, ku ucieście czterech widzów, jeździec musiał się trochę namęczyć, by utrzymać go pod kontrolą. Dotarło do Gartasiana, że na razie przybysze posiadają sporą przewagę i że jeśli nie nawiąże z nimi kontaktu w jakiś przebieglejszy sposób, to mogą go upokorzyć. Potoczył wzrokiem po rozsianych po okręgu żołnierzach, tak nagle odległych, i przyjął inną taktykę.

– Kłótnią żaden z nas nic nie zwojuje – odezwał się rozsądnie. – Posłanie, o którym wspomniałeś, możesz przekazać królowi przeze mnie lub, jeśli wolisz, możesz poczekać, aż Jego Wysokość przybędzie osobiście.

Orracolde przekrzywił głowę.

– A jak długo to potrwa?

– Król jest już w drodze i przybędzie tu, nim upłynie godzina.

– Co da wam mnóstwo czasu, by sprowadzić działko o dalekim zasięgu. – Orracolde przebiegł wzrokiem porośnięty krzakami teren, jak gdyby spodziewał się tam ujrzeć przegrupowania wojsk.

– Ależ nie mamy powodu, by mieć względem was złe zamiary – zaprotestował Gartasian zatrwożony irracjonalnym tokiem myślenia przybysza. Cóż to był za wysłannik? I jaki władca powierzyłby takiemu człowiekowi misję dyplomatyczną?

– Chyba bierzesz mnie za głupca, stary wojaku. Bez



zwłoki odczytam słowa króla Rassamardena. – Orracolde pochylił się nurkując na moment w głębi gondoli, po czym ponownie ukazał się wyjmując żółtawy zwój ze skórzanej tuby.

Gartasian uzmysłowił sobie, że pewien szczegół nie daje mu spokoju. Orracolde uwłaczał mu każdym zdaniem, lecz słowo „stary” wymawiał szczególnie jadowicie, jak gdyby należało ono do najbardziej obraźliwych w jego słowniku. Nie była to jednak najbardziej zdumiewająca strona całej sytuacji, zwłaszcza że Gartasian w żadnym wypadku nie uważał siebie za starego człowieka. Odpędził szybko od siebie te myśli widząc, że Orracolde rozwija kwadratowy zwój papieru o wyrażnej fakturze.

– Działam w imieniu króla Rassamardena. Następujące posłanie należy przyjąć tak, jak gdyby wypływało z jego ust – ogłosił Orracolde. – Ja, król Rassamarden, jestem prawowitym władcą wszystkich mężów i niewiast urodzonych na planecie Land i wszystkich ich potomków, gdziekolwiek by zamieszkiwali. Zatem uważa się, że wszystkie nowe terytoria na planecie Overland zostały zajęte w moim imieniu. Dlatego też ogłaszam siebie jedynym władcą Landu i Overlandu. Niech będzie wiadomym, że zamierzam wyegzekwować wszelkie daniny należne mi według prawa.

Orracolde opuścił zwój papieru i wpatrzył się w Gartasiana oczekując odpowiedzi.

Przez kilka sekund Gartasian gapił się na niego z rozdziawionymi ustami, po czym wybuchnął śmiechem. Jawna nedorzeczność tego, co usłyszał, w połączeniu z pompacyjnym stylem obwieszczenia niespodzianie nadały całej tej scenie posmak farsy. Pękło wzbierające w nim napięcie, co podsyciło wesołość, tak iż miał prawdziwe trudności, by po-

nownie złapać oddech.

– Straciłeś rozum, stary? – Orracolde przechylił się przez reling wysuwając do przodu brązową twarz, jak żmija plująca jadem. – Nie widzę w tym nic śmiesznego.

– Tylko dlatego, że nie możesz się zobaczyć – odparował Gartasian. – Nie wiem, który z was jest większym głupcem: czy Rassamarden, który kazał obwieścić to pożałowania godne posłanie, czy ty, który podjąłeś się tak długiej i ryzykownej podróży, by nam je przekazać.

– Karą za obrazę króla będzie twoja śmierć.

– Już cały drzę. Orracolde wykrzywił usta.

– Zapamiętam cię, Gartasianie, lecz teraz mam ważniejsze sprawy na głowie. Niedługo zapadnie małonoc. O zmroku wzbijemy się w powietrze, by nie dać wam sposobności do przeprowadzenia chyłkiem ataku, lecz zatrzymamy się na bezpiecznej wysokości i zaczekamy na podzień. Do tej chwili Chakkell z pewnością do was dołączy, a jego odpowiedź przekażesz mi heliopisem.

– Odpowiedź?

– Oczywiście. Albo Chakkell ugnie kolano przed królem Rassamardenem z własnej woli, albo zostanie do tego zmuszony.

– W istocie jesteś szalony. Szaleniec przemawiający w imieniu szaleńca. – Gartasian przytrzymał niebieskorożca, gdy ktoś z załogi wystrzelił następnym podmuchem gazu w balon.

– Czy mówisz o wojnie pomiędzy dwoma światami?

– Jak najbardziej.

Zmagając się z rosnącym niedowierzaniem, Gartasian spytał:

– Jak w takim razie wyobrażasz sobie przebieg takiej

wojny?

– Budujemy już flotę statków wojennych.

– Ile?

Orracolde uśmiechnął się nieznacznie.

– Dosyć.

– Nigdy nie będzie dosyć – odparł niewzruszenie Gartasian. – Nasi żołnierze będą czyhać na każdy lądujący statek.

– Chyba nie myślisz, że dam się na to nabrać, stary wojaku. – Orracolde ukazał zęby w uśmiechu. – Wiem, jak mała jest gęstość zaludnienia na waszej planecie. Przy mądrym wykorzystywaniu prądów powietrznych jesteśmy w stanie wylądować właściwie w każdym jej punkcie. Moglibyśmy lądować także pod osłoną nocy, jednak nie ma potrzeby się ukrywać, ponieważ posiadamy uzbrojenie, o jakim wam się nawet nie śniło. A do tego – Orracolde obejrzał się na trzech towarzyszy, którzy potaknęli zgodnie, jak gdyby wiedzieli, co za chwilę powie – istnieje pewna naturalna i niezaprzeczalna wyższość Nowych Ludzi.

– Ludzie to ludzie – odparł Gartasian, na którym nie zrobiło to większego wrażenia. – Jak mogą istnieć jacyś Nowi Ludzie?

– Dopilnowała tego natura. I pterty. Urodziliśmy się całkowicie odporni na ich jad.

– A więc to tak! – Gartasian przypatrzył się czterem wąskim twarzom, które ze swoim nieludzkim, metalicznym połyskiem mogły niemalże należeć do czterech posągów odlanych z tej samej formy, i gdzieś w głębi mózgu zaczynał rozumieć. – Myślałem, że... może... pterty przestały atakować.

– Ich ataki następują z niesłabnącą siłą, lecz teraz są daremne.

– A co stało się z ludźmi... mojego rodzaju? Czy ktoś przeżył?

– Nikt – odparł Orracolde z triumfem w głosie. – Wszystkich starych zmiotło.

Gartasian milczał przez chwilę w ciszy, żegnając na dobre swoją żonę i syna, po czym powrócił myślą do obecnych kłopotów. Koniecznie musiał wywieźć się wszystkiego o międzyplanetarnych gościach. W kilku słowach wypowiedzianych przez Orracolde'a malowała się przerażająca sceneria, wizja cywilizacji w mękach agonii. Dryfujące kule ptert kłębiły się na niebie Landu rzucając się bez miłosierdzia na ludzkie ofiary, przywodząc je do całkowitej zagłady, aż ilość ich była...

Żołądek mnie piecze!

Uczucie palenia było tak straszliwe, że Gartasian o mało nie zgiął się wpół. W kilka sekund węzeł gorąca spod piersi wysunął macki do reszty ciała, jednocześnie Gartasian odniósł wrażenie, że powietrze wokół nieco się ochłodziło. Nie chcąc okazać, że coś mu dolega, tkwił w siodle bez ruchu i czekał, aż spazm dobiegnie końca. Jednakże trwał on z niezmiennym nasileniem i Gartasian doszedł do wniosku, że będzie musiał zebrać cenne informacje ignorując ból.

– Wszystkich zmiotło? – powtórzył. – Wszystkich? Czyli całe wasze społeczeństwo urodziło się po Migracji.

– Po Przelocie. Ten akt tchórzostwa i zdrady nazywamy Przelotem.

– Lecz jak udało się przetrwać niemowlętom? Bez rodziców byłoby to...

– Narodziliśmy się z tych, którzy byli częściowo odporni – przerwał mu Orracolde. – Wielu z nich pożyło dość długo.

Gartasian potrząsnął głową ciągnąc swoją myśl na przekór ogniowi trawiącemu mu rdzeń istnienia.

– Lecz na pewno wielu zginęło! Jaką macie liczbę ludności?

– Czy myślisz, że jestem głupcem? – odpowiedział Orracolde z szyderycznym uśmiechem na ciemnej fizjonomii. – Przybyłem tutaj, by dowiedzieć się czegoś o waszym świecie, a nie żeby chlapać informacjami o moim. Zobaczyłem tyle, ile trzeba było zobaczyć, a ponieważ to już prawie małonoc...

– Twoja niechęć, by odpowiedzieć na moje pytanie, mówi sama za siebie! Wasze zastępy muszą istotnie być nieliczne, może nawet mniej liczne niż nasze. – Gartasian zadrżał gwałtownie, gdyż w przeciwieństwie do żaru palącego mu ciało, powietrze wokół spowiło go lepkiem chłodem. Dotknął skroni, stwierdził, że jest śliska od potu i wstrząsająca myśl zaczęła mu świtać gdzieś głęboko w mózgu wijąc się jak glista. Od czasów młodości na Landzie nie natknął się na przypadek ptertozy, lecz nikt z jego pokolenia nie zapomni jej objawów – pieczenia w żołądku, obfitego potu, bólu w piersiach i wzdęcia śledziony...

– Zbladłeś, stary wojaku – zauważył Orracolde. – Coś ci dolega?

Gartasian starał się przemawiać normalnie.

– Nic mi nie jest.

– Ależ pocisz się i drzysz i... – Orracolde wychylił się przez reling, utkwił spojrzenie w twarzy Gartasiana, a jego oczy rozszerzyły się. Była to chwila niemal telepatycznej jedności. Potem Orracolde cofnął się i szeptem wydał rozkazy załodze. Któryś z jego towarzyszy schylił się znikając z pola widzenia, a palnik na statku zaczął ryczeć nieprzerwanie, po-

zostali dwaj zaś pospiesznie wybierali cumy zwróconej w dół armatki.

Gartasian miał absolutną, niezmaconą pewność tego, co wyczytał w oczach przeciwnika i w momencie, gdy pogodził się z własnym wyrokiem śmierci, jego umysł dał susa daleko poza ograniczoną terażniejszość. Orracolde chełpił się bronią, o jakiej nie śniło się Overlandczykom, lecz nawet on nie przypuszczał, nie przeczuł przerażającej prawdy, którą zwiastowały jego własne słowa. On i jego załoga sami byli bronią – nosicielami ptertozy w postaci tak zjadliwej, że powalała z nóg, gdy tylko osoba nie zabezpieczona podeszła do nich bliżej.

Ich król, choć według norm Gartasiana najwyraźniej chory na umyśle, był na tyle roztropny, że wysłał statek zwiadowczy, by oszacować, na jaki opór trafią najeźdźcy. Jeśli otrzyma wiadomość, że obrony nie będzie, że obrońców Overlandu wytepi ptertoza, podsyci to jeszcze bardziej jego apetyt.

Nie mogę pozwolić im odlecieć!

Myśl ta dała Gartasianowi bodziec do działania. Jego ludzie znajdowali się zbyt daleko, by mu pomóc w jakikolwiek sposób, a statek już parł w górę. W tej sytuacji wyłącznie na Gartasianie spoczywała odpowiedzialność za zapobieżenie startowi. Jedynym sposobem w tej sytuacji było rozerwanie tkaniny potężnego balonu cisnąwszy w niego szablą. Dobył broni, odchylił się w siodle, by wykonać rzut i głośno westchnął, gdy nagły ból przeszył mu klatkę piersiową, paraliżując wzniesione ramię. Opuścił szablę do pozycji, z której mógł wyrzucić ją spod ramienia wysokim łukiem, gdy spostrzegł, że Orracolde wyciąga przeciw niemu muszkiet o dziwnym kształcie.

Licząc na opóźnienie powstające, gdy kryształy energetyczne łączą się ze sobą w komorze spalania, Gartasian machnął bronią w górę. Z muszkietu wydobył się dziwnie suchy trzask. Coś trzepnęło Gartasiana w lewe ramię okręcając go wokół własnej osi. Szabla, wyrzucona zbyt słabo, pokoziołkowała daleko od celu. Gartasian zeskoczył ze spłoszonego niebieskorożca i ruszył po leżącą na ziemi broń, lecz potworny ból w ramieniu i piersi przemienił zamierzony śmigły bieg w serię potknięć i chwiejnych kroków. W chwili gdy odzyskał szablę, gondola znajdowała się już wysoko, a niosący ją balon był daleko poza zasięgiem rzutu.

Stał i patrzył bezsilnie, jak statek podniebny gwałtownie nabiera wysokości, i widok ten przyćmił grozę jego osobistej tragedii. Chociaż statek unosił się na tle zamglonej, błękitnej tarczy Landu, niełatwo go było dostrzec, gdyż słońce znajdowało się niemal na linii wzroku, zalewając srebrem wschodnią krawędź bliźniaczej planety. Gartasian zrezygnował z próby przeniknięcia wzrokiem oślepiających promieni, igiełek światła. Opuścił głowę i wlepił wzrok w trawę myśląc o tym, że ostatnia akcja w jego karierze i życiu zakończyła się nikczemną porażką i jedynie odgłos kopyt zbliżającego się niebieskorożca wyrwał go z gorzkiej zadumy. Zostały jeszcze obowiązki, z których należało się wywiązać.

– Zostań tam! – krzyknął do porucznika Keero. – Nie zbliżaj się do mnie!

– Panie pułkowniku? – Keero wstrzymał wierzchowca do stępa, ale nadal posuwał się do przodu.

Gartasian wycelował w niego szablę.

– To rozkaz, poruczniku. Nie wolno się wam do mnie zbliżać. Jestem zarażony.

Keero stanął.

– Zarażony?

– Ptertoza. Słyszałeś o tym, jak sędzę.

Górną część twarzy Keero maskował cień przyłbicy, lecz Gartasian dostrzegł, jak usta porucznika wykrzywia trwoga. Zaraz potem skąpane w słońcu wzgórza zamigotały paletą barw, po czym gwałtownie przygasły, gdy z prędkością orbitalną nad okolicę nadciągnął cień Landu. Kiedy jego kraniec przemknął nad wzgórzami rozpoczynając niedługą fazę półcienia małonocy, ciemniejące niebo wpadło w objęcia potężnej spirali mglistej poświaty o ramionach usianych białymi, niebieskimi i żółtymi migocącymi gwiazdami. Świadomość, że oto po raz ostatni rozpościera się przed nim widowisko nocnego nieba, wypełniła Gartasiana pragnieniem, by wpatrywać się w nie aż do utraty tchu, by zapamiętać wzór drobnych zawirowań i komet, by wziąć ze sobą światło tam, gdzie światła nie ma. Odsunął te myśli i zwrócił się do porucznika, który czekał w odległości około dziesięciu metrów.

– Słuchajcie mnie uważnie, Keero! – zawołał. – Umrę, nim się skończy malonoc, a wy musicie... – Ogień w płucach podsycony krzykiem zmusił go do zrezygnowania z zamiaru, by cenne informacje przekazać ustnie.

– Zamierzam napisać raport dla króla, a ciebie czynię odpowiedzialnym za to, by do niego dotarł. A teraz wyciągnij książkę depesz, upewnij się, że ołówek nie jest złamany i zostaw to dla mnie na ziemi. Gdy to uczynisz, dołącz do pozostałych i czekaj z nimi, aż przybędzie król. Opowiedz mu o wszystkim, co się tu wydarzyło – i przypomnij mu, że nikomu nie wolno zbliżać się do mego ciała przynajmniej przez pięć dni.



Opadłszy z sił, wyczerpany przedłużonym aż do bólu mówieniem, Gartasian zmusił się, by pozostać w pionowej, regulaminowej pozycji, gdy Keero zeskakiwał z siodła i umieszczał książkę depeš na ziemi.

Porucznik wdrapał się z powrotem na siodło, po czym zawahał się przez moment.

– Panie pułkowniku, przykro mi...

– W porządku – odparł Gartasian wdzięczny za ludzki gest. – Nie zaprzętaj sobie mną głowy. Po prostu jedź i weź ze sobą mojego niebieskorożca. Mnie on już na nic.

Keero zasalutował niezdarnie, zabrał zwierzę i odjechał w mrok. Gartasian podszedł do miejsca, gdzie leżała książka, a nogi z każdym krokiem uginały się pod nim coraz mocniej. Pozwolił ciału opaść na ziemię. Ledwie zdołał wyciągnąć ołówek ze skórzanej oprawki, a ostatni okrucz słońca ześlizgnął się za krzywizny terenu. Dzięki aureoli Landu i niezwykłemu połyskowi gwiazd żarzących się na dalszej części nieba, z których kilka skupiło się w okrągłe, jasne pęki, widział dość dokładnie, by pisać, pomimo półmroku.

Usiłował oprzeć się na lewej ręce, lecz aż poderwał się w górę, gdy ból zaognił się w zranionym ramieniu. Badając ranę palcami stwierdził, że krążek z drzewa brakka, którym strzelono do niego z muszkietu, większą część swojej energii strawił żłobiąc zwiniętą skórę na brzegu pancerza. Utkwił mu w ciele, lecz nie złamał kości. Przypominając sobie, by zamieścić wzmiankę o tym, jak broń wypaliła bez zwykłego opóźnienia, zasiadł z książką na kolanach i rozpoczął spisywanie szczegółowego raportu na użytek tych, którzy wkrótce będą musieli stawić czoło śmiertelnemu wrogowi.

Dyscyplina umysłu, jakiej wymagało to zajęcie, pomogła

mu uniknąć uzalania' się nad własnym losem, lecz ciało często przypominało o przegranej bitwie, którą toczyło z jadem pterty. Zdawało się mu, że żołądek i płuca wypełniają rozżarzone węgle. Śmiertelne skurcze zaciskały pierś, a sporadyczne napady dreszczy sprawiały, iż miejscami pismo stawałoby się prawie nieczytelne. Postęp objawów był tak gwałtowny, że dobrnąwszy do końca raportu Gartasian dziwił się tępo, że jeszcze nie stracił świadomości i że drzemia w nim resztki sił.

„Jeśli się stąd zabiorę”, pomyślał, „będą mogli zabrać tę książkę od razu i bez ryzyka dla życia.”

Ułożył książkę na ziemi i zaznaczył to miejsce przygniatając ją swoim hełmem z czerwonym pióropuszem. Podniesienie się na nogi wymagało o wiele większego wysiłku, niż przewidywał. Nie mógł nic poradzić na to, że zataczał się w różnych kierunkach przepatrując okolicę, która wyglądała jak scena namalowana na falującej materii. Keero zebrał ludzi i rozpalono ogień, by ułatwić królowi Chakkellowi dotarcie na miejsce. W półmroku żołnierze i wierzchowce tworzyli nieruchomą, bezkształtną bryłę i wszystko pozostawało w bezruchu, prócz bezustannie migocących meteorów na tle gęstego pola gwiazd.

Gartasian zgadywał, że na nim koncentrowały się spojrzenia jego ludzi. Odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, słaniając się groteskowo, perląc trawę krwią z palców lewej ręki. Po jakichś dwudziestu krokach stopy uwięzły mu w paproci i upadł ciężko w przód, grzebiąc twarz w liściach o ostrych włoskach.

Nie było sensu wstawać.

Ani nadal starać się, by nie utracić świadomości.

„Wracam do was, Ronodo i mój mały Hallie”, pomyślał

odgradzając się powiekami od wszechświata. „Niedługo będę z...”

## ROZDZIAŁ 4

Kiedy Toller usłyszał, że odsuwają rygiel w drzwiach celi, pierwszym uczuciem, jakiego doświadczył, była ulga. Pozwolono mu zatrzymać coś do pisania, więc godziny małonocy spędził siedząc z notatnikiem na kolanach i starając się ułożyć list do Gesalli i Cassylla. Miał zamiar wytłumaczyć się i przeprosić, lecz okazało się to niemożliwe, bo jak mógłby znaleźć choć odrobinę rozsądku w tym co zrobić? – i wszystko, co

napisał zawarło się w jednym, banalnym słowie:

„Przepraszam”.

Słowo to wydało mu się odpowiednim, choć posępnym epitafium dla życia, które odrzucił, i w tej chwili odczuwał niezmierne pragnienie, by mieć już te ostatnie, jałowe minuty za sobą, odbębnione.

Wstał i obrócił się twarzą do drzwi, pewien, że ujrzy karta w towarzystwie dozorców więziennych. Jednak poszerzający się prostokąt światła ukazał brzuchatą postać króla Chakkella otoczoną strażnikami przybocznymi o kamiennych twarzach.

– Czy mam czuć się zaszczycony? – powitał go Toller. – Czy na egzekucję wyprowadzi mnie sam król?

Chakkell uniósł oprawną w skórę książkę depeš, w rodzaju tych, jakich używała armia kolcorroniańska.

– Twoje zdumiewające szczęście jednak cię nie opuszcza, Maraquine. Podejmujemy grę na nowo. Chodźcie ze mną. Potrzebuję was.

Capnął Tollera za ramię z siłą, jakiej użyłby zapewne oprawca, i pociągnął do przejścia, gdzie zgaszone niedawno knoty nadal kopciły i dymiły w lichtarzach.

– Jestem potrzebny? Czy to znaczy...? – paradoksalnie w chwili gdy Toller zaczął cieszyć się nadzieją, obezwładniły go szpony śmiertelnego strachu, który zmroził mu skroń i zdławił głos w gardle.

– To znaczy, że jestem gotów zapomnieć o głupocie, jaką wykazaliście się w przeddniu.

– Jestem wdzięczny, Wasza Wysokość... naprawdę wdzięczny – zdołał wykrztusić Toller. W duchu zaś przyrzekł: nigdy już cię nie zawiodę, Gesallo.

– I dobrze, że jesteście! – Chakkell wyprowadził go z lochów przez bramę, przy której strażnicy wyprężyli się na baczność, i poprowadził go dalej na plac defilad, gdzie jak się wydawało, całe wieki temu Toller stawiał czoło Karkarandowi.

– Pewnie ma to związek ze statkiem podniebnym, który wypatrzyliśmy? – zagadnął Toller. – Czy rzeczywiście przybył on z Landu?

– Porozmawiamy o tym na osobności.

W towarzystwie strażników Toller i Chakkell wkroczyli do pałacu tylnym wejściem i przemierzali korytarze, aż dotarli do niepozornych drzwi. Jako że siedł za królem, Toller wyczuł mdły zapach potu niebieskorożca unoszący się z jego szat i ta pozostałość po pospiesznym galopie wzmogła jego ciekawość. Chakkell odesłał ludzi skinieniem dłoni i wprowadził Tollera do apartamentu o skromnych rozmiarach, gdzie jedyne meblowanie stanowiły okrągły stół i sześć prostych krzesel.

– Czytajcie. – Król wręczył Tollerowi książkę depeš, zasiadł przy stole i wbił wzrok w zaciśnięte pięści. Jego mocno opalona czaszka połyskiwała od potu i Chakkell wyraźnie był czymś niezmiernie wzburzony. Postanowiwszy, że niemądrze byłoby zadawać jakiegokolwiek wstępne pytania, Toller usiadł po przeciwnej stronie stołu i otworzył książkę. Kłopoty, jakie w młodości sprawiało mu czytanie, rozwiały się z upływem lat, tak więc zapoznanie się z kilkoma stronami rękopisu zajęło mu zaledwie kilka minut, mimo że miejscami pismo było okropnie koślawe. Skończywszy zaniknął książkę i odkładając ją, niespodziewanie zauważył plamy krwi na okładce.

Nie podnosząc głowy Chakkell zerknął na niego spod brwi błyszcząc białymi półksiężycami z oczodołów.

– I co?

– Czy pułkownik Gartasian nie żyje?

– Oczywiście, że nie żyje, a sądząc po tym, co tu napisane, może być pierwszym z wielu – odparł Chakkell. – Pytanie brzmi: co możemy na to poradzić? Co uczynić z tym zaraźliwym nasieniem?

– Czy Wasza Wysokość myśli, że ten Rassamarden naprawdę zamierza przeprowadzić inwazję? Jest to dość nierozważne posunięcie ze strony człowieka, który ma do dyspozycji prawie nie zamieszkaną planetę.

Chakkell wskazał na raport.

– Widzieliście, co napisał Gartasian. Nie mamy do czynienia z ludźmi rozumnymi, Maraquine. Według opinii Gartasiana, wszyscy oni są do pewnego stopnia stuknięci. A ich władca może się okazać najgorszy z całej tej bandy.

Toller przytaknął.

– Tak to zwykle bywa.

– Nie pozwalajcie sobie na zbyt wiele – warknął Chakkell. – Wasze doświadczenie w dziedzinie statków podniebnych nie ma sobie równych, dlatego chcę usłyszeć wasz pogląd na to, jak powinna wyglądać nasza obrona.

– No cóż... – – przez ułamek sekundy uwagę Tollera rozpraszała wzbierająca fala niepohamowanej radości, po której natychmiast poczuł wstyd i wyrzuty sumienia. Co z niego za człowiek? Jeszcze nie skończył przysięgać sobie, że nigdy już niczego nie będzie stawiał wyżej niż błogosławionego zacisza sielskiej domowej egzystencji, a już serce bije mu żywiej na myśl o jakiejś nowej wojennej awanturze. Czyżby to była reakcja na wiadomość, że nie zostanie stracony, że życie potoczy się dalej? Czy też był człowiekiem z nieuleczalną skazą, tak jak dawno już nieżyjący książę Leddravohr? Ta druga

możliwość była zbyt przykra, by ją rozważać.

– Czekam – zniecierpliwiał się Chakkell. – Tylko mi nie wmawiajcie, że nasze położenie jest tak beznadziejne, że aż zapomnieliście języka w gębie.

Toller zaczerpnął głęboki oddech i wypuścił powietrze z westchnieniem.

– Wasza Wysokość, zakładając, że rzeczywiście dojdzie do walk, to los nam dyktuje warunki. Nie możemy przyjąć bezpośredniej bitwy z wrogiem i z oczywistych powodów nie wolno nam pozwolić, by ci tak zwani Nowi Ludzie postawili stopę na naszej planecie. W takiej sytuacji pozostaje nam tylko jedno wyjście.

– Czyli...

– Odcięcie się! Bariera! Musimy zacząć się na ich statki w strefie nieważkości, w połowie drogi pomiędzy dwoma światami, i zniszczyć ich, gdy będą lecieć tu z Landu. To jedyny sposób.

Chakkell taksował oczami twarz Tollera, badając jego szczerość.

– O ile pamiętani, w tym rejonie powietrze jest zbyt zimne i rozrzedzone, by na dłuższą metę mogło dać 'możliwość przeżycia.

– Potrzebujemy statków o innej konstrukcji. Gondole muszą być większe i szczelnie zamknięte, by zatrzymywać powietrze i ciepło. Prawdopodobnie użyjemy nawet soli strzelniczej, by wzbogacić powietrze. To i pewnie jeszcze więcej będzie niezbędne, jeśli mamy przebywać w strefie nieważkości przez dłuższy okres.

– Czy naprawdę jest to wykonalne? – zapytał Chakkell. – Wygląda na to, że opowiadacie o prawdziwych fortecach za-

wieszonych na niebie. Ciężar...

– Stare statki mogły pomieścić dwudziestu pasażerów plus niezbędne wyposażenie. To dość poważne obciążenie, więc żeby podwoić ich ładowność, trzeba będzie przyczepić dwa balony do jednej, wydłużonej gondoli.

– Warto by się nad tym zastanowić. – Chakkell wstał i spacerował wokół stołu marszcząc brwi i nie spuszczał wzroku z Tollera.

– Zdaje się, że specjalnie dla was powołałam nowe stanowisko – wydusił w końcu. – Będzie to... Marszałek Nieba... odpowiedzialny za obronę powietrzną Landu. Będziecie podlegać tylko mnie i będziecie upoważnieni do korzystania z wszelkich niezbędnych zasobów – ludzkich czy materialnych – by dobrze wykonać swoje zadanie.

Tollera podniosła na duchu perspektywa nowego celu i kierunku w życiu, lecz ku własnemu zaskoczeniu z rezerwą myślał o poddaniu się fali kaprysów Chakkella. Jeśli w jednej chwili można go skazać na stracenie, a w drugiej wynieść na wysokie stanowisko, to nie jest niczym więcej jak tylko wytworem króla, kukłą bez godności, bez własnej tożsamości.

– Jeśli mam podjąć się tej misji – zaczął – to istnieją pewne...

– Jeśli macie się podjąć! Jeśli! – Chakkell odtrącił nogą swoje puste krzesło, plasnął dłońmi o stół i przechylił się przez blat. – Co się z wami dzieje, Maraquine? Jesteście nielojalni wobec własnego króla?

– Jeszcze tego przedednia mój własny król skazał mnie na śmierć.

– Wiecie przecież, że nie dopuściłbym, aby sprawy zaszyły tak daleko.



– Czyżby? – Toller nie ukrywał sceptycyzmu. – Wasza Wysokość odmówił mi jedynej przysługi, o którą błagałem.

Chakkell wyglądał na szczerze zdumionego.

– O czym wy mówicie?

– O życiu tego farmera, Spennela.

– A, o tym! – Chakkell na moment skierował wzrok w sufit okazując swoje poirytowanie. – Oto co zrobię, Maraquine. Egzekucja została prawdopodobnie odłożona ze względu na to całe zamieszanie w mieście. Natychmiast więc pchnę umyślnego i jeśli wasz szanowny przyjaciel jeszcze żyje, zostanie oszczędzony. Czy to was satysfakcjonuje? Mam nadzieję, że tak, ponieważ nic więcej nie mogę dla was zrobić.

Toller kiwnął głową niepewnie, zastanawiając się, czy głos sumienia można zagłuszyć tak po prostu.

– Posłaniec musi wyruszyć natychmiast.

– Zrobione! – Chakkell obrócił się i skinął w kierunku wykładanej boazerii ściany, w której Toller nie potrafił wypatrzyć żadnej szczeliny, po czym opadł na krzesło stojące obok tego, które przewrócił. – A teraz, Maraquine, musimy skonkretyzować nasze plany. Jesteście w stanie naszkicować projekt podniebnej fortecy?

– Myślę, że tak, ale chcę mieć Zavotle'a do pomocy – odparł Toller wymieniając nazwisko człowieka, z którym służył za czasów dawnej Eskadry Eksperymentalnej, a który później, podczas Migracji, został mianowany jednym z czterech pilotów królewskich. – Zdaje się, że lata on na jednym z królewskich statków kurierskich, Wasza Wysokość, więc odszukanie go nie powinno sprawić kłopotu.

– Zavotle? Czy to ten, co ma takie osobliwe uszy? Dlaczego chcecie właśnie jego?

– Jest bystry i dobrze nam się razem pracuje – odpowiedział Toller. – Potrzebuję go.

Ilven Zavotle mając czterdzieści parę lat wyglądał zbyt młodo jak na człowieka, który dowodził królewskim statkiem w czasie lotu z Landu. Z biegiem lat nabrał tylko odrobinę tuszy, włosy miał nadal ciemne, krótko przycięte, odsłaniając drobne, odstające, zagięte do wewnątrz uszy. Dołączył do Tollera i Chakkella w dziesięć minut po tym, jak wezwano go z pobliskiego lotniska, a jego żółty mundur kapitana lotnictwa nosił ślady pospiesznego wydobywania z szafy.

Gdy tłumaczyli mu naturę niebezpieczeństwa grożącego ze strony Nowych Ludzi, słuchał uważnie i, jak to miał we zwyczaju, robił notatki przejrzystym, ciasnym pismem. Zachowywał się dokładnie tak, jak Toller pamiętał: był precyzyjny i pedantyczny. Stylem bycia dawał do zrozumienia, że nie istnieje trudność, której nie można by przezwyciężyć w sposób uporządkowany, odwołując się do rozumu.

– Tak więc – zwrócił się Chakkell do Zavotle'a – co myślicie o koncepcji, by umieścić stałe, obsadzone załogą fortece w strefie nieważkości?

Królowi nie podobało się to, że musi konsultować się z poślednim kapitanem, lecz przystał na prośbę Tollera, a nawet, co mogło być miarą tego, jak poważnie ocenia sytuację, zaprosił Zavotle'a, by zasiadł z nimi przy jednym stole. Lustrował przybysza krytycznie z miną dyrektora szkoły, który szykuje się, by zganić odpowiedź ucznia.

Zavotle siedział wyprostowany jak struna, świadom, że przechodzi próbę, i odpowiadał bez wahania.

– Sądzę, że tak, Wasza Wysokość. Prawdę mówiąc, będziemy do tego zmuszeni. Nie ma innej rady.

– Rozumiem. A co powiecie na przymocowanie dwóch balonów do jednej, podłużnej gondoli?

– Z całym szacunkiem dla lorda Tollera, nie przemawia do mnie ten pomysł, Wasza Wysokość – odparł Zavotle spoglądając na Tollera. – Żeby docześcić dwa balony, gondola musiałaby być bardzo długa i myślę, że pociągnęłoby to za sobą poważne problemy ze sterowaniem.

– A więc optowalibyście za użyciem pojedynczego, monstrualnego balonu?

– Nie, Wasza Wysokość. To byłoby źródłem zupełnie nowej serii trudności. Bez wątpienia z czasem udałoby się je przezwyciężyć, lecz przecież nie mamy chwili do stracenia.

Chakkell wyglądał na zniecierpliwionego.

– Co proponujecie w takim razie? Czy macie gotowy pomysł, kapitanie, czy też poprzestaniecie na wyliczaniu tego, czego nie można zrobić?

– Myślę, że nadal powinniśmy pozostać przy rozmiarach balonów, jakie stosowaliśmy dotychczas – odparł Zavotle nie tracąc rezonu. – Należy wybudować podniebne fortece w częściach, przetransportować je jedna po drugiej i zmontować dopiero w strefie nieważkości.

Chakkell wlepił nieruchomy wzrok w Zavotle'a, a na jego twarzy powoli odmalowywała się mieszanina zaskoczenia i szacunku.

– Oczywiście! Oczywiście! Nie ma innego wyjścia. Toller poczuł, że jest dumny z Zavotle'a, gdy ten nowy

pomysł zawładnął jego umysłem wywołując serię oszłamiających obrazów.

– W porządku, Ilven – wysapał. – Wiedziałem, że się nam przydasz. Cały cierpnę na myśl o ogromie pracy, która nas

czeka. Człowiek, nawet dobrze zabezpieczony pasami, na widok tysięcy mil rozrzedzonego powietrza pod sobą nie będzie mógł się skoncentrować.

– Prawda, że wielu będzie zupełnie niezdolnych, by skupić się na czymkolwiek – przytaknął Zavotle. – Ilość pracy ograniczymy do koniecznego minimum. Forteca mogłaby składać się z okrągłych, szepionych prostą klamrą i uszczelnionych mastyksem elementów. Po trzy na każdą.

– Zanim przejdziemy do szczegółów, muszę wiedzieć, ile takich podniebnych fortec będziemy potrzebować – zainteresował się Chakkell. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej ogarniają mnie wątpliwości co do wykonalności całego przedsięwzięcia. Pomijając nawet objętość i traktując strefę nieważkości jako płaski dysk w połowie drogi pomiędzy dwoma światami, mamy setki tysięcy mil nieba do obrony. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można tego dokonać. Nawet dysponując zasobami starego Kolcorronu, nie byłbym w stanie skonstruować dostatecznej liczby fortec. Potrzebujemy ich tysięcy, powiedzielibyście? Pięć tysięcy?

Zavotle zerknął na Tollera, pozostawiając mu możliwość wypowiedzenia się, ale ten delikatnie potrząsnął głową. Zastrzeżenie wyrażone przez króla wydawało mu się istotne, lecz choć sądząc po nieporuszonej minie Zavotle'a, odpowiedź istniała, w tej chwili nie potrafił jej sam wydedukować.

– Wasza Wysokość, nikt nie wymaga, byśmy bronili całego obszaru tej strefy – powiedział Zavotle. – Obydwie planety mają wspólną atmosferę, lecz jest ona ukształtowana na podobieństwo klepsydry z wysmukłą talią. Statki podniebne muszą szybować w obszarze jej przewężenia, innymi słowy przez wąski most powietrza, i to właśnie w tym miejscu bę-

dziemy oczekiwać Landyjczyków. Nie wiem, na ile determinacja każe im przeć naprzód, ale gdy zniszczymy pierwszy statek, możliwe, że pozostałe będą starały się ominąć nas w bezpiecznej odległości. W tym celu będą zmuszeni zapuścić się tak daleko poza obręb mostu powietrznego, że ich załogi stracą przytomność, a następnie uduszą się. Produ sprawę, lecz nasiona lnu, które przywieźliśmy z Landu, nie przyjęły się najlepiej na tutejszej glebie. Tylko z nielicznych poletek rozsianych tu i ówdzie zbieramy zadowalające plony, z których większość przeznaczono na statki będące obecnie w służbie. Czy waszym zdaniem materiał z tych statków można by pociąć i zszyć z niego balony statków podniebnych?

– Wykluczone – odpowiedzieli jednocześnie Toller i Zavotle, lecz ten pierwszy, któremu odpowiedź ponownie poddyktował instynkt, łamał sobie głowę nad konstruktywną odpowiedzią. Przypomniało mu się, że Chakkell nie był królem z urodzenia, ale dlatego że posiadał fenomenalnie szczegółową wiedzę na temat tych zagadnień rolnictwa, przemysłu i handlu, które stanowiły rzeczywisty fundament potęgi narodu. Toller postanowił nie odzywać się, składając całą odpowiedzialność na barki Zavotle'a. Gdy Zavotle udzielił odpowiedzi z niczym nie zmaconym uśmiechem, poczuł zdumienie i podziw.

– Balony należy wykonać z nowego materiału najwyższej jakości, Wasza Wysokość – oznajmił. – Lecz nie potrzeba ich zbyt wiele. Pomysł zasadzki obmyślony przez lorda Tollera jest bardzo dobry, i co ważne, w tej sytuacji balony byłyby raczej zbędnym obciążeniem i zawadą.

Zmarszczka na czole Chakkella pogłębiła się.

– Zdaje się, że nasze myśli się rozchodzą, Zavotle. O czym wy mówicie?

– Wasza Wysokość, mamy do czynienia z nowym rodzajem wojny, lecz niektóre dawne reguły należy zachować. Warunkiem zasadniczym jest, byśmy tak długo pozostawali poza zasięgiem wzroku przeciwnika, aż wpadnie nam on w sidła. Dlatego balony tak ogromne, że w przejrzystej strefie nieważkości dostrzec je można z odległości wielu kilometrów, stanowiłyby zagrożenie. Fortece będą skuteczniej spełniały swoje zadanie bez nich.

Toller zaczynał domyślać się planu, jaki proponował Zavotle, i przez moment zdawało mu się, że czuje, jak owiewa go zimne powietrze strefy nieważkości.

– Chcesz odzepić balony i... i...

– I spuścić je z powrotem na ziemię, gdzie użyje się ich do wyniesienia w powietrze następnych części fortec – dokończył Zavotle. – Nie widzę powodu, dla którego jeden balon nie miałby odbyć takiej podróży wiele razy.

– Nie w tym rzecz – zaproponował Toller. – Proponujesz, by pozostawić tam w górze ludzi. Całkowicie bezradnych! Bez możliwości kontrolowania opadania statku!

Twarz Zavotle'a wypogodniała, lecz stała się przez to jakby mniej ludzka.

– Mówimy o strefie nieważkości, panie. Tak jak sam mi kiedyś tłumaczyłeś: w jaki sposób przedmiot może upaść, jeśli nic nie waży?

– Wiem, ale... – Toller zaprzestał odwoływać się do logiki. – Nie podoba mi się to.

– A mnie tak! – Chakkell niemalże krzyknął uśmiechając się promiennie do Zavotle'a w sposób, który sugerował, że za ledwie pączkująca przychylność wobec niego szybko okryła się kwieciami. – Bardzo mi się to podoba!

– Tak, Wasza Wysokość – skwitował Toller sucho. – Ale to nie wy będziecie tam w górze.

– Ani wy, Maraquine – odparował Chakkell. – Powołuję was na Marszałka Nieba dla waszej szerokiej wiedzy lotniczej, a nie dla zbytycznej i więdnącej już krzepy. Pozostaniecie na ziemi i stąd będziecie kierować działaniami wojennymi.

Toller potrząsnął głową.

– To nie w moim stylu. Zawsze idę w pierwszym szeregu. Jeśli żąda się od ludzi, by zawierzyli swoje życie... ptakom bez skrzydeł, to wolałbym być razem z nimi.

Przez ułamek sekundy Chakkell wyglądał na rozją93 trzonego, potem spojrzał przelotnie na Zavotle'a i przybrał tajemniczą minę.

– Jak chcecie – rzekł do Tollera. – Daję wam prawo powołania do tej służby każdego w królestwie. Jak przypuszczam, wasz przyjaciel, Zavotle, otrzyma ważne stanowisko doradcze?

– Od początku miałem taki zamiar.

– Świetnie! Obaj pozostaniecie w pałacu, aż dopracujemy każdy ważniejszy szczegół planu obrony, a jako że zabierze nam to sporo czasu, będzie... – Chakkell przerwał, gdy jego przygarbiony sekretarz wkroczył do komnaty i kłaniając się zawzięcie, zbliżył się do stołu. – Czemu mi przeszkadzasz, Pelso?

– Wasza Wysokość wybaczy – odparł Pelso drżącym głosem. – Kazano mi donieść o tym bezzwłocznie. O egzekucji, znaczy się.

– Egzekucji? Egze...? Aa, tak! Mówże, człowieku.

– Wasza Wysokość, posłałem po człowieka, który ma nakaz aresztowania.

– Nie było takiej potrzeby. Chciałem po prostu wiedzieć, czy wykonano robotę. No dobrze – gdzie on jest?

– Czeka we wschodnim korytarzu, Wasza Wysokość.

– Po co mi on w korytarzu? Sprowadź go tutaj, stary głupcze!

Chakkell bębnił palcami po stole, podczas gdy Pelso, ciągle kłaniając się, wycofywał się do drzwi.

Toller, choć wcale nie miał ochoty odbiegać myślami od dyskusji, skierował wzrok w stronę drzwi, gdy ukazała się w nich zwalista postać Gnapperla. Sierżant, przytrzymując hełm pod lewym ramieniem, nie zdradzał ani śladu zdenerwowania, chociaż niewątpliwie była to jego pierwsza audiencja u króla. Przymaszerował w kierunku Chakkella, zaszalutował bardzo poprawnie i czekał na pozwolenie, by się odezwać, lecz oczami, w których malował się złośliwy triumf, poszukał wzroku Tollera, przekazując mu wiadomość, zanim jeszcze wypowiedział ją słowami. Poczucie winy i smutek kazały Tollerowi opuścić wzrok, gdy pomyślał

O nieszczęsnym farmerze, na którego natknął się w drodze do Prądu jeszcze tego przedednia. Czyżby to naprawdę było tak niedawno? Obiecał Spennelowi pomoc i zawiódł go, a oliwy do ognia jego żalu dolewała świadomość, że Spennel się tego spodziewał. W jaki sposób miał bronić całego świata, jeśli nie umie uratować życia nawet jednemu człowiekowi...?

– Wasza Wysokość, egzekucja zdrajcy Spennela została przeprowadzona zgodnie z nakazem – ogłosił Gnapperl na znak Chakkella.

Chakkell wzruszył ramionami i zwrócił się do Tollera.

– Zrobiłem co w mojej mocy. Zadowolony?

– Chcę zadać temu człowiekowi parę pytań. – Toller



podniósł głowę i zatopił spojrzenie w Gnapperlu. – Liczyłem na to, że egzekucja się opóźni. Czy widok statku podniebnego nie wywołał zamieszek w mieście?

– Było wiele zamieszek, panie, lecz nie mogłem pozwolić, by stały one na drodze moim obowiązkom. – Gnapperl przemówił z niekłamaną dumą, czym jednocześnie chciał w skrytości ducha podrażnić Tollera. – Nawet kat wyruszył z tłumem w pogoni za statkiem, więc zmuszony byłem galopować kilka mil do utraty tchu, by go znaleźć

I sprowadzić z powrotem do miasta.

„Był to pierwszy kat, którego dziś spotkałeś”, pomyślał Toller. „Drugim jestem ja”.

– To wam się chwali, sierżancie – rzekł na głos. – Zdaje się, że przedkładacie swoje obowiązki ponad wszystko inne.

– Tak jest w istocie, panie.

– Co to za przedstawienie, Maraquine? – wtrącił Chakkell. – Nie wmawiajcie mi czasem, że zniżacie się do niesnasek ze zwykłymi żołnierzami.

Toller uśmiechnął się do króla.

– Wręcz przeciwnie, żywię dla sierżanta tak duże poważanie, że mam zamiar wcielić go do służby pod moimi rozkazami. To dopuszczalne, prawda?

– Już wam powiedziałem, że możecie wziąć każdego, kogo zechcecie – rzucił Chakkell niecierpliwie.

– Chciałem, by sierżant usłyszał to z ust Waszej Wysockości. – Toller mówił prosto do Gnapperla, który zdając sobie sprawę, że źle oszacował sytuację, zaczynał się niepokoić. – Czekają nas wiele niebezpiecznych zadań, gdy przyjdzie testować nasze nowe statki podniebne, unoszące się bez balonów w górnych rejonach atmosfery, i wtedy właśnie będę potrzebo-

wał ludzi, którzy przedkładają swoją służbę ponad wszystko inne. Sierzancie, odeślijcie resztę waszego oddziału z powrotem do Panvarla z ukłonami ode mnie, a potem zameldujcie się u pałacowego komendanta. Odmaszerować!

Gnapperl, pobladły i pogrążony w myślach, zasalutował i opuścił pomieszczenie, a za nim podążył zgięty w pół sekretarz.

– Powiedziałeś mu o naszych obradach – jęknął Chakkell.

– Im prędzej wieść się rozniesie, tym lepiej – stwierdził Toller. – Poza tym chciałem, by sierżant wyrobił sobie niejakię pojęcie o tym, co mam dla niego w zanadrzu.

Chakkell potrząsnął głową i westchnął.

– Jeśli masz zamiar ułatwić mu śmierć, zrób to szybko. Nie zniosę, byś marnował swój cenny czas na głupoty.

– Wasza Wysokość, w tym raporcie znalazłem coś, czego nie potrafię zrozumieć – odezwał się Zavotle, bezwiednie drapiąc się po brzuchu. Podczas rozmowy z sierżantem jego wąska głowa, o uszach odstających jak małe zaciśnięte piąstki, pochylała się nad książką depesz pułkownika Gartasiana. Zavotle wyglądał na zaintrygowanego.

– Czy to ma związek z muszkietem?

– Nie, Wasza Wysokość. Ma to związek z samymi Landyjczykami. Jeśli ci Nowi Ludzie o dziwnym wyglądzie są wyłącznie potomkami mężczyzn i kobiet częściowo odpornych na ptertozę, to czyż jakaś ich liczba nie powinna urodzić się i u nas?

– Być może narodziło się ich kilku – odparł Chakkell nie okazując szczególnego zainteresowania. – Rodzice prawdopodobnie pozbyli się ich szybko, nie chwając się nikomu. Albo

może ich cechy są utajone. Nie objawiają się aż do czasu, gdy wystawi się bachora na działanie toksyn, a pterta na Overlandzie nie jest trująca.

– Jeszcze nie – przypomniał mu Toller – ale jeśli nadal będziemy niszczyć drzewa brakka, pterty na pewno ulegną przemianie.

– O to trapić się będą już przyszłe pokolenia – stwierdził Chakkell łomocąc w stół pięścią jak młot. – Przed nami piętrzą się problemy, na których rozwiązanie mamy kilka dni, a nie kilka wieków. Słyszycie, co mówię? Dni!

„Słyszę”, pomyślał Toller i w myślach wznosił się już w kierunku strefy nieważkości, tego królestwa rzadkiego, zimnego, poznaczonego smugami meteorów powietrza, które przemierzył tylko dwa razy w życiu i nigdy nie spodziewał się, że ujrzy je ponownie.

## ROZDZIAŁ 5

Sen powracał wiele razy w ciągu nocy, przenosząc Bartana Drumme'a z powrotem do dnia pierwszego lotu powietrzną łodzią. Właśnie zacumował łódź i zmierzał w kierunku skąpanego w bieli gospodarstwa. Wewnętrzny głos łajał go ostrzegając, by nie wchodził do domu, lecz choć się bał, Bartan nie miał sił zawrócić. Otworzył zasuwę w zielonych drzwiach i pchnął je na oścież – a bestia czekała w środku, delikatnie wysuwając ku niemu swoją pojedynczą mackę. Tak jak to się stało w rzeczywistości, Bartan odskoczył w tył i upadł, a kiedy znów podniósł wzrok, potwór przemienił się w górę starych łąchów zawieszoną na kołku w ścianie. Sen różnił się od rzeczywistości tym, że fartuch nadal kiwał na niego ospale, w sposób, którego przyczyną nie mogły być chwilowe prądy powietrza, i to napełniało go większym strachem niż konfrontacja z samą bestią...

W tym momencie fBartan zawsze budził się z jękiem przerażenia, stwierdzając z ulgą, że znajduje się w normalnym świecie o nocnej porze, lecz za każdym razem, gdy udało mu się zdrzemnąć, sen zaczynał się od nowa.

W rezultacie z wdzięcznością witał powrót światła dziennego, mimo że wstawał skonany, a zmęczenie pulsowało w całym jego ciele. Zajął dużą działkę, tak jak się tego po nim

spodziewał Jop Trinchil, i każdego dnia zapracowywał się na śmierć, usiłując przygotować wszystko na przybycie Sondeweere.

Teraz, gdy powoził swoim odremontowanym wozem w stronę działki Phoratere'ów, kontrast pomiędzy zlanym słońcem powietrzem poranka a koszmarami ciemności pokrzepiał go, usuwając ostatnie ślady znużenia.

W nocy padało, powietrze było miękkie, gęste i pełne słodyczy. Prosta czynność oddychania nim przejmowała go subtelnym dreszczem i wzruszała, jak gdyby powietrze to pochodziło jeszcze z tamtych dawnych lat, kiedy był dzieckiem o marzycielskim spojrzeniu, postrzegającym przyszłość jako coś niewiele bliższego niż mieniąca się złota luna. Świadomość, że ten instynktowny optymizm z dzieciństwa był w pełni uzasadniony, przydawała w jego oczach jaśniejącym polom dodatkowego blasku.

Życie było przyjemne!

Utrzymując niebieskorożca w leniwym tempie, Bartan dokonywał w myślach przeglądu przeróżnych okoliczności, które sprawiły, że ten dzień był wyjątkowy w wyjątkowym okresie jego życia. Doszły go wieści od kasztelana okręgu, Majina Karrodalla, że wszystkie roszczenia ekspedycji zostały zarejestrowane i zatwierdzone w tutejszej stolicy. Farmerzy, szczęśliwi, że mogą objąć w posiadanie gotowe budynki i przygotowaną rolę, uważali teraz Bartana za swojego dobrodzieja. Jop Trinchil ustalił datę ślubu z Sondeweere, od której dzieliło go zaledwie dwadzieścia dni. A ponadto Bartan miał przed sobą wesołą biesiadę na cześć ratyfikacji zasiedlenia – na której będzie wiele różnorakiego jadła i picia, a także tańce do późnej nocy.

Hulanka nie miała ustalonej godziny rozpoczęcia, po prostu zaczęła się w ciągu dnia, kiedy to zjeżdżać s będą rodziny z farm położonych na peryferiach. Bartaa wyruszył wyjątkowo wcześniej, żywiąc nadzieję, że Sondeweere uczyni podobnie, uszczęśliwiając go w ten sposób kilkoma dodatkowymi godzinami swojego towarzystwa. Nie widział jej od co najmniej dwunastu dni i spragniony był widoku słodkiej twarzy, brzmienia głosu i oszałamiającego ciepła, gdy przytulała się do niego całym ciałem.

Myśl, że być może przybyła już do gospodarstwa Phoraterere'ów, kazała mu ponaglić niebieskorożca do szybszego biegu. Wkrótce dotarł do szczytu łagodnego wzniesienia, skąd rozciągał się widok na wiele mil. Sielankowy spokój okolicy współgrał z jego nastrojem. Nocny deszcz pogłębił błękit nieba, dało się dostrzec kilka zawirowań świetlnych oprócz szczodrego deszczu dziennych gwiazd. Poniżej horyzontu widniały płaty i pasy stepu, gdzie jedynym zauważalnym ruchem były rzadkie błyski ledwie widocznej pterty dryfującej na wietrze. W niewielkiej odległości, ozdobione prążkowanymi polami, stały budynki farmy Phoraterere'ów, prostokąty bieli i szarości. Harro i Ennda Phoraterere'owie sami zaproponowali swój dom, gdyż znajdował się on w najdogodniej położonej okolicy.

Bartan zaczął pogwizdywać, gdy wóz potoczył się swobodnie po stoku w dół, podążając po wyżłobionych w drodze koleinach. Zbliżywszy się do głównych zabudowań zauważył, że choć kilka wozów stoi przy stajni, nie ma pośród nich wozu Trinchila, którym miała przyjechać Sondeweere. Prawdopodobnie tamte, przybyłe tak wcześniej, należały do rodzin, których kobiety pomagały w przygotowaniach do przyjęcia.', Na

dworze ustawiono długi stół, obok którego stała grupa mężczyzn i kobiet, najwyraźniej pochłoniętych dyskusją. Niedaleko bawiły się dzieci w różnym wieku, wzniesając wesołą wrzawę śmiechów i nawoływań, lecz gdy Bartan zatrzymał się koło stajni, odniósł wrażenie, że dorosłych coś trapi.

– Cześć, Bartan. Wcześniej przyjechałeś. – Tylko jeden z farmerów, młody mężczyzna o rumianych policzkach i włosach jak stóg siana, odłączył się od towarzystwa, by przywitać Bartana.

– Cześć... Crain. – Bartan przypomniał sobie imię z pewną trudnością, ponieważ Phoraterie'owie stanowili rodziną liczną, a kilku jej członków było w podobnym wieku i podobnego wyglądu. – Czy jestem za wcześnie? Może odjadę i wrócę później?

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu... coś się wydarzyło. Trochę nam to pokrzyżowało szyki.

– Coś poważnego?

Crain wyglądał na zakłopotanego.

– Wejdz, proszę, do domu. Harro pragnie się z tobą zobaczyć. Właśnie mieliśmy wysłać jeźdźca, by cię sprowadził, gdy ujrzelimy twój wóz na wzgórzu. – Obrócił się i ruszył przed siebie, nim Bartan zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie.

Bartan pomaszerował do frontowych drzwi domu czując rosnącą ciekawość. Harro Phoraterie był głową rodziny, powściągliwym i małomównym czterdziestoletnim mężczyzną, który nie nabrał do Bartana takiej sympatii jak inni członkowie społeczności. To, że zaprosił Bartana do swego domu, było samo w sobie niezwykle i oznaczało, że naprawdę stało się coś nadzwyczajnego. Bartan zapukał w obite deskami drzwi i wszedł do środka obszernej, kwadratowej kuchni. Harro stał

przy wewnętrznych drzwiach, prowadzących prawdopodobnie do sypialni. Do prawego policzka przyciskał jakąś szmatkę, a na jego twarzy nie widać było śladu gorącego rumieńca, tak charakterystycznego dla całej rodziny.

– Jesteś wreszcie, Bartanie – powitał go przytłumionym głosem. – Cieszę się, żeś przyjechał wcześniej. Na gwałt potrzebuję twojej pomocy. Wiem, że w przeszłości nie okazywałem ci zbyt wiele serdeczności, ale...

– Zapomnij o tym – odparł Bartan podchodząc bliżej. – Powiedz lepiej, w czym mogę ci pomóc.

– Mów ciszej! – Harro przyłożył palec pionowo do ust. – Czy te cudownie misterne narzędzia, które nam pokazywałeś... te, których używasz do naprawy biżuterii... czy masz je ze sobą?

Zadziwienie Bartana sięgnęło szczytu.

– Tak, zawsze noszę kilka przy sobie. Mam je w wozie.

– Czy potrafiłbyś otworzyć te drzwi? Nawet jeśli z drugiej strony tkwi w zamku klucz?

Bartan przyjrzał się drzwiom. Jak na farmerskie domostwo były niezwykle dobrze wykonane, a to, że posiadały zamek zamiast zasuw, dowodziło, że budowniczy tego domu aspirował do godności szlacheckiej. Jednakże kształt dziurki od klucza kazał sądzić, że sam zamek należał do najprostszych i najtańszych mechanizmów zastawkowych.

– To dość łatwe zadanie – wyszeptał Bartan. – Czy w tym pokoju jest twoja żona? Mam nadzieję, że nie zachorowała.

– Tak, jest tam Ennda, zgadza się. Boję się, że zwariowała. Dlatego też nie wyłamałem drzwi. Wrzeszczy, jak tylko dotknę klamki.

Bartan pamiętał Enndę Phoratere jako przystojną, do-



brze zbudowaną kobietę pod czterdziestkę, lepiej wykształconą i bardziej elokwentną niż żony innych farmerów. Była osobą wybitnie praktyczną, o dobrym poczuciu humoru, chyba ostatnią osobą, po której by się spodziewał, że padnie ofiarą gorączki umysłu.

– Dlaczego myślisz, że zwariowała? – zapytał.

– Zaczęło się to w nocy. Zbudziłem się i poczułem, że

Ennda przyciska się do mnie i ociera. Rozumiesz, tak intymnie. Pojękiwała i nastawała na mnie, więc jej uległem. Prawdę mówiąc, nie miałem zbyt wielkiego wyboru... – Harro przerwał i spojrzał twardo na Bartana. – Ma to zostać między nami, pamiętaj.

– Oczywiście – zapewnił go Bartan. Już wcześniej zauważył, że choć farmerzy uwielbiali czynić wulgarne aluzje do seksu w codziennej rozmowie, raczej niechętnie mówili o swoim życiu osobistym.

Harro skinął głową.

– Otóż w szczytowym momencie Ennda... mnie ugryzła.

– Ale... – Bartan zawahał się próbując zgadnąć, czy wyrażanie namiętności w środowisku miejskim i na wsi bardzo się różnią. – Czasem się zdarza, że kochankowie...

– Aż tak? – spytał Harro odsuwając szmatkę od policzka.

Bartan wzdrygnął się, gdy ujrzał ranę na twarzy Harro: dwa zagięte nacięcia w kształcie otwartych ust, których krańce znajdowały się tak blisko siebie, że było oczywiste, iż z policzka Harro o mało nie wyrwano sporego kawałka ciała. Brzegi nacięć zostały zszyte czarną nitką, lecz krew nadal sączyła się miejscami, na przekór obfitej ilości pudru z kwiecia pieprzu, tradycyjnego kolcorroniańskiego środka tamującego upływ krwi. Skóra wokół rany była ciemna od sińców. Bez wątpienia

Harro będzie miał bliźnę do końca życia.

– Bardzo mi przykro – wymamrotał Bartan. – Nie miałem pojęcia...

Harro przykrył policzek.

– Zaraz potem Ennda zaatakował mnie bijąc pięściami po głowie, krzycząc, bym się wynosił z pokoju. Byłem zupełnie zбитy z tropu, zanim zorientowałem się, co się dzieje, byłem już na zewnątrz. Ennda zamknęła drzwi na klucz. Przez chwilę jeszcze coś krzyczała... brzmiało to jak „to nie sen, to nie sen”... potem ucichła i siedzi tak od kilku godzin. Tylko gdy ktoś dobieiera się do zamka – znowu zaczyna. Martwię się o nią, Bartanie. Muszę się tam dostać na wypadek, gdyby chciała zrobić sobie krzywdę. Krzyczała tak... tak...

– Zaczekaj tutaj. – Bartan ruszył do frontowego wejścia i, ignorując pytające spojrzenia ludzi przy długim stole, szybko podszedł do swego wozu. Otworzył pudełko z narzędziami. Gdy wyciągał zawiniątko z przyborami jubilerskimi, przy jego boku pojawił się Crain Phoratere.

– Umiesz to zrobić? – zapytał. – Dasz sobie radę z tymi drzwiami?

– Myślę, że tak.

– O jak to dobrze, Bartanie! Kiedy usłyszeliśmy krzyki, przybiegliśmy tutaj z przyległych domostw i znaleźliśmy Harro zupełnie nagiego, całego we krwi. Przyodziliśmy go i zaszliśmy ranę, ale potem on kazał nam wyjść. Nie chce z nikim rozmawiać. Może mu wstyd. No i nie wiemy, czy zastawiać stoły, czy nie. Może nie wypada.

– Gdy dostaniemy się do sypialni, zobaczymy, jak się czuje Ennda – odparł Bartan spiesząc z powrotem do domu. – Bądź gdzieś pod ręką. Zawołam cię, jeśli będziemy potrzebo-

wać pomocy.

– Dobry z ciebie człowiek, Bartanie – rzucił Crain z podziwem w głosie.

W domu zastał Harro pod drzwiami sypialni. Ukląkł obok niego i przyjrzał się szczegółowo dziurce od klucza, z satysfakcją stwierdzając, że zamek nie powinien stawić dużego oporu. Wybrał narzędzie, które się do tego najlepiej nadawało, i podniósł tfzrok na Harro.

– Zrobię to szybko na wypadek, gdyby Ennda zorientowała się, co się dzieje – ostrzegł. – Przygotuj się do wejścia.

Harro skinął głową. Bartan przekręcił klucz jednym ruchem i odsunął się, przepuszczając Harro, który przemknął obok niego i wpadł do pokoju. W przyćmionym świetle sączącym się z korytarza i z zakrytego okiennicami okna ujrzał Enndę Phoratere stojącą w rogu po drugiej stronie izby, z plecami przyciśniętymi do ściany. Białe otoczki wokół oczu i krew zakrzepła na brodzie pozbawiły ludzkiego wyrazu jej twarz otoczoną czarnymi, potarganymi włosami. Brązowawe plamki upstrzyły górną część koszuli nocnej.

– Kim jesteś?! – wrzasnęła na Harro. – Ani kroku dalej! Nie zbliżaj się do mnie!

– Ennda! – Harro wyrwał naprzód i chwycił żonę, mimo że okładała go pięściami, usiłując odpędzić od siebie. – Nie poznajesz mnie? Chcę ci pomóc. Enndo, proszę.

– Ty nie jesteś Harro! Ty... – zamilkła, wlepiła oczy w jego twarz i przycisnęła dłoń do ust. – Harro? Harro?

– Miałaś zły sen, ale jest już po wszystkim. Już po wszystkim, kochanie. – Harro pociągnął żonę do łóżka, posadził ją na nim, jednocześnie znacząco kiwając głową w kierunku okna. Bartan otworzył okiennice przemieniając strużkę

blasku w potok słonecznego światła. Ennda z niedowierzaniem potoczyła wzrokiem po pokoju, nim zwróciła się do męża.

– Twoja twarz! Spójrz tylko, co ci zrobiłam! – wydała najbardziej udręczony jęk, jaki Bartan kiedykolwiek słyszał, po czym pochyliła głowę i zauważając ślady krwi na koszuli nocnej zaczęła szarpać cienki, bawełniany materiał.

– Przyniosę trochę wody – zaproponował pospiesznie Bartan i opuścił pokój. Zaraz przed głównym wejściem zauważył Craina Phoraterę'a i wykonując gest, jakby odpychał powietrze, ostrzegł go, by przez jakiś czas pozostał na zewnątrz. Rozglądając się po kuchni, dostrzegł zielony szklany dzban i miednicę na kredensie. Nalał trochę wody do miski, zabrał myjkę, mydło i ręcznik, rozwlekając tę czynność do granic możliwości, po czym stanął w drzwiach sypialni. Koszula nocna Enndy leżała na podłodze, a ona sama spowita była w prześcieradło zabrane z łóżka.

– W porządku, chłopie – oznajmił Harro. – Wejdz. Bartan wkroczył do środka i przytrzymał misę, podczas gdy Harro zmywał krew z twarzy żony. W miarę jak znikwały szpecące, łuskowate plamy, Harrowi polepszała się nastrój, co naprowadziło Bartana na myśl, że niektóre podyktowane troską czynności działają kojąco zarówno na tych, którzy je wykonują, jak na tych, którzy są przedmiotem troski. Sam także poczuł ulgę, choć sumienie natychmiast zarzuciło mu samolubstwo – zagrożony został wyjątkowy dzień w jego życiu, ale zagrożenie powoli mijało. Enndzie Phoraterę przyśniło się coś złego, z nieszczęśliwym skutkiem, lecz teraz życie powracało na miłe, utarte szlaki i wkrótce będzie tańczył z Sondeweere, piersią w pierś, udem w udo...

– Teraz lepiej – powiedział Harro zwilżając twarz żony ręcznikiem. – Miałaś zły sen. Teraz możemy zapomnieć o tym na dobre i...

– To nie był sen! – W jej głosie pobrzmiwał cienki, zawodzący ton, który trochę przyhamował wzbierający w Bartanie przypływ optymizmu. – To działa się naprawdę!

– Nie mogło się dzieć naprawdę – odparł Harro odwołując się do zdrowego rozsądku.

– A twoja twarz? – Ennda zaczęła kołysać się delikatnie w tył i w przód. – Nie było tak jak we śnie. Zdawało się odbywać na jawie, toczyć się i toczyć bez końca... bez końca...

Harro usiłował okazać wesołość.

– Nie mogło być gorsze od niektórych snów, które ja miewam, szczególnie po twoich ciasteczkach łożowych.

– Jadłam twoją twarz. – Emma posłała mężowi niemy, straszny uśmiech. – Nie ugryzłam cię po prostu w policzek, Harro. Zjadłam calutką twoją twarz, a trwało to godzinami. Odgryzłam ci usta i żułam je. Zębami oderwałam ci nozdrza i żułam je. Odgryzłam ci przód twoich gałek ocznych i wyssałam płyn ze środka. Kiedy skończyłam, nic nie zostało z twojej twarzy... ani trochę... nie było nawet uszu... Została tylko czerwona czaszka z resztką włosów na czubku. Oto co robiłam z tobą w nocy, Harro, mój ukochany. Więc lepiej nie opowiadaj mi o własnych nocnych koszmarach.

– Już po wszystkim – odparł Harro niespokojnie.

– Tak sądzisz? – Ennda zaczęła kołysać się gwałtowniej, jakby napędzana przez niewidzialny silnik. – Było jeszcze coś. Nie opowiadałam ci jeszcze o tym ciemnym tunelu... pełzaniu przez ciemny tunel pod ziemią... a wszystkie te obmierzłe, łuszczące się ciała cisnęły się na mnie...

– Chyba będzie lepiej, jak sobie pójdę – odezwał się Bartan ruszając do drzwi z miską w ręce.

– Nie, nie odchodź, przyjacielu. – Harro podniósł rękę, by wstrzymać Bartana. – Ennda lepiej się czuje w towarzystwie.

– ...miały wiele nóg, a ja wyglądałam tak samo... miałam wiele nóg... i tułów... i mackę wyrastającą mi z gardła. – Ennda nagle przestała się kołysać, wcisnęła prawy bark pod brodę i wyprostowała rękę do przodu. Wykonała nią łagodny, falujący ruch, jakby w ramieniu nie było kości; ruch, który odbił się w głębi umysłu Bartana, sprawiając, że poczuł on niewytłumaczalne przerażenie.

– No cóż, w takim razie pójdę odłożyć miskę – odrzekł czując się jak zdrajca. Pragnął umknąć z tego domu, zostawić tych dwoje nieszczęśników, by sami rozwiązywali problemy, z którymi nie miał nic wspólnego. Minął wyciągniętą rękę Harro, pomaszerował żwawo do kuchni i postawił miskę z chłupotem na kredensie. Odwrócił się i właśnie gdy miał pospieszyć ku zdroworoządkowej jasności za frontowymi drzwiami, usidliły go ruchy Enndy. Podniosła się na nogi niepomna, że prześcieradło zsuwa się jej z ciała, i poruszała się, jak gdyby wykonywała jakiś przedziwny nieznany taniec, a jej ramię wiło się jak wąż i wykręcało.

– Dziwnie się to zaczęło – zamruczała. – Naprawdę dziwnie. Niesłusznie nazywam to początkiem, gdyż wielokrotnie powracałam do tego domu. Był to zwykły dom farmerski... cały w bieli, miał zielone drzwi... ale bałam się wejść... jednak musiałam wejść...

Kiedy otworzyłam zielone drzwi, w środku nie było nic oprócz starych łańców wiszących na kołku w ścianie... stary kapelusz, stary płaszcz, znoszony fartuch... Wiedziałam, że

powinnam zmykać teraz, kiedy byłam jeszcze bezpieczna, lecz coś zmusiło mnie, bym weszła...

Bartan zatrzymał się w drzwiach do sypialni, czując jak po ciele przebiega mu zimny dreszcz. Ennda patrzyła prosto na niego, przez niego.

– Otóż pomyliłam się. Nie były to stare ubrania. To był jeden z nich... ta macka, która się do mnie wysunęła... tak łagodnie...

Harro przysunął się do żony ściskając ją za ramiona.

– Przestań, Enndo, przestań wreszcie!

– Ale ty niczego nie rozumiesz. – Znów uśmiechnęła się, owijając ramię wokół jego szyi. Prześcieradło opadło na podłogę. – Nikt mnie nie atakował, najdroższy... to było zaproszenie... zaproszenie do miłości... i ja tego chciałam. Weszłam do domu i objęłam to monstrum... i byłam szczęśliwa czując, jak wsuwa we mnie swój bladoszary penis...

Ennda naparła na Harro, jej nagie pośladki zaczęły zwierać się i falować. Posyłając błagalne spojrzenie Bartanowi, Harro użył całej siły, by położyć żonę na łóżko. Bartan wpadł do sypialni, zatrzasnął za sobą drzwi i rzucił się na zmagającą się parę, pomagając unieruchomić miotające się ciało Enndy. Jej zęby kłapały, gdy zwierwały się na pustym powietrzu, a miednica unosiła się w górę raz za razem, lecz z widocznie słabnącą siłą. Gałki oczne zapadły się ze znużeniem, ciałem znów zawładnął spokój. Bartan przejął inicjatywę i przykrył ją tym samym prześcieradłem, które opadło na ziemię, lecz myślami był gdzie indziej, błędząc po dziwnych bezkresach wątpliwości i zakłopotania. Czy określeniem „zbieg okoliczności” można było objąć dwoje ludzi śniących ten sam sen w tym samym czasie? Być może tak, gdyby temat był banalny, ale nie

gdy... Przecież to naprawdę się mu przydarzyło! Bartan poczuł zimne ukłucie w skroniach, gdy przypomniał sobie, że on naprawdę był w tamtym domu, że przekroczył zielone drzwi. Lecz na jawie potwór okazał się ułudą, a w rojeniach Enndy był rzeczywistością. „Wszechświat tak nie wygląda”, powiedział sobie w duchu Bartan. „Coś złego musiało stać się z wszechświatem...”

– Chyba teraz z nią lepiej – wyszeptał Harro głaszcząc żonę po czole. – Potrzebuje pewnie tylko kilku godzin zdrowego snu. Tak, właśnie tego jej trzeba.

Bartan wstał, starając się zakotwiczyć myśli w namacalnej rzeczywistości.

– A co z uroczystością? Czy chcesz wszystkich odesłać?

– Niech zostaną. Najlepiej będzie, jeśli Ennda znajdzie wokół siebie przyjaciół, gdy się zbudzi. – Harro powstał i spojrzał Bartanowi prosto w oczy ponad dzielącym ich łóżkiem. – Nie ma potrzeby o tym rozpowiadać, prawda? Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że Ennda zwariowała, a szczególnie Jop.

– Nic nikomu nie powiem.

– Jestem ci wdzięczny – odparł Harro pochylając się, by ścisnąć rękę Bartanowi. – Jop jest zbyt zajęty, by interesować się tymi wszystkimi opowieściami o snach i koszmarach, które ostatnio nas nawiedzają. Twierdzi, że jeśli ludzie pracowałyby tak ciężko, jak trzeba, to byliby zbyt zmęczeni, żeby śnić po nocach.

Bartan zmusił się do uśmiechu. Czyżby inni też mieli złe sny? Czy właśnie to przepowiedział kasztelan Karrodall? Czy jest to dopiero początek? Początek czegoś okropnego, czegoś, co mogłoby wymieść stąd nową falę osadników – tak jak ich



poprzedników?

– Kiedy pod koniec dnia skłaniam głowę na poduszkę – powiedział żałośnie, odsuwając wspomnienia snu, który prześladował go nocą – mam wrażenie, że umieram na jakiś czas. Nic nie dzieje się aż do świtu.

– Każdy, kto sam haruje na swoim, ma prawo być zmęczony. A co dopiero ktoś, kto nie przywykł do tego od urodzenia.

– Sąsiedzi mi pomagają – odpowiedział Bartan, chętnie rozmawiając o banałach, gdy jednocześnie usiłował ułożyć sobie nowy wewnętrzny obraz świata. – Jak się ożenię, to...

– Muszę założyć opatrunek na ranę odniesioną w boju – przerwał Harro klepiąc się z animuszem w policzek. – Idź na zewnątrz i spytaj, dlaczego wszyscy stoją z założonymi rękami, zamiast czynić przygotowania do świętowania. Powiedz im, że ma to być dzień, który wszyscy będą pamiętać.

Nadeszły wieści, że Jop Trinchil z rodziną nie przyjedzie aż do południa, zatem Bartan zabijał czas pomagając tam, gdzie potrafił w przeróżnych pracach przygotowawczych, jakie toczyły się na całej farmie. Jego wysiłki witano z dużą dozą humoru, lecz wkrótce kobiety dały mu do zrozumienia, że bardziej im przeszkadza, niż pomaga, szczególnie że nie mógł się skupić i popełniał wiele błędów. Wycofał się na ławkę przy kuchni naprzeciwko sadu, gdzie kilku mężczyzn wygrzewało się na słońcu dzieląc się dzbanem zielonego wina.

– Dobrze zrobiłeś, chłopie – odezwał się Corad Furcher przyjacielskim tonem, wręczając Bartanowi pełen kubek. – Kobiety same dadzą sobie z tym wszystkim radę. – Furcher był mężczyzną w średnim wieku o żółtawych włosach, co wskazywało na pokrewieństwo z rodziną Phoratere'ów.

– Dzięki. – Bartan łyknął słodkiego płynu. – Wielkie tam zamieszanie i rzeczywiście trochę plątałem się im pod nogami.

– Tam tkwi źródło naszych kłopotów. – Furcher wykonał gest, którym omiół czystą, błękitną kopułę nieba. – Kiedy żyliśmy na Starym Świecie, wiadomo było, że z nastaniem małonocy trzeba rozpocząć obchody, tutaj zaś słońce świeci i świeci i organizm nie może należycie się ustawić. To życie na peryferiach jest sprzeczne z naturą. Jestem lojalnym poddanym, jak każdy, ale jednak twierdzę, że król Chakkell rozbił porządek rzeczy, gdy porzysłał nas po całej planecie. Popatrzcie na to niebo! Puste! Czuję się tu, jakby mi się ktoś cały czas przyglądał.

Mężczyźni pokiwali z aprobatą głowami i wdali się w dyskusję o niedogodności mieszkania na tej półkuli Overlandu, z której w ogóle nie widać bliźniaczej planety. Niektóre wysnuwane przez nich teorie na temat wpływu, jaki ma niezmaczony dzień na zbiory i zachowanie zwierząt, brzmiały w uszach Bartana wysoce podejrzanie. Złapał się na tym, że bardziej niż zwykle tęskni za towarzystwem Sondeweere, a jednocześnie zmagają się z zagadką przerażającego koszmaru Enndy Phorater. Musiał odrzucić zbieg okoliczności, może jednak klucz do tajemnicy tkwił w samej naturze rojeń. Czy to możliwe, jak twierdzą niektórzy, że umysł wymyka się z ciałaj podczas snu? Jeśli tak, to dwie odcieleśnione osobowości l mogłyby się przypadkiem spotkać i zjednoczyć na krótko J w ciemności, wzajemnie wpływając na swoje sny.

Bartan nie chciał wyrzec się wizji szczęśliwej przyszłości,; a ta nowa koncepcja zdawała się nieść jej ocalenie. Gdy' mocne wino zaczęło działać, pomyślał, że cały ten epizod j był co prawda niespotykany i nieprzyjemny, ale da się go wytłu-

maczyć jako manifestację złożoności i subtelności natury. optymizm odrodził się w nim w pełni na widok Enndy, która wyłoniła się z domu i zabrała się do pozornie ślimaczących się bez końca przygotowań do nadchodzącego przyjęcia. Z początku zachowywała się trochę niepewnie, lecz wkrótce śmiała się wraz z innymi i Bartan uznał, że czarne nastroje nocy zostały rozproszone i zapomniane. Na ich tle dzień wydawał się o wiele bardziej radosny.

Nie przywykł do picia wina i gdy wóz Trinchila pojawił się w dali, był już w stanie euforii, spotęgowania tego, co czuł na początku dnia. W pierwszym odruchu chciał wyjść i przywi» tac się z Sondeweere, ale powstrzymała go żartobliwa chęci pojawienia się u jej boku z zaskoczenia. Poszedł na miejsce, | gdzie zaparkowali inni farmerzy, wcisnął się pomiędzy dwaj wysokie wozy i zaczekał, aż nowi przybysze zajadą tuż obok. Na wozie siedziało więcej niż tuzin członków rodziny Trinchila, toteż hałas gwałtownie wzmógł się, gdy zaczęli się z niego wysypywać, a dzieci rywalizowały ze starszymi w wykrzykiwaniu powitań do przyjaciół. Pomimo swojego olbrzymiego cielska Jop Trinchil pierwszy wylądował na ziemi. Pomaszerował zamasyście do obładowanych stołów, najwyraźniej w zadziornym nastroju, pozostawiając kobietom zarządzanie rozładunkiem niemowląt i koszyków.

Bartan stał jak zaczarowany, widząc, że Sondeweere ma na sobie najpiękniejszą suknię – jasnozielone, dobrze uszyte odzienie, z oliwkowym filigranowym wzorkiem, które podkreślało jej jasną cerę i umacniało przekonanie Bartona, że należy ona do lepszej klasy niż inne kobiety. Opuszczała wóz jako ostatnia, omdlewającym ruchem stając na nogach, jakby w powolnym, zmysłowym tańcu, który wzbudził łomot w pier-

siach Bartana.

Miał już wyłonić się z kryjówki, gdy ujrzał, że jeden z synów Jopa, przedwcześnie rozwinięty, umięśniony siedemnastolatek o imieniu Glave, stanął obok wozu ze wzniesionymi ramionami, by pomóc zsiąść Sondeweere. Posłała mu z góry uśmiech i spuściła nogi z wozu pozwalając, by objął ją w talii swoimi wielkimi dłońmi. Z łatwością przyjął jej ciężar i opuścił ją na ziemię w taki sposób, by ich ciała otarły się o siebie. Sondeweere nie zdała się tym oburzona. Pozwoliła, by ten intymny kontakt trwał kilka sekund, spoglądając cały czas w oczy Glave'a, potem lekko potrząsnęła głową. Glave natychmiast ją puścił, powiedział coś, czego Bartan nie dosłyszał, i dał susa w ślad za rodziną.

Bartan wynurzył się ze swojej kryjówki zagniewany i zbliżył się do Sondeweere.

– Witaj na przyjęciu – odezwał się pewny, że zawstydzi się, gdy zrozumie, że była obserwowana.

– Bartan! – podbiegła do niego uśmiechając się promiennie, zawinęła ręce wokół jego ciała i wtuliła głowę w jego pierś. – Czuję się, jakby całe lata minęły, od kiedy cię ostatnio widziałam.

– Czyżby? – odparł nie odwzajemniając uścisku. – A może znalazłaś sposób na umilenie sobie czasu?

– Oczywiście, że nie! – Uświadamiając sobie sztywny opór jego ciała, Sondeweere odsunęła się na krok, by mu się przyjrzeć. – Bartan! O czym ty mówisz?

– Widziałem cię z Glave'em.

Przez chwilę Sondeweere stała z otwartą buzią, a potem zaczęła się śmiać.

– Bartanie, Glave jest tylko chłopcem! I do tego moir

kuzynem.

– Prawdziwym kuzynem?

– To nie ma nic do rzeczy. Nie ma powodu, byś byłjż zazdrosny. – Sondeweere uniosła lewą dłoń i poklepała pierścień z drzewa brakka na szóstym palcu. – Cały czas go noszę, kochanie.

– To nie dowodzi... – Gardło Bartana zacisnęło się boleśnie, nie pozwalając mu dokończyć zdania.

– Czemu zachowujemy się wobec siebie jak obcy? – Sondeweere wpiła w Bartana miękkie, lecz znaczące spojrzenie, a potem ponownie go objęła i zarzuciła ręce na szyję przyciągając jego twarz do swojej. Nigdy nie był z nią w łóżku, lecz nim pocałunek się skończył, miał niejakię pojęcie o tym, jak to będzie, i wszystkie myśli o rywalizacji i innych kłopotach wywietrzył mu z głowy. Odpowiedział łapczywymi pocałunkami, aż w końcu dziewczyna oderwała się od niego.

– Praca w polu dodaje ci sił – wyszeptała. – Widzę, że będę musiała obchodzić się z tobą ostrożnie i zaprzyjaźnić się z całą masą panien.

Połehtany i podniesiony na duchu spytał:

– Nie chcesz mieć dzieci?

– Oczywiście, że tak, i to bardzo dużo, ale nie od razu.

Przed nami wiele pracy.

– Nie rozmawiajmy już o pracy. – Bartan wziął za rękę Sondeweere i odszedł z nią od zabudowań gospodarczych do skąpanej w słońcu ciszy otwartego pola, gdzie zboża w różnym stadium dojrzałości połyskiwały zwięzającymi się w oddali pasmami. Spacerowali razem dobrą godzinę, ciesząc się swym towarzystwem, spędzając czas na niewymuszonej rozmowie kochanków i licząc meteory, które raz po raz rysowały

na niebie srebrne linie. Bartan chciał zatrzymać Sondeweere tylko dla siebie aż do zapadnięcia nocy, lecz ustąpił, gdy zdecydowała, że powinni zdążyć na rozpoczęcie tańców.

Zanim dotarli do głównych budynków, Bartan poczuł pragnienie. Czuł, że roztropnie byłoby nie pić już więcej wina, więc przyłączył się do mężczyzn okupujących baryłki z ciemnym piwem i nalał sobie trunku, który nie uderza tak mocno do głowy. Jak się spodziewał, musiał odparować sprośne uwagi na temat tego, co robił, kiedy zniknął z Sondeweere. Wyłonił się z grupy z ciężkim kuflem piwa w dłoni. W cieniu stodoły zaczęło grać trzech muzykantów i kilka młodych kobiet – między nimi Sondeweere – splotło dłonie i rozpoczęło pierwszy z tańców.

Bartan przyglądał się temu w nastroju niewypowiedzianego zadowolenia, biorąc małe, lecz regularne łyki piwa. Niektórzy z farmerów przemogli swoją niezdarność i krąg tancerzy stopniowo się rozszerzał. Skończył piwo, postawił kufel na pobliskim stole i już robił krok w kierunku Sondeweere, gdy uwagę jego przykuła grupa małych dzieci bawiąca się na skrawku trawy w pobliżu sadu. Wszystkie miały nie więcej niż trzy, cztery lata. Poruszały się w ciszy po okręgu pochłonięte swoim własnym tańcem o powolniejszym rytmie niż muzyka dorosłych. Przygarbiony prawy bark wcisnęły pod brody, a wysunięte w przód prawe ramię łagodnie falowało i wiło się jak kłębowisko węży.

Ruchy te były dziwnie nieludzkie, dziwnie niepociągające – i dokładnie naśladowały te, którymi Ennda Phoratere przedstawiła obsceniczne okropieństwa swojego snu.

Bartan odwrócił się od dzieci marszcząc brwi, czując się nagle potwornie samotny wśród radości i niewinności swoich

sąsiadów.

## **Pole Bitwy**

### **ROZDZIAŁ 6**

W drodze do głównego wyjścia pałacu Gesalla Maraquine bez przerwy mówiła o domowych błahostkach tą taktyką skuteczniej zbijając Tollera z tropu i doprowadzając go do wściekłości, niż gdyby milczała jak grób.

Tollerowi jakoś nie udało się powrócić do domu, choć to już dwadzieścia dni minęło od niespodziewanej wizyty statku z Landu, toteż ucieszył się, kiedy Gesalla przybyła, by spędzić z nim noc. Ale jej pobyt nie sprawił mu takiej przyjemności, jakiej się spodziewał. Była w dziwnym nastroju, tajemnicza i jakby nieobecna, a gdy dowiedziała się, że on wyruszy z pierwszą fortecą, stała się nieznośnie cierpka. Później, w łóżku, na jego poczynania reagowała z bezwolną uległością, która raniła bardziej niż otwarta odmowa i która sprawiała, że porzucił wszelkie myśli

O miłości. Przez całą noc leżał z dala od niej, fizycznie

I psychicznie rozbity, a kiedy wreszcie zapadł w sen, śnił o spadaniu – nie takim zwyczajnym, ale o trwającym cały dzień spadaniu ze strefy nieważkości...

Teraz więc, gdy odprowadzał Gesallę do głównego wyjścia, prawie nie słuchał potoku słów i w końcu przerwa jej bezceremonialnie.

– Cassyll czeka na ciebie. Dobrze, że będziesz miała towarzystwo w drodze do domu.

Gesalla skinęła głową.

– To bardzo dobrze. Ostatecznie mogłeś przecież zdecydować, że pojedzie z tobą.

– O czym ty mówisz? Chłopak nie interesuje się lataniem.

– Strzelanie też go nie interesowało... dopóki nie kazałeś mu zająć się tymi przeklętymi muszkietami. Teraz widuję go



tak samo rzadko jak ciebie.

– Czy dlatego zachowujesz się tak dziwnie? – Toller zatrzymał żonę w tłoczonym, wysoko sklepionym korytarzu, odczekał, aż mijająca ich grupka urzędników znajdzie się poza zasięgiem jego głosu, i cicho powiedział: – Dlaczego nie porozmawialiśmy w nocy?

– A czy to zmieniliby twoje plany?

– Nie.

Gesalla spojrzała na niego z irytacją.

– Zatem w jakim celu mielibyśmy rozmawiać?

– A w jakim celu przybyłaś do pałacu? Aby sprawić mi ból?

– Czyżbyś powiedział: ból? – Gesalla roześmiała się niedowierzająco. – Słyszałam, że oszalałeś i uparłeś się walczyć z tym... Karkarandem, czy jak tam się nazywa.

Toller zamrugał, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

– To był jedyny sposób...

– A teraz znów popadłeś w obłąd i upierasz się lecieć, choć absolutnie nie ma takiej potrzeby. Tollerze, jak myślisz, co czuję wiedząc, że mój mąż woli umrzeć, niż żyć ze mną?

Toller męczył się nad enalezieniem stosownej odpowiedzi; zyskał nieco na czasie dzięki temu, że obok przechodzili dwaj urzędnicy, obrzucając go ciekawskimi spojrzeniami. Znalazł się w jednej z tych sytuacji, kiedy Gesalla budziła w nim niemal zabobonny strach. Jej owalna twarz była blada i piękna, a w szarych oczach błyszczały inteligenta i zdecydowanie, i pokonanie jej w słownej potyczce, szczególnie gdy szło o ważne sprawy, było po prostu niemożliwe.

– Wiem, że na razie trudno ci w to uwierzyć, ale nastał czas kryzysu – powiedział powoli. – Ja tylko robię to, co do

mnie należy, i nienawidzę tego tak samo... – Zawiesił głos, gdy zobaczył, że Gesalla potrząsnęła głową.

– Nie okłamuj mnie, Tollerze. Nie okłamuj siebie. To wszystko cię bawi.

– Bzdura!

– Odpowiedz mi na jedno pytanie – czy kiedykolwiek myślisz o Leddravohrze?

Toller, zbity z tropu, przypomniał sobie nagle księcia, którego nienawiść zmieniła jego całe życie i z którym stoczył śmiertelny pojedynek po wylądowaniu na Overlandzie lata temu.

– O Leddravohrze? A dlaczegoż miałbym o nim myśleć? Gesalla błysnęła słodkim, bardzo słodkim uśmiechem,

który zwykle poprzedzał jej najgroźniejsze wybuchy.

– Ponieważ byliście parą sześciolatek, ty i on. Odwróciła się i odeszła; wyprostowana sunęła przez tłum

z właściwą tylko jej gracją.

„Nikt nie może tak do mnie mówić”, myślał skonsternowany, podążając za żoną. Starał się ją doścignąć, lecz Gesalla szybko minęła hakowate wejście i wyszła na zalany słońcem dziedziniec. Nim dotarł do niej, Cassyll już podprowadzał dwa niebieskorożce.

Cassyll Maraquine był wysoki jak ojciec, szczupły i długo-kościsty, dzięki czemu mógł biegać przez dwie czy trzy godziny bez śladu zmęczenia i nie zmniejszając tempa. I jak jego matka – miał ślicznie zarysowaną owalną twarz i zadumane szare oczy pod grzywą czarnych włosów.

– Dobrego przeddnia, matko, ojczy – przywitał ich ukłonem i natychmiast zwrócił się do Tollera. – Przywiozłem próbki nowej partii sfer ciśnieniowych. Są bez wad, ani jedna

nie uległa zniekształceniom w czasie testu, możemy więc od razu rozpocząć produkcję niezawodnych muszkietów. Mam je w sakwie przy siodle. Chcesz zobaczyć? Toller zerknął na nieruchomą twarz Gesalli.

– Nie teraz, synu. Nie dzisiaj. Planowanie produkcji zostawiam tobie i Wróble'owi, ja sam mam na głowie inne sprawy.

– Och! – Cassyll podniósł brwi i spojrzał na ojca z nieukrywanym podziwem. – Więc to rzeczywiście prawda! Lecisz z pierwszą fortecą!

– Tak musi być – rzekł Toller, żałując, że Cassyll nie zareagował inaczej. Nie zajmował się wychowaniem syna, w interesach króla często przebywał z dala od domu i od dawna martwił się, że chłopiec uważa go za wspaniałego awanturnika, ojca, z którego można być dumnym. Współzawodniczenie z Gesallą o syna nie miało sensu, nigdy nawet nie próbował. Zresztą chłopak sam zaczął wykazywać silne zainteresowanie nową nauką, metalurgią. Ale teraz ich wzajemne stosunki uległy zmianie, pojawiły się trudności – i to właśnie teraz, gdy Toller nie był w stanie się z nimi rozprawić. Pierwsze dwie fortece skonstruowano zaledwie w ciągu kilku dni, nie miał czasu na dokładne przestudiowanie wszystkich problemów, zbliżający się start zajmował w jego myślach tyle miejsca, że wszystko inne wydawało się odległe i nieistotne. W głębi duszy już unosił się w niebezpiecznych błękitnych przestworzach, a przyziemne sprawy irytowały go i niecierpliwiły.

– Porozmawiam z Wroble'em przed zapadnięciem nocy – powiedział Cassyty. – Jak długo cię nie będzie?

– Może jakieś siedem dni przy pierwszym locie. Wiele zależy od przebiegu operacji.

– Powodzenia, ojcze. – Cassyll potrząsnął ręką ojca, po czym przytrzymał jednego z niebieskorożców, by Gesalla mogła wygodnie dosiąść wierzchowca. Z lekkością świadcząca o jeździeckich talentach wskoczyła na siodło swobodna i śliczna w doskonale skrojonej amazonce i spojrzała na Tollera z wyrazem będącym dziwną mieszanką gniewu i smutku. Pojedyncze pasemko w jej włosach błyszczało niczym srebro.

– Nie zamierzasz życzyć mi szczęścia? – zapytał.

– A dlaczego miałabym to robić? Zapewniłeś mnie, że wyprawa będzie całkowicie bezpieczna.

– Tak, ale...

– Więc do zobaczenia, Tollerze. – Gesalla ściągnęła wodze i ruszyła w kierunku pałacowej bramy.

Cassyll chwilę milczał z zakłopotaniem.

– Coś nie tak, ojcze?

– Nic, czego nie bylibyśmy w stanie naprawić, synu. Opiekuj się matką.

Toller patrzył, jak syn wsiada na niebieskorożca i podąża za matką, potem odwrócił się i ruszył do pałacu, brnąc w ludzkim potoku niczym ślepiec. Uszedł ledwie kilka jardów, gdy usłyszał dobiegający z tyłu odgłos pospiesznych kobiecych kroków. Przypuszczenie, że może to być Gesalla, biegnąca za nim by załagodzić sprzeczkę, wydało mu się mało sensowne, niemniej jednak ucieszył się. Przystanął i odwrócił się, by spojrzeć jej w twarz. Radość przemieniła się w rozczarowanie: ujrzał drobną, czarnowłosą kobietę mającą nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, odzianą w szafirowy mundur kapitana sił powietrznych. Błękitne pagony na ramionach gęsto haftowanej kurtki wskazywały, że jest przydzielona do pospiesznie sformowanej Służby Kosmicznej. Na twarzy o mocno zaryso-

wanej szczęce, pełnych ustach i niemodnie gęstych brwiach malował się wyraz niezadowolenia.

– Lordzie Tollerze – zagadnęła – czy moglibyśmy zamienić kilka słów? Jestem kapitan Berise Narrinder, i od kilku dni próbuję z tobą porozmawiać, lordzie.

– Przykro mi, kapitanie. Wybraliście sobie najmniej odpowiednią porę.

– Lordzie, to potrwa ledwie chwilę. I jest ważne. Kobieta nie przejęła się jego odmową i ten fakt sprawił, że Toller przyjrzał się jej dokładniej. Gdzieś w głębi mózgu przemknęła myśl, że gdyby nie mundur, byłaby bardzo atrakcyjna. Rozeźlony znów pożałował, że królowa Daseene nie posiada nieco mniejszego wpływu na swego męża. To dzięki jej uporowi do Służby Powietrznej zaczęto przyjmować kobiety, i to ona wymogła na Chakkellu obietnicę, że ochotniczki wejdą w skład załóg statków i fortec.

– W porządku, kapitanie. Co jest takie ważne?

– Dowiedziałam się, że to ty, lordzie, wydałeś rozkaz zabraniający kobietom udziału w pierwszych dwunastu lotach do strefy nieważkości. Czy to prawda?

– Tak, prawda. I co z tego?

Brwi Berise zlały się w jedną linię nad intensywnie zielonymi oczami.

– Z największym szacunkiem, lordzie, chciałabym powołać się na prawo protestu zagwarantowane przez Regulamin Służby.

– W czasie wojny nie obowiązuje żaden regulamin. – Toller mrugnął do niej. – Ale przeciwko czemu właściwie chcecie protestować, kapitanie?

– Zgłosiłam się na ochotnika do służby na czas lotu i zo-

stałam odrzucona tylko dlatego, że jestem kobietą.

– Mylicie się, kapitanie. Gdybyście byli kobietą obeznaną z pilotażem w strefie nieważkości i wykonywaniem manewru odwrócenia, dostalibyście przyjęci albo przynajmniej wasza kandydatura zostałaby rozważona. Gdybyście byli kobietą doświadczoną w dziedzinie sztuki artyleryjskiej lub posiadali siłę wystarczającą do przemieszczania segmentów fortecy, zostalibyście przyjęci albo przynajmniej wzięci pod uwagę. Zostaliście odrzuceni dlatego, że nie posiadacie odpowiednich kwalifikacji, kapitanie. Czy teraz mogę zaproponować, żeby każde z nas powróciło do swych obowiązków?

Toller minął ją, lecz nagle przypomniał sobie błysk gniewu i rozpaczy w zielonych oczach Berise. Wywołało to w nim pewien oddźwięk. Ile razy w młodości sam wściekał się, gdy regulamin stawał mu na przeszkodzie? Do pomysłu wysyłania kobiet na linię frontu odnosił się wprawdzie z instynktowną niechęcią, ale jeśli nauczył się czegoś od Gesalli, to właśnie tego, że odwaga nie jest wyłącznie męską cechą.

– Zanim się rozstaniemy, kapitanie – powiedział, zwalniając kroku – dlaczego tak bardzo zależy wam na locie do punktu środkowego?

– Nigdy nie będzie drugiej takiej okazji, lordzie, i mam takie samo prawo jak każdy mężczyzna.

– Jak długo latacie?

– Trzy lata, lordzie. – Berise pilnie przestrzegająca wymogów etykiety i zwracała się do Tollera per „lordzie”, ale jej surowy wyraz twarzy i zaróżowione policzki jasno mówiły, że jest na niego wściekła. A on ją za to polubił. Czuł naturalną więź z ludźmi, którzy nie potrafili maskować swoich uczuć.

– Moja zasada dotycząca fortec nie ulega zmianie – po-

wiedział, postanawiając pokazać jej, że jest dość młody, by rozumieć młodzieńcze ambicje. – Ale kiedy fortece znajdą się na miejscu, rozpoczną się częste loty zaopatrzeniowe i załogi samych fortec będą regularnie zmieniane. Jeżeli zdołacie utrzymać na wodzy swą niecierpliwość, będziecie mieli dość okazji, by udowodnić swoją wartość w strefie środka.

– Jesteś bardzo uprzejmy, lordzie Tollerze. – Ukłon Berise zdawał się głębszy, niż to było konieczne, a jej uśmiech mógł oznaczać tyleż wdzięczność, co rozbawienie.

„Czy zachowałem się jak napuszony głupek?”, pomyślał Toller, obserwując ją spod rzęs, gdy odchodziła. „Czy ta dziewczyna kpi sobie ze mnie?”

Przez chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem, nagle pojął, że błaha sprawa oderwała go od głównych problemów i z irytacji aż klasnął językiem.

Plac defilad na tyłach pałacu został wybrany jako miejsce startu, ponieważ był zamknięty ze wszystkich stron, oraz by król Chakkell mógł czuwać nad realizacją projektu podniebnych fortec.

Fortece były drewnianymi cylindrami, miały dwanaście jardów długości, cztery średnicy i złożone były z trzech segmentów. Dwa prototypy zostały wyprodukowane wkrótce po wizycie Landyjczyków i wchodzące w ich skład segmenty, przypominające ogromne bębny, leżały na bokach na zachodnim skraju placu. Olbrzymie balony, które miały wynieść je do strefy nieważkości, już zostały przymocowane i leżały na podłodze z wypalanej gliny; ich wyloty podtrzymywała załoga, a ręcznie napędzane wentylatory pompowały nagrzane powietrze. Była to technika obmyślona w czasie Migracji, a służyła zmniejszeniu ryzyka zniszczenia płóciennych powłok w

czasie wtłaczania gorącego gazu z palników.

– Nadal twierdzę, że twój lot na tym etapie jest czystym szaleństwem – powiedział Ilven Zavotle, przycinający plac u boku Tollera. – Nawet teraz nie jest za późno, byś wyznaczył zastępcę.

Toller potrząsnął głową i położył rękę na ramieniu Zavotle'a.

– Doceniam twoją troskę, Ilven, ale wiesz, że nie mogę tak postąpić. Ludzie i tak są przerażeni, a gdyby dowiedzieli się, że boję się lecieć, staliby się kompletnie bezużyteczni.

– A nie boisz się?

– Ty i ja byliśmy wcześniej w strefie nieważkości i obaj wiemy, jak tam sobie radzić.

– Okoliczności były inne – rzekł posępnie Zavotle. – Szczególnie w czasie naszej drugiej wizyty.

Toller krzepiąco uściskał jego dłoń.

– Twój system zadziała. Ręczę za to życiem.

– Oszczędź mi takich żartów! – Zavotle rozstał się z Tollerem i podszedł do grupy techników, którzy czekali na sygnał do startu.

Wkrótce po ich pierwszym spotkaniu Chakkell mianował Zavotle'a Naczelnym Inżynierem, tym samym czyniąc Tollera niemal zbędnym na tym etapie projektu i dając mu wolną rękę co do udziału w pierwszym locie. W rezultacie Zavotle czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo przyjaciela i z dnia na dzień stawał się coraz bardziej przygnębiony.

Toller zerknął w niebo, na którym wielki dysk Landu wędrował ku zenitowi, i raz jeszcze zdał sobie sprawę, że może umrzeć, tam, między dwoma światami. Przeanalizował swoją reakcję i z niepokojem odkrył, że wcale nie czuje stra-



chu. Była w nim determinacja, postanowienie, że zrobi wszystko, by nie dać się zabić i doprowadzić misję do zadowalającego końca, ale brakowało zwykłego, ludzkiego strachu o własne życie. Czy dlatego, że nie mógł znieść myśli, iż Tollera Maraquine'a, pępek świata, może spotkać to samo przeznaczenie co wszystkich zwyczajnych śmiertelników? Czy Gesalla miała rację, czy naprawdę był kochankiem wojny, tak jak niegdyś księżę Leddravohr – i czy z braku wojny zrodziło się niezadowolenie i złe samopoczucie, które zaczęło dokuczać mu w ostatnich latach?

Ta myśl była niepokojąca i przygnębiająca, odsunął ją więc od siebie, by skoncentrować się na czekających go obowiązkach. Przez cały dzień wokół sześciu segmentów fortec panował wzmożony ruch. Ładowano i zabezpieczano zapasy, dokonywano ostatnich poprawek w silnikach i ekwipunku. Teraz plac był pusty, przy statkach stali jedynie członkowie zespołów startowych i załóg. Na widok Tollera wymienili kilka ostatnich słów i spojrzeń – jeszcze chwila i zaczną się wznosić na wysokość dwóch i pół tysiąca mil... j Wszyscy piloci byli dojrzałymi ludźmi, wybranymi ze względu na doświadczenie lotnicze zdobyte w czasie Migracji; ale pozostali członkowie załóg to w większości młodzicy, wytypowani z powodu dobrej formy fizycznej, i zdawali się zaniepokojeni tym, co ich czeka. Toller, który rozumiał ich obawy, dochodząc do rzędu drżących balonów przybrał spokojny i beztroski ton.

– Warunki pogodowe są doskonałe, więc nie będę was zatrzymywał – powiedział, podnosząc głos, by przekrzyczeć grzechot i szum nadymających balony wiatraków. – Mam do powiedzenia tylko jedno. Słyszeliście to wiele razy wcześniej, ale ostrzeżenie jest tak ważne, że warto je powtórzyć. Przez

cały czas musicie być przywiązani do swoich statków i przez cały czas musicie nosić spadochrony. Pamiętajcie o tych podstawowych zasadach, a na niebie będziecie tak samo bezpieczni jak na ziemi. A teraz zabierzmy się wreszcie do realizacji powierzonego nam przez króla zadania.

Wolałby, żeby jego słowa były bardziej wzniosłe, ale tradycyjna kolcorroniańska przemowa w przededniu najdziwniejszej w ludzkiej historii wojny wydała mu się niestosowna. W ciągu minionych konfliktów każdy obywatel był emocjonalnie zaangażowany, głównie z obawy o los najbliższych, w tym jednak przypadku większość mieszkańców planety w ogóle nie uświadamiała sobie jakiegokolwiek zagrożenia. W pewien sposób wojna ta była dla nich abstrakcyjnym sporem między dwoma Władcami planet, a o jej wyniku miało zdecydować kilku gladiatorów rzuconych do walki jak kości w grze. Jak miał to powiedzieć tej garstce ochotników, których skusiła perspektywa stałych zarobków i sławy?

Toller podszedł do swego statku, dając znak pozostałym pięciu pilotom, by uczynili to samo. Postanowił lecieć w środkowym segmencie fortecy, ponieważ wydawał się mniej bezpieczny niż zamknięta sekcja końcowa i jego załoga potrzebowała dodatkowego wsparcia. Nieco poniżej krawędzi segmentu zamontowano prowizoryczną podłogę i tam znalazły się stanowiska załogi oraz schowki zawierające różnego rodzaju ekwipunek.

Centralnie zamocowany palnik był tym samym, który służył w czasie Migracji i leżał w składach Chakkella przez ponad dwadzieścia lat. Jego główny element stanowił pień młodego drzewa brakka. Po jednej stronie bulwiastej podstawy znajdował się mały lej napełniony pikonem oraz rura

wprowadzająca kryształy do komory spalania pod pneumatycznym ciśnieniem. Po drugiej stronie podobny mechanizm kontrolował dopływ halvellu, a obie rury były obsługiwane przez jedną dźwignię.

Ponieważ segment leżał na boku, Toller, aby operować urządzeniem sterującym palnika, musiał położyć się w fotelu. Szabla, którą zabrał przez zapomnienie, czyniła tę pozycję jeszcze bardziej niewygodną. Napełnił pneumatyczny zbiornik, potem dał znak człowiekowi dozorującemu pompowanie balonu, że jest gotów do rozpalenia. Załoga obsługująca ręczny wentylator przestała kręcić korbą i odciągnęła niezgrabną maszynę wraz z dyszą na bok.

Toller przesunął do przodu dźwignię kontrolną i trzymał ją w tym położeniu przez jakąś sekundę. Rozległ się huk, gdy kryształy energetyczne łączyły się, a powstający gorący gaz, migling, z rykiem wpadał w rozwarty wylot balonu. Toller, zadowolony z pracy palnika, spowodował serię wybuchów – cały czas pod kontrolą, żeby zmniejszyć ryzyko zniszczenia płótna przez gorąco – i wielka powłoka zaczęła nadymać się, a w końcu oderwała się od ziemi. Obsługa naziemna podniosła ją za pomocą czterech pórek, które stanowiły główną różnicę między statkiem kosmicznym a jednostką przeznaczoną do normalnych lotów atmosferycznych. Balon, teraz napełniony w trzech czwartych, zawisł między wspornikami, lakierowana płócienna powłoka pulsowała i falowała niczym gigantyczne płuco.

Gdy stopniowo wzniosła się do pionu, ludzie trzymający liny korony zbliżyli się i przymocowali je do uchwyty, podczas gdy inni delikatnie podnieśli segment. I nagle statek był gotów do lotu, trzymany na uwieży jedynie siłą ludzi napina-

jących liny. Reszta załogi wspięła się szybko po szczeblach umieszczonych na ścianach segmentu i zajęła wyznaczone miejsca.

Toller zerknął na inne statki i z zadowoleniem pokiwał głową, widząc, że ich załogi weszły na pokład równo z jego ludźmi. Jednoczesny start grupy statków stanowił odstępstwo od ustalonej kolcorroniańskiej praktyki, ale pomyślnie zmontowanie fortec w strefie nieważkości miało zależeć od precyzyjnego lotu w ściślej formacji. Zavotle zadecydował, że równoczesny start pomoże pilotom zaznajomić się ze statkami i pozwoli na wcześniejsze wykrycie wszelkich problemów. Nie było czasu na próbne loty i załogi musiały uczyć się pod kuratelą najsurowszego i najmniej pobłażliwego ze wszystkich mistrza – natury.

Toller upewniwszy się, że pozostali piloci są gotowi, dał znak ręką i włączył palnik, tym razem na dłużej, by rozpocząć wznoszenie. Ryk palnika odbił się wzmocnionym echem w rozległej komorze balonu, który teraz przysłaniał większą część nieba. Obsługa na komendę startowego zwolniła liny cumownicze. Gdy statek zaczął wzbijać się pionowo w górę, powietrze było nieruchome, nawet najlżejszy podmuch nie powodował bocznego przesunięcia. Toller wstał, wychylił się nad krawędzią segmentu i spojrzał na powoli malejący plac defilad. Dostrzegł sylwetkę Ilvena Zavotle'a, łatwo rozpoznawalną z powodu przedwcześnie posiwiałych włosów, i pomachał do niego. Zavotle nie odpowiedział, ale Toller czuł, że Zavotle go widział i że dałby wiele, by zamienić się miejscami i osobiście dopilnować wprowadzania w życie własnych pomysłów.

– Ściągnąć wsporniki, lordzie? – zapytał takielarz, Tipp

Gotlon, chudy młodzieniec ze szczeliną między zębami.

Toller skinął i Gotlon ruszył przez kolisty pokład, ściągając wolno wiszące rozporki i mocując je do krawędzi segmentu. Mechanik Millyat Essedell, wyglądający na kompetentnego krzywonogi mężczyzna z kilkuletnim stażem w Służbie Powietrznej, na tym etapie lotu nie miał nic do roboty, ale kucnąwszy przy schowku zawzięcie sortował oraz sprawdzał narzędzia. Środkowa część fortecy posiadała trzyosobową załogę, choć końcowe miały po pięciu załogantów, ponieważ była obciążona dodatkowym ładunkiem uzbrojenia, które miało zostać użyte przeciw najeźdźcom.

Toller, zadowolony, że może polegać na swych towarzyszach, skoncentrował się na znalezieniu takiej sekwencji pracy palnika, która zapewniłaby prędkość wznoszenia wynoszącą w przybliżeniu dwadzieścia mil na godzinę. Zaprzestał prób w rytmie cztery sekundy pracy na dwadzieścia sekund jałowych, dobrze zapamiętanym ze swego pierwszego przelotu międzyplanetarnego, i przez następne dziesięć minut piloci innych statków ćwiczyli się w utrzymaniu tempa osiągniętego przez jego jednostkę. Balony, ogromne, lecące blisko siebie – to był zachwycający spektakl. Każdy szczegół statków ostro rysował się w perłowym świetle, podczas gdy świat łagodnie zapadał się w błękitnej mgiele.

Statki stały się jedyną rzeczywistością Tollera.

Patrząc w dół na miasto Prąd, czuł, jak niewielkie pokrewieństwo łączy go z tym miejscem i mieszkańcami. Ponownie przekształcił się w podniebne stworzenie i jego zajęcia już nie były zajęciami zwyczajnych, nierozzerwalnie związanych z powierzchnią planety istot. Racje stanu i stan spraw znaczyły tak niewiele w porównaniu ze stanem nitów czy lin.

A jeszcze choćby to dziwne buczenie, które balon czasem wydawał bez żadnej widocznej przyczyny...

Eskadra wzniosła się na wysokość dwóch mil i Toller dał sygnał do pionowego rozproszenia. Manewr przeprowadzono szybko i bez nieszczęśliwych wypadków, przechodząc ze zwartego szyku horyzontalnego w luźną stromą formację, która mogła stawiać czoło nocy bez ryzyka kolizji.

Toller przed startem doprowadzał się do skrajnego wyczerpania, czasami łapiąc tylko po dwie godziny snu na dobę, i teraz, w czasie wymuszonej bezczynności jego ciało domagało się wypoczynku. Gdy obsługiwał palnik, popadał w odrętwienie, intensywnie odliczając rytm, i większą część czasu spędzał drzemiąc i śniąc. Często po przebudzeniu nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje, i ze strachem wlepił wzrok w krzywiznę balonu, dopóki nie uprzytomnił sobie, co to jest i dokąd go niesie. Innymi razy, szczególnie w nocy, gdy wokół bez przerwy pobłyskiwały meteory, nie rozbudzał się w pełni i w takim półtransie zdawało mu się, że leci w towarzystwie mężczyzn i kobiet, którzy umarli dawno temu, a tutaj znów patrzyli w przyszłość z lękiem i nadzieją.

Zmieniające się wzory nocy i dnia wymagały jego czasową dezorientację. W trakcie wlotu noc overlandzka stawała się krótsza, a mołonoc wydłużała się. Noce dążyły do osiągnięcia całkowitej równowagi, która miała zapanować w połowie drogi między bliźniaczymi planetami. Toller odkrył, iż prawie zatracił umiejętność rozpoznawania następujących po sobie sekwencji. Najpewniejszą miarą upływu czasu stał się statkowy wysokościomierz – proste urządzenie zawierające jedynie pionową skalę, z czubka której na delikatnej sprężynce zwisał mały odważnik. Na początku lotu ciężarek znajdował się na-

przeciwno najniższego znaczka skali, ale w czasie wspinania, gdy przyciągnie Overlandu stopniowo malało, ciężarek wędrował w górę, analogicznie do balonu – miniaturowy statek żeglujący w miniaturowym kosmosie. Kolejnym wiarygodnym wskaźnikiem było wzrastające zimno. W czasie pierwszego lotu Tollera załoga nie spodziewała się takiego fenomenu i w rezultacie srodze cierpiała z chłodu, ale teraz ludzie mieli grube pikowane kombinezony, dzięki którym niskie temperatury stały się mniej dokuczliwe. Siadając blisko palnika można było nawet poczuć przytulne ciepło, to ono było odpowiedzialne za nieustającą senność Tollera, który mógł trwać w tym stanie godzinami, gapiąc się w ciemniejący błękit nieba, płonące gwiazdy rozrzucone w skłębionych wirach światła, na długie warkocze komet i Farland wiszący w oddali niczym zielona latarnia.

Jednym z najważniejszych problemów, jakie stanęły przed misją, było rozpoznanie dokładnego środka strefy nieważkości. Toller wiedział, że nie istnieje żadna prawdziwa strefa nieważkości, że jest to płaszczyzna o zerowej grubości i że fortecę umiejscowioną ledwie dziesięć jardów po jednej czy po drugiej stronie czeka nieuchronny i długi lot ku powierzchni jednej z planet. Jednakże zakładano, że rzeczywistość okaże się bardziej wyrozumiała od absolutnych równań i pozwoli na pewien poziomy dryf.

Pierwszym zadaniem Tollera było wykazanie, że to teoretyczne założenie znalazło uzasadnienie w praktyce.

Kilka dni wcześniej, gdy wznoszenie generowane przez gorące powietrze stało się niewystarczające, sześć statków przestawiło się na napęd odrzutowy, lecz silniki zamilkły w grawitacji „ziemi niczyjej”. Toller był zdziwiony, że załogi po-

szczególnych statków mogą porozumiewać się za pomocą głosu. Chociaż okrzyki zdawały się absorbowane przez otaczający bezmiar, faktycznie niosły się setki jardów. W skupieniu zajął się przyrządem wymyślonym przez Zavotle'a, który miał pokazać każdy znaczący pionowy ruch statku. Składał się on z małego kociołka zawierającego mieszaninę chemikaliów i łożu, która po zapaleniu wytwarzała gęsty dym, oraz przypominającej miechy długiej dyszy. Urządzenie wydmuchywało z boku statku niewielkie kłębki dymu, które w nieruchomym powietrzu przez zaskakująco długi czas zachowywały swój kształt i gęstość. Pomysł Zavotle'a polegał na tym, że dym, nie cięższy od otaczającej atmosfery, stawał się nieruchomym wskaźnikiem, dzięki któremu można było określić ruch statku. System, aczkolwiek prymitywny, okazał się nad wyraz skuteczny. Toller kazał Essedellowi i Gotlonowi usiąść spokojnie, by nie przechylali okrągłego pokładu, i obserwował położenie obłoczków dymu w stosunku do relingu na tyle długo, by w końcu zyskać pewność, że nie zachodzi żadne znaczące przemieszczenie.

– Powiedziałbym, że jesteśmy na miejscu! – krzyknął do Daasa, pilota drugiego segmentu środkowego, który czynił podobne obserwacje. – Co powiesz?

– Zgadza się, lordzie. – Daas, opatulony tak, że wyglądał jak pękaty balon, pomachał ręką, by uzupełnić wiadomość.

Przeddzień właśnie się zaczął i słońce znajdowało się „poniżej” sześciu jednostek, blisko wschodniej krawędzi Overlandu. Bijące w górę promienie oświetlały spodnie części segmentów fortecy, które rzucały cienie na dolne połowy balonów, prztfz co scena zyskiwała bajecznych, niemal teatralnych cech. Toller, podziwiając ten niesamowity spektakl, nagle



poczuł, że przepętnia go duma i uniesienie. Czuł się wypoczęty i silny, gotów do walki na tej nowej arenie. Gdzieś w jego umyśle pulsowało coś tak intensywnie, że aż boleśnie.

Zdawało mu się, że w głębi jego umysłu znalazło się jądro jasności, nie mające niczego wspólnego ze stanem zerowej grawitacji, i że tryskają z niego wielobarwne promienie radości, optymizmu, szczęścia i siły, przenikające każdy element jego duchowej i fizycznej istoty. Całkowity efekt był dziwny i jednocześnie jakby znajomy; dopiero po kilku sekundach zidentyfikował go: zdał sobie sprawę, że czuje się... młody. Ni mniej i ni więcej – czuł się m ł o d y!

„Przypuszczam, że wielu uznałoby za dziwne to, iż człowiek może czuć się szczęśliwy w takich okolicznościach”, pomyślał. Rozluźnił palce zaciśnięte na poręczy, pozwalając stopom oderwać się od pokładu. W pole widzenia pod statkiem wpłynął dysk Overlandu, rozjaśniony cienkim sierpem odbitego światła. „To dlatego Gesalla porównuje mnie z Leddravohrem. Wyczuwa spełnienie, jakiego doświadczam wezwany do obrony naszego świata, ale nie jest w stanie dzielić go i tym samym staje się zazdrosna. Bez wątpienia boi się o moje bezpieczeństwo, a to z kolei popycha ją do mówienia rzeczy, których później żałuje w samotności swej sypialni...”

– Jestem gotów do wyjścia, lordzie. – Głos Gotlona przywołał Tollera do rzeczywistości. Zmusił stopy do opadnięcia na pokład i odwróciwszy się zobaczył młodego takielunkowego, który nie czekając na rozkazy objuczył się osobistym ekwipunkiem odrzutowym. Gotlon był szczupły, lecz nie można było dopatrzeć się tej cechy pod grubym, watowanym kombinezonem. Miał oblamowane futrem rękawice i wysokie buty. Dolną część twarzy zasłaniał wełniany szalik, przez któ-

ry przedzierała się biała mgiełka oddechu. Sylwetkę dodatkowo zniekształcał spadochron i przymocowana na wysokości talii jednostka powietrznego napędu odrzutowego, czyli niewielki silniczek.

– Czy mam wyskoczyć, lordzie? – Gotlon gładził palcami karabinczyk uprząży, utrzymującej go blisko relingu statku. – Jestem gotowy.

– Widzę, ale powściągnij swą niecierpliwość – rzekł Toller. – Twój wyczyn musi odbywać się przy pełnej widowni.

Gotlon był ambitny, lecz posiadał również ważniejszą zaletę – był jednym z niewielu kompletnie pozbawionych lęku wysokości i Toller cieszył się, że znalazł go w tak krótkim czasie. Załogi sześciu segmentów fortec przebywały już w strefie nieważkości dość długo, by zacząć uczyć się unosić w powietrzu jak ptęca, ale należało jeszcze pokonać barierę psychologiczną.

Nie można było rozpocząć montowania fortec bez uprzedniego zademonstrowania, że człowiek może odwiązać się, wyskoczyć ze statku i wrócić bezpiecznie, korzystając z silniczka. Toller darzył ten naprędce obmyślony system zaufaniem, jednakże czuł ulgę na myśl, że to nie on pierwszy musi wykonać lot demonstracyjny. Raz w rzeczywistości, i od tej pory wiele razy w sennych koszmarach, widział człowieka rozpoczynającego liczący sobie dwa i pół tysiąca mil lot ze strefy środka. Nieszczęśnik z początku poruszał się tak wolno, że zdawał się nieruchomy, lecz gdy grawitacyjny zew planety stał się silniejszy, zaczął maleć coraz szybciej – w końcu zniknął, by spadać jeszcze ponad dobę i roztrzaskać na powierzchni planety.

Płuca Tollera pracowały w rozrzedzonym powietrzu jak

miechy i czuł palące zimno w klatce piersiowej, gdy wykrzykiwał rozkazy do pozostałych pięciu pilotów. Wszyscy członkowie załogi skupili się przy relingach swych statków i wlepili oczy w Gotlorfe. On pomachał do nich jak dziecko przyciągające uwagę przyjaciół przed wykonaniem śmiałej sztuczki na placu zabaw. Toller pozwolił na to odstępstwo od dyscypliny w interesie podniesienia ogólnego morale.

Przyglądając się pięciu ludziom w segmencie końcowym najbliższej fortecy z niejaką trudnością, z powodu otulających wszystkich grubych skafandrów, rozpoznał Gnapperla, sierżanta, który tak podle doprowadził do egzekucji Oaslita Spennela. Gnapperl, zdegradowany do stopnia szeregowca, nawet nie próbował protestować, gdy Toller wybrał go do pierwszej misji, i przeżył kilka dni treningu z ponurą determinacją człowieka pogodzonego z losem. W naturze Tollera nie leżało planowanie z zimną krwią czyjejś śmierci, ale Gnapperl nie mógł o tym wiedzieć, toteż czekając na nieuchronną, jak mniemał, zemstę Tollera stał się lęklwym i potulnym człowiekiem – Toller przypuszczał, że już nic nigdy nie wyrwie go z tego stanu.

– W porządku – powiedział do Gotlona, gdy uznał, że nadeszła odpowiednia chwila. – Teraz możesz rozstać się z nami – ale bądź pewny, że wrócisz.

– Dziękuję, lordzie – odparł Gotlon, a Toller mógłby przysiąc, że w jego głosie zabrzmiała szczerą radość i wdzięczność. Odpiął linę asekuracyjną, zacisnął ręce na relingu, uniósł się do poziomu, przewinął na drugą stronę i odepchnął od burty statku z większą siłą, niż Toller sobie życzył. Między człowiekiem a statkiem otworzyła się jasno-błękitna pustka. Z innej jednostki dobiegły przytłumione odgłosy wy-

miotowania.

Gotlon sunął w kierunku gwiazd, w promieniach słońca, stopniowo zwalniając, gdy opór powietrza zaczął hamować jego pęd, i przypadkowo znieruchomiał w pozycji pionowej w stosunku do obserwujących. Nie czekając węzowym skrzętem ustawił się plecami do linii statków, a szybkie ruchy jego prawego ramienia wskazały, że pompuje powietrze do silniczka odrzutowego. Kilka sekund później rozległ się ledwo słyszalny syk wyrzucanego powietrza. Z początku wydawało się, że Gotlon nadal unosi się w jednym miejscu, potem stało się jasne, że w rzeczywistości wraca do punktu startu. Tego kurs nie był idealny; kilka razy musiał zerkać przez ramię i wprowadzać poprawki, ale wkrótce znalazł się na tle blisko statku, że zdołał uchwycić laskę wysuniętą przez Esedella. Essedell zaparł się stopami o burtę i szarpnął, a Gotlon niby człekokształtny balon z furkotem przeleciał nad relingiem.

– Eobrze zrobione, Gotlon! – Toller niedbale wyciągnął rękę, by schwycić nieważką postać, i zdumiał się, gdy jego ramię z niezwykłą siłą zostało szarpnięte w tył. Obrócił się wokół osi i minęło kilkanaście sekund, nim obaj mężczyźni zdołali jako tako stanąć na nogach czepiając się ścianek działowych. Tollera zaintrygowało to zdarzenie, ale jego tajemnica wywiąła mu z głowy, gdy usłyszał wybuch radości załóg innych statków.

Toller poczuł ulgę i pewność siebie. Jedną rzeczą było siedzenie w wygodnym pokoju w pałacu i słuchanie wypowiedzi inteligentnych teoretyków na temat mechaniki niebieskiej ale zupełnie inną – wydanie rozkazu wyskoczenia ze statku, ryzykowne balansowanie w rozrzedzonym powietrzu stanu nieważkości między dwoma światami i powierzenie ży-

cia niczemu więcej, jak zestawowi kowalskich miechów. A teraz zobaczył, że to działa! Raz objawiony cud przestał być cudem. Stał się częścią wyposażenia, wzbogacającego rutynowe umiejętności – i, co ważniejsze, pomógł Tollerowi oderwać się od zastanawiania nad ciężką próbą, która czekała go pod koniec misji.

Wydał rozkaz, by cały personel zaczął ćwiczyć swobodne przeloty]. Okres pozwalający załogom na zaadaptowanie się w skrajnie nienaturalnych warunkach był śmiesznie krótki, ale kro dhakkell, z popierającym go Zavotle'em, zdecydował, że czas jest najbardziej żywotnym czynnikiem w przygotowaniach do bitwy przeciw Landowi. Gabinet bezpieczeństwa musiał liczyć się z najgorszym limitem czasu: dziesięć dni na powrót zwiadowczego statku na Land; dwa dni dla Rassamarde na zareagowanie na przyniesione nowiny; i, w założeniu, że część jego floty inwazyjnej już była gotowa do działania, pięć dni na dotarcie straży przedniej wroga do strefy nieważkości.

Siedemnaście dni.

Plan Chakkella zakładał, że do tego czasu w punkcie środkowym musi znaleźć się minimum sześć gotowych do walki fortec.

Toller osłupiał, gdy usłyszał to oznajmienie. Generalnie już sama koncepcja fortec była dość ryzykowna, ale pomysł zaprojektowania, wybudowania i wysłania sześciu z nich ledwie w ciągu siedemnastu dni uznał za absurdalny. Jednakże zapomniał o unikatowej kombinacji zdolności Chakkella: ambicji, która wyniosła go na tron, daru organizacji, dzięki któremu niegdyś zgromadził flotę tysiąca statków, bezlitosnej determinacji, która pozwalała na przedarcie się przez każdą przeszkodę. Chakkell był zdolnym władcą w czas pokoju, ale w

pełni zabłysnął w czasie kryzysu, i fortece zostały zbudowane w terminie. Teraz pozostawało jedynie przekonać się, czy elementy złożone z krwi i ciała zniosą ogromne napięcie tak samo dobrze, jak te z materii nieożywionej...

Toller dobrze wiedział, że wszyscy pilnie na niego patrzą, gdy nadeszła jego kolej. Zrobił wszystko, by utrzymać wyprostowaną postawę w stosunku do balonu i segmentu fortecy, i już zaczynał myśleć, że mu się udało, gdy nagle zdał sobie sprawę, że wielki błękitno-biały dysk Landu, który od początku lotu skrywał się za balonem, ukazał się gdzieś ponad nim. Planeta podryfowała w dół i zniknęła pod jego stopami, a po chwili zastąpił ją bliźniaczy Overland, uczestniczący w tym samym majestatycznym tańcu. Toller nie miał żadnego wrażenia koziółkowania, przeciwnie, wydawało mu się, że jest jedynym nieruchomym obiektem w rozkołysanym wszechświecie, w którym słońce, planety i linia statków ścigały się w szaleńczym wirze – i poczuł wdzięczność dla wszechświata, gdy w końcu zwolnił i znieruchomiał. Był również zadowolony z powodu odkrycia, że pływanie w błękitnej pustce nie było wcale takie straszne, jak się obawiał. Poza nieodpartym wrażeniem spadania, nękającym wszystkich, którzy weszli do strefy nieważkości, czuł się zdolny do normalnego funkcjonowania i umiarkowanie bezpieczny.

– Wszyscy, którzy mają ochotę pośmiać się z moich sztuk akrobatycznych, powinni zrobić to teraz! – krzyknął do obserwujących go w milczeniu ludzi. – Za kilka minut zaczyna się poważna robota i zapewniam was, że nie będzie wielu powodów do radości.

Rozległ się śmiech i niezgrabne w swych kombinezonach postacie rozpoczęły wycieczki z różnym stopniem po-

wodzenia. Toller szybko doszedł do wniosku, że jego własne początkowe starania nie były tak udane jak młodego Gotlona, ale z wolna nabywał umiejętność docierania do każdego miejsca, do jakiego zapragnął. Byłoby to o wiele łatwiejsze, gdyby urządzenie napędowe znajdowało się na plecach, ale warsztaty Służby Powietrznej z powodu braku czasu zostały zmuszone do wyprodukowania najprostszego typu silniczka odrzutowego.

Gdy tylko Toller uznał efekty treningu za zadowalające, wezwał do siebie pięciu pozostałych pilotów na ostateczne omówienie procedury montowania fortec.

Konferencja była najdziwniejsza ze wszystkich, w jakich brał udział. Sześciu mężczyzn w średnim wieku, a każdy był weteranem Migragi, wisiało w kręgu na tle przepychu nieba, po którym niczym płonące strzały mknęły meteory. Trzej piloci – Daas, Hishkell i Umol – byli znani Tollerowi z czasów służby w starej Eksperymentalnej Eskadrze Statków Kosmicznych, i polegał na ich rekomendacjach, gdy werbował pozostałą dwójkę, Phamarge'a i Brinche'a.

– Przede wszystkim, panowie – powiedział – czy nauczyliśmy się czegoś nowego? Czegoś, co według was dotyczy planu budowy fortec?

– Tylko tego, że powinniśmy zrobić to tak szybko, jak tylko możliwe, Tollerze – odparł Umol, za pozwoleniem dowódcy zwracając się doń z pominięciem wymogów etykiety. – Przysięgam, że to przeklęte miejsce jest zimniejsze niż wtedy, gdy byłem tu po raz ostatni. Patrzcie na to! – Ściągnął szalik i odsłonił intensywnie niebieski nos.

– To miejsce jest takie samo jak zawsze, staruszkule – powiedział Daas. – Kłopot w tym, że brakuje ci ognia w jajach.

– Czy rozmawiam z dżentelmenami? – wtrącił Toller, zagłuszając sprośną odpowiedź Umola. – Dzieci, mamy tu pracę do wykonania i nikt bardziej ode mnie nie pragnie jej zakończenia, więc upewnijmy się, że wiemy, co robić.

Mówił łagodnym tonem, bowiem niewielkie widoczne fragmenty twarzy powiedziały mu, że jego towarzysze są zadowoleni z sukcesu silniczków odrzutowych i że ich wiara w projekt wzrosła znacznie. Przez kilka następnych minut powtarzał szczegółowo kolejne etapy połączenia. Pierwszym krokiem było obrócenie statków o dziewięćdziesiąt stopni, by ustawić segmenty fortéc w położeniu operacyjnym, z bocznymi iluminatorami zwróconymi w kierunku obu planet. Potem trzeba będzie usunąć fałszywe pokłady i za pomocą pięciu krótkich wybuchów aparatów odrzutowych odprowadzić balony, obciążone zbędnymi już pokładami, na pewną odległość od beczkowatych sekcji. Unoszące się swobodnie segmenty zostaną przyciągnięte do siebie i połączone, tworząc dwa cylindry z otwartymi końcami.

W tym celu siła robocza miała zostać podzielona na dwie odrębne grupy.

Obsada fortéc miała wejść do nich i przygotować je na długotrwały pobyt w strefie nieważkości. Tymczasem piloci, każdy w towarzystwie takielarza, mieli wyruszyć z cennymi balonami i silnikami na Overland, by wykorzystać je do dalszych misji. Wczesne etapy powrotu były dość proste i nie wywoływały żadnych obaw wśród doświadczonych pilotów. Polegały na obróceniu statku o dalsze dziewięćdziesiąt stopni i przy użyciu silników odrzutowych wprowadzeniu ich w pole grawitacyjne Overlandu. Statki leciałyby w pozycji odwróconej, czego nie lubi żaden dowódca, ale ta faza będzie trwać



tylko kilka godzin, dopóki nie zyskają wagi wystarczającej do nadania im ulubionej przez baloniarzy wahadłowej stabilności w czasie opadania. Ostatni obrót o dziewięćdziesiąt stopni ustawi Overland we właściwym miejscu, pod stopami załogi, i planeta pozostanie tam przez resztę podróży powrotnej.

Jak na razie plan i jego technika były konwencjonalne, coś takiego każdy pilot z czasu Migracji mógł nakreślić w kilka sekund, ale należało wziąć pod uwagę zaostżenia wynikające z sytuacji kryzysowej. Toller z niesamowitą wyrazistością przypominał sobie wszystkie związane z tą sprawą słowa, które padły na pierwszym spotkaniu z Chakkellem i Zavotle'em, słowa, które uświadomiły mu, że niebo i on jeszcze nie sprawdzili się tak do końca...

– Powrót będzie najgorszą częścią – powiedział Toller. – Niezależnie od zimna – srogiego zimna. Ludzie będą siedzieć na otwartych platformach, z tysiącami mil pustki pod sobą! Takie opadanie jest wystarczająco paskudne w gondolach starego typu, ale tam są przynajmniej ściany boczne, które dają człowiekowi jakieś poczucie bezpieczeństwa. Nie podoba mi się to, Ilven. Pięć dni takiego lotu to trochę za dużo. Myślę, że my... – Zamilkł zaskoczony, gdy zobaczył, że Zavotle kiwa głową, wyraźnie się z nim zgadzając.

– Masz absolutną rację, całkiem niezależnie od faktu, że po prostu nie możemy sobie pozwolić na pięciodniowy powrót – orzekł Zavotle. – Ty i pozostali piloci, nie mówiąc o balonach i silnikach, musicie wrócić o wiele szybciej.

– Zatem...?

Zavotle obdarzył go zimnym uśmiechem.

– Przypuszczam, że słyszałeś o spadochronach?

– Oczywiście, że słyszałem o spadochronach – rzekł nie-

cierpliwie Toller. – Służba Powietrzna używa ich co najmniej od dziesięciu lat. Do czego zmierzasz?

– Ludzie muszą wrócić na spadochronach.

– Cudowny pomysł! – Toller klepnął się ręką w czoło. – Ale, popraw mnie, jeżeli się mylę, czy człowiek ze spadochronem nie opada w przybliżeniu z taką samą prędkością jak statek?

Uśmiech Zavotle'a stał się bardziej pokojowy.

– Tylko wtedy, jeżeli spadochron jest otwarty.

– Tylko wtedy... – Toller obszedł mały pokój, wbijając wzrok w podłogę, i wrócił do swego krzesła. – Tak, rozumiem, o co ci chodzi. Oczywiście możemy zaoszczędzić trochę czasu, jeżeli człowiek nie rozwinie spadochronu, dopóki nie znajdzie się na określonej wysokości. A na jakiej wysokości powinien go otworzyć?

– Powiedzmy, około tysiąca stóp?

– Nie! – Reakcja Tollera była natychmiastowa i instynktowna. – Nie możesz tego zrobić.

– Dlaczego nie?

Toller spojrzał twardo w twarz Zavotle'a i znajome rysy nagle wydały mu się obce.

– Przypomnij sobie, jak pierwszy raz weszliśmy w strefę środka, Ilvenie. Ten wypadek. Obaj wyglądaliśmy przez burtę i obserwowaliśmy oddalającego się od nas Plenna. On spadał ponad dobę!

– Nie miał spadochronu.

– Ale spadał ponad dobę! – powtórzył błagalnie Toller. Był przerażony tym, co mijające lata zrobiły z Zavotle'em. – Nikt tego nie zniesie!

– Co z tobą, Maraquine? – wtrącił król Chakkell; na jego

szerokim obliczu malowało się zdenerwowanie. – Niezależnie od tego, czy człowiek spada przez cały dzień, czy przez minutę, wynik końcowy jest taki sam: jeśli nie ma spadochronu, umiera, jeżeli ma, żyje.

– A czy Wasza Wysokość chciałby wykonać taki skok? Zbity z tropu Chakkell spojrział na Tollera pytająco.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? Nieoczekiwanie odpowiedzi udzielił Zavotle.

– Wasza Wysokość, lord Toller ma praktyczny powód do niepokoju. Nie wiemy, jakie efekty może wyrzucić na człowieka taki lot. Może zamarznąć na śmierć... albo udusić się... Albo mogą wystąpić skutki odmiennego rodzaju – pilot, który jest fizycznie zdrowy, ale obłąkany, przedstawia dla Waszej Wysokości znikomą wartość. – Zavotle przerwał, kreśląc zawile wzory na rozłożonym przed sobą papierze. – Proponuję, że jako pomysłodawca powinienem znaleźć się wśród tych poddawanych testowi.

„Nie ma mowy, ty mała łasico”, pomyślał Toller, słuchając byłego towarzysza z załogi z uczuciem przywiązania i szacunku. „I możesz być pewny, zadbane, byś pozostał tam, gdzie jest twoje miejsce. Na ziemi”.

Między ludźmi, którzy dobrowolnie zgłosili się do udziału w misji, a tymi, którym po prostu wydano rozkaz, była niewielka różnica. Wszyscy dobrze wiedzieli, że jakiegokolwiek nieposłuszeństwo jest karane śmiercią, toteż jedni i drudzy pilnie wykonywali polecenia dowódców. To jednak, że mogli latać swobodnie i bezpiecznie z dala od statków, niezmiernie podniosło ogólne morale. Rozumowali mniej więcej tak: skoro nie umarliśmy od razu, to może jeszcze pożyjemy. Zewnętrzną oznaką tego optymizmu były radosne okrzyki, które wypeł-

niały niebo, gdy doskonalili swe nowe umiejętności i przygotowawali się do kolejnej fazy przedsięwzięcia.

Ale Toller zauważył, że wesoły gwar zaczyna z wolna zamierać.

Ostatni balon został oddzielony od segmentu fortecy i, obciążony jedynie okrągłym zbędnym pokładem i silnikiem, odsunięty na bok. Ogrom napełnionych gazem powłok dawał poczucie bezpieczeństwa, wszyscy uznali balony za olbrzymich przyjaciół, bezpiecznie przenoszących ludzi ze świata do świata – a teraz nagle porzuciły swych maleńkich pasażerów na pastwę wrogiej błękitnej pustki.

Nawet Toller, z całą wiarą i zaangażowaniem, czuł lodowate drżenie gdzieś w głębi brzucha, gdy uderzyło go, jakie małe na tle rozpościerającej się wokół mglistej nieskończoności są segmenty fortecy. Do tej pory najgorszą rzeczą wydawało mu się zmuszenie człowieka do wykonania długiego skoku do powierzchni planety, ale teraz w porównaniu z tymi, którzy mieli pozostać w strefie nieważkości, czuł się prawie uprzywilejowany. Uprzywilejowany, a jednak z drugiej strony – i ta myśl wstrząsnęła nim do głębi – dziwnie oszukany.

„Co się ze mną dzieje?“, pomyślał. Rzadko pozwalał sobie na takie introspekcje, uważając je za stratę czasu, ale jego ostatnie emocjonalne reakcje na wypadki były tak ambiwalentne i sprzeczne, że poczuł się zobowiązany do wejrzenia w siebie. Miał kolejny przykład. W jednej chwili współczuł załodze fortecy – a w następnej gotów był jej zazdrościć! Niewiele osób wiedziało lepiej od niego, jak złudna jest wojenna chwala, i nie mógł pozwolić, by oczarowała go ulotna wizja nowego pokolenia patriotów, bohaterów, obsadzających kruche drewniane posterunki w samotnych przestrzeniach nieba.

„Co się ze mną dzieje?“, zapytał ponownie samego siebie. „Dlaczego nie jestem już zadowolony z tego, co zadowalało mnie dotychczas? Dlaczego, o ile nie zwariowałem, prę do przodu, tam skąd uciekałby każdy rozsądny człowiek?“

Ale nie znalazł odpowiedzi, w końcu stwierdził, że marnuje czas, gdy czekają na niego obowiązki. Zbliżył się do pierwszej z montowanych fortec. Segment środkowy i jeden z końcowych zostały pomyślnie połączone i teraz przyciągano pozostały składnik. Drugą sekcję końcową porzucono dość daleko od pozostałych, uczepieni boków segmentu środkowego czterej ciągnący liny ludzie wypracowali szybki i efektywny rytm. Segment końcowy, z początku bardzo powolny, teraz zyskał niezłą prędkość i sunął do miejsca przeznaczenia nie zmniejszając jej. Toller wiedział, że segment nie posiada wagi i tym samym przy zderzeniu z resztą fortecy nie może wyrządzić szkód, ale z założenia nie lubił stosowania zbyt dużej siły przy tego typu mechanicznej pracy. Przewidywał, że segment odbije się i znów trzeba będzie go ściągać.

– Przestańcie ciągnąć, nadlatuje zbyt szybko! – krzyknął do ludzi ciągnących liny. – Przygotujcie się do utrzymania go w miejscu.

Mężczyźni potwierdzili odbiór rozkazu i przygotowali się do przechwycenia cylindra. Phamarge, który nadzorował wykonanie zadania, dał znak dwóm innym, którzy trzymali się krótkich lin asekuracyjnych na krawędzi segmentu środkowego, żeby pomogli kolegom. Jeden z nich wciągnął się na obszutą skórą krawędź i objął ją udami.

Toller patrzył, jak segment końcowy zbliża się do oczekującego człowieka. Drewniana struktura straciła niewiele ze swej prędkości i z łatwością napięła rozciągnięte na swej dro-

dze liny cumownicze – „co”, pomyślał Toller, „jest raczej dziwne w przypadku obiektu lekkiego jak piórko...” Zesztywniał z przerażenia, gdy nagle przypomniała mu się podobna anomalia, jaka miała miejsce pod koniec pierwszego lotu Gotlona – nic nie ważący człowiek posiadał zaskakująco wielką siłę, prawie jak gdyby...

– Zejdź z krawędzi! – ryknął. – Uciekaj! Opatulony mężczyzna obrócił się ku niemu, ale pozostał

na swoim miejscu. W jednej chwili Toller rozpoznał surowe, grubo ciosane rysy Gnapperla, potem końcowy segment uderzył w pozostałą część fortecy. Gnapperl wrzasnął, gdy pękła mu kość udowa. Cała forteca zadygotała, ludzie na jej bokach podskoczyli, a segment końcowy obrócił się lekko i częściowo wszedł w główną konstrukcję. Krawędzie złożyły się i ścisnęły na chwilę ciało Gnapperla, kładąc kres jego rozpaczliwym wrzaskom, po czym sekcje fortecy odsunęły się od siebie i znieruchomiały.

Toller odruchowo włączył swój silniczek, natychmiast oddalając się od miejsca wypadku. Zaklął, zawrócił, wpompowując powietrze do zbiornika i rzucił się między dryfujące postacie. Zderzył się lekko z segmentem, złapał za krawędź i spojrzał na nieszczęśnika. Gnapperl dryfował swobodnie z rozpostartymi rękami i nogami, z przodu skafandra widniało głębokie rozcięcie. Krew wsiąkająca w odsłoniętą izolację sprawiała, że rozdarcie przypominało teatralną „śmiertelną ranę”. Ale wokół unosił się rój jasnoczerwonych, połyskujących w słońcu kuleczek i Toller nie miał wątpliwości, że Gnapperl naprawdę nie żyje.

– Dlaczego ten głupiec nie usunął się z drogi, jak mu kazałeś? – zapytał Umol, za pomocą liny przysuwając się do Tol-

lera.

– Kto wie? – Toller pomyślał o dziwnej chwili paraliżu, jaki opanował Gnapperla tuż przed zderzeniem, i zastanowił się, czy jego reakcja byłaby taka sama, gdyby ostrzeżenie pochodziło od kogoś innego. Może umarł dlatego, że nie dowierzał Tollerowi? W takim przypadku Toller również ponosił odpowiedzialność za jego śmierć.

– I tak był patrzącym spode łba bydlakiem – skomentował Umol. – Skoro ktoś z nas musiał odejść, to on jest tym, którego bym wybrał. I przynajmniej nauczył nas czegoś pozytywnego.

– Czego? – Toller czuł się oszołomiony.

– Że coś, co może zmiażdżyć człowieka na ziemi, może zrobić to również tutaj. Wygląda na to, że brak wagi nie ma znaczenia. Potrafisz to zrozumieć, Toller?

Toller z trudem przestawił się z rozmyślań o moralności na zagadnienia fizyki.

– Może wynika to stąd, że nasze ciała też są pozbawione wagi. Powinniśmy na to uważać w przyszłości.

– Tak, a na razie mamy trupa na głowie. Przypuszczam, że możemy go tak zostawić.

– Nie. – sprzeciwił się natychmiast Toller. – Zabierzemy go na Overland, gdy będziemy wracać.

Sześć odwróconych do góry dnem statków pokonywało godziny ciemności. Na prędkość zapewnianą przez silniki odrzutowe nakładała się dodatkowa siła, bo zwiększało się przyciąganie Overlandu, ale przyspieszenie na tym etapie opadania było jeszcze nieznaczne. I gdy tylko rozbłysło światło dzienne, silniki zostały wyłączone i statki zatrzymały się pod wpływem oporu powietrza. Piloci za pomocą małych bocznych silni-

ków przekręcili je o sto osiemdziesiąt stopni. Operacja przebiegała powoli, lecz płynnie, niezmierny wszechświat ze wszystkimi gwiazdami majestatycznie obracał się na rozkaz sześciu zwykłych ludzi i słońce posłusznie zajęło nową pozycję pod ich stopami.

Manewr zakończył się bez żadnego nieszczęśliwego wypadku i nadszedł czas na dokonanie rzeczy, które nigdy wcześniej nie miały miejsca.

Toller był przypasany do fotela pilota, a Tipp Gotlon czekał po drugiej stronie silnika. Fałszywy pokład, na którym siedzieli, był okrągłą drewnianą platformą, mającą ledwie cztery kroki średnicy, a za jej niczym nie chronionym skrajem rozciągała się pustka. W niej, dwa tysiące mil nad powierzchnią planety, na tle skomplikowanego błękitno-białego tła niebios, w różnych odległościach od siebie wisiało pięć pozostałych statków. Ich dwuosobowe załogi znajdowały się w cylindrycznych cieniach pokładów i były widoczne jedynie jako mroczne kontury na tle rozżarzonych spirali czy ogonów komet. Ogromne gruszkowate balony, fantastycznie podświetlone, sprawiały wrażenie tak solidnych jak planety, z południkami zaznaczonymi przez szwy łączące kliny i linki stropowe.

Toller niewiele uwagi poświęcał niesamowitemu otoczeniu; pochłaniały go sprawy tego nowego mikrokosmosu. Powierzchnię pokładu zajmował ekwipunek, zwoje przewodów bocznych silników, schowki do przechowywania kryształów energetycznych, zapasy żywności i wody, skafandry. Wysokie do piersi przepierzenia z plecionej łożyny otaczały toaletę i prymitywny kambuz, z niego wystawała dolna część ciała Gnapperla, które zostało przywiązane, by nie unosiło się i nie krążyło, nieważkie, wśród nich.



– No cóż, młody Gotlonie, tutaj się rozstaniemy – powiedział Toller. – Jak się w związku z tym czujesz?

– Jestem gotowy, lordzie. – Gotlon błysnął uśmiechem. – Jak pan wie, mam ambicję zostać pilotem i byłbym zaszczycony, gdyby pozwolił mi pan pociągnąć za linkę rozrywacza.

– Zaszczycony? Powiedz mi, Gotlonie, czy to cię bawi?

– Oczywiście, lordzie. – Gotlon przerwał, gdy niespotykane duży meteor przeciął niebo poniżej statku, przy czym dał się słyszeć głośny przeciągły grzmot. – Cóż, może stwierdzenie, że to mnie bawi, jest niewłaściwe, ale naprawdę nie chciałbym robić niczego innego.

„Uczciwa odpowiedź”, pomyślał Toller, obiecując sobie, że będzie miał oko na przyszłe poczynania młodego człowieka.

– Zgoda, szarpnij linkę, gdy będziesz gotowy. Gotlon bez wahania pochylił się, ujął czerwoną linkę,

która biegła w dół z wnętrza balonu do stanowiska załogi, i pociągnął za nią mocno. W równowadze czy dynamicznie statek nie zaszła wyczuwalna zmiana, kiedy z korony została oddarta olbrzymia płaszczyzna rozrywacza, lecz w tejże chwili statek nieodwołalnie został oddany na łaskę grawitacji Overlandu. Odtąd statek wraz z załogą mógł jedynie spadać. Toller czuł dziwny lęk przed tym, co teraz miał zrobić.

– Chyba nie ma sensu tu siedzieć – powiedział. Nie chciał, by młodszy towarzysz przejrzał jego uczucia. Stopy już wsunął w worek, ocieplany wełną i wielki na tyle, aby człowiek całkowicie mógł się w nim zmieścić. Odpiął uprząż, wyprostował się i wtedy zauważył szablę, nadal przywiązaną do pobliskiego słupka. Przez chwilę zastanawiał się, czyby jej nie zostawić. Zabieranie do worka zdawało się kłopotliwe i bez-

sensowne, ale pozostawienie szabli byłoby jak porzucenie starego przyjaciela. Przypasał broń i podniósł głowę na czas, by zobaczyć, jak Gotlon – nadal z uśmiechem na twarzy! – skacze ze skraju pokładu.

Gotlon koziółkował w sterylnym błękitnie, opromieniony blaskiem słońca, póki nie znieruchomiał jakieś trzydzieści jardów od statku. Nie próbował zmienić przyjętej pozycji, tylko ulotne pióropusze oddechu świadczyły, że żyje.

Toller spojrział w kierunku siostrzanych statków i zobaczył, że inni, podążając za przykładem Gotlona, skaczą w rozrzedzone powietrze. Wcześniej ustalono, że nie będzie żadnej synchronizacji, ludzie mają skakać, gdy uznają, że są gotowi – i nagle Toller przestraszył się, że będzie ostatni i że wszyscy to zobaczą. Podciągnął worek do piersi, odepchnął się mocno i poszybował twarzą w dół nad krawędzią pokładu.

Overland wślizgnął się w jego pole widzenia i trwali tak twarzą w twarz jak kochankowie, a planeta wzywała go z odległości tysięcy mil. Na wypukłości, na której nadal panowała noc, niewiele było widać, ale w sierpnie słonecznego blasku jaśniał bladozielony, przyprószone ochrą i przysłonięty maswerkiem białych chmur równikowy kontynent oraz wielkie oceany ginące na krzywiznach biegunów.

Toller przez pewien czas podziwiał półkulę, zauroczony ogromem i pięknem, potem podciągnął kolana i zamknął wór nad głową.

Nie spodziewałem się, że zasnę.

Czy ktokolwiek pomyślał, że człowiek zdoła zasnąć w czasie oszałamiającego lotu z błękitnej strefy centralnej do powierzchni planety?

Ale tu jest ciepło i ciemno, a godziny mijają powoli.

Prędkość stopniowo wzrasta, atmosfera staje się coraz bardziej gęsta, czuję, że worek zaczyna się kołysać i zataczać, a w szumie przemykającego obok powietrza jest coś hipnotyzującego. Łatwo zapaść w sen. Prawdę mówiąc, prawie zbyt łatwo. Pomyślałem, że niektórzy mogą nie obudzić się na czas, że nie zdążą wydostać się z worków i rozpostrzeć spadochronów, ale z pewnością to śmieszne przypuszczenie. Jedynie człowiek opętany myślą samobójczą mógłby nie przygotować się w odpowiedniej chwili.

Czasami otwieram worek i wyglądam, by sprawdzić, jak radzą sobie moi towarzysze, ale już ich nie mogę znaleźć. Spadamy w nieznacznie różnym tempie i w miarę upływu godzin rozciągnęliśmy się w długą linię. Warto zauważyć, że spadamy szybciej od statków – tego nie można było przewidzieć. Fałszywe pokłady, symetrycznie przymocowane do balkonów, próbują utrzymać horyzontalne ustawienie, chociaż same pozbawione gazu balony zapadły się i ciągną w ich kilwaterze, tym samym stwarzając większy opór.

Gdy zostawiliśmy statki za sobą, zauważyłem, że pokłady oscylują w strumieniu powietrza, a gdy widziałem je po raz ostatni, wyglądały jak sześć wolno mrugających gwiazd. Muszę zrelacjonować to Zavotle'owi, który może zechce przeprojektować mocowania, tak by pokłady mogły spadać w ustawieniu pionowym. Wtedy statki mogłyby poruszać się szybciej. Zderzenie z gruntem byłoby gorsze, ale silniki przecież są niezniszczalne.

Czasami myślę o ludziach, których pozostawiliśmy tam, w strefie nieważkości, i mam szczerze powody, by im zazdrościć. Oni przynajmniej mogą coś robić! Mają do wykonania niezliczone zadania... uszczelnienie fortec mastyką... cogo-

dzinne sprawdzanie dymu ostrzegającego przed dryfowaniem... zakładanie miechów ciśnieniowych... przygotowanie pierwszych posiłków... sprawdzanie silników i uzbrojenia... ustalenie zmiany wachty...

Worek kołysze się lekko, a powietrze szepce kojąco...

Jak łatwo tu zasnąć..."

## ROZDZIAŁ 7

Złoto! Masz czelność proponować mi złoto! – Rozwścieczony Ragg Artoonl trzepnął skórzany worek stwardniałą, pokrytą odciskami dłonią. Sakiewka upadła na ziemię, w wilgotną trawę wysypało się kilka kwadracików bitego złotego

metal.

– Jesteś taki głupi, jak mówią! – Lue Klo rzucił się na kolana i pieczołowicie wybierał pieniądze. – Chcesz sprzedać swoją działkę czy nie?

– Chcę sprzedać, w porządku – ale chcę prawdziwych pieniędzy. Dobrego, staromodnego szkła, oto czego chcę. – Artoonl potarł kciukiem jednej ręki o dłoń drugiej, naśladując liczenie tradycyjnej kolcorroniańskiej szklanej waluty. – Szkła!

– Wszystkie noszą podobiznę króla – bronił swych pieniędzy Klo.

– Ja chcę je wydać – nie wieszać na ścianie. – Artoonl wściekłym wzrokiem zmierzył grupę farmerów. – Kto ma prawdziwe pieniądze?

– Ja. – Narbane Ellder, gmerając w sakiewce, bokiem przesunął się do przodu. – Mam tu dwa tysiące rojalów.

– Biorę je! Działka jest twoja, i może powiedzie ci się na niej lepiej niż mnie. – Artoonl wyciągnął rękę po pieniądze, gdy nagle między dwóch mężczyzn wszedł Bartan Drumme. Rozepchnął ich siłą, której nie byłby w stanie zaprezentować wtedy, gdy dopiero zaczął parać się rolnictwem.

– Co z tobą, Raggu Artoonl? – zapytał. – Nie możesz sprzedać swojej ziemi za ułamek jej wartości.

– On może zrobić to, na co ma ochotę – wtrącił Ellder, wymachując paczką kolorowych kwadratów.

– I tobie też się dziwię – powiedział Bartan, oskarżycielsko stukając go palcem w piersi. – Wykorzystujesz sąsiada i to, że z jego głową coś jest nie w porządku. Co by powiedział na to Jop? Co powiedziałyby o tym zebraniu? – Bartan rozejrzał się wyzywająco. Otaczała go grupa mężczyzn, którzy zgromadzili się w obramowanym drzewami zagłębieniu, zapewniają-

cym pewną osłonę przed deszczem i wiatrem. Ciężka ulewa nie słabła i zgarbieni farmerzy w podobnych do worków kapturach wyglądali ponuro i dziwnie tajemniczo.

– Z moją głową jest wszystko w porządku. – Artoonl przez chwilę z oburzeniem wlepił oczy w Bartana, potem jego twarz pociemniała, gdy wpadła mu do głowy nowa myśl. – To wszystko twoja wina. To ty sprowadziłeś nas do tego miejsca niedoli.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało twoją siostrę – rzekł Bartan. – To było straszne, ale musisz nauczyć się o tym myśleć normalnie i zrozumieć, że nie musisz oddawać działki, w którą włożyłeś tyle pracy.

– A kim ty jesteś, żeby mi mówić, co mogę, a czego nie mogę? – Zarumieniona twarz Artoonla wyrażała tę samą nieufność i wrogość, t jaką Bartan spotkał się po raz pierwszy po wstąpieniu do wspólnoty. – Co ty wiesz o tym kraju, panie Nizaczu Paciorków, panie Naprawiaczu Broszek?

– Wiem, że Lue nie proponowałby kupna twojej ziemi, gdyby nie uważał, że jest warta zachodu. On cię wykorzystuje.

– Trzymaj język za zębami – powiedział Ellder, podchodząc do Bartana z wysuniętą szczeciniastą szczęką. – Jestem coraz bardziej tobą zmęczony, panie... – szukał nowego zwiska, oczy zwięzły mu się z wysiłku, lecz w końcu został zmuszony do powtórzenia za Artoonlem – ...Nizaczu Paciorków.

Bartan rozejrzał się po zakapturzonych postaciach, oceniając ogólny nastrój. Zrozumiał, że jeżeli zostanie, może spotkać się z otwartą przemocą. Był to kolejny znak świadczący, że farmerzy rzeczywiście ulegali zdumiewającej, niepojętej degeneracji od dnia zasiedlenia Nawiedzonego. Przez rok,

który minął od poślubienia Sondeweere, obserwował, jak duch braterstwa zanika, a zastępuje go wstrętne rywalizacja – nawet największe i najbogatsze rodziny odmawiały pomocy sąsiadom. Jopowi Trinchilowi odebrano przywództwo, utracie władzy towarzysz! moralny i fizyczny upadek. Skurczony i chory, nie był już w stanie spokojnie kierować gromadą i rzadko widywano go poza granicami jego farmy. Bartan nigdy nie spodziewał się, że będzie mu brakowało starego Trinchila, z jego beznadziejną głupotą i brutalnymi metodami, ale wyglądało na to, że wspólnota bez niego straciła kierunek.

– Nie jestem już nierzecem paciorków – powiedział sztywno Bartan. – Może szkoda, ponieważ z pomocą igły i nici mógłbym zrobić z waszych mózdków naszyjnik. Bardzo kiepski naszyjnik.

Z dwudziestu gardeł padły jednocześnie gniewne odpowiedzi. Były niezrozumiałe i nakładały się na siebie niczym szum fal zderzających się w wąskim przesmyku, a jednak Bartan usłyszał wyraźnie, choć może tylko mu się zdawało, jedno zdanie: „Ten głupiec zrobiłby lepiej, gdyby zajął się szyciem pasa cnoty”.

– Kto to powiedział?! – krzyknął, nieomal sięgając po miecz, którego przecież nigdy nie nosił.

Cieniste łuki kapturów zwróciły się ku sobie, potem znów do Bartana.

– Co kto powiedział? – zapytał jeden z mężczyzn umiarkowanie wesołym tonem.

– Czy młody Glave Trinchil nadal wyręcza cię w obowiązkach? – zapytał inny. – Jeżeli siły go zawiodą, chętnie go zastąpię. W swoim czasie przeorałem niejedną bruzdę.

Bartan chciał rzucić się na niego, ale powstrzymał go

zdrowy rozsądek. Wieśniacy znów wygrali, jak zawsze, ponieważ słowny sztylet, nieważne jak ostry, nigdy nie dorówna tuzinowi pałek. Te same grubiańskie dwuznaczniki zawsze bawiły ich jak coś całkowicie nowego i oryginalnego, ciemnota była nie do pokonania.

– Mam nadzieję, że nie poczujecie się zbyt urażeni, jeżeli odejdę, panowie. Mam interes na targu. – Przerwał, łudząc się, że dwuznaczna aluzja może nieco złagodzi napięcie, ale przeszła nie zauważona.

– Pojadę z tobą, jeżeli nie masz nic przeciwko – powiedział Orice Shome, przyłączając się do Bartana. Shome był wędrownym robotnikiem, jednym z kilku, którzy ostatnio zostali wynajęci przez członków wspólnoty. Był młodym człowiekiem o trochę dzikich oczach, brakowało mu większej części jednego ucha, ale Bartan nie słyszał na jego temat złego słowa i był zdecydowany zgodzić się na takie towarzystwo.

– Chodź ze mną, jeśli sobie życzysz – powiedział – ale czy Alharen nie spodziewa się, że będziesz w pracy?

Shome pokazał mu małe zawiniątko.

– Znów jestem w drodze. Nie chcę tu zostać.

– Rozumiem. – Bartan szczerzej otulił ramiona nie przemakalnym kapturem i wspiął się na siedzenie wozu.

Ciepły deszcz ciągle padał, ale nad zachodnim horyzontem rozbłysło rozszerzające się z każdą chwilą bladożółte pasmo i Bartan wiedział, że pogoda wkrótce się poprawi. Shome usiadł na ławie obok niego, Bartan chwycił lejce i niebieskorożec ruszył. Jego zmywany deszczem zad podnosił się i opadał w monotonnym rytmie. Bartan zaczął zastanawiać się nad uwłaczającymi słowami dotyczącymi żony i, aby zmienić tok myślenia, postanowił uciąć sobie pogawędkę z pasażerem.



– Nie byłeś u Alharena zbyt długo – zaczął. – Nie jest dobrym pracodawcą?

– Miewałem gorszych. Nie podoba mi się to miejsce. Odchodzę, ponieważ coś tu jest nie tak.

– Jeszcze jeden panikarz! – Bartan obrzucił Shome'a krytycznym spojrzeniem. – Nie wyglądasz na człowieka, który boi się duchów.

– Wyobraźnia może być gorsza od wszystkiego, co rzeczywiste, co nachodzi człowieka z zewnątrz. Prawdopodobnie dlatego zabiła się siostra Artoonla. I słyszałem, że ten jej chłopak nie zniknął tak po prostu, słyszałem, że ona go zabiła i pogrzebała ciało.

Bartan zezłościł się.

– Zdaje się, że dużo słyszałeś jak na człowieka z jednym uchem.

– Nie musisz być uszczypliwy – powiedział Shome, dotykając resztek ucha.

– Przepraszam. To przez to całe gadanie o... Powiedz mi, dokąd ruszasz?

– Nie jestem pewien. Mam dość łamania sobie grzbietu dla wzbogacenia innych, taka jest prawda – odparł Shome, patrząc wprost przed siebie. – Może spróbuje w Prądzie. Nie brakuje tam pracy, mam na myśli czystą, lekką pracę, z powodu wojny. Kłopot w tym, że Prąd leży tak daleko. Trzeba by... – Shome spojrzał na Bartana z nowym zainteresowaniem. – Czy to nie ty masz własny statek powietrzny?

– Popsuty – odparł Bartan, czepiając się wzmianki o wojnie. – Słyszałeś coś nowego? Czy najeźdźcy nadal atakują?

– Tak, atakują. Ale zawsze są odpierani.

Bartan z doświadczenia wiedział, że wędrowni robotni-

cy rzadko bywają patriotami, ale w głosie Shome'a zabrzmiała niekłamana duma.

– Mimo wszystko to dziwna wojna. Bez armii, bez pól bitewnych...

– Nie wiadomo, czy tam nie ma pól bitewnych. Słyszałem, że piloci dosiadają odrzutowych rur, tak jakby to były niebieskorożce, i latają całe mile od swych fortec. I nie ma tam balonów ani niczego, co by powstrzymało człowieka przed upadkiem na ziemię. – Shome zadrżał. – Cieszę się, że mnie tam nie ma, zbyt łatwo o śmierć.

Bartan pokiwał głową.

– To dlatego królowie nie stają już na czele ruszających w bój armii.

– Lord Toller nie zgodziłby się z tym. Słyszałeś o lordzie Tollerze Maraquine, prawda?

Bartan wiązał to nazwisko z historią Migracji i zdumiał się, że historyczny heros żyje naprawdę i wciąż walczy.

– Wiesz, nie jesteśmy tak kompletnie odcięci od cywilizacji.

– Mówi się, że lord Toller spędza więcej czasu tam, w górze, walcząc z groźnymi Landyjczykami, niż jakkolwiek żyjący człowiek. – Shome z patriotycznym ferworem zaczął opowiadać serię anegdot, niektóre z nich były oczywiście zmyślane, o bohaterskich czynach lorda Tollera Maraquine'a w międzyplanetarnej wojnie. Czasami jego głos grubiał i drżał z emocji, co kazało przypuszczać, że opowiadający utożsamiał się z główną postacią. Uwaga Bartana słabła, myśli wróciły do szyderstw farmerów.

Był za mądry, by dawać wiarę plotkom i obelgom, a jednak wolałby, żeby nie padło imię Glave'a Trinchila. Glave był

jednym z nielicznych, którzy ciągle jeszcze przychodzili na farmę i pomagali, gdy trzeba było wykonać jakąś ciężką pracę, ale – ta myśl wślizgnęła się do mózgu Bartana niczym czubek sztyletu – zazwyczaj zjawiał się wtedy, gdy Sondeweere była sama. Bartan natychmiast odrzucił to obrzydliwe przypuszczenie., wówczas jednak przypomniał sobie prawie zapomnianą scenę: Sondeweere i Glave przy wozie Trinchila, przekonani, że nikt ich nie widzi...

„Dlaczego nagle zacząłem wątpić w wierność żony?“, myślał Bartan. „Z jakiego powodu? Wiem, że nie mogę mylić się co do Sondeweere. Przyznaję, że innych mężczyzn czasem zaślepia miłość, lecz ja jestem zbyt bystry, zbyt otrzaskany w świecie, by dać się okpić w taki sposób wiejskiej dziewczynie. Niech ci prostytutki wyśmiewają się do oporu – nie pozwolę, by wpłynęli na mnie w jakikolwiek sposób”.

Deszcz zelżał i po niebie przesuwiał się wyraźnie zarysowany skraj pola chmur, co stwarzało wrażenie, że wóz wyłania się w słońce z cienia ogromnego budynku. Niedaleko znajdowało się skrzyżowanie z szerszym traktem, gdzie Bartan miał skręcić na zachód do Nowej Minnett. Napełnione wodą koleiny, w których odbijało się czyste niebo, wyglądały jak wypolerowane metalowe poręcze.

Bartan, czując się lekko winny, odwrócił się do Shome'a i powiedział:

– Przepraszam, ale postanowiłem nie jechać dzisiaj na targ. Wiem, że to szmat drogi, by iść na piechotę, ale...

– Nieważne – rzekł Shome, fatalistycznie wzruszając ramionami. – Obszedłem już połowę planety i śmiem twierdzić, że poradzę reszcie.

Narzucił worek ma ramię, zeskoczył z wozu na skrzy-

żowaniu, skinął głową na pożegnanie i ruszył w kierunku Nowej Minnett. Bartan pomachał ręką i skierował niebieskorożca na wschód w kierunku własnej działki.

Poczucie winy nasiliło się, gdy sam przed sobą przyznał, że zastawił pułapkę na Sondeweere. Nie będzie spodziewała się go przed zapadnięciem nocy, a podróż do miasta została zaplanowana kilka dni wcześniej, dając jej wystarczająco dużo czasu na umówienie się z Glave'em. Łajał się w myślach i czuł wstręt do samego siebie, a zarazem pewne podniecenie, gdy zastanawiał się nad nowym problemem. Gdyby z daleka dostrzegł niebieskorożca Glave'a przywiązanego do domu, miałby dość czasu, by zatrzymać hałaśliwy wóz i ruszyć bezgłośnie na piechotę. A gdyby znalazł parę w łóżku – co wtedy? Rok bezlitosnej harówki uzbroił go w twarde mięśnie, lecz nadal był słabiej zbudowany od Glave'a i miał niewiele doświadczenia w bójkach.

„To straszne”, pomyślał, targany sprzecznymi emocjami. „Wszystkim, czego pragnę od życia, jest zastanie żony samej, zajętej pracą w domu. Dlaczego miałbym ryzykować utratę posiadanego szczęścia? Dlaczego nie zawrócę, nie dopędzę Shome'a i nie pojedę na rynek, tak jak planowałem? Mógłbym przysiąc ze starymi znajomymi, cieszyć się brązowym piwem i zapomnieć o tych wszystkich...”

Krajobraz przed Bartanem zasnuła brzoskwiniowo-srebrna mgła. W dali pojawił się ciemny pyłek, który rósł z każdą sekundą. Stopniowo przybrał określony kształt, okazując się jeźdźcem zbliżającym się ze znaczną prędkością.

Bartan wiedział długo przedtem, nim możliwe było rozpoznanie jeźdźcy, że jest nim Glave Trinchil, i znów doszło do zderzenia emocji, jednocześnie czuł ulgę i rozczarowanie.

Znajdując się tak daleko od farmy Glave mógł twierdzić, że gdzie skądkolwiek, wcale nie od Sondeweere, i nie było podstaw, by mu nie wierzyć. Bartan spodziewał się, że Glave minie go ze zdawkowym pozdrowieniem i był zbity z tropu, gdy młodszy mężczyzna zaczął do niego kiwać z daleka, najwyraźniej przygotowując się do zatrzymania i rozmowy. Serce Bartana przyspieszyło alarmująco, gdy zobaczył, że Glave jest silnie wzburzony. Czy na farmie zaszedł jakiś wypadek?

– Bartanie! Bartanie! – Glave ściągnął wodze i zatrzymał niebieskorożca obok wozu. – Cieszę się, że cię widzę! Sondi powiedziała, że pojechałeś do miasta.

– Tak powiedziała? – mruknął Bartan, niezdolny do wymyślenia stosowniejszej odpowiedzi. – Więc złożyłeś jej kolejną ze swych odpowiednio ustawionych w czasie wizyt.

Glave jakby nie zwrócił uwagi na zarzut. Jego szeroka, szczerą twarz wyglądała na zmartwioną, a Bartan nie doszukał się w niej ani śladu fałszu czy wyzwania, które mogłoby wypływać z poczucia winy.

– Jedź do niej bez zwłoki! – krzyknął Glave. – Ona cię potrzebuje.

Kiedy okazało się, że Sondeweere przytrafiło się coś złego, Bartan przeklął się za bzdurne i małostkowe podejrzenia.

– Co się stało?

– Naprawdę nie wiem, Bartanie. Wstąpiłem na farmę po sąsiedzku, tylko by zobaczyć, czy nie ma jakiejś ciężkiej roboty... – Glaven, mimo że był zdenerwowany, nie omieszkał obrzucić swych umięśnionych ramion zadowolonym spojrzeniem. – Sondi powiedziała, że jest drzewo do wykarczowania. Wiesz które, tam gdzie chcesz zasadzić fasolę i...

– Tak, tak! Co się stało mojej żonie?

– No cóż, zabrałem łopatę i siekierę i zająłem się podkopywaniem korzeni. Mimo deszczu było gorąco i ucieszyłem się, gdy zobaczyłem Sondy idącą z dzbanem piwa. Przynajmniej myślę, że było to piwo. Nigdy go nie wypłem. Była nie więcej niż tuzin kroków dalej, gdy sapnęła, puściła dzbanek i usiadła na trawie. Trzymała się za kostkę. Bałem się, że zrobiła sobie krzywdę, ale najgorszy był... był... – Głos Glave'a ściekł i męczyzna spojrział na Bartana ze zdumieniem, jakby zastanawiał się, kim on jest.

– Glave!

– To był straszny krzyk, Bartanie, ale najgorsze, że Sondy miała zamknięte usta. Patrzyłem prosto w jej twarz i słyszałem krzyk, a jej usta były szczelnie zamknięte. To naprawdę zmroziło mi krew w żyłach.

Bartan mocniej ujął lejce, przygotowując się do ruszenia w drogę.

– To nie ma żadnego sensu. W porządku, Sondeweere jęczała! To wszystko, prawda? Skręciła nogę w kostce? Co powiedziała?

Glave potrząsnął głową, powoli i melancholijnie.

– Nie powiedziała niczego.

– Nie powiedziała niczego? To co...? – Bartana zaczęła ogarniać panika. – Ale nadal może mówić, prawda?

– Nie wiem, Bartanie – odparł po prostu Glave. – Powinieneś pojechać do niej. Zostałem tak długo, jak mogłem, ale nie wiedziałem, co robić. Niczego nie potrafiłem wymyślić...

Pozostałe słowa zagłuszył klekot kopyt i skrzyp osi. Bartan pędził niebieskorożca z największą prędkością, na jaką pozwalała nierówna droga, ślizgając się i podskakując na nie

wyściełanym siedzeniu. Jasna mgła otulała horyzont i ograniczała pole widzenia, odnosił wrażenie, iż jedzie w środku kopy w kształcie dzwonu, której jasne, pastelowe boki wirowały i wznosiły się ku słońcu. Nieco później opary zaczęły się kłębić, niebo stało się mlecznoniebieskie i Bartan zobaczył w oddali swoją farmę, połyskującą, jakby odnowioną przez deszcz i mgłę. Nim do niej dotarł, niebo odzyskało swój normalny intensywny odcień błękitu i znów rozbłysły na nimienne gwiazdy.

Bartan zatrzymał wóz, zeskoczył i wbiegł do domu. Nikt mu nie odpowiedział, gdy wykrzykiwał imię Sondeweere, a pospieszne poszukiwania, w trakcie których rzucał się z pokoju do pokoju, potwierdziły, że żona musi być gdzieś na zewnątrz. Pierwszym miejscem, jakie mu przyszło na myśl, było wspomniane przez Glave'a drzewo, chociaż byłoby dziwne, gdyby Sondeweere ociągała się tam tak długo – chyba że dotknęła ją poważna niemoc. Dlaczego ten idiota Glave nie odprowadził jej do domu, zamiast uciekać tak, jakby zobaczył ducha?

Bartan wyszedł z budynku, przemknął obok chlewu, w którym znajdowała się jego skromna trzoda, i wbiegł na szczyt trawiastego pagórka, który zasłaniał mu widok na wschód. Natychmiast zobaczył Sondeweere. Siedziała w trawie w pobliżu drzewa, które chciał wykarczować Glave, i nadal ubrana była w bładozieloną przeciwdeszczową pelerynę. Zawołał do niej, ale ona nie zareagowała. Trwała bez ruchu, gdy spieszył w dół łagodnego skłonu, a jego obawy rosły z każdym krokiem. Jakaż choroba czy niemoc mogła zmusić ją do tego, by siedziała tak długo bez ruchu, ze schyloną głową, najwyraźniej nieświadoma niczego? Może miała gorączkę albo była pół-

przytomna, albo... martwa?

Kiedy był jakieś sześć kroków od żony, zatrzymał się, opanowany jakimś dziwnym strachem, i wyszeptał:

– Sondeweere, kochanie, nic ci nie jest?

Podniosła głowę, a on poczuł przyływ ulgi, gdy zobaczył, że żona się uśmiecha. Patrzyła na niego przez kilka sekund – uśmiech nie uległ zmianie, w jej oczach nie pojawił się ślad rozpoznania – po czym znów zniżyła głowę, najwyraźniej przypatrując się czemuś na ziemi.

– Nie wygłupiaj się, Sondy. – Bartan pochylił się i podszedł bliżej. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej włosów, gdy jego oczy nagle zatrzymały się na tym, na co patrzyła. W odległości równej szerokości dłoni od jej kostek wiły się dwa wielonogie robaki, zdawałoby się splecione w walce. Ich segmentowane ciała w kształcie sierpa były nie dłuższe od palca i ciemnobrązowe na grzbiecie, a bladoszare od spodu. Nie przypominały innych pełzających stworzeń, jakie widział, bowiem każde miało pojedynczy gruby czułek wyrastający poniżej głowy. Miał już odskoczyć ze wstrętem, gdy zaczął rozpoznawać i pojmować to kłębowisko kończyn, oczu na słupkach i czułków. Stworzenia splotły się za pomocą centralnych czułków i pochłaniała je nie walka, ale kopulacja... i... widać było tylko jedną głowę. Samica pożerała swego partnera, opychała się jasną posoką wyciekającą z jego odwłoka, który – nie zmieniając rytmu – nie zaprzestawał swych ekstatycznych podrygów i pchnięć w jej zachłanny brzuch.

Reakcja Bartana była natychmiastowa i całkowicie instynktowna. Wyprostował się i rozgniół butem wirujące obrzydlistwo. W tej samej chwili Sondeweere zerwała się na nogi i wrzasnęła tak, że krzyk nieledwie zranił mu mózg. Bar-



tan spojrział na nią z przerażeniem... „Jak może tak krzyczeć bez otwierania ust?” ... po czym złapał ją wpół, gdy zaczęła osuwać się na ziemię.

– Sondeweere! Sondy! – Niewprawnie masował jej szyję i policzki, próbując przywrócić ją do przytomności, ale jej głowa kołysała się bezwładnie na jego ramieniu, a pod powiekami błysnęły białka wywróconych w tył głowy oczu. Podniósł ją i ruszył do domu, przepełniony najgorszymi obawami i strachem.

Niedaleko na ścieżce zobaczył ruch i brązowe błyski, i od razu wiedział, że to następne z tych ohydnych pełzaczy. Ich widok wzmógł jego złe przeczucia – nigdy wcześniej nie widział takich stworzeń ani nie słyszał, by istniały, a teraz pojawiły się, i to tak obficie. Zmienił lekko krok i jego but opadł na robaka, wgniatając go w glebę.

Sondeweere poruszyła się w jego ramionach. Rozległ się przytłumiony, jak gdyby dobiegający z drugiego końca długiego na milę korytarza nienaturalny krzyk.

Jeszcze dwa razy w drodze do domu napotykał te bezimienne stworzenia, pełzające ku niemu na licznych odnóżach, i za każdym razem rozgniatał je na miazgę, a Sondeweere za każdym razem cierpiała jak wcześniej. Bartan nie wyobrażał sobie, jakim sposobem, i że w ogóle, między jego żoną a tymi pełzaczami może istnieć jakaś więź, jednak – mimo że Sondeweere była nieprzytomna – wstrząsał nią dreszcz, gdy któreś z nich umierało. I jeszcze ten jej krzyk... Jak mogła wydawać takie przeszywające dźwięki bez otwierania ust i dlaczego były one tak niepokojące?

Bartan czuł zimno pełzające po kręgosłupie. Opanowało go przygnębienie. Wiedział, że roztaczająca się wokół niego

oświetlona słońcem normalność jest pozorna, że błędzi w rzeczywistości wykraczającej poza jego zdolności pojmowania. Wniósł Sondeweere do domu i ostrożnie położył na łóżku. Czoło miała chłodne, skórę normalnie zabarwioną, co sprawiło wrażenie, że po prostu śpi, ale nie reagowała na potrząsanie ani na dźwięk swego imienia. Zdjął jej pelerynę i zzuwał sandały, gdy na prawej kostce zauważył plamkę zaschniętej krwi. Plamka zniknęła, gdy potarł ją wilgotną szmatką, a skóra wydawała się nieskazitelna, co rozwiało przypuszczenie, że być może Sondeweere została ugryziona czy ukąszona przez jedno z tych pełzających okropieństw. Ale coś musiało jej się stać, i chociaż Bartan próbował ze wszystkich sił, nie mógł pozbyć się wrażenia, że w jakiś sposób były w to zamieszane te stworzenia. Czy mogły wydzielać jad tak potężny, że wystarczał sam kontakt ze skórą, by pozbawić człowieka przytomności?

Stojąc przy łóżku i patrząc na nieruchome ciało żony, czuł, że jego hart zaczyna się kruszyć. „Artoonl miał rację”, pomyślał. „Nie zważałem na ostrzeżenia i przyprowadziłem wszystkich w to miejsce – i jak to się skończyło? Dwa samobójstwa, jedno zniknięcie będące prawdopodobnie wynikiem morderstwa, martwe noworodki, szaleństwo i prawie szaleństwo, dziwne widzenia i złe sny, przyjaciele zwracający się przeciwko przyjaciołom, zła wola wszędzie tam, gdzie była dobra – a teraz to! Sondeweere leży bez przytomności, a ziemia wyrzyguje paskudztwa!”

Z wysiłkiem oderwał się od tych rozmyślań i walczył o odzyskanie właściwego mu zawsze optymizmu. On, Bartan Drumme, wiedział, że duchy i demony nie istnieją – a skoro nie było czegoś takiego jak zły duch, czy mogło istnieć złe miejsce? To prawda, że po przybyciu do Kosza Jaj zaczął się przypliw

nieszczęść, ale zła passa wcześniej czy później zostaje zastąpiona przez passę pomyślną. Artoonl nie miał racji, wyjeżdżając po zainwestowaniu takiej ilości czasu i wysiłku. Farmerzy powinni trzymać się ziemi i czekać na poprawę. A obowiązek Bartana był jasny – musiał trwać przy żonie i robić wszystko co w jego mocy, by przywrócić jej dawną osobowość.

Usiadł przy łóżku i zaczął myśleć o pełzających stworzeniach, których pojawienie się spowodowało tajemniczą niemoc Sondeweere. Na Overlandzie znajdowano wiele ciekawych form życia – niektóre z nich były zdumiewająco szpetne – i być może coś tak odrażającego zostało zauważone również w innej okolicy. Po namyśle doszedł do wniosku, że niepotrzebnie niszczył te robaki. Jeżeli znajdzie jeszcze jednego, pokona wstręt, złapie go i odda do zbadania komuś posiadającemu większą wiedzę w tej materii.

Bartan podniósł bezwładną rękę Sondeweere do ust i trzymał ją tak, pragnąc, by do jej ciała przepłynęła jego własna siła życiowa, gdy zaalarmowało go lekkie skrobanie dochodzące z drugiej strony domu. Przechylił głowę i nasłuchiwał uważnie. Dźwięk był ledwie słyszalny, ale zdołał umiejscowić jego źródło – dobiegał od drzwi wejściowych. Wstał, przeszedł przez sypialnię i kuchnię i zbliżył się do drzwi. Smuga przesączającego się pod nimi światła nie była przerwana, a jednak delikatne drapanie nie ustawało. Otworzył drzwi i coś, co przywierało do nadproża, coś, co wiło się i skręcało, musnęło mu twarz, spadając na podłogę.

Bartan sapnął mimowolnie, odskoczył i skrzywił się ze wstrętem.

Pełzacz wylądował z głuchym odgłosem na grzbiecie. Bładozielony brzuch błyskał, gdy robak wił się konwulsyjnie,

potem przekręcił się i ruszył w głąb domu w sposób, który wskazywał, że wie, co robi. Sterczał przed nim pojedynczy gruby czułek, falujący, poszukujący. Nadzieje Bartana na opanowanie wstrętu rozwiały się w ułamku sekundy. Nastąpił butem na robaka, usłyszał i wyczuł, jak się rozpląszcza – a wtedy gdzieś między jego skroniami rozległ się pełen udręki krzyk Sondeweere.

Bartan zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami. Przeżony przypomniał sobie, ile razy widział ludzi – żonę farmera, małe bawiące się dzieci – wyciągających jedno ramię i kiwających nim w dziwnym, jakby bezkościstym ruchu, który naśladował ruch czułka pełzacza.

## ROZDZIAŁ 8

Po ponad roku prawie nieprzerwanej służby w fortcach Toller pogodził się z faktem, że chyba nigdy nie potrafi wypaść się normalnie w stanie nieważkości. Ciągłe wrażenie spadania, które praktycznie bez przerwy nękało załogę stacji, można było ignorować podczas pracy, ale śpiący umysł nie mógł się przed nim obronić. Członkowie załogi cały przeznaczony na wypoczynek okres spędzali mamrocząc i rzucając się w swych hamakach, widząc powierzchnię planety wznoszącą się ku nim ze wzrastającą prędkością, i budzili się w chwili wyobrazonego zderzenia – z wrzaskiem, który niepokoił ich towarzyszy.

Toller opracował sobie prywatną metodę, pozwalającą rozprawić się z tym problemem. Przez sześć dni każdego okresu służby nawet nie próbował zasnąć, zadowolając się odpoczywaniem i drzemaniem, gdy nie musiał aktywnie pracować. Kiedy nadchodził czas powrotu na Overland, związał się w wełnianym łonie worka i spał twardo przez większą część drogi, ukołyszany cichym, monotonnym szumem powietrza. Na początku był zaskoczony, że potrafi zasnąć w tak nieprawdo-

podobnych okolicznościach, potem zdecydował, że świadomość, iż naprawdę spada, jest źródłem kojącej zgodności między intelektem a odczuciami ciała.

Obecnie pozostał mu tylko jeden dzień do zakończenia kolejnej tury służby i zmęczenie narosło do tego stopnia, że w ciągu kilku sekund po owinięciu się siatką hamaka zapadł w stan otumanienia, gdzieś w połowie między snem a jawą, w którym trudno było odróżnić przeszłość od nie w pełni zrozumiałej terażniejszości. We wnętrzu Stacji Dowodzenia Jeden, którą wybrał sobie na kwaterę, żeby przez cały czas być blisko centrum operacji, panował spokój. Jedynymi dźwiękami były dobiegające go fragmenty nieciekawej pogawędki dwóch znudzonych wachtowych, i od czasu do czasu świst miechów, które utrzymywały znośne ciśnienie powietrza. Toller odwrócił się twarzą do stacji i odpoczywał wygodnie, co nie było możliwe na początku wojny. Ściany były teraz izolowane grubą warstwą runa i obite skórami, redukującymi utratę ciepła i zapobiegającymi przypadkowemu przedziurawieniu pancerza.

Pewnej nocy, w czasie jednej ze swych najwcześniejszych tur służby, Toller wyczuł raczej niż usłyszał lekkie, ale uparte pogwizdywanie, i po krótkich poszukiwaniach odkrył jego źródło. W poszyciu sekcji środkowej znajdował się wielki sęk. Jego rdzeń wysechł i skurczył się, przez co znajdujące się wewnątrz stacji powietrze pod wyższym ciśnieniem uciekało na zewnątrz. Toller popukał w niego palcem, a wtedy sęk wypadł i szybko zniknął w pustce na zewnątrz. Toller bez namysłu zajął się łataniem otworu korkiem i mastyką. Nie zlecił tej pracy nikomu innemu, bowiem wiedział, że pogłoski dotyczące tego zdawałoby się nieistotnego incydentu rozejdą się szeroko i podtrzymają opinię, że lord Toller Maraquine nie wyno-

si się nad najgorszego rekruta w Służbie Kosmicznej.

Toller robił takie rzeczy z wyrachowania, ale usprawiedliwiał się tym, że w tak niezwykłych okolicznościach, podczas wojny międzyplanetarnej skutecznie dowodzić może tylko taki ktoś. Król Chakkell, grożąc karą śmierci, mógł zmusić swych poddanych do wyruszenia do strefy nieważkości, ale gdy już się w niej znaleźli, dowódca mógł ich sobie zjednać tylko w ten sposób: pokazując, że jest gotów wraz z nimi dzielić wszelkie niedostatki i stawiać czoło wszelkim niebezpieczeństwom.

A niebezpieczeństw było bez liku.

Obrońcy mieli szczęście, że król Rassamarden, zajęty swoimi sprawami w Starym Świecie, nie wyprawił floty inwazyjnej wcześniej. Dziesięć dni od zmontowania pierwszych dwóch fortec, w czasie których nie zauważono ani śladu wroga, wykorzystano pod kierunkiem Ilvena Zavotle'a do zmierzenia promienia kołnierza stosunkowo gęstego powietrza występującego na styku atmosfer obydwu planet. Wysłana na zwiady sonda obracała się w płaszczyźnie strefy nieważkości i dryfowała przez około sześćdziesiąt mil, nim pilot zaczął tracić przytomność z powodu nadmiernego rozrzedzenia atmosfery. Spróbował zawrócić, lecz skręcenie rozporki przyczyniło się do pęknięcia balonu. Pilot na szczęście odzyskał przytomność. Dzięki przymocowanemu do pasa siłniczkowi udało mu się wejść w pole grawitacyjne Overlandu i następnego dnia wylądował na spadochronie w odległości dnia marszu od Prądu. Ten zakończony szczęśliwie wypadek stał się źródłem pewności siebie szeregowych członków Służby Kosmicznej, ale dowództwo było zaniepokojone zdobytymi przez pilota danymi.

Brama, jak nazywano most nadającego się do oddycha-

nia powietrza, obejmowała powierzchnię ponad dziesięciu tysięcy mil kwadratowych – i stało się jasne, że żadna dostępna liczba fortec za pomocą samej artylerii nie będzie w stanie jej bronić.

Rozwiązanie raz jeszcze znalazł Zavotle, uparty rozgryzacz problemów.

Zainspirowany sukcesem silniczków należących do osobistego wyposażenia załóg, zaproponował zastosowanie najprostszego z możliwych statku bojowego: rury odrzutowej, której można dosiadać jak niebieskorożca. Okazało się, że zasilane mieszanką kryształów pikonu i halvelli silniki używane w zwyczajnych statkach powietrznych są odpowiedniej wielkości, i że po dokonaniu niezbędnych modyfikacji mogą wynosić wojownika na wiele mil od bazy. Wstępne obliczenia Zavotle'a – opierające się na założeniu, że efektywny zasięg myśliwca wynosi jedynie dwadzieścia mil – wykazały, że dla szczelnego pokrycia całego obszaru Bramy wystarcza zaledwie dwadzieścia pięć fortec.

Toller, dryfując w miękkiej siatce, wspominał wyraz zdumienia i wdzięczności, jaki odbił się na twarzy króla Chakkella, gdy otrzymał niespodziewanie dobre nowiny. Nikt nie wątpił, że mógłby wymusić skonstruowanie stu fortec – bo taką liczbę pierwotnie brano pod uwagę – ale wtedy zostałyby nadszarpnięte rezerwy materiałowe i ludzkie. Chakkell stanąłby przed dodatkowym problemem: znaczna część jego poddanych była zbyt młoda, by z pierwszej ręki znać okropności wiążące się z zarażeniem ptertozą, nie miała więc motywacji, by z zapałem podjąć się tak ciężkiej pracy. Z tego powodu Chakkell z entuzjazmem przyjął koncepcję odrzutowych statków myśliwskich, co z kolei doprowadziło do zakończenia



produkcji pierwszej partii w rekordowo krótkim czasie pięciu dni. Nie bez znaczenia było, że podstawą owych maszyn były już znane silniki.

Silnik odrzutowy, który z grubsza biorąc był po prostu pniem młodego drzewa brakka, składał się głównie z komory spalania. Krysztaly pikonu i halvellu, wtłaczane do komory pod ciśnieniem pneumatycznym, łącząc się ze sobą wytwarzały wielkie ilości gazu miglignowego, który wydostawał się przez otwarty koniec rury i wypychał pojazd do przodu.

W celu przekształcenia podstawowego silnika w operacyjnie niezawodną jednostkę powietrzną dodano drewnianą osłonę, która pozwoliła na zamontowanie dodatkowego wyposażenia. Zainstalowano siedzenie w kształcie siodła, za którym znajdowały się ruchome płyty sterujące. Wyglądały jak tępe skrzydła, ale w warunkach nieważkości ich jedyna funkcja polegała na kontrolowaniu kierunku lotu. Uzbrojenie myśliwca składało się z dwóch małych, przymocowanych po bokach osłony prymitywnych, lecz dość skutecznych armatek, które trafiały w cel, gdy pojazd został ustawiony z nim w jednej linii.

Toller, unosząc się między jawą a snem, żywo przypominał sobie swoją pierwszą przejażdżkę na jednej z tych dziwnie wyglądających maszyn. Czuł się niezdarnie w ogromnym skafandrze, z silniczkiem u pasa i spadochronem na plecach. Samo przyzwyczajenie się do siedzenia i zaznajomienie ze sterowaniem odrzutowca zabrało mu nieco czasu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany przez ludzi znajdujących się w Fortecy Jeden. Napompował do maksimum pneumatyczny zbiornik, po czym przesunął w przód dźwignię przepustnicy. Mimo że zrobił to łagodnie, przyspieszenie, któ-

remu towarzyszył ryk wyrzucanych spalin, nieomal wysadziło go z siodła. Po jakichś trzech minutach szaleńczego lotu, w ciągu których lodowaty strumień powietrza omywał twarz, udało mu się zwalczyć denerwującą tendencję myśliwca do wchodzenia w spiralę. Wyłączył silnik i pozwolił, by opór powietrza zatrzymał pojazd. Rozradowany szybkością przyspieszenia, odwrócił się w siodle, gotów przyjąć zasłużony aplauz czekających przy fortecy kolegów-pilotów.

Ale fortecy nie było!

Szok i panika przypieczętowały zawarcie znajomości z odrzutowym myśliwcem. Dopiero po kilkunastu sekundach udało mu się zlokalizować i rozpoznać fortecę pod postacią maleńkiego świetlnego punkcika prawie zagubionego w pocętkowanym srebrem błękanie wszechświata. Wtedy w pełni zrozumiał, z jak niewyobrażalną prędkością poruszał się przed chwilą...

Dziewięć myśliwców Czerwonej Eskadry ustawiło się jeden przy drugim, ich górne powierzchnie lśniły w promieniach słońca. Niedaleko nad nimi unosiło się to, co niegdyś było pierwszą fortecą, a niedawno poszerzone przez trzy nowe segmenty stało się stacją dowodzenia. Inne fortece wchodzące w skład Wewnętrznej Grupy Obrony znajdowały się w pobliżu, ale nawet mimo specjalnie zamontowanych reflektorów trudno je było dostrzec na tle głębokiego błękitu. Overland, zza którego wyglądało słońce, tworzył oblamowany ogniem dach wszechświata, a rozległy Land – podłogę, błękitno-zieloną, przyprószoną ochrą, ozdobioną spiralami bieli.

Innym znaczącym obiektem dla pilotów myśliwców był cel. Chociaż umiejscowiono go w odległości ponad mili, ogrom balonu stanowił ważny szczegół kosmicznego otoczenia, je-

dyny, który świadczył o materialności planet. Był ustawiony dobrze poza teoretyczną płaszczyzną nieważkości, w kierunku Landu, tak żeby wystrzelone kule armatnie zostały ściągnięte przez pole grawitacyjne tej planety. Załoga podniebnego posterunku miała za sobą gorzkie doświadczenie. Ofiarą jednego z dwóch nieszczęśliwych wypadków, do jakich doszło w czasie treningu, stał się młody pilot. Wykonywał lot ćwiczebny z dużą prędkością, gdy raptem został zmieciony ze swej maszyny przez kulę armatnią, która trafiła go prosto w piersi. Z początku myślano, że był to pocisk przypadkowo wystrzelony przez innego lotnika, później zaś zrozumiano, że dwucalowa żelazna kula wisiała prawie bez ruchu w powietrzu i była śmiertcionośną pozostałością po wcześniejszych ćwiczeniach strzeleckich. By zapobiec podobnym wypadkom, Toller wydał rozkaz, że z armatek można strzelać jedynie wówczas, gdy są skierowane w kierunku Landu.

Siedział na swym myśliwcu, Czerwonej Jedyńce, obserwując cel przez lornetkę i czekał na powrót pilota, który odprowadził statek na wyznaczoną pozycję. Od przybycia pierwszych dwóch fortac do strefy nieważkości minęło ponad czterdzieści dni i ciągle nie było ani śladu inwazyjnej floty Landu. W niektórych kwaterach zaczęto żywić nadzieję, że prognozy króla Chakkella okazały się zbyt pesymistyczne, ale Toller i Zavotle nie chcieli się łudzić. Postanowili do maksimum wykorzystać przewagę wynikającą z zajmowanej pozycji i w tym celu zorganizowali ćwiczenia strzeleckie. Jako cel poświęcono statek, którego balon już prawie odmawiał posłuszeństwa.

Toller zobaczył, że pilot opuścił gondolę statku i dosiadł myśliwca należącego do jeszcze nie skompletowanej Eskadry

Niebieskiej. Pilot odcumował, jego maszyna ruszyła, pozostawiając za sobą białą chmurę kondensacyjną. Kilka sekund później do Tollera dotarł huk silnika. Pilot wprowadził myśliwiec w wiodący w górę zakręt i zniknął w emanujących ze słońca igiełkach zimnego światła.

– Ruszaj! – krzyknął Toller, dając znak Golowi Perobane, pilotowi zajmującemu najdalej wysuniętą w lewo pozycję w szeregu myśliwców. Perobane zasalutował i wystartował. Myśliwiec szybko skurczył się w dali, atakując kopułę statku, a gdy pilot wystrzelił w krzywiznę balonu z obu armatek, w powietrzu pojawiły się kłęby pary. Toller, śledzący przebieg akcji przez lornetkę, osądził, że

Perobane oddał strzał dokładnie w odpowiednim momencie. Przeniósł uwagę na balon. Spodziewał się, że zobaczy drżącą i deformującą się powłokę, i poczuł się rozczarowany, bowiem jasna krzywizna nie wyglądała na uszkodzoną.

„Jak mógł chybić?”, pomyślał, dając znak następnemu w kolejce myśliwcowi.

Po przelocie kierowanej przez Berise Narrinder czwartej maszyny nakazał przerwanie kompromitującego nieskutecznego ataku. Wdmuchnął kryształą do własnego silnika i poleciał śladem poprzedników. Odciął dopływ paliwa na tyle wcześniej, by opór powietrza zatrzymał go w pobliżu ogromnego balonu. Z bliskiej odległości doszukał się kilku dziur w lakierowanej płóciennej powłoce, ale były one zaskakująco małe – sprawiało to wrażenie, że materiał sam częściowo zaleczył rany – i daleko odbiegały od katastrofalnych zniszczeń, jakie powinna była spowodować kanonada. Powłoka balonu marszczyła się i zaczynała lekko obwisać, ale Toller przypisał to nie tyle nieznaczącym przekłuciom, ile naturalnej utracie

ciepła. Stało się dla niego jasne, że w takim stanie statek powietrzny zachowa zdolność lotu i bezpiecznie powróci na poziom gruntu.

– Czy to znaczy, że musimy zacząć ostrzeliwać gondole?  
– zapytał Umol, zatrzymując się obok Czerwonej Jedyнки. Jego klatka piersiowa wznosiła się ciężko, zmagając z rozrzedzonym powietrzem.

Toller potrząsnął głową.

– Jeżeli zaatakujemy gondole, odsłonimy się na ogień załogi. Musimy atakować z góry, trzymając się w ślepym polu wroga, i niszczyć balony... – Urwał, z napięciem próbując wyobrazić sobie potrzebną broń, i w tej samej chwili wielki meteor przeciął niebo daleko pod nimi, na krótko oświetlając scenerię od spodu.

– ...czymś takim – dokończył Umol, ściągając w dół szalik, by pokazać szeroki uśmiech.

– To przekracza nasze możliwości, ale... – Toller znów przerwał, gdy przetaczał się opóźniony grzmot meteoru. – Ale twój sposób rozumowania wiedzie we właściwym kierunku, stary przyjacielu! Niech ktoś wróci na pokład i podgrzeje powietrze w balonie. Czekać do mego powrotu.

Oparł stopę o bok myśliwca Umola, który kołysał się obok jego maszyny w zbłąkanym prądzie powietrznym, i odepchnął się silnie. Dwie maszyny odsunęły się, zataczając leniwie z boku na bok. Toller z wyczuciem, którego nabywał od czasu pierwszego lotu, przesunął dźwignię przepustnicy i myśliwiec z rykiem przemknął w odległości kilku jardów od balonu. Gdy tylko zyskał prędkość odpowiednią do tego, by sterować nim za pomocą płatów, Toller poderwał dziób w górę i zawrócił do stacji dowodzenia.

Niedługo potem wrócił z prostym żelaznym prętem, na końcu którego przymocowany był pęk nasączonych olejem pakuł. Zapalił je za pomocą fosforowego knotu i, wymachując prętem, by pakuły dobrze się rozpały, wprowadził myśliwiec w płytki lot nurkowy. Znalazłszy się w pobliżu górnej półkuli balonu, cisnął pręt, który pomknął stabilnie niczym oszczep i utonął w materiale powłoki. Lakierowane płótno natychmiast zajęło się ogniem, wytwarzając gęsty brązowy dym, i nim Toller zatrzymał się, znaczna część korony stała już w płomieniach. W ciągu niecałej minuty balon zaczął zapadać się w sobie, pulsując i tracąc symetrię, a obserwujący piloci okrzykami wyrażali swoją aprobatę. Bez prądów konwekcyjnych, które unosiłyby go dalej, dym gromadził się wokół zaatakowanego statku w dziwnie ukształtowanej chmurce.

Toller przyłączył się do grupy myśliwców. Ich szereg był nierówny, nawet dwie maszyny nie stały równolegle ani na tej samej wysokości, nie mógł marzyć o defiladowych szykach i musiał się z tym pogodzić. Niewielu pilotów potrafiło panować nad nieruchomymi myśliwcami, jedynie kilku z młodszych, już za pan brat z nową formą latania, radziło sobie całkiem nieźle, psocąc przy tym, popisując się i drażniąc starszych kolegów. Toller nie starał się powściągnąć chłopięcych temperamentów – wiedział, że w czasie walki najlepszymi pilotami okazują się ci, którzy są najmniej skrupowani tradycyjnym wojskowym rygorem.

– Jak właśnie widzieliście – krzyknął – ogień jest doskonałą bronią przeciwko balonom, ale to wszystko było według mnie zbyt łatwe. Mogłem podejść bardzo blisko i z niewielką prędkością, ponieważ na statku nie było obrońców i żadne inne wrogie jednostki nie próbowały mnie oskrzydlić. Niewielka

prędkość oznacza, że byłem w stanie trzymać się w martwym polu statku przez cały atak, ale w bitwie bywa różnie. Większość nurkowych lotów atakujących prawdopodobnie trzeba będzie przeprowadzić z dużą prędkością – co znaczy, że nie będziecie mogli tak szybko zawrócić i dostaniecie się w pole rażenia obrońców. Na tym etapie będziecie bezbronni – szczególnie jeżeli Landyjczycy otworzą natychmiastowy ogień z armatek i muszkietów.

Perobane zsunął szalik.

– Ale cały przeprowadzony przy dużej prędkości atak będzie trwał tylko kilka sekund. – Mrugnął do najbliższych pilotów. – A zapewniam, że ja będę poruszał się b a r d z o szybko.

– Tak, ale możesz skierować się wprost na inny statek – powiedział zimno Toller, uprzedzając rodzący się wybuch śmiechu pilotów.

Berise Narrinder zasygnalizowała, że chce mówić.

– Lordzie, a co z łukami i strzałami? Oczywiście mam na myśli płonące strzały. Czy łucznik nie mógłby wystrzelić i zanurkować dużo wcześniej, trzymając się poza zasięgiem niebezpieczeństwa?

– Tak, ale... – Toller zawiesił głos, zdając sobie nagle sprawę, iż jego sprzeciw wynikał po prostu z tego, że osobiście nigdy nie uważał łuków za broń. Propozycja była sensowna, zwłaszcza jeżeli strzały zostaną wyposażone w hak, który uwięzi je w materiale balonu. I nawet mierny powietrzny łucznik, a podejrzewał, że on prawdopodobnie takim się właśnie okaże, bez problemu powinien trafić w cel tak olbrzymi jak balon.

– Ale co, milordzie? – zapytała Berise, unosząc się w

strzemionach, ośmielona okazaną przez innych pilotów aprobatą.

Toller uśmiechnął się do niej.

– Ale czy to uczciwe w stosunku do wrogów? Uzbrojeni w łuki i ogniste strzały będziemy mogli zestrzeliwać ich z nieba z łatwością dziecka przebijającego bańki mydlane. Zastosowanie takiej broni kłóci się z moimi sportowymi instynktami... – Jego słowa skwitował gromki śmiech zebranych.

Toller skłonił się lekko Berise, po czym zawrócił, nie żałując pilotom tej chwili triumfu. Był tutaj jedynym człowiekiem posiadającym doświadczenie wojenne, ale wiedział – bez względu na to, jak pomyślny dla Overlandczyków będzie bieg wypadków – że czas nonszalancji, zabaw, wesołości i optymizmu dobiega kresu.

W punkcie środkowym między dwoma światami pojęcia „nocy” i „małonocy” straciły swoje znaczenie. Podwójny cykl został podzielony na dwa równe okresy ciemności, trwające nieco mniej niż po cztery godziny, podczas których słońce było zasłonięte \*przez Land lub Overland, oraz dwa okresy dzienne, trwające nieco ponad osiem godzin. Toller zrezygnował z doszukiwania się jakiejś różnicy między nocą a małonocą, przeddniem i podniem, pozwalając, by czas upływał w nierozpoznawalnych sekwencjach przerywanych jedynie podróżami w worku na Overland. Często, szczególnie gdy był wolny od służby i drzemał w hamaku, miał wrażenie, że poza obserwowaniem powolnego wirowania promieni słońca w iluminatorach nie ma sposobu na zmierzenie mijającego czasu, a wtedy senne majaczenia stawały się tak realne jak samo życie...

Dźwięk kłótni powoli przywrócił Tollera do pełnej



świadomości.

Sprzeczkę wśród członków załogi fortecy nie były niczym niezwykłym, ale w tym przypadku brała w niej udział kobieta i Toller domyślił się, że jest nią Berise. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił wyjaśnić, dziewczyna interesowała go niezmiernie. Był przekonany, że nie jest to zainteresowanie seksualne, ponieważ kiedy Gesalla jasno dała do zrozumienia, że ich pożycie intymne dobiegło końca, jego potrzeby fizyczne umarły śmiercią naturalną. Proces ten zaszedł zaskakująco szybko i bezboleśnie. Toller był człowiekiem, który potrafi obywać się bez seksu, nigdy o nim nie myśli ani nie żałuje jego braku. A jednak teraz był świadom wszystkiego, co dotyczyło Berise. Zazwyczaj bez najmniejszych starań wiedział, kiedy jej służba koresponduje z jego wachtą, gdzie jest w danej chwili i co robi.

Otworzył oczy. Berise pełniła wachtę – było to obowiązkiem całego personelu – przy jednej z wielkich lornet, stale wycelowanych w Land. Obok niej unosił się Imps Carthvodeer, administrator Wewnętrznej Grupy Obrony. Normalnie przebywał on za pleciami ekranem w dalekim końcu stacji dowodzenia, w zagraconym pomieszczeniu, które lubił nazywać swoim gabinetem.

– Możesz albo malować obrazki, albo obserwować – mówił drażliwym tonem Carthvodeer. – Nie możesz robić dwóch rzeczy naraz.

– Może ty nie jesteś w stanie robić dwóch rzeczy naraz, ale dla mnie to proste – odparła Berise, ściągając ostro rysujące się brwi.

– Nie o to mi chodzi. – Pociągnęła twarz Carthvodeera wyrażała frustrację wynikającą z faktu, że chociaż piloci myśliw-

ców nominalnie posiadali rangę kapitana, praktycznie byli starsi rangą od wszystkich nie biorących udziału w walce. – Podczas pełnienia służby jesteś zobowiązana do skupienia całej uwagi na wypatrywaniu wrogich statków.

– Kiedy wrogie statki nadlecą, o ile nadlecą, będą widoczne kilka godzin wcześniej.

– Sęk w tym, że to jest obiekt wojskowy, którym rządzą wojskowe reguły. Nie płaci ci się za malowanie obrazków. – Carthvodeer zerknął wściekle na tekturę w ręku Berise. – Nawet nie masz zdolności.

– A skąd ty możesz to wiedzieć? – odparła Berise ze złością.

Ktoś z załogi, kto nieco dalej w ciasnym tunelu stacji obsługiwał miechy, parsknął z rozbawieniem.

– Dlaczego nie przestaniecie się sprzeczać i nie pozwolicie człowiekowi odpocząć? – wtrącił łagodnie Toller.

Carthvodeer przekręcił się w powietrzu.

– Przykro mi, że cię zaniepokoiłem, panie. Przed powrotem na Overland muszę przygotować co najmniej tuzin raportów i zapotrzebowań, a praca przy jednoczesnym słuchaniu nieprzerwanego pisku węgla pani kapitan jest raczej niemożliwa.

Toller był zaskoczony, gdy zobaczył, że Carthvodeer, pięćdziesięcioletni oficer, jest błydy ze zdenerwowania z powodu tak błędnego incydentu.

– Wracaj do biura i zajmij się raportami – powiedział, odwiązując swoją siatkę. – Już nikt ci nie przeszkodzi.

Carthvodeer, który wciąż nie potrafił powstrzymać nerwowego drżenia ust, skinął głową i odpłynął, wymachując bez śladu koordynacji niezdarnymi kończynami. Toller ode-

pchnął się od ściany i zakończył powolny lot lądując obok Berise. Jej zimne zielone oczy spojrzały nań wyzywająco.

– Ty i ja, w porównaniu z człowiekiem takim jak Carthvodeer, znajdujemy się w uprzywilejowanej pozycji – szepnął.

– Pod jakim względem, lordzie? – Ze wszystkich pozostających pod jego komendą lotników tylko ona nadal zwracała się do niego w taki formalny sposób.

– My chcieliśmy tu przylecieć. Codziennie porzucamy mroczne przestrzenie tych drewnianych pudeł i latamy w powietrzu jak orły. To nie kończące się czekanie jest trudne dla nas wszystkich, ale zastanów się, jakie musi być dla kogoś, kto od początku nie miał zamiaru tu się znaleźć i kto nie ma szans, by się stąd wyrwać.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że węgiel robi tyle hałasu – powiedziała Berise. – Znajdę ołówek i nim będę rysować – o ile nie ma pan nic przeciwko.

– Absolutnie nic. Jak powiedziałaś, Landyjczycy nie mogą nas zaskoczyć. – Toller wyciągnął szyję, by zobaczyć rysunek. Przedstawiał on wewnątrz stacji uchwycone niezwykle subtelnie, dziewczyna wydobyła całe piękno równoległych pręg światła padającego ukosem z rzędu iluminatorów. Sylwetki ludzi i mechanizmów były ledwie zaznaczone. Całość według Tollera sprawiała przyjemne wrażenie, chociaż nie miał kwalifikacji, by oceniać artystyczną wartość szkicu.

– Dlaczego to robisz? – zapytał. Obrzuciła go krzywym uśmiechem.

– Stary Imps powiedział, że zaniedbuję swe obowiązki, ale ja jestem przekonana, że każdy na Overlandzie ma większe. Wszyscy powinni odnaleźć i rozwijać swe artystyczne zdolno-

ści. Jeszcze nie wiem, czy ja mogę zajmować się rysunkiem, ale staram się ze wszystkich sił. Jeżeli mi się nie uda, zainteresuję się poezją, muzyką, tańcem... Nie zaprzestane poszukiwań, dopóki nie znajdę czegoś, co mi będzie odpowiadało, a wtedy dołożę wszelkich starań, by robić to jak najlepiej.

– Dlaczego uważasz to za obowiązek?

– Z powodu Migracji! Nie można zrobić tego, co zrobiliśmy, bez zapłacenia kary. Pozostawiliśmy za sobą, w Starym Świecie, ducha naszej rasy. Czy wie pan, że we wszystkich statkach, które uczestniczyły w Migracji, nie było ani jednego obrazu? Ani książek, ani rzeźb, ani muzyki. Zostawiliśmy wszystko!

– Wiesz, że to nie była podróż dla przyjemności – powiedział Toller. – Byliśmy uciekinierami niosącymi z sobą tylko życie.

– Ale zabraliśmy biżuterię i bezużyteczne pieniądze! I tony broni! Rasa potrzebuje kultury, by podtrzymać duchowe aspekty swego istnienia, a my nie mamy żadnej. Król zarzucił swój wielki plan tworzenia nowego Kolcorronu. My odwróciliśmy się plecami do wszystkiego, co było piękne, i dlatego Overland wydaje się taki pusty. Nie dlatego, że jesteśmy nieliczni, rozrzućeni po całym świecie. My cierpimy z powodu duchowej pustki.

Idee Berise były Tollerowi obce, a jednak jej słowa wywołały pewien oddźwięk gdzieś głęboko w jego wnętrzu, szczególnie w nawiązaniu do pustki. Jako młody człowiek w Ro-Atabri zawsze cieszył się zachodami słońca i powolnym zapadaniem ciemności – ale później, nawet z Gesallą u boku, to przyjemne przeżycie stało się dziwnie płaskie i rozczarowujące. Obojętnie jak piękny był zachód słońca, rozpatrywanie

osiągnąć dnia nie sprawiało mu już przyjemności i nie oczekiwał jutra z taką ciekawością jak dawniej. Jedynym uczuciem, do jakiego się przyznawał, był bezbrzeżny smutek. Zachodnie niebo Overlandu, z barwami zmieniającymi się od złota i czerwieni do pawiej zieleń i błękitu, zdawało się rozbrzmiewać... pustką.

Dziwne, że słowo to, jakże trafne, usłyszał od właściwie obcej osoby. Dotąd on sam przypisywał swe uczucia jakiemuś nie nazwanemu wewnętrznemu niepokojowi, ale czyż przed chwilą nie otrzymał lepszego wyjaśnienia? I czyżby w głębi duszy był esteta, coraz bardziej zaniepokojonym faktem, że jego narodowi brakuje kulturowej tożsamości?

„Nie”, pomyślał. „Robak, który trawi istotę mego życia, nie ma nic wspólnego z poezją i sztuką – tak jak i ja sam”.

Uśmiechnął się nieznacznie, gdy zrozumiał, jak daleko zapuścił się w królestwo dziwacznych myśli, po czym zobaczył, że Berise wpatruje się w jego twarz.

– Nie śmiałem się z twoich idei – powiedział.

– Nie – przyznała z zadumą, jej spojrzenie nadal błędziło po jego twarzy. – Nie sędzę.

Ze wszystkich chwil zamkniętych w pamięci Tollera, najwyraźniej wyryty był dzień, w którym zrozumiał, że wojna zaczyna się naprawdę.

Od czasu sprowadzenia dwóch pierwszych fortec minęły siedemdziesiąt trzy dni. W opinii mężczyzn i kobiet, którzy zajmowali się swoimi sprawami na powierzchni planety, nie było to dużo, ale w nienaturalnym środowisku błękitnej strefy środka czas biegł o wiele szybciej.

Toller zakończył codzienne ćwiczenia lotnicze i strzeleckie i nie bardzo chciało mu się wracać do dusznych po-

mieszkań stacji. Jego myśliwiec unosił się około pięciuset jardów od płaszczyzny zerowej, w punkcie obserwacyjnym, z którego widać było ludzi pracujących w pobliżu Wewnętrznej Grupy Obrony. Po lewej stronie mozolnie piął się w górę statek zaopatrzeniowy z Prądu – jego balon wyglądał jak mały brązowy dysk ostro odcinający się od wypukłej tarczy Overlandu; po prawej znajdowała się Staga Dowodzenia

Jeden, płonąca w świetle słońca na de indygowego nieba. W pobliżu wisiały mniejsze, złożone z trzech segmentów konstrukcje, służące za warsztaty i magazyny, a wokół w luźnym roju krążyły myśliwce Czerwonej Eskadry. Z tej odległości ludzie wyglądali jak miniaturowe figurki, które wyszły spod ręki jubilera, w czystym powietrzu widoczne były wszystkie szczegóły.

Toller jak zawsze był pod wrażeniem postępu, jaki poczynili od czasu obmyślenia pierwotnego planu pokrycia całej strefy nieważkości fortecami, które miałyby odeprzeć inwazyjną flotę wroga za pomocą armat. Decydującym krokiem było wynalezienie myśliwców; ich zdumiewająca szybkość sprawiła, że pomysł, iż każda forteca ma być izolowaną samowystarczalną całością, natychmiast został uznany za przestarzały. Fortece pełniły teraz odmienne, zróżnicowane role – sypialni, warsztatu, magazynu, zbrojowni i stały się elementami wspierającymi główny czynnik obrony: odrzutowce.

Toller zrozumiał, że niezależnie od tego, jak inteligentni są teoretycy na Landzie czy Overlandzie, wynalazki i unowocześnienia zwykle są produktami praktyki. Na przykład nawet Zavotle, z myśleniem podporządkowanym normalnej grawitacji, nie zdołał przewidzieć problemów, jakie będą sprawiać pozbawione wagi śmieci i odpadki. Dramatycznym przykła-

dem była śmierć młodego Argitane, pilota zabitego przez dryfującą kulę armatnią, ale niemalże równie ważna stała się kwestia zanieczyszczenia środowiska przez ludzkie odchody.

Psychologiczny stres życia w Bramie był powiększony przez problem załatwiania fizjologicznych potrzeb organizmu. W zerowej grawitacji proces ten, z natury pozbawiony wszelkiej godności, stawał się wysoce nieprzyjemny, a żaden dowódca nie mógłby pogodzić się z perspektywą, że jego stację zaczniesz otaczać gęstniejąca chmura kału i śmieci.

Toller zobowiązał Carthvodeera do założenia zespołu oczyszczania – szybko i bezlitośnie przemianowanego na Gówniany Patrol – na który spadło zadanie nie do pozazdroszczenia: zbieranie tego typu odpadków do olbrzymich worów. Worki, odholowywane następnie przez myśliwiec kilka mil w dół w kierunku Landu, zwalniano z uwięzi, by kontynuowały podróż pod wpływem grawitacji. Zadanie to wśród załogi wywoływało wiele grubiańskich komentarzy.

Inny problem, jeszcze nie rozwiązany, wiązał się z próbami ustalenia zewnętrznej granicy obrony. Początkowo zamierzano umieścić posterunki na obwodzie koła o średnicy trzydziestu mil, znacznie powiększając pierwotny obszar, ale gdy odstęp między nimi wzrastał do ponad czterech mil, nie można ich było znaleźć i zaopatrywać. Do drugiego nieszczęśliwego wypadku wśród pilotów myśliwców doszło wtedy, gdy lotnik, może obdarzony słabszym wzrokiem, po prostu zagubił się w czasie powrotu z zewnętrznego posterunku i wypalił wszystkie kruszaki w daremnej próbie zlokalizowania bazy. Pozbawiony wytwarzanego przez silnik ciepła, zmarł z powodu hipotermii i został znaleziony przez czysty przypadek. Od tego wypadku w imię bezpieczeństwa skoncentrowa-

no wszystkie posterunki w centralną grupę, a patrolowanie dalszych regionów powierzono myśliwcom.

Jak wszyscy piloci, tak i Toller odkrył, że jego płuca jakoś nauczyły się radzić sobie z rozrzedzonym powietrzem, ale przyzwyczajenie się do bezlitosnego chłodu strefy nieważkości okazało się niemożliwe. W ciągu dwudziestu minut, poświęconych na swobodne dryfowanie i rozmyślenia, ciepło uciekło przez drewnianą osłonę silnika i zaczynał dygotać mimo ochrony grubego skafandra. Pompował pneumatyczny zbiornik myśliwca, przygotowując się do powrotu do stacji dowodzenia, gdy jego uwagę przyciągnęła gwiazda, która nagle na sekundę zwiększyła swą jasność i teraz emitowała regularne pulsy blasku. Ledwo doszedł do wniosku, że gwiazda w rzeczywistości jest odległą stacją, wysyłającą wiadomość za pomocą systemu luster, gdy usłyszał dźwięk trąbki, szybko cichnący w rzadkim powietrzu. Serce zamarło mu na chwilę, po czyni zaczęło szamotać się jak oszalałe.

„Nadchodzą!”, pomyślał, wciągając powietrze. „Gra w końcu się zaczyna!”

Uruchomił silnik i ruszył w kierunku stacji dowodzenia. Gdy strumień powietrza zaczął kasać go w oczy, nasunął gogle i starannie przeszukał niebo, ale nie znalazł niczego niezwykłego. Wolno poruszające się statki wrogiej armady mogły być jeszcze setkę mil dalej, widoczne tylko przez teleskop.

Toller zbliżył się do fortecy. Trębacz, zajmujący stanowisko w niedawno zamontowanej śluzie powietrznej, zakończył wygrywanie ostrzegawczego sygnału i wszedł do stacji. Piloci myśliwców, odróżniający się pasami w barwach poszczególnych eskadr, wyływali z pobliskiej rury sypialni i wraz z obsługą szybowali w kierunku przypominających



oszczepy maszyn. Wokół rozlegał się przyciszony syk silniczków.

Toller uwiązał myśliwiec na linie cumowniczej i zanurkował w długi cylinder. Obie pary drzwi śluzy ciśnieniowej były otwarte i nagle został przeniesiony z bezgranicznej, oświetlonej słońcem przestrzeni wszechświata do mrocznego, zamglonego i zatłoczonego mikrokosmosu wnętrza stacji.

Carttwodeer i komodor Biltid, szef operacyjny, pogrążeni w dyskusji, unosili się przy posterunku obserwacyjnym. Biltid, osobiście wyznaczony przez Chakkella, był formalnym sztywniakiem, równie zakłopotanym niezdolnością swego organizmu do pokonania lęku wysokości, czego następstwem były uporczywe nudności, co niejasnością stosunków z Tollerem. Fakt, że Toller był jego zwierzchnikiem, a jednak jeździł ma patrole niczym zwyczajny pilot, często stawiał go przed dylematem, którego nie potrafił rozwiązać.

– Proszę spojrzeć, lordzie – powiedział, wypatrzywszy Tollera. – Wróg nadciąga licznie.

Toller przyciągnął się do lornety i spojrział w okular. Zobaczył jaskrawe, niebiesko-zielone tło, ozdobione wirami bieli, a w centrum pola widzenia niewielkie skupisko czarnych cętek, z których każda obramowana była tęczami załamane światła, co wynikało z niedoskonałości systemu optycznego. Toller zmrużył i wyteżył oczy, a wtedy odkrył, że może wyróżnić jeszcze mniejsze cętki zmieszane z innymi, i nagle scena nabrała głębi, zaczęła przyprawiać o zawrót głowy. Zrozumiał, że patrzy na rozciągniętą w pionie chmurę statków, mierzącą na pewno wiele mil. Niepodobna było określić, z ilu jednostek się składa, ale musiała ich być co najmniej setka.

– Masz rację – rzekł, podnosząc głowę, by spojrzeć na

Biltida. – Wróg nadciąga licznie. Czego wszyscy się spodziewali.

Biltid skinął, zakrył usta chusteczką i nagle otaczający go kwaśny zapach nabrał na sile.

– Przep... Przepraszam – wykrztusił, przetykając hałaśliwie ślinę. – Musimy się przygotować.

„Ale bystry”, pomyślał Toller, po czym odkrył w sobie współczucie dla człowieka, który znalazł się tu z rozkazu władcy.

– Posiadamy przewagę – wyjaśnił. – Widzimy wroga, a on nas nie; i mamy myśliwce – coś, o czym on na tym etapie nie może nawet marzyć. Maksymalne wykorzystanie tych atutów zależy wyłącznie od nas.

Biltid pokiwał głową jeszcze bardziej energicznie.

– Wszystkie myśliwce są w stanie gotowości, wkrótce zostaną zatankowane i uzbrojone. Proponuję rzucić do ataku Eskadrę Czerwoną i Niebieską, a Zieloną trzymać w odwodzie. Oczywiście, jeżeli nie masz...

– Może to i dobra taktyka, ale w walce naziemnej – wszedł mu w zdanie Toller – lecz pamiętaj, że już nigdy nie uda nam się zaskoczyć Landyjczyków. Istnieje możliwość, że jeżeli zdołamy zadać wrogowi miazdzące uderzenie, to być może uda nam się zakończyć wojnę w ciągu jednego dnia. Moim zdaniem powinniśmy wprowadzić do walki trzy eskadry i zapewnić wszystkim pilotom chrzest bojowy.

– Jak zawsze masz rację, lordzie. – Biltid przestał w końcu wycierać usta. – Aczkolwiek byłbym szczęśliwszy, gdybyśmy mieli możliwość dokonania oceny tempa wspinania się przeciwnika. Jeżeli dotrą do płaszczyzny zerowej w nocy, musimy liczyć się z tym, że prześlizgną się obok nas nie zauważe-

ni.

– Nic się obok nas nie prześlizgnie – warknął Toller, tracąc cierpliwość. – Nic!

Odsufrął się od Biltid a i Carthvodeera i zbliżył się do następnego iluminatora, z którego roztaczał się doskonały widok na Land. Słońce wędrowało w kierunku Starego Świata i za mniej więcej dwie godziny miało minąć jego skraj. Toller poczynił w myślach obliczenia i zaklął, gdy zdał sobie sprawę, że do spotkania może dojść w czasie bardzo niepomyślnym dla obrońców. Dwa dobowe okresy ciemności były nazywane Landnocą i Overlandnocą, w zależności od tego, która z planet przysłała słońce, i chociaż były one mniej więcej takiej samej długości, charakteryzowały je znaczące różnice.

Landnoc, która miała wkrótce zapaść, zaczynała się w chwili, gdy słońce chowało się za tarczą Landu, lecz na tym etapie cały Overland był jeszcze oświetlony, a odbite od niego światło na tyle silne, że można przy nim czytać. W ciągu kolejnej godziny, gdy cylindryczny cień Landu sunął przez siostrzaną planetę, blask ten słabł stopniowo, aż w końcu na około dwie godziny zapadała głęboka noc. Trwała ona dopóty, dopóki promienie słońca znów nie dotknęły skraju Overlandu. W ciągu głębokiej nocy niebiosa były rozjaśnione gwiazdami, żarzącymi się spiralami i promieniowaniem komet, ale względny stopień jasności utrzymywał się na stosunkowo niskim poziomie – w mrocznej strefie nieważkości nawet olbrzymi balon byłoby trudno wykryć. Problem miał nieco w czasie Overlandnocy, bowiem Land, większy od swej bliźniaczej planety, nie mógł zostać całkowicie pochłonięty przez jej cień.

Toller wyliczył, że jeśli wrogie statki znajdują się kilka-

set mil dalej i poruszają z maksymalną prędkością, to mogą dotrzeć do płaszczyzny zerowej w czasie głębokiej nocy. Przez chwilę rozważał tę perspektywę, następnie zdecydował, że jest nadmiernie pesymistyczny. Piloci z Landu będą zdenerwowani nowymi dla nich warunkami panującymi w strefie nieważkości i dodatkowo zaniepokojeni czekającym ich manewrem odwracania. Założenie, że będą zbliżać się do strefy nieważkości powoli i ostrożnie oraz że będą chcieli wykonać manewr odwracania w warunkach dobrego oświetlenia, wydawało się jak najbardziej wiarygodne.

Toller uspokoił się, opuścił chłodny, wilgotny zaduch stacji i poświęcił godzinę na przelot do Wewnętrznej Grupy Obrony. Po drodze odebrał meldunki z dwóch innych stacji dowodzenia, które były bazami Eskadry Niebieskiej i nowo skompletowanej Zielonej. Raporty od wachtowych wykazały, że najeźdźcy rzeczywiście zbliżają się powoli, ale piloci myśliwców, którzy przedwcześnie zgłosili się do służby, nie byli już w stanie podjąć przerwane go wypoczynku po zapadnięciu ciemności. Niektórzy z nich spędzali czas na hałaśliwych dyskusjach czy grze przy świetle świec, inni krążyli wokół swych maszyn, obsesyjnie doglądając przeprowadzanego przez mechaników tankowania i uzbrajania.

Wreszcie na skraju Overlandu znów pojawiło się srebrzyste światło, które szybko rozszerzyło się w kształt cienkiego półksiężyca. Gdy oświetlony obszar planety powiększał się stopniowo, obwieszczając ponowny wschód słońca, Toller złożył powtórny wizytę na posterunku obserwacyjnym Stacji Dowodzenia Jeden i zerknął przez lornetę. Ogromny dysk Landu był skąpany w przyćmionym tajemniczym świetle, odbitym od bliźniaczego świata, co upodobało go do podświe-

tlonej od środka kuli z półprzezroczystego wosku. Choć z każdą chwilą robiło się jaśniej, ciemne tło nie pozwalało dostrzec statków nieprzyjaciela i Toller wbrew sobie zaczął fantazjować, że najeźdźcy utrzymali prędkość, która pozwoliła im przejść przez płaszczyznę zerową pod osłoną nocy. Częściowe pojawienie się słońca zalało wnętrze stacji światłem, lecz nawet wtedy była denerwująca chwila, w czasie której armada Landu pozostawała ukryta w wolno przesuwającym się stożku cienia.

Potem, nagle, zobaczyli ją tam, gdzie być powinna.

Statki, zachwycająco piękne, rozbłyły w polu widzenia Tollera w postaci roju maleńkich, doskonałych sierpów światła – eszelon nad eszelonem, oszałamiające w swej kunsztownej jednolitości. Przez chwilę odczuwał nabożną grozę, gdy pomyślał, o czym świadczy podziwiany przez niego spektakl. Biorąc pod uwagę śmiałość i odwagę, jakiej wymagało przecięcie międzyplanetarnej zatoki w kruchych konstrukcjach z płótna i drewna, rodzaj ludzki powinien zjednoczyć się i zwrócić oczy w kierunku zewnętrznego kosmosu, a nie trwonić energię na...

– Nie mogą być bardzo daleko – powiedział Biltid, spoglądając przez drugą lornetę. – Dwadzieścia lub trzydzieści mil. Nie mamy wiele czasu.

– Wystarczająco – odparł Toller, przywołany na powrót do praktycznego, żołnierskiego świata. Odruchowo przyciągnął się do swego hamaka, zdjął szablę ze ściany i przypasał ją. Zdawał sobie sprawę, jak śmiesznie może wyglądać w tych okolicznościach, ale w przygotowaniach do bitwy szabla posiadała dla niego psychologiczną wartość. Przechodząc przez służę powietrzną zobaczył, że pozostałych ośmiu pilotów z

jego eskadry jest już gotowych. Czekali na swych maszynach, a ludzie z obsługi unosili się między nimi, zapalając ogień w krytych pojemnikach, które zainstalowano przed siodłami. Ta sama scena powtarzała się w miniaturze: pomniejszone perspektywą na tle bezkresnego błękitu unosiły się eskadry Zielona i Niebieska.

Niektóre z maszyn już sunęły ku Stacji Dowodzenia Jeden, by wejść w skład sił połączonych; ich drogę znaczył biały ślad. Rój maszyn rósł stopniowo, między myśliwcami dochodziło do łagodnych kolizji, wywołujących wiele żartów wśród pilotów, a pełne złości komentarze ze strony mechaników, którym groziło zmiżdżenie. Toller bez przeszkód dotarł do stacji. Osłonił oczy od słońca i spojrzał w kierunku Landu.

Najeźdźców widać już było bez pomocy przyrządów optycznych – srebrne cętki na samej granicy zasięgu wzroku. Toller żałował, że nie może oszacować odległości. Musiał rozpocząć walkę z wrogiem dobrze poniżej płaszczyzny zerowej, żeby każdy zniszczony statek spadał w kierunku Landu, ale jeżeli eskadry zejść zbyt nisko, wtedy wyczerpią zapasy paliwa. Wyglądało na to, że dokonywanie dokładnej oceny odległości będzie w walce powietrznej o wiele ważniejsze niż w tej prowadzonej na ziemi.

Po zebraniu wszystkich myśliwców Toller dosiadł Czerwoną Jedynekę i wsunął buty w strzemiona. Odpiął łuk, przymocował go do lewego nadgarstka i upewnił się, że kołczany po obu stronach osłony zawierają komplet strzał. Serce znów mu waliło i zdawał sobie sprawę, że ogarnia go znajome stare podniecenie, zabarwione niewytłumaczalnie elementem seksualnym, które zawsze pojawiała się przed rozpoczęciem niebezpiecznej walki. Pompując zbiornik ciśnieniowy zerknął

na poszarpaną, nierówną linię myśliwców. Piloci w grubych kombinezonach zatracili indywidualne cechy, ich twarze zakrywały szaliki i gogle, ale natychmiast rozpoznał Berise Narinder i poczuł się zmuszony do wypowiedzenia ostatnich słów ostrzeżenia.

– Wiele razy powtarzaliśmy nasz plan walki – zawołał – i wiem, że wszyscy pragniecie sprawdzić swe umiejętności w walce z wrogiem. Wiem również, że będzie kierować wami odwaga, ale strzeżcie się przed jej nadmiarem. W gorączce bitwy łatwo można stać się lekkomyślnym i podjąć zupełnie niepotrzebne ryzyko. Pamiętajcie, że każdy może zniszczyć wiele wrogich statków i tym samym każdy posiada dla naszej sprawy niewymierną wartość. Dzisiaj twardo uderzymy na jeźdźcę, bardziej niż może się spodziewać, ale ja nie chcę mieć jakichkolwiek strat po naszej stronie. Ani jeden pilot, ani jedna maszyna! Jeżeli wystrzelicie wszystkie strzały, nie próbujcie atakować działkami. Wycofajcie się natychmiast z bitwy i pocieszcie się wiedzą, że dzięki tej zaprawie w przyszłości okażecie się jeszcze zręczniejszym i groźniejszym przeciwnikiem.

Nattahial, pilot Niebieskiej Trójki, skinął i z jego szala wydobyły się obłoczki pary.

– Jak sobie życzysz, lordzie. Toller potrząsnął głową.

– To nie są moje życzenia, to są rozkazy. Jeżeli zobaczę, że jakiś pilot zachowuje się jak idiota, wezwę go do raportu, i zapewniam was, że będzie to gorsze doświadczenie niż stawianie czoła kilku żyłastym Landyjczykom. Wszyscy zrozumieci?

Niektórzy piloci energicznie pokiwali głowami – może zbyt energicznie – a inni zachichotali. Z kilkoma wyjątkami wszyscy byli młodymi ochotnikami ze Służby Powietrznej. Byli

spragnieni przygody, a nuda długiego oczekiwania przekształciła ich w zbyt ciasno skręcone ludzkie sprężyny. Toller szczerze pragnął, by zważali na jego ostrzeżenia, bo z doświadczenia bitewnego wiedział, że właściwa proporcja zawiera się w wąskim przedziale między rozwagą a pasją. Człowiek obdarzony nawet wielkim instynktem samozachowawczym często może okazać się lepszym wojownikiem od goniącego za sławą głupca, a nadchodzące minuty miały wykazać, jakich ludzi ma pod swoją komendą.

– Waszym zdaniem poświęciłem już dość czasu na przemowę? – zapytał, naciągając gogle.

– Tak! – Gromki okrzyk wypełnił niebo.

– Więc... do ataku! – Toller podciągnął szalik, by zakryć usta i nozdrza, i wprowadził myśliwiec w skręt nurkowy w kierunku Landu. Słońce, które ledwo oderwało się od krawędzi planety, wyrzucało ku niebu miliardy igiełek światła nie dającego ciepła. Inne myśliwce z hukiem silników zajęły wyznaczone pozycje. Każda eskadra utworzyła formację w kształcie litery V.

Za Tollerem po lewej stronie leciał prowadzący Niebieskich Maiter Daas, a po prawej na czele Zielonej Eskadry mknął Pago Umol. Toller zastanowił się, co czują ci dwaj mężczyźni w średnim wieku – weterani Eksperymentalnej Eskadry Statków Kosmicznych i Migracji – rzucając się w kierunku rodzinnej planety w okolicznościach, których nigdy wcześniej nie mogli brać pod uwagę. Poddał analizie własne emocje i znów był zaniepokojony odkryciem, że czuje się młody, spełniony, żywy! Jakąś częścią siebie pragnął być w domu z Gesallą i zająć się naprawianiem wyrządzonych szkód, a jednak równie silnie był świadom, że chciałby przedłużyć obecną chwilę



w nieskończoność.

Pragnął pozostać na zawsze w tym magicznym, irracjonalnym wszechświecie i żyć w ten sposób do śmierci – mknąć w strugach czystego światła ku wrogom, ku nieznanym niebezpieczeństwom. Ale w prawdziwym świecie ta faza prawdopodobnie okaże się krótka, może obejmie tylko jedną bitwę, a kiedy będzie po wszystkim, życie stanie się tysiąc razy bardziej monotonne niż przedtem, i wtedy pozostanie mu niewiele więcej nad bierne oczekiwanie na nieznaczącą śmierć.

„Może”, wślizgnęła się myśl, „byłoby lepiej nie przeżyć tej wojny”.

Wstrząśnięty tym odkryciem, chcąc oderwać się od szalonych myśli, zmusił się do zastanowienia nad czekającym go zadaniem. Plan przewidywał spotkanie z wrogiem dziesięć do piętnastu mil poniżej płaszczyzny zerowej, ale znów trapiła go niemożność dokonania oceny odległości czy prędkości w jednolitym oceanie błękitu. Kiedy zerknął przez ramię, zobaczył, że smugi kondensacyjne dwudziestu siedmiu myśliwców tworzą za nimi jakby powietrzną autostradę. Zwężała się ona do odległego punktu, pierzaste białe nici skupiały się w dali, a stacje i segmenty pomocnicze były już niewidoczne, mimo że dokładnie wiedział, gdzie ich szukać. Kondensacja miała później rozproszyć się i zniknąć, a kiedy tak się stanie, eskadrom zagrozi niebezpieczeństwo zagubienia się w bezkresie nieba.

Jak daleko się obniżyli? Dziesięć mil? Piętnaście? Dwadzieścia?

Klnąc słońce sprzyjające wrogowi, Toller przesłonił ręką oślepiającą kulę światła i poszukał wzrokiem nieprzyjacielskiej floty. Nałożenie się prędkości pozwoliło na zbliżenie się obu sił w dużo krótszym czasie i obecnie połyskujące sierpy

były już doskonale widoczne gołym okiem – każdy z nich był miniaturą zalanego światłem skraju znajdującej się za nimi planety. Były skoncentrowane na niewielkim obszarze, jak połyskujący żabi skrzek.

„Jesteśmy dostatecznie daleko”, zdecydował Toller. „Zaczekamy tutaj”.

Rozpostarł ramiona, co było uprzednio ustalonym sygnałem, i wyłączył silnik. Pozostali zamknęli przepustnice i wokół zapanowała niezmacona cisza. Odrzutowce dryfowały przez pewien czas, stopniowo tracąc sterowność, gdy opór powietrza pozbawiał je prędkości, a formacje rozluźniły się i zniekształciły. W końcu znieruchomieli. Toller wiedział, że ten pozorny spokój jest iluzoryczny, maszyny znajdowały się w grawitacyjnym polu Landu i spadały, ale tak blisko płaszczyzny zerowej ich prędkość była nieznaczna.

– Tutaj będziemy walczyć! – zawołał. – Trzeba zachować cierpliwość i pozwolić, by wróg przyszedł do nas, ponieważ im dłużej będziemy czekać, tym dalej słońce odsunie się od jego statków. Sprawdzajcie, czy nie wygasł wam ogień do zapalania strzał i nie pozwólcie, by ręce i nogi zeszywniały wam z zimna. Jeżeli uznacie, że zmarzliście za bardzo, wolno wam wykonać krótki kolisty lot w celu rozgrzania maszyn i własnych tyłków, ale pamiętajcie, żeby oszczędzać kryształy do bitwy.

Toller usadowił się wygodnie, żałując, że nie posiada pewnego urządzenia do mierzenia czasu. Mechaniczne zegary były zbyt wielkie dla celów taktycznych, a tradycyjne wojskowe przyrządy nie miały żadnej wartości w strefie nieważkości. Składały się z wąskiej szklanej rurki zawierającej pęd trzciny z czarnymi znaczkami w regularnych odstępach. Kiedy do rurki wpuszczało się chrząszcza, owad zaczynał zjadać pęd przesuw-

wając się z typową dla swego gatunku stałą szybkością, co pozwalało mierzyć upływ czasu z dokładnością wystarczającą dla dowódców w polu. Jednakże w zerowej grawitacji żuk poruszał się bardzo kapryśnie, a często w ogóle przestawał jeść. Na początku przypuszczano, że jest to wynikiem zimna, ale ten sam niezadowolający rezultat otrzymano po ogrzewaniu rurki, co prowadziło do ważnego wniosku, że bezmyślnego żuka wielkości paciorka też niepokoi brak wagi. Toller był zaintrygowany tym odkryciem, które według niego było dowodem na istnienie pomostu między człowiekiem a najniższą i najbardziej nieznaczącą formą życia planety. Stanowili część tego samego biologicznego fenomenu, ale tylko ludzie posiadali inteligencje, która pozwalała im przewyciężyć nakazy natury, narzucić swą wolę organicznemu mechanizmowi ciał.

Toller słyszał rozmawiających pilotów swej eskadry i z przyjemnością zauważył, że nie rozlegały się wybuchy gwałtownego śmiechu, wskazujące, że kogoś zawiodły nerwy. W szczególności podobało mu się zachowanie Tippa Gotlona, młodego takielarza, którego mimo sprzeciwu Biltida promował na pilota. Gotlon, wykazujący instynktowną znajomość mechaniki latania, od czasu do czasu zamieniał parę słów z Berise Narrinder, a w przerwach ocieniał ręką oczy i przepatrywał niebo. Jako osiemnastolatek był najmłodszy ze wszystkich pilotów, ale wyglądał całkowicie spokojnie i opanowanie.

W pewnej chwili Toller zdał sobie sprawę, że słyszy obcy dźwięk. Było to niskie dudnienie, wydobywające się ze stożków wydechowych zbliżającej się floty. Słońce przesunęło się na bok, balony statków Landyjczyków były lepiej widoczne i – znacznie większe. Umol i Daas coraz częściej odwracali głowy w jego kierunku, ale Toller postanowił nie rozpoczynać

ataku, póki nie będzie mógł rozróżnić szczegółów koron wrogich balonów. Wiedział, że wtedy większość z nich będzie znajdowała się mniej niż milę poniżej oczekujących myśliwców.

Brak przestrzennych punktów odniesienia bardzo męczył oczy, ale wyglądało na to, że statki znoszą się w grupach po trzy lub cztery, z dość dużymi pionowymi przerwami między poszczególnymi formacjami. Tworzyły wydłużoną chmurę rozciągniętą na wiele mil, te najniższe w porównaniu z prowadzającymi wydawały się bardzo małe. Taki szyk był logiczny pod względem bezpieczeństwa lotu, szczególnie w ciemności, ale prawie najgorszy z możliwych dla penetrowania wrogiego terytorium. Toller uśmiechnął się, gdy zobaczył, że Landyjczycy niechętnie zapewнили mu przewagę, która wspaniale kompensowała niesprzyjające ustawienie słońca.

Dając upust wojowniczej fantazji, wyciągnął szablę i dał nią sygnał do ataku.

To, co nastąpiło, nie było skoncentrowanym atakiem na najeźdźców, ale świadomym i systematycznym dziełem zniszczenia. W czasie narady z Biltidem i dwoma dowódcami eskadr Toller zdecydował, że – w pierwszej tego rodzaju bitwie w historii – prowadzenie w zwartym szyku dwudziestu siedmiu oszałamiająco szybkich maszyn nie byłoby rozsądne. Nie chciał zmasowanego ataku również z powodów psychologicznych. Uważał, że wszyscy piloci powinni mieć równą szansę. Nie życzył sobie, by jedni wyszli z walki jako bohaterowie szczytający się wieloma zwycięstwami, a inni nie mieli okazji się wykazać, co było niezmiernie ważne dla ogólnego morale.

W związku z tym w odpowiedzi na sygnał Tollera jedy-

nie dziewiąty pilot każdej formacji skoczył na spotkanie niczego nie podejrzewającego wroga. Trzy odrzutowce nakreśliły linie pary, które skupiły się na wysuniętym najbardziej w górę eszelonie Landyjczyków, potem skręciły w prawo, a z każdego trysnął okrucz bursztynowego światła. Kilka sekund później trzy wiodące balony przemieniły się w ciemne kwiaty dymu, w środkach których wirowały czerwone i pomarańczowe płomienie. Toller wspomniał balon ćwiczebny i zdumiała go dramatyczna szybkość zachodzących zniszczeń, lecz po chwili pojął, że jest ona wynikiem wznoszenia się statków Landyjczyków – pęd powietrza nie tylko zasilał płomienie, ale kierował je w dół po bokach lakierowanych płóciennych powłok.

„Kolejny podarunek od wroga, kolejny dobry omen”, pomyślał, gdy druga trójka myśliwców ruszyła z rykiem w pióropuszcach kondensagi. Jeden pilot rzucił się na ostatni statek z czwórki tworzącej najwyższy eszelon flotylli i skręcił w prawo, podczas gdy jego towarzysze pomknęli w dół na poszukiwanie celów na niższym poziomie. Świadectwem ich sukcesu było rozkwitnięcie dwóch kolejnych ciemnych kwiatów.

Rzeź trwała nieprzerwanie, myśliwce fala za falą włączały się do bitwy. Toller na poważnie zaczął rozważać możliwość, że cała flota Landu zostanie zniszczona w jednym miażdżącym ataku. Gondole w porównaniu z balonami były niewielkie i z tego powodu wznoszenie odbywało się na ślepo, a żołnierze nie mieli powodów, by sądzić, że w niebie nad nimi czeka jakieś niebezpieczeństwo. Poza tym kiedy wiele statków leci obok siebie, ryk palników zagłusza wszystkie inne dźwięki, tym samym napastnicy lecący niżej mogli dotąd kompletnie

nie zdawać sobie sprawy z rozgrywającej się wyżej rzezi. Jeżeli myśliwcom uda się unicestwić eszelon po eszelonie, docierając w ten sposób do końca kolumny, nikt nie przeżyje, by opisać królowi Landu, jak została zniszczona jego armada. Taka totalna klęska faktycznie mogła zakończyć międzyplanetarną wojnę w dzień rozpoczęcia.

Toller, upajając się oszałamiającą perspektywą, zwrócił uwagę na niebo, którego wygląd zdecydowanie zmienił się od chwili rozpoczęcia walki. Smugi kondensacyjne tworzyły skomplikowane, splątane wzory wokół nieregularnych, ziarnistych jąder dymu i płomieni, i gdy kolejne grupy myśliwców wchodziły do akcji, trudno było doszukać się jakiegoś porządku.

Kiedy przyszła kolej na wyprawienie przedostatniej trójki, Toller wolną ręką zatoczył szerokie półkole, dając znak, że należy zaatakować kolumnę statków poniżej największego chaosu. Piloci skinęli w odpowiedzi i pomknęli wachlarzowatym kursem. W chwili gdy zaczęli skręcać, gdzieś w środku zamieszania rozległ się potężny huk.

Toller przypuszczał, że została zdetonowana broń Landyjczyków – prawdopodobnie piokonowo-halvellowe bomby. Była to katastrofa dla niosącego je statku, ale jednocześnie zbawienie dla całej inwazyjnej floty: każdy rozsądny pilot na dźwięk wybuchu przekręci statek za pomocą bocznych silników odrzutowych, by móc spojrzeć w niebo dotychczas zasłonięte przez balon.

Toller zerknął na dowódców eskadr, Daasa i Umola, którzy obecnie byli jego jedynymi towarzyszami.

– Gotowi?

Daas przyłożył rękę do pleców.

– Im dłużej tu siedzimy, tym bardziej dokucza mi reumatyzm.

Toller wdmuchnął kryształ do silnika. Przyspieszenie szarpnęło mu głowę w tył, ale pokonał je i patrzył, jak strefa walki rozszerza się, wypełniając pole widzenia. Nigdy dotychczas tak silnie nie odczuwał prędkości odrzutowych myśliwców. Pędzące ku niemu smugi kondensacyjne przypominały rzeźby z litego marmuru, a on odkrył, że trudno mu powstrzymać się od robienia uników, gdy atakowały go to z jednej, to z drugiej strony, niosąc sobą obietnicę pewnej śmierci. Przewalały się obok niego całe arktyczne królestwa, nim zaczął dostrzegać w przelocie wraki statków Landyjczyków, pęd wrzucił je w buchające płomieniami szczątki balonów. Widział żołnierzy wyrzucających płonące płótno z gondoli i zastanawiał się, czy zdają sobie sprawę z daremności swych wysiłków. Zniszczone statki, chociaż pozornie tkwiły w miejscu, już odpowiadały na syreni zew rodzimej planety, już zaczynały nurkować w kierunku skalistej powierzchni, która czekała tysiące mil niżej.

Toller spodziewał się znacznej luki między warstwami płonących statków i był zaskoczony, gdy zobaczył, że niektóre prawie stykają się ze sobą. Zrozumiał, że pierwsze zaatakowane statki wyłączyły silniki, i te z niższych eszelonów dostały się między nie. Tu i tam między spowitymi dymem lewiatanami unosiły się drobne figurki, niektóre jeszcze szamocące się, inne już nieruchome...

Toller ledwie miał czas zobaczyć, że nie mają spadochronów, gdy natknął się na grupę czterech statków. Kątem oka widział jadących równolegle Daasa i Umola. Piloci z Landu szybko zareagowali na dźwięk wybuchu, trzy statki już były

przechylone i Toller mógł zobaczyć rzędy twarzy nad burtami gondoli. Niżej inne statki, warstwa pod warstwą, również chyliły się na boki.

Toller zamknął przepustnicę i pozwolił, by myśliwiec wszedł w dryf. Wyjął strzałę z kołczanu. Nasączony olejem pęk pakuł na czubku zajął się ogniem, gdy tylko wsunął go do pojemnika z żarem. Założył strzałę i napiął hak, czując na twarzy ciepło płomieni, i wycelował w najbliższy balon, instynktownie stosując technikę myśliwego strzelającego z grzbietu wierzchowca. Mimo prędkości i szybko zmieniającego się kąta, olbrzymia wypukłość balonu stanowiła absurdalnie łatwy cel. Ledwo strzała przekłuła powłokę i przyczepiła się do niej niczym zawzięty, tryskający ognistym jadem komar, Toller już nurkował obok gondoli i jej skazanych na zagładę pasażerów. Rozległy się strzały i o kilka cali od jego lewego kolana z drewnianej osłony odprysły odłamki.

„Szybkie to było”, pomyślał Toller, wstrząśnięty tempem, z jakim Landyjczycy wprowadzili do akcji muszkiety. „Ci ludzie wiedzą, jak walczyć!”

Skręcił w prawo i zerknął przez ramię. Zobaczył, jak dwa balony zaczynają się marszczyć i fałdować w kłębach czarnego dymu. Daas i Umol, ciągnący za sobą jasne pióropusze kondensacji, przechylali się w szerokim zakręcie, który miał doprowadzić ich do grupy, w jaką zebrały się trzy eskadry.

Toller stwierdził, że jak na razie wszyscy lotnicy przeżyli pierwsze uderzenie i wszyscy mogli chlubić się zwycięstwem, ale natura bitwy uległa zmianie. Walka nie była już jednostronna. Czas wyrachowanej i prowadzonej z zimną krwią rzezi dobiegł końca i nie mogło już być mowy o niespiesznych



lotach w martwym polu gondoli. Statki nie tylko przekreśliły się na boki, ale ustawiły się w taki sposób, że narażone na zniszczenie balony zwracały się do środka każdej grupy. Toller nie miał wątpliwości, że wszystkie działa były już załadowane, i chociaż Landyjczycy stosowali tradycyjne ładunki z kamyków i pokruszonych gładów, to mogły one okazać się aż nazbyt skuteczne przeciwko pilotom myśliwców.

– Walcie, gdzie możecie – krzyknął – ale bądźcie...

Jego słowa zginęły w ryku silników. Powietrze wokół niego zamgliło się, gdy najbardziej niecierpliwi z młodych pilotów śmignęli w kierunku pozornie nieruchomych statków. Prawie natychmiast zagrzmiała kanonada.

„Za szybko”, pomyślał Toller, po czym przyszło mu do głowy, że sama prędkość myśliwców w tego rodzaju walce może stanowić zagrożenie. Nawet po zakończeniu ostrzału w powietrzu będzie unosić się chmura pocisków, nieszkodliwych dla wolno poruszających się statków, ale zabójczych dla atakujących pilotów.

Toller odsunął od siebie tę ponurą myśl i wprowadził maszynę w skierowany w dół zakręt, dzięki któremu wraz z oszłamiającym pióropuszem pary mknął równolegle do rozgrywającego się w pionie starcia. W ciągu paru minionych minut niebo przekształciło się w fantastyczną dżunglę, pełną krzewów, paproci i splątanych pnączy białej kondensacji, obwieszoną bulwami przybranych girlandami czarnego dymu statków. Walka rozwinęła się w szaleństwo niepojęte dla kogoś, kto nigdy nie zaznał gorzkiej pasji bitwy – i, jak przewidział Toller, Landyjczycy też zaczęli zbierać krwawe żniwo.

Zobaczył Perobane'a, na Czerwonej Dziewiątce, rzucającego się w lekkomyślny lot nurkowy w ataku na dwa statki i

trafionego z siłą, która oddarła z myśliwca płaty sterownicze. Odrzutowiec wykonał salto, a Perobane wyleciał w powietrze i znalazł się dwadzieścia jardów od gondoli. Żołnierze na pokładzie wypalili do niego z muszkietów. Podrygi ciała wskazały, że wielu trafiło w cel, ale żołnierze – może świadomi, że ich balon płonie i że będą musieli umrzeć – strzelali dalej, póki skafander Perobane'a nie zmienił się w masę krwawych strzępów.

Niedługo później pilot Zielonej Czwórki – Chela Dinnitler – powoli przelatował obok żołnierza dryfującego swobodnie w pewnej odległości od gondoli spowitej w płonący materiał powłoki; żołnierz, który wyglądał na nieprzytomnego, nagle poruszył się, spokojnie wymierzył z muszkietu i strzelił Dinnitlerowi w plecy. Dinnitler opadł na kierownicę i odrzutowiec bluznął parą. Maszyna, z pilotem w dziwacznej pozycji jakby przyklejonym do siodła, weszła w wiodącą w dół spiralę, dotarła do dolnych poziomów bitwy i koziółkując na tle Landu, pomknęła ku planecie, przebijając krągłe białe obłoczki, podobne kłębkom puszystej wełny.

Żołnierz, który zabił Dinnitlera, przymocował do swego muszkietu nowy ładunek i – niewiarygodne, skoro czekała go nieuchronna śmierć – śmiał się! Toller przesunął przepustnicę i ruszył wprost na niego, zamierzając go staranować, lecz wpadło mu do głowy, że do zarażenia ptertożą może wystarczyć nawet przelotny kontakt. Uderzył w trzpień na jednej z armatek, rozbijając pojemniki kryształów mocy, i utrzymywał stały kurs, póki nie nastąpił wybuch. Działo nie było przeznaczone do precyzyjnego celowania, ale Toller miał szczęście. Dwucalowa kula uderzyła żołnierza prosto w głowę i ciało przekościółkowało w spiralach krwi.

Toller ominął trupa i miał zamiar włączyć się do walki, gdy, z opóźnieniem, przypomniał sobie dziwne kuliste obłoczki. Odleciał spory kawałek od pogrążonej w chaosie kolumny i przyjrzał się uważnie niebu u jej podstawy. Chmurki nadal tam były i obecnie było ich więcej. Po kilku sekundach zrozumiał, że patrzy na pióropusze kondensacji widziane „od spodu”. Piloci niższych eszelonów odwrócili swe statki i uciekali od rozgrywającego się wyżej pandemonium. Lot w pozycji odwróconej był czymś, czego nie lubił robić żaden dowódca, ponieważ kiedy odrzut silnika był wspomagany przez grawitację, statek mógł łatwo przekroczyć dopuszczalną prędkość i rozpaść się na kawałki, ale w zaistniałych okolicznościach Landyjczycy musieli pogodzić się z ryzykiem.

Toller początkowo zamierzał zmienić pierwotny plan i udać się w pościg za najbardziej odległymi statkami wroga, ale powstrzymał go wewnętrzny ostrzegawczy głos. Pochłonięty walką stracił poczucie czasu, a jego myśliwce przez cały czas wypalały kryształy w szybkim tempie. Napompował pneumatyczny zbiornik i z liczby suwów poznał, że zapas materiału napędowego został w znacznym stopniu uszczuplony. Spojrzał w górę, tam gdzie zaczęła się bitwa, i zobaczył, że najwcześniejsze smugi kondensacyjne już znikły. Baza eskadry była zupełnie niewidoczna, ukryta gdzieś na bezdrożach nieba między światami, i znalezienie jej mogło wymagać czasu i odpowiednich rezerw mocy.

Zapalił jedną z pozostałych strzał i powoli pomachał nią nad głową. Piloci rozpoznali sygnał, wyrwali się z dymu i chmur pary, i w ciągu kilku minut zebrali się w pobliżu. W większości byli pijani z podniecenia, głośno wymieniali pośpieszne relacje, zachwyceni walką, zwycięstwem, własną

odwagą. Toller wiedział, że tak rodzą się legendy. Opowieści już teraz pełne były upiększeń i fantazji, a dalsza obróbka w tawernach Prądu zmieni je nie do poznania. Berise Narrinder przybyła jako jedna z ostatnich. Rozległy się wiwaty, gdy zobaczono, że udało jej się złapać i przyholować powyginaną maszynę Perobane'a.

Toller policzył myśliwce i zaniepokoił się, gdy doliczył się tylko dwudziestu pięciu, łącznie z tym uratowanym przez Berise. Rozkazał sprawdzić stan liczebny eskadra po eskadrze i nagle zapadła cisza. Brakowało Zielonej Trójki, którą latał Wans Mokerat. W pewnej chwili, niezauważalnie dla żadnego z towarzyszy, Mokerat spotkał swoje przeznaczenie i zniknął, być może pochłonięty przez płonący statek.

Chwila smutku była tak krótka, jak Toller oczekiwał. Lotnicy szybko podjęli przerwane opowieści. Toller wiedział, że ci młodzi ludzie nie są bezduszni z natury – po prostu, chociaż fizycznie nie ponieśli uszczerbku, oni także stali się ofiarami wojny. „To samo, dawno temu, musiało przytrafić się mnie”, pomyślał, „ale wtedy tego nie rozumiałem. I dopiero niedawno pojąłem, czym jestem: automatem z krwi i kości, którego wewnętrzna pustka czyni niezdolnym do ludzkich uczuć”.

Bezpośrednio przed nim, ale w znacznej odległości, unosiła się gondola zniszczonego statku. Żołnierzom udało się wyrzucić resztki płonącego balonu, który teraz wirował ponad nimi i wokół nich wśród wielkich płatków szarego popiołu. Gondola i eskadra myśliwców pozostawały w stałej pozycji względem siebie, ponieważ spadały z taką samą prędkością.

Toller ponownie zastanowił się, czy żołnierze z Landu w pełni rozumieją, co ich czeka. Tempo opadania, na tym etapie

niezauważalne, wkrótce miało wzrosnąć i stać się gwarancją nieuchronnej śmierci na powierzchni ojczystej planety. Niektórzy nadal strzelali z muszkietów, chociaż myśliwce znajdowały się poza zasięgiem. Traf – który tak często pozostaje w widocznej sprzeczności z prawdopodobieństwem – sprawił, że jedna z kul powoli zbliżyła się do Tollera i znieruchomiła w odległości wyciągniętego ramienia od jego głowy.

Toller złapał ją i zobaczył, że miała kształt tępego cylindra i była wytoczona z drzewa brakka. Schował ją do kieszeni, czując dziwną więź łączącą go z nieznanym strzelcem. „Od jednego martwego człowieka dla drugiego”, pomyślał.

– Dość zrobiliśmy jak na jeden dzień! – krzyknął, podnosząc opatuloną w rękawicę dłoń. – Teraz poszukajmy drogi do domu!

## ROZDZIAŁ 9

Gdy ucichł turkot zbliżającego się wozu, Bartan Drumme wstał i podszedł do wiszącego na kuchennej ścianie lustro. Czuł się dziwnie bez roboczego ubrania na grzbiecie i nawet twarz, patrząca na niego z lustro, wydawała się jakaś obca. Chłopięcy, pełen wdzięku wygląd, jaki kiedyś zaskarbił mu nieufność farmerów, zniknął bezpowrotnie; zastąpiły go twarde, spalone słońcem rysy człowieka, któremu nie jest obca samotność, smutek i bezlitosna harówka. Bartan przygładził czarne włosy, poprawił kołnierzyk koszuli i podszedł do drzwi.

Przed domem stał wóz Phoratere'ów. Podstarzały niebieskorożec, spocony po podróży w słońcu, parsknął hałaśliwie. Harro i Ennda przywitali się z Bartanem. Przyjaźnili się z nim od czasu ponurego wypadku na ich farmie, i to dzięki uporowi Enndy Bartan zgodził się zrobić sobie wolne i wyskoczyć do Nowej Minnett. Pomógł jej zsiąść z wysokiego wehikułu!, podczas gdy Harro zabrał niebieskorożca do wodopoju, powoli poprowadził ją do domu.

– Ale z ciebie elegant – powiedziała Ennda, a uśmiech wymazał ślady zmęczenia z jej twarzy.

– Udało mi się zachować jedną dobrą koszulę i parę portek, ale wygląda na to, że jedno i drugie nieco się skurczyło.

– Rozrosłeś się. – Kobieta zatrzymała się i obrzuciła go szacującym spojrzeniem. – Trudno pojąć, że jesteś tym samym chłopcem o dziecinnej twarzy, który olśniewał nas swą bystrą miejską gadką.

– Ostatnio nie mówię wiele – powiedział z żalem Bartan.  
– Nie ma sensu.

Ennda współczująco ścisnęła go za ramię.

– Żadnej poprawy? Jak długo to trwa? Blisko dwieście dni?

– Dwieście! Straciłem rachubę czasu, ale coś koło tego. Sondy jest taka, jak była, ale nie tracę nadziei.

– To dobrze! Nadal jest w sypialni?

Bartan skinął, wprowadził Enndę do domu i do sypialni. Otworzył drzwi, za którymi ukazała się siedząca na skraju łóżka, ubrana w długą do kostek nocną koszulę Sondeweere. Patrzyła na przeciwległą ścianę i nie poruszyła się, najwyraźniej nieświadoma obecności innych. Jasne włosy miała uczesane, ale ułożone w tak nieprawdopodobny sposób, w jaki

mógł zrobić to jedynie Bartan.

Ennda weszła do pokoju, przyklęła przed Sondeweere i ujęła jej bezwolne dłonie.

– Witaj, Sondi – powiedziała cichym, ale wesołym głosem. – Jak się czujesz?

Sondeweere nie odpowiedziała. Jej piękna twarz pozostała obojętna, oczy niewidzące.

Ennda pocałowała dziewczynę w czoło, podniosła się i wróciła do Bartana.

– W porządku, młody człowieku! Możesz ruszać do miasta i rozerwać się nieco. Zostaw wszystko na mojej głowie – powiedz rai tylko, co zrobić z jedzeniem Sondeweere i... hmmm... konsekwencjami.

– Konsekwencjami? – Zdumiony Bartan gapił się na Enndę, dopóki jej zirytowane spojrzenie nie powiedziało mu, o co chodzi. – Aha! Nie musisz nic robić. Sama utrzymuje się w czystości, zaspokaja swe podstawowe potrzeby i je wszystko, co się dla niej przygotowuje. Po prostu wydaje się, że nikt inny dla niej nie istnieje. Nigdy nie mówi. Przez cały dzień siedzi na łóżku i wlepia oczy w ścianę, jakby mnie wcale nie było. Może na to zasłużyłem. Może to kara za to, że ją tu przywiozłem.

– Nie bądź głupi. – Ennda objęła go, a on przywarł do niej, znajdując ukojenie w promieniującej z niej aurze ciepła, kobiecości i miękkości.

– Co my tu mamy? – huknął jowialnie Harro Phoratere, wchodząc do cienistej kuchni z zalanego słońcem podwórza. – Jedna kobieta ci nie wystarczy, młody Bartanie?

– Harro! – Ennda odwróciła się do męża. – Co też ty gadasz?

– Przepraszam, chłopcze, nie myślałem, że twoja Sondi

jest... – Harro zawahał się, okrągła blizna po ugryzieniu odbiła się wyraźnie na tle zaróżowionego policzka. – Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać – powiedział Bartan. – Doce-  
niam to, że przyjechaliście. To bardzo wspaniałomyślnie z  
waszej strony.

– Nonsens! Dla mnie to też pożądana przerwa. Zamie-  
rzam spędzić podzień na lenistwie i, uczciwie ostrzegam, na  
skonsumowaniu niemałej ilości twego wina. – Harro zerknął  
niespokojnie na puste gąsiory w kącie. – Mam nadzieję, że  
masz jeszcze trochę.

– Znajdziesz zapasy w piwniczce, Harro. To jedyna po-  
ciecha, jaka mi została i dbam, by nigdy jej nie brakowało.

– Mam nadzieję, że nie pijesz zbyt wiele – powiedziała  
Ennda, okazując pewne zaniepokojenie.

Bartan uśmiechnął się do niej.

– Tylko tyle, by zapewnić sobie nocny sen. Tu jest cicho.  
Za cicho.

Ennda skinęła głową.

– Przykro mi, że sam dźwigasz swoje brzemie, Bartanie,  
ale teraz, gdy tak wielu z naszej rodziny poddało się i ruszyło  
na północ, ledwo radzimy sobie z własną farmą. Wiesz, że Wi-  
lverowie i Obrigailowie zrobili to samo?

– Po włożeniu takiej pracy! Ile rodzin zostało?

– Pięć prócz nas.

Bartan z przygnębieniem potrząsnął głową.

– Gdyby tylko ludzie chcieli poczekać i...

– Jeżeli ty zaczekasz jeszcze trochę, zapadnie noc, nim  
dotrzesz do tawerny – ucięła Ennda, popychając go w stronę  
drzwi. – Jedź i rozerwij się. No dalej, ruszaj!

Bartan obrzucił ostatnim spojrzeniem żonę, zatraconą w



swym niedostępnym dla niego świecie, wyszedł na dwór i gwizdnięciem przywołał niebieskorożca. Po chwili siedział w siodle i jechał na zachód do Nowej Minnett. Nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia, że planując spędzenie połowy dnia bez swego przytłaczającego brzemienia pracy i odpowiedzialności robi coś zawstydzającego, ale pragnął pogawędki w miłym towarzystwie i instynkt podpowiedział mu, że ta wyprawa będzie lecznicza.

Już sama przejażdżka w sielankowej scenerii podziałała orzeźwiająco, a po przyjeździe do miasta Bartan był zaskoczony swoją reakcją na widok nieznanymi ludźmi, budynków różnej wielkości i stylów, oraz pełnomorskich statków zakotwiczonych na rzece. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Nową Minnett, miasto wydało mu się maleńką i zagubioną placówką na kresach cywilizacji – teraz, po długim przymusowym pobycie na farmie, miał wrażenie, że wjechał do najprawdziwszej metropolii.

Podjechał wprost do budynku pozbawionego frontowej ściany, służącego jako tawerna. Z radością ujrzał znowu wielu miejscowych, którzy niegdyś powitali jego i jego łódź powietrzną w czasie pierwszej, jakże dawnej, wizyty. W porównaniu z przygnębiającym i znojnym życiem w Koszu, mieszkańcy miasta trwali jakby zawieszeni w czasie, niemal tak jak zostawił ich tutaj wtedy. W tawernie siedział główny sędzia miasta Majin Karrodall ze swym małym mieczem i pulchny Otler, ciągle zażarcie protestujący przeciwko swej trzeźwości, i tuzin innych, których oczywiste i radosne pogodzenie z losem dowodziło, że życie generalnie warte jest życia.

Bartan z zadowoleniem napił się z nimi ciemnego mocnego piwa, łatwo znajdując miejsce na kolejne kufle. Doceniał

to, że mężczyźni – łącznie z Otlerem, który raczej nie słynął z taktu – nie nawiązywali do nieprzerwanego eksodusu jego ludzi z Nawiedzonego. Jak gdyby znając powód jego wizyty, rozmawiali wyłącznie na tematy ogólne, głównie omawiając najświeższe nowiny dotyczące dziwnej wojny toczonej na niebie wysoko po drugiej stronie planety. Ich wyobraźnię rozpałała wzmianka o nowym pokoleniu wojowników, którzy jeździli po niebie na grzbietach silników odrzutowych, bez pomocy balonów. Bartana uderzyło, jak często pada imię lorda Maraquine'a.

– Czy to prawda, że ten Maraquine zabił dwóch królów w czasie Migracji? – zapytał.

– Oczywiście! – Otler z rozmachem walnął kuflem w stół. – A jak myślisz, dlaczego nazywają go Królobójcą? Ja tam byłem, przyjacielu! Widziałem to na własne oczy!

Przez ogólne drwiny przebił się wykrzyknik Karrodalla.

– Brednie!

– No cóż, może nic widziałem, co się stało – przyznał niechętnie Otler – ale za to widziałem statek króla Prada spadający jak kamień. – Odwrócił się plecami do innych i teraz przemawiał do Bartana. – Byłem wtedy młodym żołnierzem – Czwartego Sorkańskiego Regimentu – i leciałem w jednym z pierwszych statków opuszczających Ro-Atabri. Nigdy nie myślałem, że szczęśliwie zakończę tę podróż, ale to całkiem inna historia.

– Którą słyszeliśmy tysiąc razy – dodał jeden ze słuchaczy, szturchając łokciem sąsiada.

Otler odpowiedział wulgarnym gestem.

– Widzisz, Bartanie, statek Prada splątał się z tym, którym leciał Toller Maraquine. Chakkell, który był wówczas

księciem, oraz Daseene i ich troje dzieci znajdowali się na statku Tollera, i on uratował im życie. Rozdzielenie obu statków wymagało siły trzech mężczyzn, ale on zrobił to w pojedynkę, i statek Prada spadł. Widziałem, jak przelatywał obok mnie, i nigdy nie zapomnę Prada stojącego przy relingu. Stał wysoki i wyprostowany, bez śladu strachu, a jego jedyne oko płonęło niczym gwiazda... Jego śmierć oznaczała, że królem zostanie książę Leddravohr, i trzy dni później, po wylądowaniu, Leddravohr i Toller stoczyli pojedynek, który trwał sześć godzin. Zakończył się wtedy, gdy Toller jednym ciosem ściał Leddravohrowi głowę!

– Musiał być niczego sobie – rzekł bez przekonania Bartan, próbując oddzielić prawdę od fikcji.

– Miał siłę dziesięciu! I co masz na myśli mówiąc był? Do dzisiaj żaden z tych wyrostków tam w górze nie może dotrzymać mu kroku. Wiesz, że w pierwszej bitwie z Landyjczykami, gdy mu się strzały skończyły, zaczął ciąć ich balony na strzepy własną białą szablą? Tą samą, którą pokonał Karkaranda! Zważ moje słowa: Karkaranda! I tylko jednym ciosem! Mówię ci, Bartanie, zawdzięczamy temu człowiekowi wszystko. Gdybym był o dwadzieścia lat młodszy i gdyby nie dokuczało mi paskudne kolano, byłbym teraz z nim tam, w górze.

Sędzia Karrodall parsknął rubasznie w swoje piwo.

– A chyba mówiłeś, że tam w punkcie środkowym nie potrzebują nadętych balonów!

– Bardzo śmieszne – mruknął Otler. – Bardzo. Kolejne godziny mijały przyjemnie i szybko, i Bartan

w końcu z pewnym zaskoczeniem zauważył, że promienie słońca zagładają do tawerny pod bardzo małym kątem.

– Panowie – powiedział, wstając od stołu – zostałem

dłużej, niż zamierzałem. Muszę was opuścić.

– Łyknij jeszcze jedno – zaproponował Karrodall, podnosząc piwo.

– Przykro mi, ale muszę wracać. Przyjaciele doglądają za mnie farmy, i już zachowałem się w stosunku do nich niegrzecznie.

Karrodall podniósł się i ujął rękę Bartana.

– Słyszałem o nieszczęściu twojej żony, przykro mi – wyszeptał. – Czy nie zastanawiałaś się nad zabraniem jej z tego zgubnego miejsca?

– Miejsce jest tylko miejscem – rzucił lekko Bartan, zdecydowany nie obrażać się – i nie mam zamiaru go oddać. Do widzenia, Majin.

– Powodzenia, synu!

Bartan zasalutował reszcie kompanii i poszedł po spętanego niebieskorożca. Czuł ciepło alkoholu w żołądku i przyjemne mrowienie w mózgu. Cieszył się życiem – było to wspaniałe uczucie, które w przeszłości zabarwiało jego egzystencję, ale które ostatnio mógł uchwycić jedynie gdzieś w pobliżu dna gąsiorka czarnego wina. Wdrapał się na siodło i trącił łydką niebieskorożca, powierzając inteligentnemu stworzeniu zadanie dostarczenia go do domu.

Gdy niebo stopniowo ciemniało, daytime gwiazdy stawały się coraz wyraźniejsze a z tła zaczęły wyłaniać się spirale i warkocze mglistego światła. Było więcej komet niż zwykle. Bartan naliczył osiem, ich ogony zakręcały w prawo na sklepieniu nieba, tworząc zmienne pasma srebra lub ciemnego błękitu, wśród których niczym świetliki śmigały meteory. Podchmielony Bartan wpadł w nastrój pełen zadumy i zastanowił się, czy ludzie kiedykolwiek przemkną tajemnice nieba.

Przypuszczano, że gwiazdy są odległymi słońcami; pojedynczy zielony punkt znany był jako trzecia planeta, Farland; natura meteorów była dobrze rozumiana dzięki temu, że czasami spadały na ziemię, pozostawiając różnej wielkości kratery. Ale czym były ogromne wiry promieniowania, które przez część roku obejmowały całe niebo? Dlaczego na niebie jaśniało tak wiele podobnych, ale mniejszych spirali, czasami zachodzących na siebie, w kształcie kół, elips i rozżarzonych wrzecion, wciąż nie poznane mimo oglądania ich przez teleskop?

Ciąg myśli sprawił, że Bartan większą niż zwykle uwagę poświęcał świetlistej kopule nieba i dzięki temu zauważył całkowicie nowy fenomen. Oto na wschodzie, w przybliżeniu gdzieś ponad farmą, niezbyt wysoko nad horyzontem ujrzał maleńką, dziwnie uformowaną łatkę światła. Przypominała ona czteroramienną gwiazdę z wklęsłymi ramionami, figurę geometryczną powstającą między czterema stykającymi się okręgami, a każdy czubek emitował tęczę barw. Obiekt był zbyt mały, by bez szkieł dostrzec jakieś szczegóły, ale w centrum roily się jasne plamki w wielu odcieniach. Bartan, zaintrygowany, przyglądał się, jak niesamowicie piękne zjawisko ruszyło szybko w dół i zniknęło z pola widzenia za grzbietem najbliższego wzniesienia.

Bartan potrząsnął głową ze zdumienia i pognał niebieskorożca w kierunku pagórka, ale gwiazdy nie było już widać. Ruszył dalej, próbując zgadnąć, czym była. Meteory spadające na ziemię czasem rozkwitały żywymi kolorami, ale towarzyszyły im donośne grzmoty, a to zjawisko mknęło bezgłośnie płynnym lotem. Doszedł do wniosku, że obiekt musiał być dużo większy, niż początkowo przypuszczał, pomniejszony przez odległość, pędzący przez kosmos daleko poza orbitą Overlan-

du.

Bartan kontynuował podróż z głową przepełnioną myślami o cudach wszechświata. Prawie godzinę później po raz pierwszy mignęły mu żółte światła własnej farmy i poczuł nowe ukłucie winy, że zatrzymał Phoratere'ów aż do nocy. Fakt, że Sondeweere i on mieli tylko jedno łóżko, utrudniał mu zaproszenie ich na noc, chyba że Harro i on prześpią się na podłodze. Wydawało się to kiepską nagrodą za ich uprzejmość, zwłaszcza że dobrosąsiedzkie uczynki w Koszu były taką rzadkością. Zastanawiając się, w jaki sposób usprawiedliwić swe postępowanie, zmusił niebieskorożca do truchtu. Miał nadzieję, że zwierzę nie potknie się na srebrzonej gwiazdami drodze.

Był jakąś milę od domu, gdy świat nagle zalało światło tak intensywne, tak wielobarwne i niezwykle, że odruchowo zamknął oczy.

Niebieskorożec stanął dęba, szczerząc się z przerażenia, a Bartan przywarł do niego, drżąc w oczekiwaniu na ogłuszającą eksplozję, która, jak podpowiadał mu instynkt, powinna towarzyszyć takiemu błyskowi. Nie było jednak żadnego wybuchu, tylko podzwaniająca, odbijająca się echem cisza, w której czuł, jak jego ubranie marszczy się i faluje, chociaż powietrze nawet nie drgnęło. Otworzył oczy, gdy przednie kopyta niebieskorożca opadły na ziemię. Był oślepiiony poblaskiem drzew i krzaków, pomarańczowych i zielonych sylwetek, które jakby na zawsze wyryły się w jego siatkówkach.

– Spokojnie, stara, spokojnie – wysapał, poklepując zwierzę po karku. Zamrugał, przetarł oczy i rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś? co mogłoby wyjaśnić pochodzenie zdumiewającego, przerażającego i zdecydowanie nienatural-

nego zdarzenia. Mroczny krajobraz odzyskał zwykły wygląd i śpiący świat próbował zapewnić go, że wszystko jest tak jak zawsze, ale Bartan, czując pełznącego mu po krzyżu zimny strach – wiedział lepiej.

Pognał niebieskorożca i w kilka minut dotarł do farmy. Fakt, że Harro i Ennda nie stali przed domem i nie przyglądali się niebu, był pierwszą wskazówką, że coś jest nie w porządku. Ale czy naprawdę? Może on sam widział tylko jakieś lokalne zjawisko przyrodnicze czy fizyczne – ostatecznie istnieli ludzie, którzy twierdzili, że błyskawice wyskakują z ziemi, całkiem przeciwnie do powszechnej wiary, że uderzają z nieba. Wjechał na podwórze, zsiadł z niebieskorożca i podszedł do drzwi domu. Kiedy je otworzył, ujrzał scenę jakby z obrazu przedstawiającego rodzinną sielankę – Ennda była zajęta haftowaniem letniego kapelusza, Harro przechylał gąsior, by nalać sobie wina.

Bartan odetchnął z ulgą, po czym zawahał się... Przerazenie wróciło, gdy zdał sobie sprawę, że małżonkowie trwali zastygli w pół gestu jak rzeźby. Chwilowe złudzenie ruchu powstało z mrugania latarni w przeciagu.

– Harro? Enndo? – Bartan wszedł niepewnie do kuchni.  
– Przepraszani... przepraszani, że wróciłem tak późno.

W tej chwili igła Enndy zaczęła się poruszać, a wino za-bulgotało w kubku Harra.

– Nie denerwuj się, Bartanie – powiedziała Ennda. – Słońce ledwo zaszło, a... – Spojrzała przez otwarte drzwi na rozpościerającą się za nimi ciemność i zaczęła marszczyć brwi.  
– To dziwne! Jak to...? – Jej słowa zagłuszył ostry trzask szkła, gdy gąsior Harra rozwalił się na kamiennej posadzce. Macki ciemnego wina rozbiegły się od rozbitego naczynia.

– Niech to lichy! – Harro złapał się za prawą rękę i zaczął ją masować. – Ale boli mnie ręka! Jest tak zmęczona, że... boli!  
– Spojrzał na podłogę, ganiać samego siebie. – Przykro mi, chłopcze... nie wiem, co...

– Nieważne – uciął Bartan. – Co z tym światłem? Jak myślicie, co to było?

– Ze światłem?

– Oślepiającym światłem. Światłem, na miłość boską! Jak myślicie, jaka była przyczyna?

Harro zerknął na żonę.

– Nie widzieliśmy żadnych świateł. Czy przypadkiem nie uderzyłeś się w głowę?

– Nie jestem pijany. – Zdumiony Bartan wpatrywał się w małżonków, lecz po chwili jego spojrzenie powędrowało do drzwi sypialni. Były częściowo otwarte, smuga światła z kuchni padła na łóżko i ze swego miejsca widział, że jest puste. Przeszedł przez kuchnię i otworzył drzwi na całą szerokość. W małym pokoju nie było nikogo.

– Gdzie jest Sonda? – zapytał cicho.

– Co? – Harro i Ennda zerwali się na nogi i podeszli do niego, na ich twarzach malowało się zdumienie.

– Gdzie jest Sonda? – powtórzył Bartan. – Pozwoliliście jej wyjść samej?

– Oczywiście, że nie! Ona tam jest! – Ennda przepchnęła się obok niego i zatrzymała, zbita z tropu pustką pokój i brakiem miejsc, w których mogłaby ukryć się chora.

– Musieliście zasnąć – powiedział Bartan. – A ona wyszła, gdy spaliście.

– Ja nie spałam. To niemoż... – Ennda urwała i przycisnęła rękę do czoła. – Nie ma sensu stać tu i się kłócić. Wyjdz-



my i poszukajmy jej.

– Weźcie światła. – Bartan podniósł cylindryczną latarnię i pospieszył na zewnątrz. Nawet po tym, jak zajrzeli do budynku „mieszczącego łaźnię i nie znaleźli Sondeweere, jeszcze nie wpadł w panikę. Żona co prawda nigdy nie spacerowała po nocy, ale w okolicy nie było ani drapieźnych dzikich zwierząt, ani skarp czy szczelin, które mogłyby zagrozić jej bezpieczeństwu. Nieobecność Sondeweere mogła być nawet dobrym znakiem, świadczącym, że żona w końcu zaczęła wyłaniać się z cienia, który na tak długo zaćmił jej umysł.

Prowadzili poszukiwania i wykrzykiwali jej imię przez ponad godzinę, gdy do świadomości Bartana zaczęło zakradać się złe przecucie. Po pierwsze, miało miejsce to dziwne świetlne zjawisko; po drugie, jego żona tajemniczo zniknęła – i między tymi wypadkami musiał zachodzić jakiś związek. Nawiedzone – przemianowanie na Kosz Jaj było naiwne i daremne – wznowiło aktywność, a Sondeweere stała się jego ofiarą. Bartan dawno mógł zabrać ją z tego miejsca, ale jego upór i pycha naraziły ją na coś, czego nikt nie rozumiał. A to było nieuchronnym wynikiem...

– Błądzenie w ciemności niewiele nam pomoże – powiedział Harro Phoratore, w jego głosie pobrzmiwała kombinacja zmęczenia i rozsądku. – Powinniśmy wrócić do domu i zaoszczędzić siły na dzień. Co na to powiesz?

– Chyba masz rację – zgodził się głucho Bartan.

W domu tymczasem zrobiło się zimno i podczas gdy Bartan rozpałał ogień, Harro przyniósł z piwniczki pełny gąsior i napełnił czarnym winem trzy kubki. Ale przytulne otoczenie nie uspokoiło Bartana, przypomniało mu jedynie, że nie ma prawa cieszyć się luksusem, gdy jego żona wędruje gdzieś

po nocy. W najlepszym wypadku mogła zabłądzić i zmarznąć; w najgorszym...

– Jak to się mogło stać? – zapytał. – Gdybym wiedział, gdybym przewidział, nigdy bym nie wyjechał.

– Przypuszczam, że się zdrzemnąłem – przyznał Harro. – Wino...

– Ale była z tobą Ennda.

Ennda, która najwyraźniej zasypiała na siedząco, natychmiast odwróciła się do Bartana. Jej twarz wykrzywiła furia.

– Co próbujesz powiedzieć, miejski chłopaczku? Że zabiłam tę twoją kurwę? Myślisz, że zżarłam jej twarz? Czy to chciałeś powiedzieć? Ale gdzie jest krew? Czy widzisz gdzieś krew na moim ubraniu? Albo tutaj? – Obiema rękami złapała za kołnierz swej błękitnej bluzki i rozdarła ją, odsłaniając piersi.

Bartan był przerażony.

– Enndo! Proszę! Wcale tak nie myślałem! Uciszyła go, podrywając się z krzesła i ciskając kubek w palenisko.

– Trzymam sen na wodzy! Już nigdy więcej mnie nie pochłonie!

Harro wstał i objął żonę, przyciskając jej udręczoną twarz do ramienia. Oparła się o niego, wstrząsana niepokonanym szlochem. Wino syczało i pieniało się w ogniu.

– Ja... – Bartan podniósł się i odstawił kubek. – Nie wiedziałem, że ten sen nadal ją nęka.

– Czasami to się zdarza – powiedział Harro. Jego oczy były pełne skruchy i przerażenia. – Będzie lepiej, jak zabiorę ją do domu.

– Do domu? – Enndę opuściła szaleńcza energia; teraz

zachowywała się jak dziecko. – Tak, Harro, proszę, zabierz mnie do domu... daleko od tego straszego kraju... z powrotem do Ro-Amass. Nie mogę żyć dłużej w taki sposób. Wróćmy do naszego prawdziwego domu, w którym byliśmy szczęśliwi.

– Może masz rację – mruknął Harro, poklepując ją po plecach. – Porozmawiamy o tym rano.

Ennda odwróciła głowę i spojrzała na Bartana z drżącym uśmiechem.

– I co ja ci narobiłam, Bartanie? Jesteś dobrym chłopcem, a Sondy to porządna dziewczyna. Nie miałam na myśli tego, co powiedziałam.

– Wiem – odparł zakłopotany Bartan. – Nie musicie odjeżdżać.

Harro potrząsnął głową.

– Nie, chłopcze, pojedziemy, ale wrócę z ludźmi. Jeżeli Sondy nie pokaże się do rana, wkrótce ją znajdziemy. Zobaczysz.

– Dzięki, Harro. – Bartan wyszedł na dwór i pomógł mu zaprzęgnąć niebieskorożca do wozu. Przez cały czas rozglądał się z nadzieją, że zobaczy dryfującą łatę światła, która zapowie cudowny powrót Sondeweere.

Ale Sondeweere nie wróciła.

Bartan nie wiedział, że wkracza właśnie w najczarniejszy okres swego życia, że w przeciągu kilkunastu dni będzie musiał pogodzić się z faktem, że jego żona na zawsze rozstała się z tym światem.

## ROZDZIAŁ 10

W tym, że wróg nadciąga od strony słońca, nie było nic niezwykłego, ale Tollera zaskoczył rozmiar fali ataku. W jej skład wchodziło przynajmniej sześćdziesiąt ustawionych w obronnym szyku statków.

Jego nadzieje, że klęska zadana pierwszej flocie inwazyjnej zakończy międzyplanetarną wojnę, okazały się płonne, lecz kolejne ataki przeprowadzono na mniejszą skalę. Wiele z nich wyglądało na misje samobójcze, których celem było przetestowanie obrony Overlandu na nowe sposoby. Druga armada próbowała przebić się przez strefę nieważkości w nocy, ale zdradził ją dźwięk silników. Overlandczycy odparli przeciwnika, zadając mu ciężkie straty. Inna armada była wyposażona w superpotężne działa, których odrzut destabilizował i niszczył ich własne statki. Dwa razy Landyjczycy zaprezentowali własne odrzutowe myśliwce, wystrzeliwując je z burt gondoli. Początkowo wrodzy piloci próbowali związać maszyny trzech eskadr w bezpośredniej walce powietrznej, ale w porównaniu z zaprawionymi w boju lotnikami Tollera byli beznadziejnymi nowicjuszami i zostali wybici prawie co do nogi. W czasie drugiego eksperymentu spróbowano przeprowadzić szybki atak na Wewnętrzną Grupę Obrony, najwyraźniej z zamiarem staranowania stacji, lecz Landyjczycy znów zostali odparci i zniszczeni.

Z biegiem czasu Toller zrozumiał, że założenie stałej bazy w strefie nieważkości dało obrońcom przytłaczającą przewagę. Zdumiewające, że król Rassamarden nie doszedł do

tego samego wniosku i nie zrezygnował z nierównej walki. Tollerowi przychodziło na myśl tylko jedno wytłumaczenie. Znajdowało się ono w raporcie pułkownika Gartasiana, dotyczącego spotkania ze zwiadowczą grupą Landyjczyków. Gartasian stwierdził, że przeciwnika cechuje skrajna arogancja, duma i brak rozsądku. Może Nowi Ludzie Landu, łącznie z władcą byli spóźnionymi ofiarami pterozoy, atakującej ich w sposób, którego nawet sami nie rozumieli; ofiarami skazanymi na zatrucie własnym jadem.

Jedynym godnym uwagi krokiem, jaki przedsięwzięli w celu samoobrony, było to, że zaczęli używać spadochronów, i dzięki temu mogli przeżyć zniszczenie statków. Niepodobna było stwierdzić, czy wymyślili spadochron niezależnie, czy też skopiowali go po znalezieniu ciała Dinnitlera, pilota, który spadł na Land. Istniała również teoria mówiąca, że własne odrzutowce zaprojektowali na podstawie szczątków rozbitej maszyny Dinnitlera.

Ale Tollera pochłaniały ważniejsze zagadnienia. Zastanawiał się, czy na tym etapie wojny pojawienie się olbrzymiej floty oznaczało jedynie upust autodestrukcyjnej pasji Landyjczyków?

Czy może posiadli jakiś nowy typ broni?

Toller na okrągło wałkował te pytania, jadąc w dół w kierunku słońca na czele Czerwonej Eskadry. Skośny szklany ekran, ostatnia modyfikacja myśliwca, chronił go przed najgorszymi podmuchami lodowatego powietrza. Po obu stronach jego formagi, w odległości furlonga, pędzili Niebiescy i Zieloni, kreśląc białe smugi na rozmigotanym niebie. Znów zaczęło przepełniać go stare, zabarwione poczuciem winy podniecenie.

Daleko w dole na tle wielkiej kolorowej krzywizny Landu niektóre ze statków wrogiej floty już zaczęły przekreślać się na bok. Landyjczycy już nie wpadali na ślepo w zasadzkę. Wypracowali metodę obserwowania nieba powyżej statków, prawdopodobnie używając posterunków na uwięzi, i na pierwszy znak smug kondensacyjnych ustawiali statki pod różnymi kątami w celu polepszenia obrony. Z tego powodu obecnie eskadry wchodziły do akcji oddzielnie, a styl walki stał się indywidualny i zależny od okoliczności. Wynikiem były spektakularne zwycięstwa i równie spektakularne klęski; legendy rodziły się, by w pełni rozkwitnąć w tawernach Overlandu.

„Co stanie się tym razem?“, pomyślał Toller; puls mu przyspieszył. „Czy czeka wśród nich żołnierz, którego przeznaczeniem jest zakończenie mojego życia?“

Gdy statki przybliżyły się, myśliwce rozerwały formacje i zaczęły tkać ze smug pary kosze wokół swoich ofiar. Toller widział, że Berise wchodzi w zakręt po jego lewej stronie. Huknęła palba z muszkietów dużego zasięgu, ale strzelano jakby bez przekonania. Tollera znów opadły podejrzenia co do nowej broni wroga. Wyłączył silnik i czekał, aż myśliwiec znieruchomieje, aby lepiej przyjrzeć się statkom. Kilka innych myśliwców już przemykało przez oka sieci; Toller widział pomarańczowe błyski ich strzał, chociaż na razie żaden balon nie stał w płomieniach.

Sięgnął po lornetkę, ale rękawice i łuk przywiązany do lewego nadgarstka krępowały mu ruchy, i nadal patrzył bez szkieleł, gdy niektóre z wrogich gondoli zostały otoczone brązowymi plamkami, jak gdyby załogi wyrzucały w kierunku atakujących tuziny pocisków. Ale plamki szamotały się i poru-

szały z własnej woli.

„Ptaki!”

Toller, rozplątując rzemień lornetki, miał chwilę na zastanowienie. Jakie ptaki Landyjczycy mogli wysłać przeciwko ludziom? Odpowiedź nadeszła natychmiast – orły rettserskie. Odkryte w Górach Rettser w północnym Kol-corrone, miały rozpiętość skrzydeł wynoszącą ponad dwa jardy, rozwijały prędkość tak wielką, że nie można było dokładnie jej zmierzyć, i mogły wypatroszyć jelenia – albo człowieka – nieledwie w mgnieniu oka. W przeszłości nie były szkolone do polowań czy wojny, ponieważ nigdy nie można było przewidzieć ich zachowania – ale Nowi Ludzie pokazali, że gdy chodzi o zniszczenie wroga, mają mało szacunku dla własnego życia.

Pierwsze spojrzenie przez szkła lornetki potwierdziło obawy. Toller poczuł, że ogarnia go lodowaty chłód. Bezczylnie czekał na spustoszenie, jakie uczynią wielkie ptaki, naturalni władcy przestworzy, wśród jego pilotów. Wzór pierzastych smug nagle zmienił się, gdy piloci znajdujący się najbliższej statków dostrzegli zagrożenie. Sekundy płynęły powoli. Toller w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że sytuacja pozostaje dziwnie statyczna. Spodziewał się, że orły, ze swym niewiarygodnie szybkim refleksem, zaczną niepowstrzymany atak w momencie dostrzeżenia lotników – ale ptaki pozostały w sąsiedztwie statków, z których zostały wyrzucone.

Powiększony obraz uzyskany w lornetce ujawnił ciekawe widowisko.

Orły energicznie biły skrzydłami, ale zamiast przesuwać się do przodu, wirowały w ciasnych kołach, praktycznie nie przesuając się ani o cal. Zdawało się, że jakaś niewidzialna siła trzyma je w miejscu. Im gwałtowniej tłukły skrzydłami,

tym szybciej obracały się bez zmiany pozycji.

Toller był tak zdumiony tym fenomenem, że minęło jeszcze kilka sekund, nim zaczął rozumieć, że orły nigdy nie będą fruwać w stanie nieważkości. Przy braku grawitacji prawa rządzące uskrzydłonym lotem stawały się bezwartościowe. Dominującą siłą działającą na ptaki jest skierowany w górę ciąg skrzydeł, a bez równoważącej go masy ciała orły wprawiały się w skierowany do tyłu nieustający obrót. Inteligentne stworzenie zareagowałoby zmianą ruchu pionowego na ruch poziomy, ale orły mogły tylko młócić skrzydłami i daremnie marnować energię.

– Pech, panowie – mruknął Toller, pompując pneumatyczny zbiornik. – A teraz zapłaciecie za swój błąd!

Widział balony zapalane jeden po drugim, bez strat wśród lotników. Landyjczycy już wiedzieli, że nieruchome balony płoną wolniej i przed starciem zatrzymywali statki. Przy braku ruchu powietrza wspomagającego ogień, czasami dochodziło do tego, że płomień gasły na długo przed tym, nim cała powłoka została strawiona, i choć nie miało to wpływu na ostateczny los statku, ratowało życie załogi.

Obecność wirujących orłów nadała bitwie dziwaczny rys. Ich przerażone skrzeczenie tworzyło nieprzerwane tło dla ryku odrzutowych myśliwców, trajkotu muszkietów i huku armatek. Większość ptaków nadal wirowała, bezrozumnie trwoniąc siły, ale Toller zauważył, że niektóre uspokoiły się i dryfowały z głowami zatkniętymi pod skrzydła, jak gdyby spały. Kilka znieruchomiało z częściowo rozwiniętymi skrzydłami, co wskazywało, że są martwe; może zabił je strach.

Toller, nieskończenie wdzięczny przeznaczeniu za taki obrót wypadków, podjechał do białego roju, by wyszukać so-



bie jakiś cel. Po chwili zobaczył, że zbliża się ku niemu pilot z jego eskadry. Była to Berise Narrinder, szybko otwierająca i zamykająca prawą dłoń, co sygnalizowało, że chce rozmawiać. Toller, zaintrygowany, zamknął przepustnicę. Berise uczyniła podobnie i dwie maszyny dryfowały obok siebie.

– Co jest? – zapytał Toller. – Chcesz złapać ptaka na kolacje?

Berise niecierpliwie potrząsnęła głową i ściągnęła szalik pod brodę. Z jej ust buchnęła para.

– Poniżej strefy walki jest jakiś statek. Chciałabym, żeby pan rzucił na niego okiem.

Toller spojrział we wskazanym przez nią kierunku, ale nie mógł niczego znaleźć.

– To najpewniej obserwator – powiedział. – Kazano pilotowi trzymać się z daleka od walki i wrócić do bazy z meldunkiem.

– To nie jest zwyczajny statek – upierała się Berise. – Proszę spojrzeć uważniej, lordzie. Niech pan patrzy tam, gdzie pasmo chmur przecina Zatokę Tronom.

Toller zrobił tak i tym razem dostrzegł maleńką sylwetkę statku. W stosunku do innych leżał na boku, wzmacniając przekonanie Tollera, że jego funkcją jest obserwowanie wyniku bitwy. Zastanowił się, czy ludzie na pokładzie orientują się już, że ich plan spalił na panewce.

– Nie widzę w tym niczego niezwykłego – powiedział. – Dlaczego tak się nim interesujesz?

– A oznaczenia na gondoli? Nie widzi pan błękitnych i szarych pasów?

Toller jeszcze raz spojrział na miniaturowy kształt i zniżył lornetkę.

– Twoje młode oczy najwyraźniej są lepsze od moich. – Urwał i poczuł chłód na karku, gdy dotarło do niego pełne znaczenie słów Berise. – Błękitny i szary zawsze były barwami statków królewskich, ale czy Rassamarden je zachował?

– Dlaczego nie? Może coś dla niego znaczą. Toller z zadumą pokiwał głową.

— Mimo swych pogardliwych deklaracji zdaje się pożądać wszystkiego, co mieli dawni królowie. Ale dlaczego władca miałby ryzykować zbliżanie się do pola bitwy?

— Słyszałam, że Leddravohr często prowadził swoich żołnierzy, a on nie był Nowym Człowiekiem. — Z ust Berise wypłynęły kolejne obłoczki pary. — A co z orłami? Gdyby zrobiły to, czego się po nich spodziewano, rzeczy prawdopodobnie przyjęłyby dla nas zły obrót. Być może Rassamarden był przekonany, że będzie świadkiem słynnego zwycięstwa.

— Wasz umysł jest równie ostry jak oczy, kapitanie. — Toller obdarzył dziewczynę pełnym aprobaty uśmiechem.

— Komplementy zawsze są mile słyszane, lordzie — ale ja mam na myśli lepszą nagrodę.

— Zakładając, że to j e s t królewski statek, chcesz, byś ty miała zaszczyt zniszczenia go.

Berise nieustraszenie spojrzała mu w oczy, jej brwi ściągnęły się w jedną linię.

— Jestem pewna, że mam rację. I to ja go wypatrzyłam.

— Rozumiem twoje uczucia, ale musisz wziąć pod uwagę moje położenie. Jeżeli Rassamarden faktycznie jest na pokładzie tego statku, wszyscy powinni zostać podporządkowani zadaniu zabicia go, tym samym doprowadzając wojnę do końca. Moim obowiązkiem jest zaatakowanie tego statku za pomocą wszystkich będących w mojej dyspozycji myśliwców.

— Ale pan nie wie, czy Rassamarden tam jest. — Berise zripostowała z szybkością, która przypominała Tollerowi zatrwającą umiejętność jego żony. — Z pewnością odrywanie sił od głównej bitwy w celu ataku na pojedynczy statek, zwłaszcza taki, który w żadnym wypadku nie może nam uciec, nie byłoby rozsądnym posunięciem.

Toller westchnął z irytacją.

— Czy przynajmniej mogę ci towarzyszyć i być świadkiem twojego wyczynu?

– Dziękuję, lordzie – rzekła ciepło Berise, bez śladu tego wyzwania, które zawsze dało się słyszeć, gdy wypowiadała jego tytuł. Natychmiast sięgnęła do przepustnicy swej pomalowanej w czerwone pasy maszyny.

– Nie tak szybko! – zaprotestował Toller i urwał, gdy huk przelatującego obok odrzutowca chwilowo uniemożliwił rozmowę. – Najpierw chcę, żebyś znalazła Umola i Daasa i przyprowadziła ich do mnie, a ja im powiem, co zamierzamy zrobić. Muszą mieć oko na nasze poczynania. Jeżeli nie wrócimy, będą musieli zaatakować pełnymi siłami i pod żadnym warunkiem ten statek nie może uciec z żywymi pasażerami i załogą.

Berise przechyliła głowę, jej podświetlona od dołu twarz wyglądała jak piękna rzeźba.

– Dwa myśliwce przeciwko jednemu statkowi – czy można wątpić w nasze powodzenie?

– Z powodu spadochronów. Kiedy na pokładzie statku znajdują się szeregowi żołnierze, wystarcza zniszczenie balonu. Nie interesuje nas, czy żołnierze przeżyją upadek i pewnego dnia wrócą, by zażyć to samo lekarstwo. Lecz w tym przypadku to nie statek jest ważny, palenie balonu miałyby

się z celem, tylko to, czy Rassamarden wróci bezpiecznie do swego królestwa. W tym szczególnym przypadku naszym celem nie jest ani balon, ani nawet gondola. Trzeba zabić samego Rassamardena i nie muszę dodawać, że będzie to dużo bardziej ryzykowne niż zwyczajne szpikowanie balonu strzałami z dalekiej pozycji. Czy nadal ubiegasz się o ten zaszczyt?

Wyraz twarzy Berise nie uległ zmianie.

– To ja wypatrzyłam ten statek.

Kilka minut później Toller wraz z Berise jechał w dół ku odległemu statkowi. Wtedy to zaczęły nachodzić go wątpliwości. Niedobrze, że pozwolił jej na udział w wyprawie. Pilotów myśliwców łączyła szczególna więź, duch partnerstwa i wspólnoty, który przewyższał wszystko, z czym wcześniej spotkał się w zwyczajnej służbie, a Berise wykorzystała to zręcznie, by wpłynąć na jego decyzję. Dla niego, zakochanego w śmierci, ryzyko niebezpiecznej misji było w porządku – ale co z odpowiedzialnością za tych, którymi dowodził?

Potem uświadomił sobie, że gdyby odesłał dziewczynę do stosunkowo bezpiecznej strefy, ona doszłaby do wniosku, iż kierowały nim czysto egoistyczne pobudki, że chciał zagarnąć dla siebie chwałę. Większość pilotów stanęłaby po jej stronie, ich impulsywne natury nie pozostawiałyby innego wyboru, i wtedy zagroziłoby mu niebezpieczeństwo utraty autorytetu. Czy to mogło wpłynąć na jego decyzję? Czy wolał narazić na śmierć młodą kobietę niż siebie na pogardę garści młodych kozłów?

Jedyna rozsądna odpowiedź brzmiała: Nie!

Toller spojrział na Berise przygotowującą się do czekającej ich próby i załamywały go nieoczekiwane emocje. Były mieszaniną podziwu i szacunku, a wyzwolił je widok drobnej po-

staci dosiadającej buchającego parą myśliwca, odcinającej się wyraźnie na tle srebrnych wirów ciemnoniebieskiej nieskończoności. Przyszło mu na myśl, że Berise jest odważna i inteligentna, że bez wątpienia ma lepszy refleks i że ma pełne prawo decydować o własnym losie. Dziewczyna, jak gdyby wyczuwając jego zainteresowanie, obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem. Toller zaszalutował i skoncentrował się na nadchodzącej potyczce.

Znajdowali się między główną bitwą a samotnym statkiem. Toller miał nadzieję, że ich smugi kondensacyjne pozostaną nie zauważone na tle płataniny dymu, pary i innych smug, ale bystroocy obserwatorzy już ich wykryli. Z gondoli wyskoczyli muszkietnicy i koziołkując na końcach swych lin, utworzyli szerokie koło, z którego mogli kierować bezpośrednio ogień w myśliwce zmierzające do odsłoniętej i bezbronnej górnej części balonu. Szans na zabicie pilota nie mieli wielkich, ale problem tkwił w tym, że Berise w celu zaatakowania samej gondoli musiała zejść na ich poziom, a w poprzednich spotkaniach Landyjczycy dowiedli, iż są doskonałymi strzelcami.

Kilka furlongów od statku Toller dał znak, że chce rozmawiać i wyłączył silnik, a kiedy Berise przydryfowała do jego boku, powiedział:

– Przed podjęciem jakiegokolwiek ryzyka musimy dokładniej przyjrzeć się gondoli. Znajdź mi jakiś dowód, że Rasmarden naprawdę jest na pokładzie.

Berise podniosła lornetkę do oczu, milczała przez chwilę, a potem niespodziewanie wybuchła śmiechem.

– Widziałam koronę! Szklaną koronę! Czy to ta, którą nosili król Prąd i wszyscy inni? Czy oni naprawdę noszą te wszystkie śmieszne klamoty?

– Przy pewnych okazjach – odparł Toller, zastanawiając się, dlaczego poczuł się urażony. – Jeżeli tym, co widziałaś, jest diadem Bytrana, to wiedz, że składa się z diamentów i jest wart... – Przerwał, przepełniony dzikim zadowoleniem. – Głupiec! Nadęty, próżny głupiec! Za przywiązanie do tego szklanego kapelusza zapłaci życiem! Ile masz pocisków do działka?

– Komplet. Sześć.

– Dobrze! Ja zajmę się balonem, ale raczej z boku niż z góry, tak żeby widzieli mnie z gondoli. Wszystkie oczy skierują się na mnie, a kiedy wypuszczę strzałę, ty ruszaj do ataku. Może już za pierwszym razem uda ci się trafić w zapasy kryształów. Jesteś gotowa?

Berise skinęła ochoczo. Toller sprawdził, czy w pneumatycznym zbiorniku panuje maksymalne ciśnienie, po czym wdmuchnął kryształy do silnika i posłuszna maszyna skoczyła w kierunku statku. Leciał trochę wolniej niż zwykle i wszedł w zakręt, dzięki któremu miał minąć statek na obniżającej się skośnej. Berise ruszyła bardziej stromym kursem, używając silnika w krótkich wybuchach, które pozostawiały przerywany szlak bieli.

Gdy błękitno-szara gondola powiększyła się, Toller między plecionymi z łożyny przepierzeniami zobaczył kręcące się postacie. Na końcach odchodzących promieniście lin naliczył ośmiu żołnierzy, wszystkich przygarbionych, co powiedziało mu, że celują w jego kierunku.

„Tego chcę”, pomyślał, zdejmując prawą rękawicę. „Właśnie tego chcę”.

Wyjął strzałę z kołczana, podpalił czubek i założył ją na cięciwę. Doładował silnik, zapierając się przeciw wzrastającemu przyspieszeniu, i spikował na balon. Wycie silnika za-

głuszyło huk muszkietów, ale zobaczył grzybki pary u ich wylotów. Gdy monstrualny kształt balonu nabrzmiał tak, że stał się zakrzywioną brązową ścianą przysłaniającą połowę świata, przechylił myśliwiec, by jego osłona znalazła się między nim a większością wrogich strzelców. Land i Overland posłusznie przesunęły się i zajęły nowe pozycje na firmamencie.

Toller napiął łuk i zwolnił cięciwę w jednym płynnym, wypraktykowanym ruchu, i w tej samej chwili usłyszał podwójny huk działek Berise. Jego strzała utkwiała w balonie, pozostawiona przez dym trajektoria zmieniła się w krzywą z powodu jego własnej prędkości. Coś uderzyło go w lewą nogę i w powietrzu zawirowały kłaczki bawełnianej izolacji. Toller skulił się w siodle i runął w pełną szybkością w stronę gwiazd. W bezpiecznej odległości wyłączył silnik i skręcił tak, by mieć dobry widok na pole bitwy.

Berise zakończyła podobny manewr ponad nim po prawej stronie. Ogień pochłaniał jedną stronę balonu, ale chociaż Toller był pewien, że Berise trafiła, gondola wyglądała na nietkniętą. Nie można było powiedzieć, jakie szkody, o ile w ogóle, wyrządziły żelazne kule.

Berise była zajęta czyszczeniem zamków armatek i wprowadzaniem nowych pocisków. Kiedy skończyła, podniosła rękę i Toller znów poleciał w stronę balonu, próbując ściągnąć na siebie cały ogień, by dać jej szansę na drugi strzał. Udało mu się umieścić drugą tryskającą pomarańczowym płomieniem strzałę w zniekształconym gigancie i znów poszukał wzrokiem Berise. Dziewczyna zamiast zatrzymać się, przeładowała w locie, zawróciła i przemknęła pod nim w stronę gondoli.

Unoszący się na uwięzi żołnierze skierowali ku niej

muszkiety, gdy wystrzeliła z obu działek. Gondola zadygotała, kule utkwily w poszyciu pokładu, ale konstrukcja pozostała nienaruszona. Żołnierze strzelali również z pokładu, nie zważając na kłęby czarnego dymu, który gromadził się wokół statku.

Toller modlił się o wybuch kryształów. Co prawda istniała możliwość, że Rassamarden został trafiony, lecz w wielkiej gondoli człowiek był małym celem, a on musiał mieć pewność, że król zginął. W tych okolicznościach w rachubę nie mogło wchodzić nic innego. Rozejrzał się poszukując Berise i zobaczył ją pędzącą ku niemu w chmurze oślepiająco białej pary. Gdy podjechała bliżej, popukał się w piersi i wskazał na statek, dając do zrozumienia, że zamierza zaatakować. Dziewczyna ściągnęła szalik i wykrzyczała coś, co zagłuszył ryk jej silnika. Jej twarz była dzika, zmieniona prawie nie do poznania. Ledwo miał czas zobaczyć, że jej chroniący przed wiatrem ekran pokryty jest siecią białych linii, gdy otworzyła przepustnicę do maksimum i zmała w dali – kierując się prosto na plujący ogniem statek.

Toller wydał mimowolny krzyk protestu, gdy myśliwiec mknął w kierunku gondoli i gdy stało się jasne, że Berise nie ma zamiaru zmieniać kursu. Zaledwie dwie sekundy przed zderzeniem zeskoczyła z maszyny, która przeorała się przez ścianę gondoli i uderzyła w zamontowany na środku silnik. W wyniku zderzenia cała konstrukcja przesunęła się, wpadając wprost w powłokę płonącego balonu. Dźwignia przyspieszenia oderwała się i pozęglowała z furkotem, żołnierze zostali pochwyceni przez splątane liny. W chwilę później rozległ się huk kilku eksplozji – typowa pikonowo-halvellowa reakcja – i nastąpił błysk wielkiego pieniającego się zielonkawego płomie-



nia. Toller wiedział, że teraz już prawdopodobnie nikt ze znajdujących się na pokładzie gondoli nie wymknie się śmierci.

Berise, która odbiła się na kurs tylko niewiele różniący się od kursu myśliwca, zniknęła w nieprzejrzanym wirze dymu. Toller, odrętwiały z napięcia, włączył silnik i zatoczył półkole wokół powoli wirującego chaosu. Dotarł do ciemnobłękitnej pustki po drugiej stronie, lecz tam też nie było śladu dziewczyny. Po chwili zobaczył malejący biały pyłek, który zmieniał pozycję na tle gwiazd i srebrnych spirali. Spojrzawszy przez lornetkę stwierdził, że to Berise, płynąca może milę dalej i ciągle oddalająca się dzięki prędkości, jaką nadał jej myśliwiec.

Poleciał za nią, bojąc się, że znajdzie poszarpane wybuchem ciało. Zmniejszył prędkość i poprawił kurs. Myśliwiec zaczął kołysać się z boku na bok, gdy zbliżał się do Berise, a Toller podniósł się w strzemionach, by złapać ją za ramię i przyciągnąć do siebie. Natychmiast poznał, że dziewczyna żyje i ma się dobrze – momentalnie przejęła inicjatywę. Ustawiła się w taki sposób, że wylądowała twarzą do niego i objęła go za szyję.

Zobaczył malującą się na jej twarzy ekstazę, mimo skafandrów wyczuł drzenie i napięcie jej ciała, i w tej chwili nie pozostawało mu nic innego, jak tylko ją pocałować. Usta Berise były zimne, nawet język miała chłodny, ale Toller – mężczyzna, który wyparł się seksu – nie był w stanie opanować ogarniającego go podniecenia. Berise objęła go nogami i przytrzymywała przez cały czas trwania pocałunku, potem obiema rękami odepchnęła jego twarz od swojej.

– Byłam dobra, Tollerze? – Wydyszała. – Czy nie była to

najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałeś?

– Tak, tak, ale masz szczęście, że żyjesz.

– Wiem, wiem! – Roześmiała się i podjęła przerwany pocałunek, i dryfowali tak przez długi czas, zagubieni wśród gwiazd i świetlistych wirów ich prywatnego wszechświata.

Na pokładzie statku panował spokój. Toller wykonał manewr odwracania jakieś dwieście mil poniżej strefy nieważkości i teraz statek łagodnie opadał w kierunku Overlandu. W czasie kilku następnych dni było niewiele do roboty; od czasu do czasu należało jedynie wpuszczać porcje gorącego gazu, by nadać potężnemu balonowi ciśnienie wystarczające do powstrzymania zapadania się powłoki. Niską temperaturę w pewnym stopniu łagodził zasilany kryształami palnik oraz izolacja z vellum, obecnie stosowana powszechnie do uszczelniania burt i pokładu.

Jednakże w kolistej przestrzeni gondoli nadal było bardzo zimno, i kiedy Berise zdjęła bluzę, jej sutki skurczyły się w brązowe szpice. Toller, który był już nagi i zakopany pod kilkoma warstwami puchowych kołder, zapraszająco wyciągnął rękę, ale dziewczyna zatrzymała się na chwilę. Uklękła obok niego, trzymając się jednej z poprzecznych lin, które były istotnym elementem zabezpieczenia w stanie całkowitego braku grawitacji.

– Tollerze, jesteś pewien, że tego chcesz? – zapytała. Miała na myśli to wszystko, co wiązało się z faktem, iż Toller ogłosił zamiar przedstawienia jej królowi i zamiast wracać na Overland w worku i ze spadochronem, zarekwirował statek tylko dla nich dwojga.

– Czy ociągając się dajesz mi okazję do zmiany zdania? – Uśmiechnął się i zerknął na półkule jej piersi, które unosiły się

w powietrzu w sposób, który nigdy nie byłby możliwy w normalnej grawitacji. – A może wręcz przeciwnie?

Berise zakryła piersi przedramieniem.

– Myślę o lady Gesalli. To pewne, że zostanie o wszystkim poinformowana, a ja nie życzę sobie, byś później patrzył na mnie z niechęcią.

– Lady Gesalla i ja żyjemy w różnych światach – rzekł Toller. – Oboje robimy to, na co mamy ochotę.

– W takim razie... – Berise wsunęła się pod pierzyny, a Toller aż sapnął, gdy poczuł jej lodowate palce.

W ciągu następnych dni i nocy, gdy meteory błyskały wokoło, Toller na nowo odkrywał niezwykle żywotne aspekty swej istoty i uczył się doceniać rzeczy, z braku których jego życie w ostatnich latach stało się jałowe i niekompletne. Doświadczenie to okazało się nieznośnie słodkie, ale i gorzkie zarazem, ponieważ wewnętrzny głos mówił mu, że popełnia swego rodzaju samobójstwo, duchowe samobójstwo – podczas gdy wokół błyskały meteory...

## Inwazja Symbolów

### ROZDZIAŁ 11

W ciągu ośmiu dni, jakie minęły od czasu zniknięcia Sondeweere, Bartan Drumme wypracował sobie nowy sposób życia. Codziennie rano wychodził z domu i podejmował próby uprawiania ziemi leżącej najbliżej farmy, był to jakiś przymus, nie mógł zaniedbać roli, farmy – ale tak naprawdę interesował go jedynie zapas gąsiorów ze szkła i ceramiki, będących dla niego ostatnio źródłem pożywienia i jako takiego samopocz-

cia. Produkcja i konsumpcja wina zabierała mu większość dnia. Nauczył się lekceważyć takie drobiazgi jak używanie świeżych drożdży czy czekanie na sklarowanie się wina. Uważał, że to ostatnie jest bezcelowym zajęciem dla estetyków, które nie ma żadnego wpływu na ilość procentów, jemu chodziło wyłącznie

O alkohol.

Gdy tylko wino przestawało pracować, zlewał je, a pozostałą breję dopełniał nową partią soku wyciśniętego z owoców. Taki zaczyn w wyniku fermentacji dawał wino kwaśne

I pozbawione smaku, ale metoda miała jedną decydującą zaletę – była szybka.

Najważniejsza była wydajność produkcji. Pijąc mętne mikstury często chorował, dokuczała mu biegunka, ale zdawało się to niewielką ceną za możliwość ucieczki przed poczuć winy i za przespane noce. Dodatkowym plusem było to, że potrzebował niewiele jedzenia – podstawę jadłospisu, pozwalającego na jaką taką wegetację, stanowiło bąbelkujące wino.

Teraz, gdy nawet rodzina Phoratere'ów opuściła Kosz, ' nie miał żadnego towarzystwa. Wcale go zresztą nie szukał. Zrezygnował z wyjazdów do tawerny w Nowej Minnett. W domu miał wszystko, czego potrzebował, zatem podróże stały się nudne i pozbawione celu, z drugiej zaś strony odkrył, że jest przyjmowany bez dawniejszej życzliwości, i Sędzia Karrodall prawił mu kazania na temat picia i zachowania, i w końcu spędzanie czasu w jego towarzystwie I stało się mało zabawne.

Pewnego dnia, gdy tuż przed zachodem słońca wracał z pola, zauważył ruch w pyle na drodze. Był to pełzacz, pierw-

szy, którego zobaczył od dłuższego czasu. Połyskujące brązowe stworzenie niestrudzenie brnęło w kierunku domu; od czasu do czasu, gdy przełaziło przez kamyki, błyskała blada zieleń brzucha.

Bartan przez chwilę, krzywiąc się z odrazą, wpatrywał się w pełzacza, potem poszukał odpowiedniego kamienia. Podniósł okazały głaz i spuścił go na robaka. Zerknął kątem oka na mało pociągający rezultat swych poczynań, przekroczył kamień i poszedł dalej. W glebie Overlandu znajdował wiele różnych odmian drobnych form życia, większość z nich była odrażająca, ale zazwyczaj zostawiał je w spokoju. Jedynym wyjątkiem były pełzacze – musiał je niszczyć, natychmiast.

Dom i przybudówki skąpane były w miękkim aksamitnym czerwonożółtym świetle i Bartan znów poczuł się przygnębiony, gdy pomyślał o czekającej go samotnej nocy. Była to najgorsza pora dnia: tam, gdzie niegdyś brzmiał śmiech Sondeweere, teraz panowała cisza, a ciemniejące sklepienie nieba jak gdyby odpowiadało mu własną pustką. O zachodzie słońca cały świat zdawał się pusty. Minął chlew, również milczący, bowiem już dawno wypuścił zwierzęta na swobodę, i przeszedł przez podwórze. Otwierając drzwi zatrzymał się i serce zaczęło mu walić, gdy zdał sobie sprawę, że wewnątrz domu wydaje się inne.

– Sondi! – zawołał, ulegając irracjonalnemu impulsowi. Przebiegł przez kuchnię i otworzył drzwi sypialni. Pokój był pusty; w bałaganie, do jakiego doprowadził, nie zaszła żadna zmiana. Poczuł się jak ostatni głupiec, wrócił jednak do frontowych drzwi i rozejrzał się po okolicy. W smutnym miedzianym świetle wszystko wyglądało tak jak zawsze, jedyną żywą istotą był pasący się w sadzie niebieskorożec.

Bartan westchnął i pogardliwie potrząsnął głową nad własną głupotą. Czuł ból pulsujący w skroniach, efekt wypitego tego popołudnia wina, i straszliwe pragnienie. Wybrał gąsior ze stojącej w kącie baterii, zabrał kubek i wrócił na ławę przed drzwiami. Wino smakowało gorzej niż zwykle, ale przysłał się do niego łapczywie – wlewał je w siebie jak wodę, aby tylko osiągnąć błogosławiony stan otumanienia, który przyćmiewał intelekt i stępiał emocje. Miał wrażenie, że w ciągu nadchodzących godzin będzie mu to potrzebne bardziej niż ostatnimi czasy.

Gdy ciemność zgęstniała i na firmamencie rozpoczęło się zwykłe nocne widowisko, zobaczył Farland – jedyny zabarwiony na zielono obiekt. Zapatrzył się w niego. Zachował swój sceptycyzm do religii, ostatnio jednak zaczął rozumieć, jaką wiara nieść może pociechę. Zakładając, że Sondeweere nie żyła, dobrze byłoby wierzyć, czy choćby na wpół wierzyć, że po prostu ruszyła Wysoką Ścieżką do drugiego świata i zaczęła tam nową egzystencję. Prosta

reinkarnacja bez pamiętania wypadków czy bez kontynuacji osobowości poprzedniego wcielenia, co proponowała religia alternistyczna, pod wieloma względami była nie do odróżnienia od zwyczajnie rozumianej śmierci – ale „coś” oferowała: nadzieję, że on swoim uporem i arogancją nie do końca zniszczył wspaniałe ludzkie życie, że kiedyś on i Sondeweere być może znów się spotkają, może wiele razy, i że w jakiś sposób będzie w stanie wynagrodzić jej wyrządzoną krzywdę. Fakt, że mogliby się nie rozpoznać, a jednak reagować na siebie jak bratnie dusze, niewytłumaczalnie przyciągające jedna drugą, czynił tę koncepcję romantycznie piękną i wzruszającą...

Łzy popłynęły z oczu Bartana, przekształcając płynący po niebie Farland w koncentryczne pryzmatyczne kręgi. Napił się wina, by złagodzić dławiący go ból.

„Daj mi znak, że tam jesteś, Sondi”, błagał w myślach, ulegając fantazji. „Gdybyś tylko dała mi znak, że nadal istniejesz, ja także znów zacząłbym żyć”.

Pił przez cały czas, gdy Farland dryfował po niebie. W pewnej chwili przemogło go zmęczenie i zasnął, ale kiedy otworzył oczy, zielona planeta wisiała przed nim jak wirujący świetlany bąbel, jak okrągły okruch chalcedonu, powoli obracający się i rozsiewający miękkie zielone światło z tysięcy ścianek. Zdawało się, że planeta staje się coraz większa, w końcu wytworzyła ruchome jądro, które emitowało kremową iluminację, jądro, które niedostrzegalnie przemieniło się w podobiznę kobiecej twarzy.

Bartanie, powiedziała Sondeweere, nie swoim zwyczajnym głosem – była to jakby inwersja dźwięku, jeden rodzaj ciszy nakładający się na drugi. Biedny Bartanie, ja wiedziałam, że cierpisz! Cieszę się, że w końcu udało mi się z tobą skontaktować. Musisz przestać obwiniać się i karać, i tym samym marnować swoje jedyne życie. Nie ma powodu, byś sobie przypisywał jakąkolwiek winę.

– Ale to ja cię tu sprowadziłem – wybełkotał Bartan. Nie był wcale zaskoczony, z łatwością przyjął wszystko, co działo się w tym śnie. – Jestem odpowiedzialny za twoją śmierć.

Gdybym była martwa, nie mogłabym z tobą rozmawiać.

– Ale przestępstwo pozostaje – odparł Bartan z pijackim uporem. – Pozbawiłem cię życia, tego, które dzieliliśmy, a ty byłaś taka śliczna, taka słodka, taka dobra...

Musisz pamiętać mnie taką, jaka naprawdę byłam, Bar-



tanie. Nie powiększaj swego żalu przez wyobrażanie sobie, że nie byłam zwyczajną kobietą.

– Taka dobra, taka czysta...

Bartanie! Może pomoże ci, jeżeli powiem, że nigdy nie byłam ci wierna. Glave Trinchil był tylko jednym z wielu mężczyzn, z którymi sypiałam. Było ich wielu, łącznie z moim wujem Jopem.

– To nieprawda! To mój sen wkłada w twoje usta takie wstrętne kłamstwa – przekonywał samego siebie Bartan, ale z innego poziomu pijanej świadomości nadeszło pierwsze drżenie niepokoju i zdumienia: „To nie sen! To dzieje się naprawdę!”

Tak, Bartanie. Nie głos, modulacje ciszy, niosły w sobie mądrość i życzliwość. To dzieje się naprawdę, ale już nigdy się nie powtórzy, więc słuchaj uważnie: nie jestem martwa! Musisz przestać zadręczać się i trwonić swe jedyne życie. Zapomnij o przeszłości i zajmij się innymi rzeczami. Przede wszystkim zapomnij o mnie. Żegnaj, Bartanie...

Bartan zerwał się na nogi, słysząc trzask rozbijającego się o ziemię kubka. Znieruchomiał w rozgwieżdżonej ciemności, zataczając się i dygocąc, wlepiając oczy w Farland, który teraz wisiał tuż nad zachodnim horyzontem. Wyglądał jak punkt czystego zielonego światła bez pryzmatycznych aureoli czy innych optycznych ozdobników – ale Bartan po raz pierwszy zobaczył w nim inną planetę, prawdziwy świat tak olbrzymi jak Land czy Overland, siedzibę życia.

– Sondy! – zawołał, robiąc kilka niepotrzebnych i chwiejnych kroków. – Sondy!

Farland niewzruszenie opadał ku skrajowi świata.

Bartan wpadł do domu, porwał drugi kubek i wrócił na

ławę. Nalał wino i wypił je drobnymi, regularnymi, szybkimi łykami, a enigmatyczny okruczeństwo światła mrugał i z wolna gasł na widnokręgu. Kiedy zniknął, Bartan odkrył, że jego umysł zyskał dziwną zdolność – która wkrótce miała przeminąć – do rozprawienia się z nieziemskimi koncepcjami. Wiedział, że musi szybko dokonać oceny i podjąć decyzję, bo wkrótce za sprawą wypitego alkoholu pogrąży się w nieświadomości.

– Nadal odrzucam religię – oznajmił ciemności. Mówił na głos, by w przyszłości lepiej pamiętać swe przemyślenia. – Robiąc tak, postępuję całkowicie logicznie. Skąd wiem, że postępuję logicznie? Ponieważ alterniści głoszą, że tylko dusza, duchowa istota wędruje Wysoką Ścieżką. Wiara, że nie ma kontynuacji pamięci, jest dogmatem nie do obalenia. Gdyby było inaczej, każdy mężczyzna, kobieta i dziecko byłoby obarczeni poza granice wytrzymałości wspomnieniami poprzednich egzystencji. Z drugiej strony to oczywiste, że Sondeweere pamięta mnie i wszelkie okoliczności naszego życia – tym samym nie może być alternistycznym wcieleniem. Podobnie nie są znane przykłady świadczące o tym, że ci, którzy odeszli, porozumiewali się z tymi, którzy pozostali. A sama Sondeweere dwukrotnie nawiązywała do mego jedyne go życia, co... co naprawdę niczego nie dowodzi... ale jeżeli wszyscy mamy tylko jedno życie, a ona do mnie mówiła, to znaczy, że jej życie wcale się nie skończyło... Sondeweere żyje! Ale gdzie?

Bartan zadrżał i pociągnął długi łyk, upojenie alkoholowe było jednocześnie podniecające i przygniatające. Wniosek, do jakiego doszedł, niósł z sobą wiele pytań – z rodzaju tych, do których nie był przyzwyczajony. Skąd brało się przekonanie, że Sondeweere żyła na Farlandzie a nie, co bardziej przecieź prawdopodobne, w innej części Overlandu? Czy dlatego,

że wizja była tak nierozzerwalnie związana z wizerunkiem zielonej planety, że dziwna bezgłówna wiadomość była naładowana znaczeniami, jakich nie zawiera przekaz wyłącznie słowny? A jeżeli faktycznie znalazła się na Farlandzie – jak tam się dostała? I dlaczego? Czy miało to coś wspólnego z niesamowitymi światłami, które widział w noc jej zniknięcia?

I jak zyskała cudowną zdolność porozumiewania się z nim mimo dzielących ich tysięcy mil przestrzeni?

I – najważniejsze – teraz, gdy został łaskawie obdarzony tą nową wiedzą, co miał nią zrobić? Co przedsięwziąć?

Bartan wyszczerzył zęby, gapiąc się szklistym wzrokiem w ciemność. Ostatnie pytanie było jedynym, na które z łatwością mógł odpowiedzieć.

Oczywiście. Musiał po prostu polecieć na Farland i sprowadzić Sondeweere do domu!

– Twoja żona została porwana! – Po wydanym przez sędziego Majina Karrodalla okrzyku zdumienia w tawernie zapadła głucha cisza.

Bartan skinął głową.

– Tak powiedziałem.

Karrodall zbliżył się do niego, kładąc dłoń na rękojęści korda.

– Wiesz, kto to zrobił? Wiesz, gdzie ona jest?

– Nie wiem, kto ją porwał, ale wiem, gdzie jest. Moja żona mieszka na Farlandzie.

Niektórzy z siedzących w pobliżu zachichotali radośnie i otoczyli kręgiem Bartana. Karrodall obrzucił ich zniecierpliwionym spojrzeniem, a czerwona twarz pociemniała mu jeszcze bardziej. Zmrużył oczy i spojrzał na Bartana.

– Powiedziałeś: na Farlandzie? Mówisz o Farlandzie... na

niebie?

– Rzeczywiście mówię o planecie Farland – odparł poważnie Bar tan. Sięgając po kufel z piwem stracił równowagę i musiał złapać się krawędzi stołu.

– Lepiej usiądź, zanim się przewrócisz. – Karrodall poczekał, aż Bartan opadł na ławę, wtedy dodał: – Bartanie, czy to dalsze nauki Trinchila? Czy chcesz powiedzieć, że twoja żona umarła i wędruje Wysoką Ścieżką?

– Mówię, że ona żyje. Na Farlandzie. – Bartan napił się piwa. – Czy to tak trudno zrozumieć?

Karrodall usiadł okrakiem na ławie.

– Najtrudniejsze do zrozumienia jest to, dlaczego doprowadziłeś się do takiego stanu. Wyglądasz okropnie, śmierdzisz, i to nie tylko podłym winem, a teraz jesteś tak wstawiony, że bredzisz niczym wariat. Mówiłem ci wcześniej, Bartanie, że musisz opuścić Kosz, nim będzie za późno.

– Właśnie to robię – wybełkotał Bartan, grzbietem dłoni wycierając pianę z ust. – Moja noga już nigdy tu nie postanie.

– Przynajmniej jedna rozsądna decyzja. Dokąd pojedziesz?

– Nie mówiłem? – Bartan spojrzał po twarzach zebranych. – Na Farland, odzyskać żonę.

Tego wybuchu śmiechu nie mógł stłumić nawet autorytet sędziego. Jedni tłoczyli się wokół Bartana, inni rozbiegli się, by roznieść wieści o niespodziewanej rozrywce w tawernie. Ktoś postawił przed Bartanem nowy kufel.

Do grupy zbliżył się pulchny, utykający Otler. Przecisnął się przez tłum i powiedział:

– Ale, przyjacielu, skąd wiesz, że twoja żona mieszka na Farlandzie?

– Powiedziała mi to trzy noce temu. Rozmawiała ze mną. Otlar trącił łokciem stojącego obok mężczyznę.

– Ta kobieta faktycznie miała porządną zestaw miechów, ale musiały być lepsze, niż wiemy! Co na to powiesz, Alsonie?

Uwaga wzburzyła krew Bartana. Złapał Otlara za koszulę i próbował posadzić go na ławie, ale sędzia rozdzielił ich i ostrzegawczo pokiwał palcem.

– Chodzi mi tylko o to – bronił się Otlar, wtykając koszulę w spodnie – że Farland leży tak daleko. – Rozjaśnił się, gdy wpadło mu do głowy kolejne żartobliwe powiedzenie. – Przecież sama nazwa tego dowodzi, prawda?

Znów nastąpił wybuch wesołości, a Bartan, choć ogłupiony alkoholem, doszedł do wniosku, że udało mu się zrobić z siebie jedynie przedmiot żartów.

– Panowie – powiedział, podnosząc się chwiejnie na nogi. – Zabawiłem tu zbyt długo, a wkrótce muszę wyruszyć do szacownego miasta Prąd. Dwa dni spędziłem na reperowaniu i odnawianiu swego wozu, podróż nie powinna być już dłużej odkładana, i będę potrzebował pieniędzy na drogę, by kupować jedzenie i może trochę wina czy brandy. – Pokiwał głową w odpowiedzi na ironiczne komentarze. – Moja łódź powietrzna leży na wozie przed tawerną, trzeba założyć jej jedynie nowy balon, przywiozłem też parę sztuk dobrych mebli i narzędzi. Kto da mi sto rojali za ten towar?

Niektórzy wyszli przed tawernę, by obejrzyć przedmiot targu, ale inni byli zainteresowani dalszym ciągiem niezwyklej historii.

– Nie powiedziałaś nam, jak zamierzasz dostać się na Farland – powiedział kupiec o zapadniętych policzkach. – Wy-

strzelisz się z armaty?

– Jak na razie nie bardzo wiem, jak tam lecieć, i właśnie dlatego muszę zacząć od wyjazdu do Prądu – odparł poważnie Bartan. – Tam jest jedyny człowiek, który wie więcej o podróżowaniu po niebie niż ktokolwiek inny, i będę musiał go znaleźć.

– Jak się nazywa?

– Toller Maraquine. Marszałek Nieba, Lord Toller Maraquine.

– Jestem pewien, że ucieszy się na twój widok – rzekł Otler, kiwając głową z szyderczą aprobatą. – Jego lordowska mość i ty stworzycie doskonałą parę.

– Dość! – Karrodall złapał Bartana za ramię i odciągnął go od grupy. – Bartanie, przykro mi widzieć cię w takim stanie, słuchać pijackiego bełkotu o Farlandzie i wizjach... a teraz mówisz, że spróbujesz dogadać się z Królobójcą. Chyba nie myślisz o tym poważnie.

– Dlaczego nie? – Bartan, starając się wyglądać godnie, strzepnął palce sędziego z ramienia. – Teraz, gdy wojna została zakończona, lord Toller nie będzie już potrzebował swoich podniebnych fortec. Kiedy usłyszysz moją propozycję o locie jedną z nich na Farland, ze sztandarem Kolcorronu, zauważ, bez wątpienia z przyjemnością udzieli mi swego poparcia.

– Żal mi cię – rzekł ze smutkiem Karrodall. – Naprawdę mi ciebie żal.

Podróżując na wschód Bartan pilnie obserwował horyzont przed sobą i w końcu został nagrodzony widokiem nie widzianego od dawna Landu.

Na początku bliźniaczy świat ukazał się jako zakrzywione pasmo bladego światła nad szczytami odległych gór,

potem przybrał postać rozżarzonej kopuły. Noce wydłużały się stopniowo, Land wędrował drogą słońca. Gdy planeta wznosiła się ku zenitowi, widoczne stawały się kontury kontynentów i oceanów, przypomnienie utraconej ojczyzny.

W końcu nadszedł czas, gdy dolny skraj tarczy Landu oderwał się od linii horyzontu, a przez powstałą w ten sposób wąską lukę wlały się rozszczepione pryzmatycznie promienie wschodzącego słońca. Dwoiste następstwo światła i ciemności, tak bliskie sercom rodowitych Kolcorronian, zaczynało się utrwalać, chociaż na tym etapie przeddzień był jeszcze bardzo krótki. Dla Bartana, podróżującego samotnie pylistymi drogami, chwila ta była warta uczczenia dodatkową miarką brandy.

Wiedział, że kiedy przeddzień i zadzień osiągną równowagę, on będzie już w pobliżu miasta Prąd, a wtedy jego przyszłość znajdzie się w rękach jeszcze obcego człowieka, lorda Tollera.

## ROZDZIAŁ 12

Wiele inwencji i wysiłku poświęcono, by ogród wyglądał tak, jakby został założony przed wiekami. Niektóre z posągów zostały specjalnie uszkodzone, na podobieństwo rzeźb antycznych, a ściany i kamienne ławy sztucznie postarzano przez polewanie żrącymi płynami. Kwiaty i krzewy wyhodowano z nasion przywiezionych z Landu i tak dobrano rodzime odmiany, żeby zieleń przypominała ogrody Starego Świata.

W pewien sposób Toller Maraquine nawet doceniał tę intencję, potrafił zrozumieć, że przebywanie w ogrodzie może pomóc zapełnić bolesną pustkę, tak dojmująco odczuwaną o zachodzie słońca – ale zastanawiał się nad rzeczywistymi dążeniami władcy. Osiągnięcia króla Chakkella od czasu przybycia na Overland i tak gwarantowały mu niepodważalne miejsce w historii, jednak to jakby nie do końca go satysfakcjonowało. Tęsknił za tym wszystkim, czym cieszyli się jego poprzednicy, potrzebował nie tylko władzy, ale także towarzyszącego jej splendoru. A. przecież identyczne pragnienie doprowadziło do śmierci króla Nowych Ludzi. Te spostrzeżenia utwierdziły Tollera w prze-

konaniu, że nigdy nie będzie zdolny do zrozumienia mentalności tych, których powołaniem było władanie innymi.

– Jestem wielce zadowolony z wyniku – mówił król Chakkell, gładząc się po wydatnym brzuchu, jakby cieszył się na czekającą go ucztę. – Wydatki znacznie nadszarpnęły nasze zasoby, ale teraz, po śmierci Rassatnardena, mogę pozbyć się wszystkich tych latających fortec. Zrzucimy je na Land i, gdy szczęście nam dopisze, może zabiją kilku jeszcze Nowych Ludzi.

– Nie sądzę, aby to był dobry pomysł – powiedział bez namysłu Toller.



– Dlaczego nie? Gdzieś muszą spaść – aż pewnością lepiej na nich niż na nas.

– Chodzi mi o to, że nie powinniśmy likwidować powietrznego systemu obronnego w strefie nieważkości. – Toller wiedział, że król czeka na podanie logicznych argumentów, ale trudno mu było skoncentrować się na sprawach takich jak strategia wojny. On i Berise wylądowali zaledwie godzinę wcześniej, a teraz czekała go rozmowa z żoną.

Chakkell rozpostarł ramiona, zatrzymując się na ścieżce.

– A ty co powiesz, Zavotle?

Ilven Zavotle, z ręką przyciśniętą do brzucha, wyglądał na zdezorientowanego.

– Przepraszam, ale jak brzmiało pytanie Waszej Wysokości?

Chakkell obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

– Co się z tobą ostatnio dzieje? Wygląda na to, że bardziej interesuje cię własny brzuch niż to, co ja mam do powiedzenia. Jesteś chory?

– To tylko atak woreczka żółciowego, Wasza Wysokość. Możliwe, że jedzenie z królewskich kuchni jest dla mnie zbyt bogate.

– W takim razie twój żołądek ma powody, by być mi wdzięcznym. zaproponowałem, żeby rozmontować nasz powietrzny ekran ochronny i zrzucić fortece na Land. Co o tym sądzisz?

– Wróg mógłby wykorzystać nasz brak obrony.

– Jakie to ma znaczenie, jeżeli i tak brakuje mu środków czy woli do przeprowadzenia ataku?

– Następca Rassamardena może być tak samo ambitny – wtrącił Toller. – Landyjczycy mogą wysłać kolejną flotę.

– Po totalnym zniszczeniu ostatniej?

Toller widział, że król coraz bardziej się niecierpliwi, ale nie chciał ustąpić.

– Moim zdaniem powinniśmy zatrzymać wszystkie myśliwce oraz dodatkowe stacje do wspierania ich i pilotów. – Ku jego zaskoczeniu Chakkell wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Przejrzałem twoją grę! – powiedział jowialnie, klepiąc go po ramieniu. – Ty jeszcze nie dorosłeś, Maraquine. Bez końca rozglądasz się za nową zabawą. Myśliwce są twoimi zabawkami, a strefa nieważkości placem zabaw, ale chcesz, żebym ja płacił rachunki. Mam rację?

– Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość. – Toller nie próbował ukrywać, że czuje się urażony. Gesalla często wprowadzała go w podobny nastrój, ale on... „Gesalla! Zdradziłem naszą miłość, i teraz muszę wypowiadać się przed tobą. Jeżeli tylko zyskam twoje przebaczenie, przysięgam ci, że już nigdy więcej...”

– Zauważ, że – ciągnął Chakkell – po spotkaniu z twoją małą towarzyszką zabaw potrafię zrozumieć twój punkt widzenia.

– Jeżeli Wasza Wysokość nawiązuje do kapitan Narrinder, ja...

– Śmiało, Maraquine! Nie próbuj wmawiać mi, że nie sypiałeś z tą ślicznotką. – Chakkell, gdy odkrył słaby punkt swego przeciwnika, chętnie podjął grę i wspaniale się bawił. – To normalne, człowieku! Wszystko jest wypisane na twojej twarzy! Co ty na to, Zavotle? Zavotle, delikatnie masując brzuch, powiedział:

– Wydaje mi się, że jeżeli spalimy stacje dowodzenia i fortece, popioły mogą spaść gdziekolwiek na Overland, nie

czyniąc żadnej szkody ani nie zdradzając niczego wrogowi.

– To doskonały pomysł, Zavotle, i dziękuję ci, ale nie mówisz na temat.

– Nie śmiem, Wasza Wysokość – odparł z humorem Zavotle. – Gdybym to zrobił, to albo naraziłbym się królowi, albo obraziłbym szlachcica, który cieszy się reputacją człowieka reagującego bardzo gwałtownie w takich przypadkach.

Toller skłonił mu się uprzejmie.

– Chcesz po prostu dać do zrozumienia, że prywatne życie człowieka powinno być tylko i wyłącznie jego sprawą.

– Prywatne życie? – Chakkell z rozbawieniem potrząsnął łysą głową. – Tollerze Maraquine, mój stary adwersarzu, mój stary przyjacielu, mój stary kpiarzu, nie można wiosłować jednocześnie w górę i w dół strumienia. Posłańcy w workach do spadania o kilka dni wyprzedzili twoje przybycie do Prądu, a wieści o twoim miodowym... locie z rozkoszną kapitan Nar-rinder rozeszły się daleko i szeroko. Ona stała się narodową heroiną, a ty raz jeszcze narodowym bohaterem. W tawernach wasz związek już został pobłogosławiony milionami kufli piwa. Moi poddani, z których większość to romantyczni durnie, z przyjemnością widzą w was parę złączoną przeznaczeniem, ale nikt nie podjął się raczej... hmm... niebezpiecznego zadania wyjaśnienia tego lady Gesalli. Co do mnie, chyba wolałbym wyruszyć na Karkaranda.

Toller skłonił się królowi, dając do zrozumienia, że pragnie odejść.

– Jak powiedziałem, Wasza Wysokość, prywatne życie człowieka powinno być tylko i wyłącznie jego sprawą.

Jadąc na południe traktem, który łączył Prąd z miastem Heeverna, Toller wspiął się na szczyt wzgórza i po raz pierw-

szy od ponad roku zobaczył w dali własny dom.

Oddalony o kilka mil na południowy zachód, budynek z szarego kamienia połyskiwał jasno w zadziennym słońcu, odbijając się wyraźnie od zielonego tła roślinności. Toller usiłował wzbudzić w sobie uczucie radości powrotu, lecz widok domu nie wywołał pożądanej reakcji, poczucie winy stało się za to głębsze i bardziej intensywne.

„Jestem szczęśliwym człowiekiem”, powtarzał, zdecydowany narzucić swoją wolę emocjom. „Moja piękna żona jest w tym domu czczona niczym świętość i – jeżeli wybaczy mi grzech, jaki popełniłem – będę zaszczycony mogąc towarzyszyć jej przez resztę naszych dni. Nawet jeżeli nie od razu uzyskam rozgrzeszenie, w końcu zdobędę je przez bycie takim, jakim Gesalla chce, żebym był, przez bycie takim Tollerem Maraquine, jakim wiem, że powinienem być, i którym szczerze pragnę być – i wspólnie będziemy cieszyć się jesienią życia. Oto czego chcę. Oto czego CHCĘ!”

Ze szczytu wzniesienia Toller widział drogę, która łączyła jego dom z biegnącym z północy na południe traktem, i jego uwagę przyciągnęła niewyraźna biała plamka. Jakiś % jeździec kierował się ku głównej drodze. W szklach krótkiego teleskopu, z którym Toller nie rozstawał się od dzieciństwa, pojawił się niebieskorożec z charakterystycznymi kremowymi przednimi nogami. Toller wiedział, że jeźdźcem jest jego syn. Tym razem nie musiał udawać radości. Tęsknił bardzo za Cassyllem, głównie z powodu łączących ich więzów krwi, ale również ze względu na satysfakcję, jaką czerpał z ich wspólnej pracy.

W nienaturalnych okolicznościach powietrznej wojny niemal zapomniał o projektach, w które obaj byli zaangażo-

wani, ale pozostało im wiele do zrobienia – wystarczająco, by mieli zajęcie do końca życia. Absolutną koniecznością było położenie kresu wycinaniu drzew brakka – w przeciwnym wypadku pterty znów staną się niezwycięzonymi wrogami. Klucz do przyszłości leżał w rozwoju hutnictwa. Niechęć króla Chakkella do stawienia czoła temu problemowi sprawiała, że dla Tollera przyłączenie się do syna stawało się jeszcze ważniejszą, nagłą sprawą.

Toller przyspieszył. Jadąc w kierunku skrzyżowania dróg czekał na chwilę, kiedy Cassyll zauważy go i rozpozna. Skrzyżowanie było tym samym, na którym spotkał Oaslita Spennela, ale Toller odsunął do siebie wspomnienia. Gdy jeździec zbliżył się na niecały furlong i Cassyll nie puścił wierzchowca galopem, Toller zaczął podejrzewać, że syn drzemie lub zamyślił się z zamkniętymi oczami, ufając, że niebieskorozec sam znajdzie drogę, prawdopodobnie do zakładów hutniczych.

– Obudź się, śpiochu! – krzyknął. – Co to za powitanie?

Cassyll sporzał w jego stronę, bez śladu zaskoczenia, odwrócił głowę i jechał dalej stępą. Dotarł pierwszy do skrzyżowania i, ku zaskoczeniu Tollera, spokojnie skręcił na południe. Toller wykrzyknął jego imię i pogalopował za nim. Dopędził niebieskorozca syna i zatrzymał go, chwytając za wózek.

– O co chodzi, synu? Spałeś? Oczy Cassylla były zimne.

– Nie ojczy, nie spałem.

– No to co...? – Toller wpatrywał się w doskonały owal twarzy syna – zapowiedź spotkania z Gesallą, i przepełniająca go radość zgasła. – Wiec o to chodzi.

– O co?

– Nie zastanawiaj się słowami, Cassyllu. Nieważne, co o mnie myślisz, powinieneś zdobyć się na szczerą rozmowę jak ja. Co się zmieniło? Czy chodzi o tę kobietę?

– Ja... – Cassyll przycisnął kostki palców do ust. – Gdzie ona jest? Czy może przeniosła swe uczucia na króla?

Toller zdusił rodzący się w nim gniew.

– Nie wiem, co słyszałeś, ale Berise Narrinder jest wspaniałą kobietą.

– Jak wszystkie ładacznice – zadrwił Cassyll. Toller zamierzył się, by spoliczkować syna, lecz na szczęście zrozumiał, co chce zrobić i powstrzymał dłoń. Zatrwożony spuścił wzrok i wlepił go w swoją rękę, tak jakby była trzecią osobą próbującą wtrącić się do prywatnej dyskusji. Jego niebieskorożec, parskając cicho, obwąchiwał pysk wierzchowca Cassylla.

– Przepraszam – powiedział Toller. – Nerwy mnie... Jędziesz do pracy?

– Tak. Jestem tam prawie codziennie.

– Dołączę do ciebie później, ale najpierw muszę porozmawiać z matką.

– Jak sobie życzysz, ojcze. – Twarz Cassylla była pozbawiona wyrazu. – Mogę jechać?

– Nie będę cię zatrzymywał – powiedział Toller, zwalczając rodzącą się rozpacz. Przez chwilę obserwował odjeżdżającego na południe syna, potem podjął przerwana podróż. Jakoś dotychczas nie brał pod uwagę uczuć Cassylla, i teraz bał się, że ich stosunki zostały raz na zawsze zniszczone. Może zresztą z czasem chłopak da się przebłagać, ale na razie Toller pokładał główne nadzieje w Gesalli. Jeżeli zyska jej przebaczenie, to i do syna znajdzie drogę.

Wąski do tej pory sierp światła rozrósł się w wielki dysk

Landu, przypominając Tollerowi, że zadzień wkrótce dobiegnie końca. Pognał niebieskorożca. Na polach pracowali farmerzy, pozdrawiali go, gdy przejeżdżał obok. Był lubiany wśród dzierżawców, głównie dlatego, że wprowadził system zaiste symbolicznych opłat, i pomyślał, że chciałby, aby wszystkie stosunki międzyludzkie można było regulować tak łatwo. Król żartował o stawianiu czoła Gesalli, ale Toller pamiętał przypadki, kiedy w przededniu bitwy bał się mniej niż teraz, gdy przygotowywał się wewnętrznie na ostrą reprimendę, na pogardę, na gniew żony. Kochani posiadają niewidzialną zbroję i broń – słowa, milczenie, gesty mogą zadawać głębsze rany niż miecze czy włócznie.

Nim Toller dotarł do ogrodzonego murem dziedzińca przed domem, usta miał suche i robił wszystko, co mógł, by opanować drżenie.

Niebieskorożec był wypożyczony z królewskich stajni, dlatego Toller musiał zsiąść i własnoręcznie otworzyć bramę. Wprowadził zwierzę do środka i gdy pokłusowało do kamiennego poidła, on rozglądał się po dziedzińcu patrząc na ozdobne krzewy i zadbane kwietniki. Gesalla lubiła doglądać roślin osobiście i wszędzie, gdzie spojrzał, widać było ślad jej zręcznej ręki, co przypominało mu, że spotkanie z żoną jest kwestią sekund.

Usłyszał skrzypnięcie frontowych drzwi i odwróciwszy się zobaczył żonę stojącą w sklepionym wejściu. Miała na sobie długą do kostek ciemnoniebieską suknię, a włosy podpięła w taki sposób, że srebrne pasemko wyglądało jak diadem. Jej uroda była doskonała i onieśmielająca, i kiedy zobaczył, że Gesalla wita go uśmiechem, brzemień winy stało się nie do zniesienia, przekształcając jego własny uśmiech w nerwowy

grymas. Wrósł w ziemię, ona zaś podeszła do niego i pocałowała go w usta – było to krótkotrwałe, ale pełne ciepła muśnięcie – po czym cofnęła się, by obejrzeć go od stóp do głów.

– Nie jesteś ranny – powiedziała. – Tak się o ciebie bałam, Tollerze... To wszystko zdawało się tak niewiarygodnie niebezpieczne... ale widzę, że nic ci nie jest, mogę więc odechnąć z ulgą.

– Gesallo... – Toller ujął jej dłonie. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście. Zapewne jesteś głodny i spragniony. Wejź do domu, przygotuję posiłek. – Pociągnęła go za rękę, ale on nawet nie drgnął.

– Może lepiej zostanę tutaj.

– Dlaczego?

– Gdy usłyszysz, co mam do powiedzenia, może przestanę być mile widziany.

Gesalla zmierzyła go wzrokiem, potem powiodła do kamiennej ławy. Kiedy usiadł, okraczyła ławę i przysunęła się tak, że znalazł się częściowo w trójkącie utworzonym przez jej nogi. Jej bliskość przyprawiała go jednocześnie o drżenie i budziła zażenowanie.

– A teraz, lordzie – rzekła lekkim tonem – jakież to straszne wyznanie masz na myśli?

– Ja... – zaczął niepewnie Toller i opuścił głowę. Byłem z inną kobietą.

– I co z tego? – powiedziała spokojnie Gesalla, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Toller był zbity z tropu.

– Chyba nie różu... Kiedy mówię, że byłem z inną kobietą, to znaczy, że byłem z nią w łóżku.



Gesalla roześmiała się.

– Wiem, co znaczyły twoje słowa, Tollerze, nie jestem głupia.

– Ale... – Toller, wiedząc, że nigdy nie udawało mu się przewidzieć reakcji żony, stał się czujny. – Nie jesteś zła?

– Czy zamierzasz przywieźć tę kobietę, żeby zajęła moje miejsce?

– Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił.

– Tak, wiem, Tollerze. Masz dobre serce, a po tych wspólnie przeżytych latach nikt lepiej ode mnie tego nie może wiedzieć. – Gesalla uśmiechnęła się i delikatnie położyła rękę na jego dłoni. – Zatem nie mam powodu, by złościć się na ciebie czy robić ci wymówki.

– Ale mój postępek był zły! – wybuchnął Toller, ogarnięty narastającym zmieszaniem. – Nigdy wcześniej nie godziłaś się z czymś takim. Jak możesz być taka spokojna, skoro wiesz, że wyrządziłem ci krzywdę?

– Powtarzam: nie skrzywdziłeś mnie.

– Czy świat nagle stanął na głowie? Czy mówisz, że zdradę żony, kobiety, którą się kocha, można zaakceptować i uznać za rzecz przyzwoitą?

Gesalla uśmiechnęła się raz jeszcze i jej oczy pociemniały ze współczucia.

– Biedny Tollerze! Ty nadal nic nie rozumiesz, prawda? Nadal nie wiesz, dlaczego od lat jesteś niczym uwięziony w klatce orzeł; dlaczego chwytasz się każdej możliwej okazji, by ryzykować życie. To wszystko jest dla ciebie niezgłębioną tajemnicą, prawda?

– Złóścisz mnie, Gesallo. Proszę, nie zwracaj się do mnie tak, jakbym był dzieckiem.

– Ale właśnie o to chodzi. Ty jesteś dzieckiem. Nigdy nie przestałeś nim być.

– Jestem zmęczony słuchaniem, że ktoś uważa mnie za dziecko. Może powinienem wrócić kiedy indziej, wtedy, gdy, o ile szczęście się do mnie uśmiechnie, będziesz mniej skłonna do mówienia zagadkami. – Toller na w pół podniósł się, ale Gesalla ściągnęła go na ławę.

– Przed chwilą mówiłeś o zdradzeniu kobiety, którą kochasz – powiedziała najdelikatniejszym, najmiłszym tonem, jaki w życiu słyszał – i tu leży źródło twego bólu. Widzisz, Tollerze... – przerwała i po raz pierwszy od początku spotkania jej opanowanie wydało się mniej doskonałe.

– Mów dalej.

– Widzisz, Tollerze... ty już mnie nie kochasz.

– To kłamstwo!

– To prawda, Tollerze. Zawsze rozumiałam, że długotrwały żar miłości jest ważniejszy od krótkotrwałego płomienia, który wybucha na jej początku. Gdybyś ty również to rozumiał i zaakceptował, może byłbyś ze mną szczęśliwy. Ale ty nigdy w ten sposób nie myślałeś. W żadnej sprawie. Spójrz na wszystkie swoje romanse, z armią, podniebnymi statkami, metalami. Zawsze dążyłeś do jakiegoś wyidealizowanego celu, a kiedy okazywał się on iluzoryczny, znajdowałeś sobie inny.

Toller słuchał rzeczy, których wolałby nie słyszeć, i znienawidzony robak rozczarowania gdzieś w środku jego jaźni zaczął poruszać się niespokojnie.

– Gesallo – zaczął, zmuszając się, by mówić rozsądnie – czy przypadkiem nie dajesz ponosić się słowom? Jak mógłbym romansować z metalami?

– Dla ciebie było to łatwe! Ty nie mogłeś tak po prostu

poświęcić się odkrywaniu nowego materiału i eksperymentowaniu, ty musiałeś stanąć na czele krucjaty. Zamierzałeś raz na zawsze położyć kres wycinaniu drzew brakka; zamierzałeś zainicjować wspaniałą nową erę w historii; ty chciałeś być zbawcą ludzkości. I właśnie wtedy, gdy zacząłeś uświadamiać sobie, że Chakkell i jemu podobni nigdy nie zmienią swych poglądów, w samą porę przybył statek z Landu.

Gesalla westchnęła cicho, spojrzała gdzieś przed siebie.

– To cię uratowało, Tollerze, dostarczyło ci jeszcze jednego połyskującego celu, ale tylko na krótką chwilę. Ta wojna dla ciebie zakończyła się za szybko. Teraz jesteś z powrotem w zwyczajnym, monotonnym świecie... i starzejesz się... i, co najgorsze, nie stoi przed tobą żadne wielkie wyzwanie. Jediną perspektywą jest spokojne życie, w tej posiadłości czy gdziekolwiek indziej, które zakończy pospolita śmierć – ta sama, jaka spotyka każdego pospolitego śmiertelnika od początku czasu. Czy potrafisz stawić czoło tej perspektywie, Tollerze? – Teraz Gesalla nie spuszczała z męża przepętnionych powagą oczu. – Ponieważ jeżeli nie, wolałabym, żebyśmy żyli osobno. Chcę spędzić pozostałe mi lata w spokoju, a przyglądanie się, jak ty szukasz sposobów zakończenia swego życia, na pewno mi tego spokoju nie zagwarantuje.

Robak rozszalał się na całego – pożerał Tollera od środka, coraz bardziej powiększając wewnętrzną, mroczną pustkę.

– Posiadanie takiej wiedzy i mądrości oraz takie panowanie nad własnymi uczuciami musi sprawiać dużą przyjemność.

– Stary sarkazm, Tollerze? – Gesalla mocniej zacisnęła gorące palce na jego dłoni. – Jesteś niesprawiedliwy, krzywdzisz mnie, jeżeli myślisz, że nie płakałam gorzko nad tobą. W

nocy, kiedy zostałam z tobą w pałacu, udało mi się wejrzeć w sedno rzeczy. Rozzłościłam się na ciebie za to, że jesteś taki, jaki jesteś i że nic nie możesz na to poradzić, i przez pewien czas nienawidziłam cię. I wylałam morze łez. Ale to było dawno. Teraz interesuje mnie i martwi przyszłość.

– Czy mamy jakąś przyszłość?

– Ja mam przyszłość. Tak zadecydowałam. I nadchodzi czas, kiedy ty będziesz musiał podjąć decyzję. Wiem, że sprawiłam ci wielki ból, ale to było nieuniknione. Teraz wejdę do domu. Chcę, żebyś został tutaj i podjął decyzję. A kiedy to zrobisz, musisz albo przyłączyć się do mnie, albo odjechać. Stawiam tylko jeden warunek: ta decyzja musi być ostateczna i nieodwołalna. Nie wchodź do domu,

O ile nie będziesz całkowicie przekonany, że ja zdołam zaspokoić twoje wszystkie potrzeby i że ty możesz zrobić to samo dla mnie. Kompromis mnie nie zadowala, Tollerze. Wóz albo przewóz. Wszystko – albo nic.

Gesalla podniosła się lekko i spojrzała na niego.

– Dasz mi słowo?

– Masz moje słowo – powiedział drętwo Toller. Targał nim strach, że po raz ostatni widzi twarz swojej jedynej żony. Patrzył, jak ukochana kobieta odchodzi do domu, jak zamyka drzwi, nie oglądając się za siebie. Kiedy zniknęła mu z oczu, wstał i zaczął bez celu spacerować po dziedzińcu. Ciężar zachodniej ściany wydłużał się coraz bardziej, pogłębiając kolory kwiatów i chłodząc nieco rozgrzane powietrze.

Toller spojrzał na Land, który stawał się coraz jaśniejszy,

I w jednej chwili prześledził swoje życie, od miejsca urodzenia w tamtym odległym świecie do spokojnego dzie-

dzińca, na którym stał teraz. Wszystko, co kiedykolwiek mu się zdarzyło, zdawało się wieść prosto do tej chwili. Gdy spoglądał wstecz, życie zdawało się pojedynczym, wyraźnym traktem, którym podążał bez świadomego wysiłku – ale teraz, nagle, droga rozwidlała się. Należało powziąć natychmiastową decyzję, a właśnie pojął, że jest kiepsko przygotowany do podejmowania prawdziwych decyzji.

Toller uśmiechnął się, gdy wspomniał, że ledwie kilka minut wcześniej widział flirt z Berise Narrinder jako coś znaczącego. Gesalla jak zwykle, dużo wcześniej od niego, wiedziała lepiej. Dotarł do rozwidlenia i musiał wybrać albo jedną, albo drugą drogę. Jedną albo drugą!

Gdy wędrował po dziedzińcu, słońce chowało się za horyzontem iienne gwiazdy rozbłyskały coraz liczniej. Raz dostrzegł przezroczystą, kulistą sylwetkę pterty, żeglującej w podmuchu, którego nie można było wyczuć w obrębie porośniętych winem murów. Na wschodzie pojawiły się srebrne spirale, nim Toller wreszcie przestał chodzić, uspokojony zrozumieniem, dlaczego tak długo nie mógł się zdecydować.

Przed nim nie leżał żaden punkt zwrotny! Nie było żadnego dylematu!

Sam problem zadecydował za niego, w chwili gdy Gesalla ubrała go w słowa. Nigdy nie mógł jej zadowolić, ponieważ był pustym wewnątrz człowiekiem, który już nigdy nie zadowoli nawet samego siebie, niezdecydowanie było następstwem jedynie tchórzliwej niezdolności do spojrzenia w twarz prawdzie.

„Prawda jest taka, że jestem w połowie martwy”, powiedział sobie, „i wszystkim, co mi pozostaje, jest znalezienie właściwej drogi do zakończenia tego, co zacząłem”.

Westchnął drżąc, podszedł do niebieskorożca i chwycił wodze. Wyprowadził zwierzę na zewnątrz i zamykając bramę, po raz ostatni spojrział na uśpiony dom. Nie ujrzał Gesalli w żadnym z ciemnych okien. Skoczył na siodło i ruszył wolno po żwirowej drodze na wschód. Pracownicy zeszli już z pól i świat wydawał się pusty.

– I co dalej? – zwrócił się do wszechświata, a jego słowa szybko rozpuściły się w smutku zapadającego zmierzchu. – Proszę, co ja mam teraz zrobić?

Daleko z przodu na drodze, gdzieś na granicy zasięgu wzroku, widać było jakiś ruch. W normalnym stanie umysłu Toller skorzystałby z teleskopu, by przyjrzeć się odległemu podróżnikowi, ale teraz wysiłek wydał mu się zbyt wielki. Pozwolił, by naturalny rozwój wypadków swym własnym odmierzonym krokiem odwalił za niego robotę. Po pewnym czasie rozpoznał wóz kierowany przez jedną osobę, a kilka minut później zobaczył, że zarówno pojazd, jak i powożący są w kiepskim stanie. Wehikułowi brakowało burt, a koła kolebały się na wytartych piastach.

Woźnica, młody brodac, był tak okryty kurzem, że przypominał glinianą statwę.

Toller sprowadził niebieskorożca po pobocze, by ustąpić nieznanemu miejscu, zaskoczony, gdy wóz zatrzymał się obok. Woźnica zerknął na niego zaczerwienionymi oczami, a gdy się odezwał, Toller poznał, że jest pijany jak bela.

– Przepraszam, panie – wybełkotał – czy mam zaszczyt zwracać się do lorda Tołlera Maraquine'a?

– Tak. Dlaczego pytasz?

Brodacz chwiał się niepewnie przez chwilę, potem niespodziewanie zaprezentował uśmiech, który mimo brudu i

zaniedbanej powierzchni młodzieńca cechował chłopcę wdzięk.

– Nazywam się Bartan Drumme, lordzie, i przychodzę z... dość dziwną propozycją, lecz jestem pewien, że zyska ona twoje zainteresowanie.

– Wielce w to wątpię – rzekł zimno Toller, przygotowując się do odjazdu.

– Lordzie! Jak zrozumiałem, jako szefa Obrony Powietrznej interesują cię sprawy dotyczące górnych stref nieba?

Toller potrząsnął głową.

– Wszystko, co trzeba było zrobić, zostało zrobione.

– Przykro mi to słyszeć, lordzie. – Drumme podniósł butelkę i wyciągnął korek, potem zatrzymał się na chwilę i obrzucił Tollera posępnym spojrzeniem. – To znaczy, że będę musiał postarać się o audiencję u króla.

Mimo wszystkiego, co miał na głowie, Toller musiał się śmiać.

– Niewątpliwie król będzie bardzo zainteresowany tym, co masz mu do powiedzenia.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – zgodził się Drumme, bardzo zadowolony z siebie. – Każdy władca w historii byłby zachwycony możliwością zatknięcia swego sztandaru na planecie, którą zwiemy Farlandem.

## ROZDZIAŁ 13

Gospoda Błękitny Ptak w Prądzie nazwana została na pamiątkę znakomitego zajazdu w starym Ro-Atabri i ambicją gospodarza stało się osiągnięcie porównywalnej renomy, toteż zaniepokoił się mocno, gdy Toller przyproceedził z sobą bardzo podejrzanie wyglądającego osobnika, Bartana Drumme. Jasne było, że jego zdaniem zaszczyt goszczenia bohaterskiego arystokraty ledwie kompensuje obecność tego cuchnącego i obdartego typu, jednakże dał się nakłonić do przydzielenia im dwóch sypialni i do wstawienia do jednej z nich olbrzymiej wanny, napełnionej następnie gorącą wodą. Bartan teraz moczył się w kąpeli, i poza głową ze spienionej szarej wody wystawała jedynie ręka ściskająca pucharek brandy.

Toller wypił łyk z naczynia, które podał mu Bartan, i skrzywił się, gdy mocna wódka zapiekła go w przełyku.



– Myślisz, że powinieneś raczyć się tą miksturą przez cały czas?

– Oczywiście, że nie. Przez cały czas powinienem pić porządną brandy, ale w tej chwili stać mnie tylko na taką. Wydałem wszystko co do grosza, by się tu dostać, lordzie.

– Mówiłem, żebyś nie zwracał się do mnie w ten sposób.  
– Toller podniósł puchar do ust, powąchał zawartość i wylał ją do wanny.

– Nie musiałeś jej marnować – zaprotestował Bartan. – Poza tym, czy tobie byłoby przyjemnie, gdyby coś takiego plątało się wokół najbardziej intymnych części twego ciała?

– To może im wyjść na dobre. Myślę, że to świństwo było przeznaczone do użytku zewnętrznego. Poproszę, by gospodarz podał nam coś mniej trującego, ale tymczasem muszę wrócić do tego fragmentu twojej historii, która niepokoi mnie najbardziej.

– Tak?

– Twierdzisz, że twoja żona żyje na Farlandzie, nie jako duch czy wcielenie, ale jako osoba z krwi i kości, taka jaką znałeś. Jak doszedłeś do takiego wniosku?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Jej... nieme słowa zawierały coś więcej niż zwyczajne, i z nich wydobyłem tę wiedzę.

Toller z zadumą skubał dolną wargę.

– Nie jestem dość próżny, by myśleć, że wiem wszystko, co można wiedzieć na temat naszej egzystencji. Przyznaję, że istnieje wiele tajemnic, z których większości być może nigdy nie zgłębimy, ale to, co powiedziałeś, trochę mnie niepokoi.

Bartan poprawił się w wannie, rozchlapując wodę.

– Przez całe życie byłem zatwardziałym materialistą. Nadal gardzę tymi prostaczkami, którzy czepiają się wiary w

życie nadprzyrodzone, mimo to wszystko, przez co przeszedłem w Koszu. Ale chociaż nie mam zielonego pojęcia, jak to wyjaśnić, ja w i e m. Tej nocy widziałem dziwne światła. Sondeweere spotkało coś, co wykracza poza moją zdolność pojmowania, a teraz moja żona mieszka na Farlandzie.

– Mówisz, że ukazała ci się w formie wizji, że mówiła do ciebie z Farlandu. Trudno mi wyobrazić sobie coś bardziej nieprawdopodobnego, nienaturalnego.

– Może używamy tego słowa w odmiennym znaczeniu. Moja żona do mnie mówiła, tym samym było to zjawisko naturalne. Zyskało otoczkę nienaturalności jedynie dzięki temu, że wyrasta poza naszą zdolność pojmowania.

Toller zwrócił uwagę, że Bartan mimo podchmielenia mówi uderzająco płynnie i logicznie. Podniósł się i zaczął spacerować po oświetlonym lampami pomieszczeniu, potem wrócił do swego krzesła. Bartan, z zadowoleniem sączący alkohol, zupełnie nie wyglądał na wariata.

– Wkrótce przybędzie tu Ilven Zavotle, o ile posłaniec go znalazł – powiedział Toller. – I uprzedzam, że prawdopodobnie wyśmieje twoją historię.

, – Nie musi uwierzyć. Ta część o mojej żonie dotyczy tylko mnie, a opowiedziałem ją tylko po to, by pokazać, że mam osobiste powody, by pragnąć wyprawy na Farland. Nie mogę oczekiwać, że inni przedsięwzją taką podróż bo ja tak chcę, ze względu na moje powody. Ale mam nadzieję, że król chciałby odnieść sukces w tym, co nie udało się Rassamarde-nowi: rozszerzyć swoje królestwo na inny świat. I że jako pomysłodawca będę miał zagwarantowane miejsce w ekspedycji, o ile do niej dojdzie. Wszystkim, o co bym prosił twego przyjaciela Zavotle'a, jest to,

I by obmyślił środki pozwalające na jej zrealizowanie.

– Nie prosisz o wiele.

– Proszę o więcej, niż się domyślasz – odparł Bartan.

Na jego młodej, a jakby przedwcześnie postarzałej twarzy malowała się zaduma. – Rozumiesz, jestem odpowiedzialny za to, co stało się mojej żonie. Jej utrata sama w sobie i jest dostateczną tragedią, ale dźwiganie brzemienia winy...

– Przykro mi. To dlatego pijesz?

Bartan przekrzywił głowę, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Prawdopodobnie dlatego zacząłem pić, ale po pewnym czasie odkryłem, że po prostu wolę być pijany niż trzeźwy. To sprawia, że świat staje się nieco przyjemniejszy.

– A tej nocy, kiedy miałeś tę wizję? Czy byłeś...?

– Pijany? Oczywiście! – Bartan hałaśliwie przełknął brandy, jak gdyby chciał wzmocnić swe oświadczenie. – Ale to nie miało najmniejszego wpływu na wydarzenia. Proszę, lordzie...

– Tollerze. Bartan skinął.

– Proszę, Tollerze, możesz mnie uważać za wariata albo człowieka, który sam siebie próbuje omamić, ostatecznie nie jest to związane z głównym tematem, ale błagam cię, traktuj mnie poważnie w kwestii ekspedycji na Farland. Muszę tam lecieć. Jestem doświadczonym pilotem i jeżeli to okaże się konieczne, mogę nawet przestać pić.

– To byłoby konieczne, lecz choć ja sam jestem zaintrygowany pomysłem lotu na Farland, nie mogę mówić o tym poważnie z królem ani kimkolwiek innym, póki nie usłyszę, co ma do powiedzenia Zavotle. Spotkam się z nim na dole; wynajmiemy prywatny salonik, gdzie będziemy mogli pokrzepić się i w wygodzie przedyskutować tę sprawę. – Toller wstał i

odstawił pusty puchar. – Przyłącz się do nas, gdy zakończysz toaletę.

Bartan wyraził zgodę, podnosząc puchar i pociągając długi łyk. Toller potrząsnął głową, wyszedł z pokoju i ruszył mrocznym korytarzem do schodów. Bartan Drumme był niepokojącym młodzieńcem, by nie powiedzieć szaleńcem, ale kiedy po raz pierwszy wspomniał o misji na Farland, coś w głębi Tollera odpowiedziało natychmiast, i to z pasją pokrewną pasji podróżnika, który po ciężkiej, trwającej wiele lat wędrówce ujrzał swoje przeznaczenie, i narodziły się w nim tęsknota i podniecenie, które na siłę tłumił ze strachu przed rozczarowaniem.

Chakkell mógł poprzeć ten dziki, ekstrawagancki, niedorzeczny pomysł z powodów, o których wspomniał Bartan – ale tylko wtedy, jeżeli Ilven Zavotle uzna projekt za wykonalny. Zavotle cieszył się zaufaniem króla w sprawach związanych z techniką lotów międzyplanetarnych, więc jeżeli ten mały człowieczek z zaciśniętymi ustami uzna, iż Farland jest nieosiągalny, wtedy Toller Maraquine prawdopodobnie będzie musiał pogodzić się z perspektywą zostania pospolitym śmiertelnikiem czekającym na pospolitą śmierć. A lepiej, żeby do tego nie doszło.

„Zachowuję się dokładnie tak, jak powiedziała Gesalla”, pomyślał, zatrzymując się przy schodach. „Ale czy próba robienia czegoś innego miałaby sens?”

Zszedł do zatłoczonej sali i zobaczył, że Zavotle, w cywilnym ubraniu, właśnie wypytuje odźwiernego. Zawołał do niego i chwilę później zasiedli w małym pokoju z dzbanem dobrego wina. Lampy paliły się spokojnie w niszach, nasycając powietrze błękitną mgiełką, w ich świetle Toller zauważył, że

Zavotle wygląda na zmęczonego i jakoś zasłuchanego w swoje wnętrze. Białe włosy nadawały mu wygląd nie mężczyzny w sile wieku, ale starzejącego się człowieka, chociaż był o kilka lat młodszy od Tollera.

– Co cię gryzie, stary przyjacielu? – zapytał Toller. – Żołądek nadal źle pracuje?

– Mam rozwolnienie nawet wtedy, gdy nie jem. – Zavotle obdarzył go nikłym uśmiechem. – To niesprawiedliwe.

– Mam coś, co sprawi, że przestaniesz o tym myśleć – powiedział Toller, nalewając zielone wino do szklanek. – Pamiętaj rozmowę, jaką przeprowadziliśmy z królem dziś rano? Jak nie zgadzaliśmy się, co zrobić ze stacjami obrony?

– Tak.

– No cóż, niedługo potem spotkałem młodego człowieka nazwiskiem Bartan Drumme, który wysunął intrygującą propozycję. Jest na okrągło zalany i trochę stuknięty, sam go wkrótce zobaczysz, ale jego pomysł wiąże się z naszą poranną dyskusją. Zaproponował mianowicie zabranie jednej czy więcej stacji na Farland.

Toller mówił lekkim, prawie niedbałym tonem, ale uważnie obserwował reakcję Zavotle'a i poczuł ukłucie w sercu, gdy zobaczył, że usta przyjaciela rozchylają się w uśmiechu.

– Powiedziałeś, że twój nowy przyjaciel jest trochę stuknięty? Ja powiedziałbym, że to skończony wariat! – Zavotle parsknął w swoje wino.

– Ale czy nie sądzisz, że to byłoby...? – Toller zawahał się. Zdawał sobie sprawę, że mówiąc to, czego jeszcze nie dopowiedział, odda się w ręce przyjaciela. – Ilvenie, ja potrzebuję Farlandu. To jedyne co mi pozostało.

Zavotle przez chwilę szacował go wzrokiem.

– Gesalla i ja rozstaliśmy się na zawsze – odparł i Toller na niewypowiedziane pytanie. – Wszystko między f nami skończone.

– Rozumiem. – Zavotle zamknął oczy i delikatnie j; pomasaował powieki czubkami palców. – Wiele zależy od pozygi Farlandu – rzekł powoli.

– Dziękuję ci, dziękuję – wydusił Toller, przepętniony wdzięcznością. – Jeżeli w jakiś sposób mogę ci się odwdzięczyć, to mów.

– Jest coś, czego oczekuję w zamian, i nie muszę tego mówić. W każdym razie nie tobie.

Teraz nadeszła kolej Toller a, spróbował więc odczytać pragnienie starego druha.

– Lot na pewno będzie niebezpieczny, Ilvenie. Dlaczego chcesz ryzykować życie?

– Przez pewien czas myślałem, że moje trawienie jest za wolne, potem odkryłem, że jest za szybkie. – Zavotle poklepał się po brzuchi. – To ja jestem trawiony, i ta kanibalska ucztą nie może trwać wiecznie. Widzisz, Tollerze, ja potrzebuję Farlandu tak samo jak ty, może nawet bardziej. Jak dla mnie wystarczyłby plan podróży w jedną stronę, ale podejrzewam, że inni członkowie załogi nie byliby zachwyceni takim układem, tym samym muszę poddać próbie swój mózg i zapewnić im bezpieczny powrót. Problem ten na godzinę czy dwie oderwie mnie od innych myśli, za co szczerze dziękuję.

– Ja... – Toller rozejrzał się po pokoju i zamrugał, gdy wokół widzianych przez łyzy płomieni lamp rozbłysły promieniste aureole. – Tak mi przykro, Ilvenie. Byłem zbyt pochłonięty własnymi kłopotami, by przypuszczać, że ty możesz

być...

Zavotle uśmiechnął się i impulsywnie złapał go za rękę.

– Tollerze, czy pamiętasz próbny lot, jaki przed laty odbyliśmy? Razem lecieliśmy w nieznane i cieszyliśmy się, że to robimy. Odłóżmy na bok nasze osobiste smutki i bądźmy wdzięczni, że przed nami właśnie wtedy, gdy tego potrzebujemy, otwiera się możliwość wykonania jeszcze większego próbnego lotu i że czeka nas jeszcze większe Nieznane.

Toller skinął, patrząc na Zavotle'a ze wzruszeniem.

– Zatem uważasz taki lot za możliwy?

– Powiedziałbym, że to dałoby się zrobić. Farland leży w odległości wielu milionów mil i jest w ruchu – nie wolno nam o tym zapominać – ale mając do dyspozycji mnóstwo zieleni i purpury moglibyśmy go dogonić.

– O ilu milionach mil mówimy? Zavotle westchnął.

– Żałuję, że nikt nie zabrał z Landu naukowych traktatów, Tollerze. Zatraciliśmy większą część naszych zasobów wiedzy, a nikt nie ma czasu na ich odbudowanie. Muszę opierać się wyłącznie na własnej pamięci, ale mam wrażenie, że Farland znajduje się w odległości dwunastu milionów mil w punkcie najbliższym Overlandu, a czterdzieści dwa miliony, gdy jest po drugiej stronie słońca. Naturalnie, musielibyśmy poczekać, póki nie znajdzie się najbliżej.

– Dwanaście milionów – sapnął Toller. – Czy możemy myśleć o pokonaniu takiego dystansu?

– Nie możemy! Pamiętaj, że Farland jest w ruchu. Statek musiałby lecieć na spotkanie pod odpowiednim kątem, więc musielibyśmy rozważyć trasę wynoszącą może osiemnaście, może dwadzieścia milionów mil, a może więcej.

– Ale prędkość? Czy to możliwe?

– To nie pora na puste słowa. – Zavotle wyjął z sakiewki ołówkę i skrawek papieru i zaczął bazgrać cyfry. – Założmy, że z powodu naszej ludzkiej słabości podróż musiałaby zakończyć się po nie więcej niż... hmm... stu dniach. To zobowiązuje nas do pokonywania może stu osiemdziesięciu tysięcy mil na dobę, co daje prędkość... zaledwie siedmiu i pół tysiąca mil na godzinę.

– Teraz wiem, że ze mnie żartujesz. Jeżeli uznałeś tę podróż za niemożliwą, powinieneś być powiedzieć to na początku.

Zavotle podniósł ręce, dłońmi w górę, w uspokajającym geście.

– Uspokój się, przyjacielu. Nie żartuję. Musisz pamiętać, że to hamowanie powietrza, wzrastające zgodnie z kwadratem prędkości, narzuca naszym statkom ślimacze tempo i nawet ogranicza sprawność twoich ukochanych odrzutowych myśliwców. Ale w czasie podróży do Farlandu statek będzie poruszał się w prawie całkowitej próżni i prócz tego znajdzie się poza zasięgiem grawitacji Overlandu, zatem możliwe będzie osiągnięcie zdumiewających prędkości. Interesujące jest również to, że opór powietrza może również „pomagać” międzyplanetarnemu podróżnikowi – ciągnął Zavotle. – Gdyby nie konieczność powrotu, moglibyśmy wprowadzić statek w atmosferę Farlandu, wyskoczyć, gdy prędkość zmaleje do znośnego poziomu, i opaść na powierzchnię planety na spadochronach.

– Tak, to konieczność powrotu stawia przed nami główną przeszkodę. Stanowi sedno problemu. Co można zrobić? Zavotle upił się wina.

– Wydaje mi się, że trzeba... że potrzebny nam statek,



który można podzielić na dwie oddzielne części.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej! Podstawową jednostką byłaby stacja dowodzenia. Nazwijmy ją statkiem próżniowym... nie, statkiem kosmicznym... dla odróżnienia od zwyczajnych statków powietrznych. Wielkość stacji dowodzenia musi być zależna, od olbrzymich zapasów kryształów energetycznych i wszystkich innych potrzebnych rzeczy. Ten statek, statek kosmiczny, wyleciałby ze strefy nieważkości na Farland, ale nigdy nie mógłby wylądować. Należało by zatrzymać go tuż poza zasięgiem grawitacji Farlandu i wisiałby tam, dopóki nie nadejdzie czas podróży powrotnej na Overland.

– To mi przypomina wbijanie klinów w mózg – poskarżył się Toller, borykając się z przyswojeniem sobie szokująco nowych koncepcji. – Czy wyobrażasz sobie statek kosmiczny wysyłający na powierzchnię planety coś takiego jak szalupa?

– Szalupa? Pojęcie zbyt ogólne: musiałby to być w pełni operacyjny statek powietrzny, wyposażony w balon i własną jednostkę napędową.

– Ale jak można by go przetransportować?

– Właśnie o to mi chodziło, gdy wspomniałem, że statek kosmiczny musiałby składać się z dwóch części. Zakładając, że w jego skład wchodziłoby cztery czy pięć cylindrycznych segmentów, tak jak teraz w przypadku stacji dowodzenia w strefie nieważkości, cały przedni segment musiałby być oddzielany, żeby można było przekształcić go w statek powietrzny przeznaczony do lądowania. Konieczne byłyby dodatkowe ścianki działowe, szczelne drzwi i... – Zavotle zadrżał z przyjemnego podniecenia i na wpół podniósł się ze swego miejsca. – Potrzebne mi odpowiednie materiały do kreślenia, Tollerze.

Chciałbym zmierzyć się z tym problemem.

– Przyniosę ci je – rzekł Toller, dając znak, by Zavotle usiadł – ale najpierw powiedz mi coś więcej o tym rozdzieleniu! statku kosmicznego. Czy można taką operację przeprowadzić w próżni? Czy nie groziłaby ona utratą całego powietrza?

– Z pewnością bezpieczniej byłoby przeprowadzić ją w obrębie atmosfery Farlandu, i łatwiej. Muszę się nad tym zastanowić.. Jeżeli szczęście nam dopisze, może atmosfera Farlandu okaże się taka gruba, że będzie sięgała poza jego pole grawitacyjne, a w takim przypadku operacja okaże się stosunkowo prosta. Statek kosmiczny wisiałby wtedy w górnych rejonach atmosfery. Można by odłączyć statek powietrzny, nadmuchać balon i zamontować wsporniki, wszystko w jak najbardziej rutynowy sposób. Powinniśmy to przeciwwić w naszej strefie nieważkości przed spodziewanym startem.

Zavotle zamyślił się na chwilę.

– Z drugiej strony, gdyby statek kosmiczny miał czekać poza atmosferą, najlepiej byłoby zejść na krótko na poziom, na którym zalega zdatne do oddychania powietrze, i dopiero wtedy odłączyć segment statku powietrznego. Statek powietrzny oczywiście będzie spadał w czasie nadymania balonu, aleś, jak wiemy z doświadczenia, proces ten jest dość powolny, i starczy czasu na wykonanie wszystkiego, co konieczne. Trzeba zastanowić się nad...

– Biorąc pod uwagę powietrze – wtrącił Toller. – Przypuszczam, że w rachubę wchodziłoby użycie soli ognistej?

– Tak. Wiemy, że sól uzdatnia powietrze, ale nie wiemy, ile trzeba zabrać, by utrzymać człowieka przy użyciu w czasie długiej podróży. Należy przeprowadzić eksperymenty, ponie-

waż ilość soli, jaką będziemy musieli przewozić, może okazać się głównym czynnikiem decydującym o wielkości załogi.

Zavotle przerwał i obrzucił Tollera pełnym zadumy i smutku spojrzeniem.

- Szkoda, że nie ma z nami Laina. Bardzo by się przydał.
- Przyniosę ci materiały do kreślenia.

Gdy Toller wychodził z pokoju, jego pamięć wyczarowała jak żywe wyobrażenie brata, utalentowanego matematyka, który został zabity przez ptertę w przeddzień Migracji. Lain posiadał imponującą zdolność odgadywania ukrytej natury działań i przewidywania ich wyniku, a jednak nawet on popełnił poważne błędy dotyczące niektórych naukowych odkryć dokonanych w czasie pierwszego przelotu z Landu do strefy nieważkości. Wspomnienie brata uprzytomniło Tollerowi, jak butny, jak szalony jest plan lotu przez miliony mil kosmosu do nieznanego świata.

„Bardzo łatwo można zginąć w czasie takiej podróży”, powiedział sobie Toller i prawie uśmiechnął się, gdy zrobił jeden krok dalej w tych wewnętrznych spekulacjach. „Ale nikt nigdy nie mógłby powiedzieć, że była to pospolita śmierć...”

– Próbuję rozstrzygnąć, co bardziej denerwuje mnie w tej sprawie – mówił król Chakkell, gapiąc się z nieszczęśliwą miną na Tollera i Zavotle'a. – Nie wiem, czy fakt, że próbujecie mną manipulować... czy też kompletny brak subtelności, kiedy to robicie.

Toller przybrał zatroskany wyraz twarzy.

– Wasza Wysokość, przykro mi słyszeć, że jestem podejrzewany o kierowanie się ukrytymi motywami. Moją jedyną ambicją jest wbicie flagi...

– Dość, Maraquine! Nie jestem głupcem. – Chakkell po-

gładził kosmyk włosów na błyszczącej brązowej łysinie. – Gadasz o sadzeniu flag tak, jakby mogły one zapuścić korzenie i wyprodukować jakieś plony. Jaki zysk mógłby przynieść mi Farland? Chociaż skromny?

– Żniwo historii – powiedział Toller, już zaczynając szczegółowo planować ekspedycję na Farland. Ta manifestacja irytacji ze strony Chakkella była pewną wskazówką, że król ma zamiar wyrazić zgodę na skonstruowanie i wyposażenie statku kosmicznego. Mimo pokazu wątpliwości i obojętności, już został oczarowany pomysłem ogłoszenia się panem zewnętrznej planety.

Chakkell parsknął.

– Żniwo historii nie zostanie zebrane, póki statek pomyślnie nie zakończy obu etapów podróży. Nie jestem do końca przekonany, czy jest to możliwe.

– Statek zostanie zaprojektowany tak, by mógł poradzić sobie z krytycznymi sytuacjami wszelkiego rodzaju, Wasza Wysokość – zapewnił Toller. – Nie mam zamiaru popełniać samobójstwa.

– Nie? Czasami zastanawiam się nad tobą, Maraquine. – Chakkell wstał i obszedł mały pokój. Znajdowali się w tym samym pomieszczeniu, w którym król konsultował się z Tollerem w kwestii powietrznej obrony Overlandu. Większą część przestrzeni zajmował okrągły stół i sześć krzeseł, co pozostawiało królowi niewiele miejsca na obnoszenie swego brzuszyska. Dotarłszy do krzesła, Chakkell oparł się o nie i spojrzał na Tollera posępnie.

– A co z pieniędzmi? Nigdy nie zawracasz sobie głowy takimi przyziemnymi problemami, prawda?

– Jeden statek, Wasza Wysokość, i załoga nie większa niż

sześć osób.

– Wielkość załogi jest wymówką, a ty doskonale o tym wiesz. Ten twój plan będzie kosztował mnie fortunę ze względu na utrzymanie wspierających stacji operacyjnych w strefie nieważkości.

– Ale skoro otwiera drogę do nowego świata...

– Nie zaczynaj znów grać na tę samą nutę, Maraquine – przerwał mu Chakkell. – Pozwolę ci rozpocząć to niebywałe przedsięwzięcie, bo na wojnie zasłużyłeś sobie na odrobinę mojej pobłażliwości, ale pod jednym warunkiem: Zavotle z tobą nie poleci. Nie mogę sobie pozwolić na jego utratę.

– Przykro mi to mówić – wtrącił spiesźnie Zavotle, nim Toller zdążył otworzyć usta – ale niezależnie od wyprawy, Wasza Wysokość wkrótce i tak zostanie pozbawiony moich usług.

Chakkell zmrużył oczy i przyjrzał się Zavotle'owi tak, jakby podejrzewał podstęp.

– Zavotle – rzekł w końcu – masz zamiar umrzeć?

– Tak, Wasza Wysokość.

Chakkell wyglądał raczej na zakłopotanego niż zatroskanego.

– Wolałbym, żeby to nie było prawdą.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Teraz muszę zająć się innymi sprawami – powiedział szorstko Chakkell, ruszając w stronę drzwi – ale w takich okolicznościach nie będę sprzeciwiał się twojemu wyjazdowi na Farland.

– Jestem wdzięczny, Wasza Wysokość.

Chakkell zatrzymał się w drzwiach i przeszył Tollera wzrokiem.

– Gra toczy się dalej, co, Maraquine? – Wyszedł na korytarz, nim Toller zdołał coś rzec w odpowiedzi. W pokoju zapadła cisza.

– Powiem ci coś, Ilven – rzekł wreszcie Toller półgłosem. – Udało nam się przestraszyć króla. Czy zauważyłeś, że wykręcił wszystko tak, że teraz wygląda na to, iż to on robi nam łaskę pozwalając na zorganizowanie ekspedycji? Ale prawdziwym powodem jest to, że on chce, by jego sztandar załopotał nad Farlandem. Zagwarantowane miejsce w historii jest kiepskim rodzajem nieśmiertelności, ale wygląda na to, że pragną jej wszyscy królowie, a my właśnie przypomnieliśmy Chakkellowi, jak próżne są takie ambicje.

– Dziwnie mówisz, Tollerze – powiedział Zavotle; jego spojrzenie błędziło po twarzy przyjaciela. – Ja nie wrócę z Farlandu, ale ty z pewnością tak.

– Nie przejmuj się, przyjacielu – odparł z uśmiechem Toller. – Wrócę z Farlandu albo zginę, próbując to zrobić.

Toller nie był pewien, czy jego syn zgodzi się na spotkanie, więc z zadowoleniem powitał widok samotnego jeźdźca podążającego traktem wiodącym na południe do Heevern. Wybrał miejsce spotkania trochę z powodu bliskości pożytkowanej złotem iglicy skalnej i sadzawki, elementów bardzo charakterystycznych w tej okolicy, lecz również dlatego, że leżało ono na pomocnym stoku ostatniego wzniesienia na drodze do domu. Gdyby przejechał jeszcze milę, na grzbiet, w oddali zobaczyłby swój dom. Świadomość, że Gesalla jest w obrębie znajomych ścian, sprawiałaby mu ból, ale nie dlatego nie pojechał dalej. Zatrzymał się, bowiem przysiągł, że ich ścieżki rozchodzą się na zawsze, a w pewien sposób, który był dla niego ważny, chociaż nie potrafił racjonalnie tego osądzić,

zbliżanie się zanadto do domu byłoby złamaniem danego słowa.

Zsiadł z niebieskorożca i zostawił pasące się zwierzę, obserwując zbliżającego się jeźdźca. Jak wcześniej, mógł z daleka poznać, że to Cassyll po wyraźnym kremowym kolorze przednich nóg wierzchowca. Cassyll podjechał bez większego pośpiechu i ściągnął wodze niebieskorożca w odległości dziesięciu kroków. Pozostał w siodle, mierząc Toller a melancholijnymi szarymi oczami.

– Byłoby lepiej, gdybyś zsiadł – powiedział łagodnie Toller. – Łatwiej się rozmawia.

– A mamy o czym?

– Gdyby było inaczej, po co miałbyś tu przyjeżdżać? – Toller uśmiechnął się krzywo. – Śmiało. Ani twój honor, ani twoje zasady nie ucierpią, jeżeli porozmawiamy stojąc twarzą w twarz.

Cassyll wzruszył ramionami i z gracją akrobaty zeskończył z niebieskorożca. Owalną twarz i strzechę połyskliwych włosów zawdzięczał swojej matce, ale jego szczupłą sylwetkę cechowała muskularna siła ojca.

– Dobrze wyglądasz.

Cassyll zerknął na swoje ubranie – koszulę i spodnie z samodziału, które pasowały raczej do pospolitego robotnika.

– Pracuję w odlewni i fabrykach, a część roboty naprawdę jest ciężka.

– Wiem. – Toller, któremu grzeczna odpowiedź syna dodała otuchy, postanowił przejść prosto do rzeczy. – Cassyllu, ekspedycja na Farland zaczyna się za kilka dni. Pokładam wiarę w obliczeniach i planach Ilvena Zavotle'a, ale tylko głupiec nie brałby pod uwagę czekających nas niebezpieczeństw.

Mogę nie wrócić i byłbym spokojniejszy, gdybyśmy uzgodnili sprawę dotyczące przyszłości twojej i matki.

Cassyll nie okazał żadnych emocji.

– Wrócisz. Jak zawsze.

– Mam taki zamiar, niemniej chcę, żebyś przed rozstaniem dał mi słowo w związku z pewnymi kwestiami. Jedna z nich jest związana z faktem, że król potwierdził, iż mój tytuł jest dziedziczny, i chcę, żebyś go przyjął, gdy zostanę uznany za martwego.

– Nie chcę tego tytułu. Nie interesują mnie takie błahostki.

Toller pokiwał głową.

– Wiem i szanuję cię za to, ale ten tytuł daje władzę i przywileje. Władzy możesz użyć do zabezpieczenia pozycji swojej matki w świecie, z władzy możesz zrobić dobry użytek podejmując warte zachodu zabiegi. A nie muszę ci przypominać, jak ważne dla naszego społeczeństwa jest zastąpienie drewna bracka metalem, przysięgnij więc, że nie odrzucisz tego tytułu.

Cassyll przybrał zniecierpliwiony wyraz twarzy.

– To przedwczesne. Będziesz żył sto lat, o ile nie dłużej.

– Przysięga, Cassyllu.

– Przysięgam, że przyjmę tytuł tego odległego w czasie dnia, kiedy w końcu spadnie na mnie ten obowiązek.

– Dziękuję – powiedział szczerze Toller. – Teraz sprawa posiadłości. O ile to możliwe, chciałbym zachować system symbolicznego czynszu dla naszych dzierżawców. Dochody z kopalni, odlewni i zakładów metalowych nadal rosną i wystarczą na zaspokojenie potrzeb rodziny.

– Rodziny? – Cassyll uśmiechnął się lekko, by pokazać,



że uważa to słowo za niestosowne. – Moja matka i ja jesteśmy finansowo zabezpieczeni.

Toller pozwolił, by to niedomówione wyzwanie przeszło bez echa i zajął się omawianiem innych spraw związanych z posiadłością i zakładami przemysłowymi, ale przez cały czas był świadom, że odkłada moment, w którym będzie musiał wyznaczyć, co było najważniejszym motywem spotkania. Wreszcie, po pełnej napięcia chwili milczenia, która zdawała się trwać w nieskończoność, przemówił nieco drżącym głosem.

– Cassyllu, swego ojca po raz pierwszy spotkałem zaledwie na kilka minut przed tym, nim zadał sobie śmierć własną ręką. Obaj tak wiele straciliśmy... ale przed ostatecznym końcem byliśmy zjednoczeni. Ja... nie chcę zostawiać cię bez próby naprawienia tego, co między nami zaszło. Czy możesz wybaczyć mi zło, jakie wyrządziłem tobie i twojej matce?

– Zło? – Cassyll mówił lekkim tonem, udając zaskoczenie. Pochylił się i podniósł kamyczek gęsto pożyłkowany złotem, przyjrzał mu się uważnie i cisnął go do sadzawki. Odbicie Landu na wodzie rozbiło się na liczne ruchliwe, koncentryczne kręgi. – O jakim źle mówisz, ojczy?

Toller nie dał się zbyć.

– Zanieczywałem was oboje, ponieważ nigdy nie byłem zadowolony z tego, co miałem. To proste. Moje oskarżenie można zawrzeć w kilku słowach, żadne z nich nie jest bezpodstawne czy niejasne.

– Nigdy nie czułem się zanieczywany, bo wierzyłem, że będziesz nas zawsze kochał – powiedział powoli Cassyll. – Teraz moja matka jest sama.

– Ma ciebie.

– Jest sama.

– Nie bardziej niż ja, ale na to nie ma lekarstwa. Twoja matka rozumie to lepiej ode mnie. Jeżeli ty nauczysz się to rozumieć, może również nauczysz się wybaczać.

Toller miał wrażenie, że w tej chwili Cassyll na powrót jest dzieckiem.

– Prosisz mnie, bym zrozumiał, że miłość umiera?

– -Może umrzeć albo może nie chcieć umrzeć; albo mężczyzna lub kobieta mogą się zmienić, albo któreś z nich pozostaje niezmiennie; a kiedy ktoś nie zmienia się z upływem czasu, to efekt z punktu widzenia osoby, która się zmienia, jest taki, jakby właśnie to ta nie zmieniająca się osoba była tą, która podlega największej przemianie... – Toller urwał i spojrzał bezradnie na syna. – Skąd mogę wiedzieć, co masz zrozumieć, skoro sam tego nie rozumiem?

– Ojczy... – Cassyll zrobił krok w stronę Tollera. – Dostrzegam w tobie tyle bólu. Nie zdawałem sobie sprawy...

Toller próbował pozbyć się łez, które napłynęły mu do oczu.

– Nie mam nic przeciwko bólowi. I tak jest go za mało jak na moje potrzeby.

– Ojczy, nie...

Toller otworzył ramiona. Ojciec i syn zastygli w uścisku, a Toller w trakcie tej ulotnej chwili prawie przypomniał sobie, co to znaczy być pełnowartościowym człowiekiem.

– Przewróć statek na bok – rozkazał Toller. Biały obłok jego oddechu przetaczał się w mroźnym powietrzu. Bartan Drumme, który obsługiwał urządzenia sterujące – młody człowiek wykorzystywał każdą okazję, by przećwiczyć technikę kierowania statkiem powietrznym – skinął i zainicjował serię krótkich wybuchów paliwa w bocznym silniku. Gdy siła

odrzutu stopniowo pokonywała inercję gondoli, Overland przesunął się po niebie i zza brązowej krzywizny balonu wyłonił się wielki dysk Landu. Bartan zatrzymał obrót statku za pomocą silnika umieszczonego po drugiej stronie i ustabilizował go w nowym położeniu. Po obu stronach gondoli widać było teraz obie planety. Słońce wisało nisko nad wschodnią krawędzią Landu, oświetlając cienki sierp na powierzchni planety. Pozostała część była pogrążona w cieniu.

Na tym mrocznym tle oddalony o niecałą milę unosił się statek kosmiczny, widoczny w postaci maleńkiego prążka światła. Otaczało go kilka mniejszych pyłków: stacji mieszkalnych i magazynów, które król Chakkell pozwolił pozostawić w strefie nieważkości, by obsługiwały niedawno zmontowaną jednostkę. Statek w bezkresie nieba zdawał się drobiną bez znaczenia, ale jego widok sprawił, że serce Tollera zabiło szybciej.

Od czasu uzyskania zgody króla minęło sześćdziesiąt dni i teraz Toller odkrył, że trudno mu się pogodzić z tym, że właśnie nadeszła chwila startu. Próbując rozproszyć lekkie poczucie nierzeczywistości, podniósł lornetkę i zaczął przyglądać się statkowi kosmicznemu.

Do projektu Zavotle'a, naszkicowanego w czasie spotkania w Błękitnym Ptaku, wprowadzono jedną główną poprawkę. Początkowo zakładano, że składający się z pięciu segmentów moduł, który w odpowiednim momencie miał zostać odłączony od statku-matki, będzie znajdował się z przodu, ale taki układ uniemożliwiał widoczność przed dziobem. Po kilku niezadowalających eksperymentach z lustrami zdecydowano, że modułem lądującym będzie sekcja rufowa. Jej silnik miał zapewnić przelot na Farland, powrót zaś statku-matki na

Overland – drugi, odsłaniający się po oddzieleniu statku powietrznego.

Toller zniżył lornetkę i zerknął na innych członków załogi, opatulonych w pikowane skafandry, pogrążonych we własnych myślach. Poza Zavotle'em i Bartanem była tam Berise Narrinder, Tipp Gotlon i inny były pilot, cichy, młody człowiek o łagodnym głosie, Dakan Wraker. Toller był zaskoczony wielką liczbą ochotników, jacy zgłosili chęć wyruszenia na tę wyprawę, a Wrakera wybrał z powodu jego spokojnego usposobienia i rozległej znajomości mechaniki.

W ciągu minionej godziny wśród załogi panowała ożywiona rozmowa, ale obecnie ogrom czekającego ich zadania wywarł w końcu potężny wpływ i unieruchomił im języki.

– Zaoszczędźcie mi widoku tych ponurych twarzy – rzekł Toller z jowialnym uśmiechem. – Po co się martwić? Być może Farland tak nam się spodoba, że żadne z nas nie będzie chciało wrócić!

## ROZDZIAŁ 14

„Kolcorron” rozpoczął podróż ze strefy nieważkości między bliźniaczymi planetami na Farland. Toller liczył się z tym, że jako dowódca statku kosmicznego będzie musiał polubić obsługiwane przyrządów napędowych i sterowniczych, jednakże w czasie treningów stało się jasne, że gdy chodzi o nowy rodzaj latania, jest najmniej utalentowanym członkiem załogi. Długość statku pięciokrotnie przekraczała jego średnicę, w związku z czym utrzymanie go w stabilnej pozycji wymagało precyzyjnego i delikatnego używania bocznych silników odrzutowych, zdolności wykrywania odchodzenia od kursu i korygowania go. Gotlon, Wraker i Berise, wyzwalając trwające ułamki sekund wybuchy w komorach spalania, zdawałoby się bez najmniejszego wysiłku potrafili utrzymać krzyż sterującego teleskopu na namierzanej gwiazdzie. Zavotle i Bartan Drumme okazali się kompetentni, chociaż obaj mieli nieco ciężką rękę, ale Toller miał skłonności do wprowadzania nadmiernych poprawek, które wplątywały go w nieskończoną serię mniejszych, co wywoływało na twarzach pozostałych pilotów szerokie uśmiechy.

Toller z tego względu przekazał Tippowi Gotlonowi, najmłodszemu członkowi załogi, zaszczyt wyprowadzenia statku z atmosfery bliźniaczych planet.

Gotlon był przypasany do siedzenia umieszczonego w

pobliżu środka okrągłego, najwyższego pokładu. Patrzyli w pryzmatyczny okular teleskopu niskiej mocy, który wychodził prostopadle do burty na dziobie statku. Jego ręce spoczywały na dźwigniach, które łączyły się z prętami biegnącymi w dół przez różne pokłady do głównego silnika i bocznych odrzutowych. Zawziętość widoczna w jego uśmiechu wskazywała, że jest gotów na wszystko i czeka na rozkaz rozpoczęcia lotu.

Toller rozejrzał się po sektorze dziobowym, który był nie tylko stanowiskiem pilota, ale również kwaterą mieszkalną i sypialnią. Zavotle, Berise i Barton unosili się w różnych pozycjach i pod różnymi kątami, trzymając się poręczy. W przedziale panował półmrok, jedyne oświetlenia dostarczał iluminator od strony słońca, ale Toller widział ich twarze na tyle dobrze, by wiedzieć, iż dzielają jego nastrój.

Lot miał trwać przynajmniej dwieście dni – zniechęcająco długi okres nudy, deprywacji i niewygody – i bez względu na to, jak bardzo kto był zdecydowany poświęcić się dla sprawy, w takiej chwili przeżywanie niepokoju było rzeczą naturalną. Uruchomienie głównego silnika miało położyć kres tym odczuciom, ale do czasu wykonania tego pierwszego manewru o ważnym znaczeniu psychologicznym, Tollerem i załogą będą targały wątpliwości i niepokój.

Toller zniecierpliwiony przyciągnął się do szybu drabiny i spojrzał w dół. Cylindryczną przestrzeń przecinały wąskie smugi światła, wpadającego przez iluminatory i tworzącego splątane wzory jasności i cienia wśród wewnętrznych rozporok i koszy, w których przechowywano zapasy żywności i wody oraz soli ognistej i kryształów energetycznych. Daleko w dole w tym dziwnym świetle dał się zauważyć ruch i u stóp drabiny pojawił się Wraker, który sprawdzał paliwowe leje

samowyladowcze i pneumatyczny system zasilania. Mimo krępującego ruchu kombinezonu wspiął się po szczeblach zwinnie i skinął głową, gdy zobaczył czekającego Tollera.

– Jednostka zasilania jest w porządku – zameldował cicho.

– My tak samo – odparł Toller, odwracając się i patrząc w czujne oczy Gotlona. – Zabieraj nas stąd.

Gotlon bez wahania przesunął przepustnicę. Silnik zadudnił z tyłu statku, jego ryk nieco stłumiły odległość i przepierzenia. Członkowie załogi wolno spłynęli w dół i stanęli na pokładzie. Toller wyjrzał przez najbliższy iluminator i zobaczył, jak magazyny i sektory mieszkalne suną w kierunku rufy. W pobliżu konstrukcji wisieli opatuleni robotnicy, którzy energicznie machali na pożegnanie.

– Miły akcent – powiedział Toller. – Wzruszająco entuzjastyczne pożegnanie.

Zavotle parsknięciem wyraził swój sceptycyzm.

– To tylko wyraz szczerzej ulgi z powodu naszego odjazdu. Wreszcie będą mogli opuścić strefę nieważkości i wrócić do swych rodzin. Co i my byśmy zrobili, gdybyśmy mieli choć trochę rozumu.

– Zapomniałeś o jednym – wtrącił z uśmiechem Bartan Drumme.

– O czym?

– Ja wracam do swojej rodziny. – Chłopięcy uśmiech Bartana poszerzył się. – Jestem w najlepszej sytuacji: na Farlandzie czeka na mnie moja żona.

– Synu, po długim namyśle dochodzę do wniosku, że ty powinieneś być i kapitanem tego statku – rzekł poważnie Zavotle. – Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby wypuszczać

się w taką podróż, a ty z nas wszystkich jesteś największym wariatem.

„Kolcorron” był w drodze zaledwie godzinę, gdy Toller zaczął się niepokoić.

Przejrzał każdy przedział statku, sprawdzając, czy wszystko jest tak jak powinno, ale mimo że nie znalazł niczego złego, niepokój pozostał. Nie umiając wytłumaczyć go żadnym konkretnym powodem, postanowił nie mówić nic Zavotle'owi ani nikomu innemu – jako dowódca nie mógł pozwolić sobie na podminowywanie moralne załogi niewyjaśnionymi przeczcuciami. W przeciwieństwie do niego, oni wydawali się odprężeni i coraz bardziej pewni siebie, o czym świadczyły ożywione, wesołe rozmowy na górnym pokładzie.

Toller uznał, że te rozmowy go rozpraszają, wrócił więc do drabiny i ulokował się przy iluminatorze na śródkręciu, w wąskim przejściu między dwoma wielkimi schowkami z zapasami. Podobnie postępował w dzieciństwie, gdy czuł potrzebę zamknięcia się przed światem, i teraz w samotności próbował umiejscowić źródło swoich złych przeczcuc.

Czy mogły one wynikać z faktu, że niebo niespodziewanie stało się czarne? Czy mogły być echem jakiejś głęboko zakorzenionej obawy, instynktownego protestu organizmu związanego z narastaniem prędkości do niewyobrażalnej wartości tysięcy mil na godzinę? Główny silnik pracował prawie bez przerwy od początku podróży i tym samym – według Zavotle'a – prędkość statku musiała już daleko wykraczać poza wszelkie poprzednie ludzkie doświadczenia. Na początku słychać było wyraźny szum powietrza, ale gdy niebo pociemniało, dźwięk ten stopniowo ucichł. Światło słońca wpadające ukosem przez iluminatory utrudniało oglądanie zewnętrznego



wszechświata, lecz zdawało się, że panuje w nim normalny wieczny spokój. Nie było niczego, co by świadczyło, że statek mknie przez kosmos z prędkością wieluset mil na godzinę.

Czy ten fakt mógł być odpowiedzialny za jego zdenerwowanie? Czy jakaś część jego umysłu była zaniepokojona sprzecznością między tym, co obserwował, a tym, wiedział?

Toller krótko rozważał to przypuszczenie i odsunął je na bok – nigdy nie był nadmiernie wrażliwy i podróżowanie w przestrzeni nie zmieniło jego podstawowej natury. Bardziej prawdopodobne, że powodem jego zdenerwowania prędzej stałaby się jakaś bardziej konkretna sprawa, taka jak przysunięcie się do iluminatora. Poszycie kadłuba „Kolcorronu” zostało wzmocnione dodatkowymi stalowymi obręczami na zewnątrz i warstwami smoły i płótna od wewnątrz, ale wokół iluminatorów i luków znajdowały się najsłabsze miejsca. W czasie jednego z próbnych lotów iluminator został wysadzony na zewnątrz i mimo że wypadek nie nastąpił w prawdziwej próżni, mechanikowi popękały bębrenki.

Krótki syk z górnego pokładu wskazał, że ktoś zmieszał miarkę soli ognistej i wody, by zregenerować powietrze. Może minutę później do nozdrzy Tollera dotarł charakterystyczny zapach – przypominający woń wodorostów – mieszając się z ostrym odorem smoły, który jakby stał się silniejszy.

Toller wciągnął powietrze. Stwierdził, że zapach smoły rzeczywiście jest bardziej intensywny, i jego niepokój nagle przybrał na sile. Impulsywnie zdjął rękawicę i dotknął czarnej powierzchni poszycia. Kadłub był ciepły. Temperatura była daleko niższa od tej wystarczającej do zmiękczenia smoły, niższa od temperatury jego skóry, ale kontrast z zimnem, jakiego się spodziewał, był uderzający. Odkrycie to jakby otwo-

rzyło bramę w jego umyśle i natychmiast wiedział, co wywołało te złe przeczucia...

Było mu gorąco!

Watowany skafander został zaprojektowany tak, by bronić użytkownika przed przenikliwym zimnem strefy nieważkości, a i tak z ledwością spełniał swe zadanie, a teraz miał wrażenie, że lada chwila obleje się potem.

„To nie może być prawdą! Nie możemy spadać w słońce!” Toller całą siłą woli starał się opanować narastającą panikę, gdy huk silnika ucichł i w tym samym momencie usłyszał, jak Zavotle woła go z górnej części statku. Znów kompletnie pozbawiony wagi, zanurkował w kierunku drabiny i wspiął się po niej ręką za ręką. Wciągnął się na pokład i stanął przed resztą załogi. Wszyscy, z wyjątkiem Gotlona, przywierali do swoich hamaków.

– Dzieje się coś dziwnego – zaczął Zavotle. – Statek coraz bardziej się nagrzewa.

– Zauważyłem. – Toller spojrzął na Gotlona, siedzącego w fotelu pilota. – Jesteśmy na kursie?

Gotlon z wigorem pokiwał głową.

– Od chwili startu jesteśmy dokładnie na kursie. Przyśięgam, że celownik ani na chwilę nie oderwał się od Goli. – Gola, postać z kolcorroniańskiego mitu, pojawiała się przed zagubionymi marynarzami i prowadziła ich do bezpiecznych portów, i jej imię nadano gwiazdzie przewodniej wybranej dla pierwszej części podróży.

Toller zwrócił się do Zavotle'a.

– A może przesuwamy się bokiem? Spadamy w stronę słońca z dziobem wycelowanym w Golę?

– Dlaczego mielibyśmy spadać? A nawet jeżeli tak, jest

zbyt wcześnie, by ciepło wzrosło aż w takim stopniu.

– Jeżeli wyjrzysz za rufę, zobaczysz Overland i Land we właściwych miejscach – dodała Berise. – Jesteśmy na kursie.

– To coś, co należy umieścić w mojej książce – powiedział Zavotle, prawie do siebie. – Musimy przyjąć, że to kosmos jest gorący. Prawdę mówiąc, zjawisko to nie powinno być niczym zaskakującym, ponieważ w przestrzeni wiecznie świeci słońce. Ale słońce również świeci w strefie nieważkości – a tam panuje straszliwe zimno. Jednak to kolejna tajemnica, Tollerze.

– Tajemnica czy nie – powiedział Toller, postanawiając zachowywać się stanowczo, by zwalczyć niepewność, która narodziła się przy pierwszym otarciu o nieznaną – ważne, że możemy rozebrać się z tych przeklętych skafandrów, i powinniśmy być z tego zadowoleni. Możemy zażyć przynajmniej trochę wygody.

Trzeciego dnia lotu, ku satysfakcji Tollera, wykonywanie pokładowych czynności stało się rutyną. Toller rozumiał niebezpieczeństwa czekającej ich monotonii i nudy, ale były to dające się przewidzieć ludzkie problemy i czuł, że będzie w stanie rozprawić się z nimi. Dopiero wtedy, gdy sama kapryśna natura zadawała kłam najbardziej dopieszczonym ludzkim przekonaniom, on zaczął czuć się jak dziecko wędrujące po niebezpiecznym lesie.

Od początkowo przerażającego – a teraz uznanego za zbawienne – odkrycia, że kosmos jest przyjemnie ciepły, następną zagadką wiązała się z obserwacją, że w międzyplanetarnej próżni nie ma meteorów. Ku zaskoczeniu Tollera, Ilven Zavotle uczeplił się tej tajemnicy, najwidoczniej wierząc, że posiada ona jakieś doniosłe znaczenie, i uczynił ją tematem ko-

lejnego długiego wpisu w księdze pokładowej.

Choroba małego człowieczka nasilała się zgodnie z jego przewidywaniami. Chociaż nie wydał słowa skargi, chudł w zastraszającym tempie i przez większość czasu przyciskał pięści do brzucha. Poza tym, co odbiegało od charakteru dawnego Zavotle'a, stał się nerwowy i zgryźliwy w stosunku do młodszych członków załogi, a szczególnie Bartana Drumme. Inni żywili przekonanie, że Bartan padł ofiarą obłędu i byli wobec niego tolerancyjni, natomiast Zavotle często czynił go celem szyderczych uwag. Bartan przyjmował obraźliwe słowa ze spokojem, bezpieczny w fortocy

A iluzji, ale w kilku przypadkach Berise Narrinder brała jego stronę i jej stosunki z Zavotlem stały się napięte.

Toller wiedział, że przyjacielem kieruje demon gorszy niż jego własny, w związku z czym nie wtrącał się. Prócz tego był przekonany, że Berise nie pozwoli, by Zavotle posunął się za daleko. Jego własne stosunki z dziewczyną – od czasu pięciu dni spędzonych w czarownym świecie spadającego statku – były ciepłe i całkowicie beznamietne. Natknęli się na siebie w szczególnym czasie, w czasie, w którym ich potrzeby doskonale się uzupełniały, w czasie, który już nigdy nie miał się powtórzyć, i teraz podążali w przyszłość własnymi, odrębnymi ścieżkami bez zobowiązań czy żalu. Tollerowi nawet nie przyszło na myśl, by wyrazić sprzeciw, gdy Berise upomniała się o miejsce w ekspedycji. Wiedział, że dziewczyna zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, że jej pobudki muszą być co najmniej tak ważne, jak jego.

Pomijając stosunki międzyludzkie, Toller przewidział, że największe problemy będzie sprawiało jedzenie i picie – czy to ich przyjmowanie, czy też wydalanie. Na statku nie można by-

ło rozpałać ognia, wobec tego menu ograniczało się do ściśle racjonowanych porcji zimnych potraw z solonego mięsa i ryb, suszonych owoców, orzechów i sucharów, popijanych wodą i jedną miarką brandy na dzień.

Główny silnik pracował prawie bez przerwy, tym samym nadając wszystkiemu pewien ciężar, toaleta była więc mniej uciążliwa niż w warunkach zerowej grawitacji, ale nadal pozostawała doświadczeniem wymagającym od wszystkich niewyczerpanych rezerw stoicyzmu. W łazience na śródkręciu znajdowało się skomplikowane cylindryczne urządzenie z jednokierunkowymi rurami. Było to jedyne miejsce, w którym kadłub można było otwierać bezpośrednio w przestrzeń. Za każdym razem, gdy korzystano z urządzenia, uciekała pewna ilość powietrza, ale kompensowano ją szybko gazem wytwarzanym z soli.

Początkowo zakładano, że każdy z sześciu członków załogi kolejno będzie odbywał wachtę na stanowisku pilota, jednak względy praktyczne szybko wpłynęły na zmianę planu. Berise, Golton i Wraker bez problemu potrafili utrzymać statek na kursie, a Bartan szybko im dorównał, lecz dla Tollera i Zavotle'a zadanie to okazało się niezwykle denerwujące i męczące. Tołler został zmuszony do zmiany rozkładu wacht w ten sposób, że czwórka młodych ludzi trzymała statek na kursie zbieżnym z kursem Farlandu, podczas gdy on i Zavotle mieli więcej czasu na zajmowanie się tym, co uznali za stosowne. Zavotle zagłębił się w studia astronomiczne i spędzał godziny nad oprawną w skórę księgą, dla Tollera rozpoczął się okres nużącej beczynności.

Czasami myślał o swojej żonie i synu, zastanawiając się, co robią, kiedy indziej gapił się ponuro przez iluminator na

zamrożoną, niezmienną panoplię gwiazd, srebrnych wirów i komet. Statek wydawał się wtedy unieruchomiony i niezależnie od tego, jak bardzo Toller się starał, nie był w stanie zaakceptować faktu, że porusza się z prędkością konieczną do wykonania przelotu międzyplanetarnego.

– Jesteś gotowa? – Bartan zwrócił się do Berise. Kiedy skinęła w odpowiedzi, wyłączył silnik, uniósł się z siedzenia pilota i przytrzymał pasy, podczas gdy ona zajmowała jego miejsce.

– Dziękuję – powiedziała, obdarzając go serdecznym uśmiechem. On skłonił się uprzejmie, acz obojętnie, podszedł do drabiny i zszedł na dół, pozostawiając Berise z Tollerem i Zavotle'em. Gotlon i Wraker byli zajęci ładowaniem lejów samowładowczych w sekcji rufowej.

– Myślę, że ktoś tu zagiął parol na młodego Bartana – skomentował Toller, zwracając się ot, tak, do nikogo w szczególności.

Zavotle parsknął głośno.

– Jeżeli tak jest, to ten ktoś tylko traci czas. Nasz Pan Drumme zarezerwował wszystkie uczucia dla „spiritusa” takiego czy innego rodzaju, butelkowanego albo bezcielesnego.

– Nie obchodzi mnie, co mówicie. – Dłonie Berise spoczywały lekko, a zarazem pewnie na przyrządach kontrolnych. – Musiał bardzo kochać swoją żonę. Gdybym umarła czy też zniknęła wkrótce po ślubie, chciałabym, żeby mój mąż leciał szukać mnie do innego świata. Myślę, że to bardzo romantyczne.

– Jesteś prawie tak samo szalona jak on – powiedział Zavotle. – A miałem nadzieję, że nie zarazisz się tą umysłową zarazą, tą ptertozą mózgu. Co na to powiesz, follerze?

– Bartan wykonuje swoją pracę. Może na tym powinniśmy poprzestać?

– Tak. – Zavotle przez kilka sekund patrzył w iluminator, przybierając zagadkowy wyraz twarzy. – Może nawet wykonuje swoją robotę lepiej niż ja swoją.

Zainteresowanie Tollera wzbudziły nie tylko słowa, ale sposób, w jaki Zavotle je wypowiedział.

– Coś jest nie tak? Zavotle skinął.

– Wybrałem gwiazdę przewodnią, która miała wprowadzić nas na kurs zbieżny z Farlandem. Obliczenia wykonałem poprawnie, gwiazdę wybrałem właściwie, powinniśmy więc zobaczyć, jak ona i Farland stopniowo zbliżają się do siebie.

– I?

– Lecimy zaledwie kilka dni, ale już w tej chwili widać, że Farland i Gola odsuwają się. Nie mówiłem ci o tym, bo miałem nadzieję, głupia, jak sądzę, że albo ten stan rzeczy ulegnie zmianie, albo będę w stanie wymyślić jakieś wyjaśnienie.

Nie stało się ani jedno, ani drugie, muszę więc przyznać, że zawiodłem w wypełnianiu swych obowiązków.

– Ale można to naprawić, prawda? – powiedział Toller. – Musimy jedynie zmienić kurs. Nic nam nie grozi.

– Jedyne zagrożenie stanowi brak kompetencji. – Zavotle uśmiechnął się ze smutkiem. – Widzisz, Tolerze, nic nie przebiega tak, jak się spodziewałem. Farland wydaje się zbyt jasny, a jego obraz w teleskopie jest zbyt wielki. Mógłbym przysiąc, że jest dwa razy większy niż wtedy, gdy wyruszaliśmy. Może instrumenty optyczne pracują inaczej w próżni. Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– To mogłoby znaczyć, że pokonaliśmy połowę drogi – podsunęła Berise.

– Nie proszę cię o zdanie – skarcił ją cierpko Zavotle. – Mówisz o rzeczach daleko wykraczających poza twoją zdolność pojmowania.

Berise ściągnęła brwi.

– Rozumiem, że kiedy coś wydaje się dwukrotnie większe, to odległość do tego czegoś musi być o połowę mniejsza. Według mnie to całkiem proste.

– Dla prostego umysłu wszystko jest proste.

– Przestańcie sobie dogadywać – wtrącił Toller. – Trzeba...

– Ale ta idiotka sugeruje, że pokonaliśmy dziewięć czy dziesięć milionów mil zaledwie w ciągu pięciu dni – zaperzył się Zavotle, masując żołądek. – Dwa miliony mil na dobę! Wychodzi ponad osiemdziesiąt tysięcy mil na godzinę – to niemożliwe. Prawdziwa prędkość...

Prawdziwa prędkość waszego statku przekracza obecnie sto tysięcy mil na godzinę, powiedziała złotowłosa kobieta, której postać nagle zmaterializowała się w przedziale tuż obok nich.



## ROZDZIAŁ 15

Toller wytrzeszczył oczy na kobietę. Bez wyjaśnień i wiedział, że jest to żona Bartana Drumme, i w tejże chwili jego pojmowanie świata zmieniło się na zawsze. Zrobiło mu się zimno, ale nie czuł lęku. Berise i Zavotle nie poruszyli się i choć patrzyli w różnych kierunkach, był przekonany, że widzą dokładnie to co on. Kobieta była piękna, ubrana w prostą białą suknię, i w ciemnym wnętrzu statku jarzyła się niczym płomień świecy. Mówiła z gniewem przesyconym troską.

Z początku, gdy wyczułam zbliżającego się Bartana, nie mogłam uwierzyć, a po dokładniejszych poszukiwaniach odkryłam, że to prawda! Przemierzacie kosmos nawet nie rozumiejąc efektów stałego przyspieszenia! Czy nie zdajecie sobie

sprawy, że zmierzacie ku pewnej śmierci?

– Sondy! – Bartan wpadł na górny pokład i przywarł do poręczy u szczytu drabiny. – Przychodzę zabrać cię do domu.

Jesteś głupcem, Bartanie. Wszyscy jesteście lekkomyślnymi głupcami. Ty, Ilvenie Zavotle, ty, który nakreśliłeś plany podróży – jak wyobrażasz sobie lądowanie w tym nowym świecie?

Zavotle odpowiedział jak człowiek pogrążony w transie.

– Planowaliśmy zmniejszyć prędkość przez wejście w atmosferę Farlandu.

I to byłby wasz koniec! Przy prędkości, jaką mielibyście po dotarciu do górnych warstw atmosfery Farlandu, tarcie spowodowałoby powstanie takiego ciepła, że wasz statek zamieniłby się w meteor. I nawet gdyby jakimś cudem udało wam się wylądować bezpiecznie – tak po prostu założyłeś, że tamtejsze powietrze nadaje się do oddychania?

– Powietrze? Powietrze to powietrze.

Jak mało wiesz! A ty, Tollerze Maraquine, ty, który pozujesz na dowódcę tej poronionej ekspedycji – czy przyjmujesz pełną odpowiedzialność za życie tych, których masz pod swoją komendą?

– Tak – odparł spokojnie Toller. Część jego umysłu mówiła mu, że on i inni powinni zwijać się ze strachu bądź ze zdumienia, robić wszystko poza spokojnym odpowiadaniem na pytania, ale w naturze łączności duchowej było coś takiego, że normalne ludzkie reakcje zostały jakby przesunięte w czasie. Teraz rozumiał poprzednie twierdzenia Bartana, że z samej definicji wynika, iż nic, co się dzieje, nie może być nadnaturalne.

W takim razie, kontynuowała Sonderweere, jeżeli zo-

stały ci jakieś resztki zdrowego rozsądku, natychmiast zarzucisz to największe z przedsięwzięć. Udzielę ci instrukcji i wskazówek niezbędnych do przeprowadzenia bezpiecznego powrotu na Overland.

– Nie mogę zgodzić się na tę propozycję – sprzeciwił się Toller. – Prawdą jest, że szczerę się tytułem dowódcy tej nadzwyczajnej misji, lecz jej członkowie mają swe indywidualne i odrębne powody, by chcieć postawić nogę na Farlandzie. Moja władza opiera się na wspólnej woli i gdybym zaproponował powrót, mój głos byłby tylko jednym wśród wielu.

Wykrętna odpowiedź, Tollerze Maraquine. Zjawa spojrzała nań błękitnymi wściekłymi oczami. Czy to oznacza, że jesteś przygotowany do poprowadzenia swej załogi na pewną śmierć?

– A czy jest taka potrzeba? Jeżeli w twojej mocy leży bezpieczne poprowadzenie nas na Overland, jesteś w stanie doprowadzić nas do Farlandu.

Jak mało rozumiesz! Jak mało wiesz o czekających tam niebezpieczeństwach! Słowa brzmiące w ich mózgach były teraz zabarwione zniecierpliwieniem. Wiele lat temu znalazłeś bezludny Overland i teraz – na ślepo – założyłeś, że z Farlandem jest tak samo. Czy nie przyszło ci do głowy, że ten świat jest zamieszkały, że posiada własną cywilizację? Czy myślisz, że mam całą planetę dla siebie?

– W ogóle o tym nie myślałem. Do tej chwili byłem przekonany, że Bartan jest szalony i że ty nie istniejesz.

Teraz rozumiem, że nigdy nie powinnam była się z tobą kontaktować, Bartanie. Nie popełniłabym tego błędu, gdyby moja przemiana została całkowicie dopełniona, ale teraz ponoszę odpowiedzialność za niebezpieczeństwo, na jakie nara-

ziłam ciebie i twoich towarzyszy. Błagam cię, Bartanie – nie powiększaj moich wyrzutów sumienia. Możesz nakłonić swoich przyjaciół do powrotu na Overland.

– Kocham cię, Sondi, i nic nie powstrzyma mnie od tego, bym w końcu znalazł się u twego boku.

Ale to czyste szaleństwo! Nie możesz mieć nadziei, że uratujesz mnie z siłą sześciu ludzi.

– Uratujesz! – Głos Bartana stał się ostrzejszy. – Czy jesteś w niewoli?

Nikt nie może nic zrobić. Jestem zadowolona. Wracaj, Bartanie!

Toller, mimo tego niezwykłego nastroju, w jakim się znajdował, mimo tej niedbałej i sennej akceptacji cudu, słuchając wymiany zdań między Sondeweere a Bartanem był świadom narastającego gdzieś w swoim wnętrzu mętliku.

Rewelacja nakładała się na rewelację, a każda niosła z sobą wiele pytań, które domagały się odpowiedzi. Kto mieszkał na Farlandzie? Czy obcy wylądowali na Overlandzie, by porwać i uwięzić żonę Bartana? Jeżeli tak, dlaczego to zrobili? I, przede wszystkim, w jaki sposób przeciętna kobieta, do niedawna żyjąca na odległej farmie, zyskała budzącą zdumienie i grozę zdolność przenoszenia swego wizerunku i myśli przez miliony mil przestrzeni?

Szukając rozwiązania tajemnicy, Toller próbował przyrzeć się uważnie twarzy Sondeweere i odkrył, że nie można skoncentrować się na jej jednym aspekcie. Wizja zdawała się istnieć z a jego oczami i składała się z wielu obrazów, które bez przerwy przesuwały się i nakładały, uniemożliwiając przyjrzenie się jednemu z nich. Kobieta stała kilka kroków od niego, jednocześnie była tak blisko, że mógł odróżnić poje-

dyncze włoski na jej skórze, a zarazem tak daleko, że przypominała jasną gwiazdę, pulsującą w harmonii z rytmem niemej mowy...

Odmawiając powrotu stawiasz mnie w niewiarygodnym położeniu. Jedyne sposoby, w jakie mogę uratować cię przed pewną śmiercią w kosmosie, polega na poprowadzeniu was na pewną śmierć na Farlandzie.

– Jesteśmy w pełni odpowiedzialni za swoje życie – powiedział Toller, wiedząc, że posiada pełne poparcie swej załogi. – A niełatwo nas zabić.

Sondeweere przychodziła na statek wiele razy w ciągu dni, które nastąpiły po pierwszej wizycie, a przedmiotem jej zabiegów było głównie zmniejszenie zdumiewającej prędkości i wprowadzenie poprawki kursu.

Gdy Zavotle otrząsnął się z szoku, w jaki wprowadziło go poznanie rzeczywistej prędkości statku, zagłębił w mechanizmy przeprowadzanych pod instrukcjami Sondeweere operacji. Nie byk to prosta kwestia zatrzymania i odwrócenia statku – należało dokonać licznych zmian kursu przez przechylenie statku i wytwarzanie odrzutu pod kątem do linii lotu. Spoglądanie za rufę nie było możliwe, tym samym po przeprowadzeniu operacji Farland zniknął z pola widzenia i załoga musiała przyjąć na wiarę, że statek nadal zmierza do punktu przeznaczenia.

Zavotle miał wiele do zapisywania w swej księdze, a szczególnie zaintrygowały go dostarczone przez dziewczynę wyjaśnienia, co było złego w planie zatrzymania statku poza zasięgiem pola grawitacyjnego Farlandu. Sondeweere wytłumaczyła mu, że promień grawitacji planety może być uważany za nieskończony, tym samym więc statek należy umieścić na

orbicie, tak by zawsze spadał wokół globu, na tej samej zasadzie, na jakiej planety okrążają swoje słońce.

Toller usiłował zgłębić tą interesującą teorię, ale doszedł do wniosku, że jego normalne procesy myślowe ulegają zahamowaniu na skutek zbyt wielkiej ilości rewelacji i zagadek, a próba ich wyjaśnienia i rozwiązania niezmiennie doprowadzała do skoncentrowania się na tajemnicy samej Sondewee-re.

Spodziewał się, że Bartan Drumme będzie bardziej zaintrygowany tą tajemnicą niż pozostali członkowie załogi, lecz młodzieniec zdawał się zbyt otumaniony perspektywą połączenia z żoną, by zastanawiać się nad wypadkami, które tak drastycznie zmieniły jej życie. Toller zdecydował, że trzeba uwzględnić następujący fakt: Bartan, pogrążony w pijaństwie, długi czas żył z przeświadczeniem, iż jego żona została przeniesiona na Farland i kontaktowała się z nim z tego odległego świata, więc po prostu już przywykł i nie zastanawiał się więcej nad niczym.

Poza tym Bartan znowu ostro popijał. Statek był aż nadto obficie wyposażony, również w brandy, toteż Toller pozwolił załodze korzystać z zapasów bez ograniczeń. Wkrótce stało się jasne, że Bartan nadużywa tego przywileju, ale Tollerowi brakowało chęci, by go skarcić. Dyscyplina, której w normalnej sytuacji rygorystycznie przestrzegał, wydawała się absurdem we wszechświecie, w którym nieprawdopodobne okazało się możliwe, a niezwykle stało się codziennością.

Trzy dni po fazie zmniejszania prędkości patrzył przez dziobowy iluminator – który teraz wychodził na rufę – na bliźniacze punkty światła, w jakie przeobraziły się Land i Overland, żył na nich kiedyś. A teraz zostawił je za sobą. Zda-

wały się leżeć daleko od gwiazd, a jednak – czego się niedawno dowiedział – między Overlandem i Farlandem istniał związek. Jaki? Jaki?

Frustrację Tollera zwiększał fakt, że bez względu na to, jak bardzo dręczyła go ciekawość, jak bardzo pragnął wyjaśnienia różnych spraw, za każdym razem, gdy Sondeweere nawiązywała łączność, ogarniała go bierność, uległość, a dziewczyna znikwała, nim mógł zadać pytanie. Było tak, jak gdyby z nie znanych mu powodów używała swej dziwnej siły do pohamowania jego ciekawości. Jeżeli tak faktycznie było, do niezliczonych zagadek dochodziła jeszcze jedna, a to wydawało się takie... nieuczciwe.

Toller rozejrzał się po górnym pokładzie i zastanowił się, czy reszta załogi podziela jego frustrację. Wraker siedział w fotelu pilota, utrzymując krzyż celownika lunety na aktualnej gwiazdzie przewodniej, a pozostali drzemali w swoich hamakach, najwyraźniej nie obawiając się przyszłości.

– Coś jest nie tak – wyszeptał do siebie Toller. – Należą nam się większe względy.

Zgadzam się z tobą, powiedziała Sondeweere, unosząc się na tle poszycia i zniekształcając przestrzeń wokół siebie tak, że powstała geometria przeczyła perspektywie.

Przyznaję, że zrobiłam co w mojej mocy, by otoczyć wasze umysły ochronną barierą, ale miałam na celu wyłącznie wasze bezpieczeństwo. Widzisz, telepatia – bezpośrednia łączność umysł-umysł, w ogromnej części jest procesem wzajemnym. Tu, na Farlandzie, macie wrogów, potężnych wrogów, i musiałam być pewna, że symbonci nie odkryją waszego zbliżania się do planety. Tyle byłam w stanie zrobić, ale nadal byłoby najlepiej, gdybyście zawrócili.

– Nie możemy zawrócić – powiedział Bartan Drumme, uprzedzając odpowiedź Tollera.

– Bartan mówi w imieniu nas wszystkich – dodał Toller. – Jesteśmy gotowi stawić czoło każdemu wrogowi i umrzeć, jeśli będzie trzeba, ale tym samym mamy prawo do orientowania się w warunkach przyszłego konfliktu. Kim są symboniści i dlaczego są nam wrocy?

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której wielowymiarowy obraz Sondeweere ulegał niezliczonym przesunięciom i zmianom jasności, a potem dziewczyna zaczęła opowieść...

Symbony dryfowały w przestrzeni przez niezliczone tysiące lat, nim ślepy traf przywiódł je do mało znaczącego układu planetarnego. Składał się on z małego słońca, wokół którego krążyły jedynie trzy światy, w tym dwa tworzące położoną blisko siebie parę. Pod wpływem grawitacji słońca rozrzedzona chmura zarodników – wiele z nich było połączonych podobnymi do pajęczyny nićmi – spadała ku niemu przez stulecia.

Prawie wszystkie kontynuowały powolny lot ku sercu układu, gdzie zostały zniszczone w nuklearnym piecu słońca, ale kilka miało szczęście i zostało przechwycone przez zewnętrzną planetę.

Osiadły w glebie, żywiąc się deszczami, i w końcu weszły w czynną fazę swej egzystencji. Drugi raz dopisało im szczęście, wszystkie weszły w fizyczny kontakt z członkami dominującego gatunku planety – rasą inteligentnych dwunogów, które właśnie odkryły zastosowanie metali. Symbony wniknęły do ciał swych żywicieli, rozmnożyły się i rozrosły, wykazując szczególne pokrewieństwo systemu nerwowego, a w efekcie tego procesu powstały istoty, które cechowały się



wzmocnieniem pewnych cech obu gatunków.

Symbionicy byli silniejsi i zdecydowanie inteligentniejsi od nie zmodyfikowanych dwunogów. Posiadali również zdolności telepatyczne, dzięki nim odnaleźli się i stworzyli grupę superistot, które z łatwością zdominowały rasę tubylczą. Stosunki przyjazne, pokojowe, położyły kres plemiennym wadom.

Zdarzenie to można by uważać za dobrodziejstwo dla rasy żywicieli, gdyby nie to, że dwunogi zostały pozbawione prawa do podążania normalną, własną drogą ewolucji.

Minęły dwa stulecia, w czasie których symbionicy dążyli do pełni rozwoju. Potomstwo mieszanych par symbionitów i zwyczajnych tubylców zawsze było symbionitami, i liczba superistot obdarzonych tą przytłaczającą genetyczną przewagą nieuchronnie rosła. Symbionicy rozwinęli własną kulturę i żyli w komfortowym przeświadczeniu, że z czasem zajmą miejsce całej rodzimej populacji.

Ale miliony mil dalej, na jednej z planet wewnętrznego świata, zaszła przemiana.

Gdy pierwotna chmura zarodników symbionów dryfowała w kierunku słońca, dwa osobniki zostały przechwycone przez grawitację jednego z bliźniaczych światów. W trakcie opadania wiatr zerwał wiążącą je nić, ale opadły na glebę w żyznym regionie planety.

Symbion nie może dokonywać wyboru. Musi złączyć się z pierwszym napotkanym stworzeniem, trafiając, że jeden z zarodników został zaabsorbowany przez jedną z najniższych form życia planety – przez wielonoga posiadającego cechy skorpiona i modliszki.

Pełzające stworzenie zaczęło się rozmnażać, dając po-

czątek superwielonogom. Nie miały one mózgów jako takich, jedynie grupy zwojów nerwowych, więc nie mogły stać się telepatami w całym tego słowa znaczeniu, ale posiadały zdolność emitowania z systemu nerwowego proto-uczuć i niewyraźnych obrazów.

Zostały niejako zamrożone na wiodącej w dół spirali ewolucyjnej, stopniowo tracąc swe szczególne cechy, bowiem były zbyt prymitywne, by stworzyć pełnowartościowe sym-biotyczne partnerstwo.

W przypadku tego zarodnika symbona ślepa gra natury nie opłaciła się. Potomstwo superwielonogów zostało skazane na dojście po upływie kilku stuleci do punktu wyjścia, a ich egzystencja przeminie nie wywierając wpływu na losy świata jako takiego – z wyjątkiem jednego stosunkowo nieważnego przykładu. Sub-telepatyczne emanacje ich potomków spowodowały niepokojące efekty mentalne wśród ludzi, którzy przypadkowo osiedlili się w ich pobliżu.

Jednakże w przypadku drugiego zarodnika symbonu wynik był zdecydowanie inny...

– Sondy! – Bartan Drumme przerwał czar. Jasne było, że jest okropnie zaniepokojony. – Proszę, nie mów tego! To nie mogło przytrafić się tobie.

Właśnie to się stało, Bartanie. Weszłam w kontakt z drugim zarodnikiem – i teraz ja także jestem symbonitem.

Na górnym pokładzie statku zapadła cisza. Przerwał ją Bartan. Jego głos był cichy i pełen napięcia.

– Czy to znaczy, że cię straciłem, Sondy? Czy jesteś dla mnie martwa? Czy jesteś teraz jedną z... nich?

Nie! Moja powierzchowność nie uległa zmianie i w sercu jestem tak samo człowiekiem jak zawsze, ale... jak mam to

wyjaśnić?... posiadam pewną moc. Próbowałam nakłonić cię do powrotu, ale gdy mi się nie udało, mogę już powiedzieć ci, że bardzo chciałabym uciec z tego zimnego, deszczowego świata i znów żyć wśród swoich.

– Nadal jesteś moją żoną?

Tak, Bartanie, ale próżno marzyć o takich rzeczach. Jestem więźniem i próba zmiany tego stanu byłaby dla ciebie i twoich towarzyszy samobójstwem.

Bartan roześmiał się niepewnie.

– Twoje słowa dają mi siłę tysięcy, Sondy! Mam zamiar zabrać cię do domu...

Szansę niepowodzenia są zbyt wielkie.

– Chcę wiedzieć pewne rzeczy – wtrącił Toller. Musiał się wtrącić, chociaż czuł się jak intruz. – Jeżeli nie jesteś sprzymierzeńcem tych... sybonitów – dlaczego przyłączyłaś się do nich na Farlandzie? I jak to się stało?

Skoro zarodnik wszedł do mego organizmu, zostałam skazana na przekształcenie się w symbonita, ale im bardziej zaawansowany w rozwoju jest żywiciel, tym dłużej trwa proces przemiany. Wewnętrzna metamorfoza trwała ponad rok, który spędziłam w stanie półśpiączki, i w tym czasie moja zdolność telepatyczna nie była pod kontrolą. Na pewnym etapie tej przemiany symbonici z Farlandu otrzymali wiadomość o moim istnieniu i natychmiast zrozumieli, co się stało.

Nie są rasą wojowników ani zdobywców, gwałtowne podboje nie leżą w ich naturze i przestraszyli się rozwoju ludzkich symbonitów na Overlandzie. Zbudowali statek kosmiczny działający na zasadach, których nigdy nie potrafiłabym wam wyjaśnić, i polecili na Overland.

Porwali mnie spośród mego ludu, pragnąc zrobić to, nim

zajdę w ciężę. Taki postępek ich zdaniem był konieczny, ponieważ dzieci moich dzieci również byłyby symbonitami i z czasem zaludniłyby całą planetę. Startując z wyższego poziomu ewolucyjnego, przewyższyłyby symbonitów z Farlandu. Mimo łączenia się z ludnością niezmutowaną, prawie pewne jest, że zachowaliby ludzkie zamiłowanie do eksploracji i ekspansji – i nieuchronnie pojawiliby się na Farlandzie. Dlatego znalazłam się tutaj i dlatego oni są zdecydowani mnie tu zatrzymać.

– Czy nie byłoby prościej cię zabić? – zapytał Zavotle, wypowiadając myśl, która wpadła do głowy nie tylko jemu.

Tak, i widzisz: mówiąc to, reprezentujesz typowo ludzkie podejście, a właśnie ono pchnęło symbonitów do porwania mnie. Nie są rasą morderców, więc zadowolili się odizolowaniem mnie od mego gatunku i czekaniem, aż umrę z przyczyn naturalnych. Jednakże popełnili błąd, ponieważ nie docenili mej siły telepatycznej. Nie przypuszczali, że skontaktuję się z Bartanem, próbując ukoić jego ból.

A ja z kolei nie spodziewałam się straszliwego wyniku, w przeciwnym wypadku zachowałabym milczenie. Twarz Sondeweere, zarazem bliska i odległa, wyrażała żal. Muszę ponieść odpowiedzialność za to, co wam się przydarzyło.

– Ale dlaczego miałyby stać nam się coś złego? – zapytała Berise Narrinder, po raz pierwszy odzywając się do Sondeweere. – Jeżeli twoi porywacze są tak bojaźliwi, jak mówisz, nie będą w stanie stanąć nam na drodze.

Gotowość do zabijania nie jest wyznacznikiem odwagi. Chociaż symbonici czują odrazę do odbierania życia, zrobią to, jeżeli uznają za konieczne. Lecz nie z nimi będziecie mieć do czynienia. Narzędziami symbonitów są rodowici Farlandczy-

cy... bardzo liczni... i oni nie będą mieć skrupułów z powodu rozlewu krwi.

– My też, jeśli do tego dojdzie – zapewnił Toller. – Czy symbionicy będą wiedzieli o nas przed wylądowaniem?

Prawdopodobnie nie. Żaden umysł, telepatyczny czy inny, nie może funkcjonować, o ile nie chroni się przed sferycznym bombardowaniem informacji. Ja odkryłam was tylko ze względu na uczucie łączące mnie z Bartanem.

– Czy masz swobodę ruchów?

Tak. Bez przeszkód poruszam się po planecie.

– W takim razie – powiedział Toller, ciągle tępo zdumiony swą zdolnością do łączności duchowej – z pewnością potrafisz doprowadzić statek do jakiegoś odległego, nie zamieszkanego miejsca, w nocy, jeżeli będzie trzeba, gdzie mogłabyś spotkać się z nami i wejść na pokład. Kilka sekund powinno wystarczyć, być może statek nawet nie musiałby lądować, po czym wyruszylibyśmy w drogę powrotną na Overland.

Zdumiewa mnie twoja pewność siebie, Tollerze Maraquine. Czy śmiesz wyobrażać sobie, że twoja dokonana bez namysłu analiza możliwości jest lepsza od mojej?

– Jestem tylko...

Nie zwracaj sobie głowy odpowiedzią. Zamiast tego pozwól, że zadam ci pytanie – po raz ostatni: czy wasza decyzja jest nieodwołalna, czy naprawdę nie dacie namówić się na zawrócenie z drogi?

– Lecimy dalej.

Jeżeli tak ma być, obraz Sondeweere zaczął się zacierać, spotkamy się na waszych warunkach. Ale ręczę, że wszyscy pożałujecie dnia, w którym opuściliście Overland.

**ROZDZIAŁ 16**

„Kolcorron” dwukrotnie okrążył planetę na wysokości ponad dziesięciu tysięcy mil, bez szkody płynąc w rozrzedzonych partiach atmosfery. Sondeweere doszła do wniosku, że wzięła w rachubę wszystkie możliwe warianty, i wtedy wydała instrukcje, które miały na celu zlikwidowanie orbitalnej prędkości statku.

„Kolcorron” zaczął opadać pionowo w kierunku powierzchni Farlandu.

Z początku prędkość była nieznaczna, ale w miarę upływu godzin wzrosła i ludzie na pokładzie zaczęli słyszeć szum powietrza trącego o poszycie kadłuba. Przy sterach był Tipp Gotlon. Pod przewodem wszechwiedzącej Sondeweere ustawił statek pionowo, ogonem w dół, i spowodował długi wybuch mieszanki w silniku, co nie tylko zahamowało spadanie, ale zapewniło pewien ruch w górę. Na tej wysokości powietrze, choć rozrzedzone, nadawało się do podtrzymywania życia przez stosunkowo długi okres. Ruch statku w górę wkrótce miał ustać i zostać odwróconym przez grawitację Farlandu, ale przez czas trwania zewnętrzne warunki pracy przypominały te panujące w overlandzkiej strefie nieważkości. Rozpoczęto operację] rozdzielania statku.

Przed wyjściem na zewnątrz Toller wszedł na górny pokład zamienić ostatnie kilka słów z Gotlonem. Wspiął się na drabinę z niejaką trudnością, z powodu grubego skafandra i dodatkowego brzemienia spadochronu oraz osobistej jednostki napędowej. Do przedziału wpadała ukośna smuga światła. Twarz pilota, na której malował się wyraz ponurego niezadowolenia, rozjaśniał cytrynowy żar.

– Jak Zavotle – powiedział Gotlon na widok Tollera – ra-

dzi sobie z robotą na zewnątrz?

– Bardzo dobrze – odparł Toller, doskonale rozumiejąc, o co chodzi młodemu pilotowi. Gotlon był straszliwie rozczarowany, gdy dowiedział się, że musi pozostać na statku i dowodził, że tylko sprawni fizycznie członkowie załogi powinni wziąć udział w ciężkiej i niebezpiecznej misji ratunkowej. Toller sprzeciwił się mówiąc, że „Kolcorron” posiada doniosłe znaczenie w całym projekcie, tym samym logika wymaga, by u sterów pozostał najlepszy pilot. Ten hołd oddany jego umiejętnościom raczej nie poprawił nastroju Gotlona.

– Zadanie, jakim zostałem obarczony, z łatwością może wykonać chory człowiek – powiedział, wracając do swego pierwszego argumentu.

Toller zdecydowanie potrząsnął głową.

– Synu, Zavotle nie jest po prostu „chorym człowiekiem”. Nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że ci to mówię, ale pozostało mu mało czasu. Myślę, że chciałby zostać pogrzebany na Farlandzie.

Gotlon stracił rezon.

– Nie wiedziałem. To dlatego ostatnio był taki zgryźliwy.

– Tak. I gdyby został sam na statku i umarł, co by się stało z nami?

– Nie pożegnałem się z nim. Czułem się urażony.

– On nie będzie tym się przejmował. Najlepszą rzeczą, jaką możesz dla niego zrobić, jest dopilnowanie, by jego księga wróciła bezpiecznie na Overland. Jest w niej wiele danych, łącznie z tym, czego dowiedział się od Sondeweere, które okażą się bezcenne dla przyszłych kosmicznych podróżników, i obarczam cię osobistą odpowiedzialnością za dostarczenie jej w ręce króla Chakkella.



– Zrobię co w mojej mocy... – Gotlon urwał i spojrzał na Tollera. Jego oczy stały się dziwnie czujne. – Ta misja... Czy masz, lordzie, jakieś wątpliwości co do wyniku?

– Żadnych – odparł z uśmiechem Toller. Podał rękę Gotlonowi, potem przyciągnął się do drabiny i zszedł na dół, przeciskając z trudem w ograniczonej przestrzeni.

Kiedy wydostał się ze statku w bezkresne niebo, poruszanie przestało sprawiać najmniejszy wysiłek. Inni już byli zajęci odłączaniem statku powietrznego od głównej części „Kolcorronu”.

Jakże ogromna, oszałamiająca była wypukła tarcza Farlandu. Skrzyła się białą polarną czapą, przetaczały się gęste chmury. Było ich więcej niż nad Landem czy Overlandem, przez co planeta zyskiwała większą zdolność do odbijania promieni słońca, teraz promienie spowijały unoszące się w przestrzeni postacie srebrzystozłotą poświatą. Od strony Farlandu niebo miało znajomy ciemnoniebieski kolor, ale po drugiej było prawie czarne, a gwiazdy i spirale świeciły na nim z niezwykłą wyrazistością.

Toller odetchnął głęboko, chłonąc wszelkie aspekty niesamowitej scenerii. Uświadamiając sobie, że urodził się w jakimś cudownym nadzwyczajnym momencie, dzięki czemu jego życie potoczyło się właśnie tak i doprowadziło go do tej niesłychanej chwili, poczuł się człowiekiem nieprawdopodobnie uprzywilejowanym, hojnie obdarowanym przez los.

Czekało nowe doświadczenie, nowy wróg do pobicia, nowy świat miał oczarować jego zmysły; płonęła w nim gorączkowa radość, którą przeżył po raz pierwszy wtedy, gdy leciał w dół na Czerwonej Jedyńce na spotkanie floty Landyczyków.

Ale teraz w uniesieniu był cień jakiejś nie znanej mu do-  
tąd obawy. Robak, który zamieszkiwał jądro jego jaźni, wła-  
śnie tę chwilę wybrał sobie, by się poruszyć i przypomnieć o  
sobie. Toller z rozpaczą myślał o tym, że gdy zdobędą Farland,  
nie będzie już miał dokąd pójść. „Może”, zakradła się znajoma  
myśl, „na tym obcym świecie czeka mój grób. I może chcę, że-  
by tak było...”

– – Potrzebujemy twoich muskułów, Tollerze! – zawołał  
Zavotle.

Toller uruchomił silniczek i pomknął ku rufowej sekcji  
statku. Krzyżujące się liny, które łączyły ją z głównym kadłubem,  
już zostały poluzowane, ale mastyka nadal nie pozwalała  
na rozdzielenie konstrukcji. Toller pomógł wbić kliny, co było  
denerwująco trudne, ponieważ trzeba było trzymać się statku  
jedną ręką, a uderzenie młotem wyzwalalo reakcję całego cia-  
ła. Dźwignie były bezużyteczne z tego samego powodu i w  
końcu rozdzielono sekcje siłą ludzkich mięśni: astronauta  
wsunęli palce rąk i nóg w lukę po jednej stronie i wspólnym  
wysiłkiem oderwali statek powietrzny od statku-matki.

Statek powietrzny odsunął się, odsłaniając stożek wy-  
dechowy silnika, który miał zabrać główny statek na Overland.  
Dakan Wraker wcześniej zdemontował system sterujący pracą  
silnika sekcji rufowej i obecnie zajmował się podłączaniem  
prętów sterowniczych do silnika statku--matki.

– Powinniśmy byli zabrać lewary – powiedział Zavotle.  
Jego blada twarz błyszczała od potu. – Czy zauważyłeś, że tu  
nie jest zimno? Znajdujemy się dalej od słońca, a jednak po-  
wietrze jest cieplejsze niż w naszej strefie nieważkości. Wi-  
docznie naturę bawi sprawianie nam niespodzianek, Tollerze.

– Nie ma czasu, by teraz to analizować. – Toller podleciał

do statku powietrznego i wraz z pozostałymi zabrał się do przesuwania go z dala od „Kolcorronu” przy pomocy sprzężonej siły pięciu jednostek napędowych. Załoga wyciągnęła złożony balon, rozprostowała go i przywiązała do gondoli. Wsporniki usztywniające balon zostały podzielone na fragmenty, bo inaczej nie zmieściłyby się w magazynach statku, i trudno je było złożyć, ale procedurę tę przećwiczano przed rozpoczęciem podróży i teraz zakończono ją w dobrym czasie. Wraker, upewniwszy się, że silnik na statku-matce funkcjonuje prawidłowo, przygotował następnie palnik do nadmuchania balonu. Operację ułatwiał fakt, że cała konstrukcja powoli spadała, przez co powietrze samoczynnie dostawało się do powłoki, pomagając w przygotowaniu jej do napełnienia gorącym gazem.

Toller, jako najbardziej doświadczony pilot, wziął na siebie odpowiedzialność za napompowanie balonu bez narażania na zniszczenie gorącym powietrzem. Gdy tylko ten zdawałoby się niematerialny kolos, z geometrycznym maswerkami lin stropowych, zawisł nad gondolą, Toller ustąpił miejsce pilota Berise i podszedł do burty.

„Kolcorron” obecnie opadał nieco szybciej od statku, pomalowany werniksem kadłub powoli przesuwał się w dół obok tych, którzy obserwowali go z gondoli. W otwartym luku na śródkręciu pojawił się Gotlon i pomachał do nich, po czym zamknął drzwi i uszczelnił statek.

Minutę później rozległ się ryk głównego silnika. Statek kosmiczny przestał opadać, znieruchomiał na chwilę i majestatycznie ruszył w górę. Huk silnika przybrał na sile, gdy „Kolcorron” przelatował nad statkiem powietrznym. Toller poczuł gorący podmuch gazu miglignowego, który zakłócił

równowagę balonu i gondoli. Obserwował olbrzymi statek, póki nie schował się za zakrzywionym horyzontem balonu, i nagle poczuł szacunek dla Gotlona, zwyczajnego młodego człowieka, który miał odwagę zostać samotnie w próżni i wierzyć, że kobieta, której nigdy wcześniej nie spotkał, za pomocą swych telepatycznych komend bezpiecznie wprowadzi go na orbitę.

Nie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, jakimż był głupcem, skoro nie mając pojęcia o czekających niebezpieczeństwach poważył się na wyprawę w międzyplanetarną przestrzeń. Taka niewłaściwie pojęta wiara w siebie z pewnością zasługiwała na surową karę. On i Zavotle mogliby się z nią pogodzić, ale musiał zrobić wszystko co możliwe, by młodzi towarzysze nie zostali wciągnięci w wir jego przeznaczenia.

Te same myśli nachodziły go wiele razy w czasie sześciu dni, jakie zabrało opuszczenie się na powierzchnię Farlandu.

Bezustanny kontakt z pozostałymi członkami załogi pokazał, jak bardzo młodzi piloci opierają się wszelkiej próbie tego, co uznawali za niańczenie. Musiał szanować ich odczucia, ale był w rozterce, ponieważ wiedział, że ich punkt widzenia jest zabarwiony nadmierną pewnością siebie, nieświadomą arogancką wiarą, że zdołają zatriumfować nad każdym przeciwnikiem, przeżyć każde niebezpieczeństwo. Uniesienie towarzyszące jeździe odrzutowymi myśliwcami w strefie środka wpoilo im przekonanie, że beztraska jest skuteczną filozofią życia.

Jego własne doświadczenie dawało mu prawo do zajęcia odmiennego stanowiska,<sup>1</sup> ale jednocześnie nękała go świadomość, że od samego początku był boleśnie nieprzygotowany do poprowadzenia ekspedycji na Farland. Nawet Zayotle nie

rozumiał, że statek poruszający się w kosmosie może zachować uzyskaną prędkość także po wyłączeniu silników, i że efekty każdego dodatkowego odrzutu nakładają się na siebie. Gdyby nie interwencja Sondeweere, wszyscy zginęliby przy wejściu w atmosferę Farlandu – i ona miała słuszne prawo do potępienia go za to kolejne rażące niedopatrzenie. Poza tym przez myśl mu nie przeszło, że Farland naprawdę może być zamieszkany, w dodatku przez utalentowane superistoty, obdarzone umiejętnościami daleko przekraczającymi jego zdolności pojmowania. Sondeweere zapewniła go, że lądowanie na tej planecie oznacza śmierć dla astronautów, i w miarę opadania coraz trudniej było mu odgrodzić się wygodną barierą niewiary od tej katastroficznej przepowiedni.

Innym elementem stale podsycającym jego niepokój była sama Sondeweere. Jej telepatyczne odwiedziny dla Bartana nie były żadną niespodzianką; Berise i Wraker zdawali się akceptować je bez większych trudności, ale Toller zbyt długo uważał się za zaprzysięgłego materialistę i sceptyka, by móc myśleć o niej bez zaburzania równowagi własnego, wewnętrznego wszechświata.

Opowieść o zarodnikach symbonu rzeczywiście była zdumiewająca, ale przynajmniej mógł zrozumieć każdą jej część, a wraz ze zrozumieniem nadchodziła akceptacja. Do zdecydowanie różnej kategorii należała sprawa bezpośredniej łączności umysłów.

Gdy widział jej dziwnie nieuchwytną postać i słuchał jej milczącego głosu, coś w nim buntowało się przeciwko temu doświadczeniu.

Za bardzo trąciło ono mistycyzmem. Jeżeli naprawdę istniały inne poziomy rzeczywistości, niedostępne dla pięciu

zmysłów, kto powiedział – wybierając tylko jeden przykład – że wiara w wędrówkę dusz jest bezpodstawna? Czy ktoś mógł nakreślić jednoznaczną granicę? Prywatne, skierowane do niego przesłanie Sondeweere mówiło, że jego przekonanie, iż rozumie naturę rzeczywistości, nie biorąc pod uwagę pomniejszych obszarów niepewności, jest i było wyrazem śmiesznego, absurdałnego zarozumiałstwa – a w jego wieku trudno już przełknąć taką pigułkę.

Manifestacje Sondeweere wytrącały go z równowagi, a jednak przynosiły mu pewną ulgę. W czasie opadania wiele razy ukazywała się załodze, szczególnie pod koniec. Instruowała, kiedy zmniejszyć prędkość, kiedy swobodnie unosić się w powietrzu, a raz nawet kazała wspiąć się na godzinę. Celem jej poczynań było bezpieczne przeprowadzenie ich przez różne warstwy termiczne, które tutaj były wyraźniejsze i bardziej burzliwe niż na Overlandzie, i posadzenie statku na wybranym przez siebie lądowisku.

Pewnego razu ostrzegła przed grubym na wiele mil regionem ostrego zimna, w którym temperatura była nawet niższa od tej panującej w strefie nieważkości, chociaż powietrze ponad i poniżej mroźnej warstwy było stosunkowo ciepłe. W odpowiedzi na pytanie Zavotle'a opowiedziała o atmosferze odbijającej pewną część ciepła słońca i o prądach konwekcyjnych, które znoszą je na poziom morza, czego rezultatem jest znaczne wyiębienie powietrza na określonej wysokości.

Sam fakt, że Sondeweere, która jeszcze niedawno była niepiśmienną wieśniaczką, rozumiała takie skomplikowane rzeczy, zwiększał obawy Tollera. Ten zasób wiedzy jak najbardziej usprawiedliwiał jej prawo do określania się mianem superkobiety, geniusza wyrastającego nad wszystkich innych,

a to z kolei sprawiało, że bał się spotkania z nią twarzą w twarz. Co może myśleć bogini o zwyczajnych ludzkich istotach? Czy będzie patrzeć na nich tak, jak oni patrzyli na gibbony licznie występujące w prowincji Sorka starego Kolcorronu?

Spodziewał się, że Bartan Drumme okaże jakiś niepokój z tego samego powodu, ale młodzieniec zachowywał się z całkowitą beztrąską. Kiedy nie spał czy nie pełnił służby przy urządzeniach sterowniczych, spędzał czas na rozmowach z Berise i Wrakerem, często pociągając wódkę z bukłaka, który włączył do osobistych zapasów. Berise zabrała z sobą materiały do rysowania i poświęciła się szkicowaniu towarzyszy oraz kreśleniu map zbliżającej się planety, to ostatnie głównie na użytek Zavotle'a. Mały człowieczek marniał w oczach. Leżał na materacu z rękami przyciśniętymi do brzucha i rzadko poruszał się z wyjątkiem przypadków, gdy pojawiała się Sonde-weere. Gdyby miał okazję, wypytywałby ją godzinami, lecz jej wizyty stały się krótkie, a instrukcje lakoniczne, jakby wiele innych spraw zaprzętało jej uwagę. Niespodziewanie Toller zaprzyjaźnił się z najmniej znanym członkiem załogi – Dakanem Wrakerem. Chociaż cichy młody człowiek o kręconych włosach i pełnych humoru szarych oczach urodził się po Migracji, głęboko interesował się historią Starego Świata. Pomagając Tollerowi smarować i czyścić muszkiety oraz stalowe miecze i szablę, zachęcał go do opowiadania o codziennym życiu w Ro-Atabri, byłej stolicy Kolcorronu, i o czynnikach, dzięki którym królestwo rozpostarło swoje wpływy na całą półkulę. Wkrótce wyszło na jaw, że ma ambicję napisania książki, która pomogłaby zachować tożsamość narodu.

– Wobec tego mam malarkę i pisarza na jednym statku –

powiedział Toller. – Ty i Berise powinniście nawiązać bliższe stosunki.

– Z przyjemnością nawiązałbym obojętnie jakie stosunki z Berise – odparł szeptem Wraker – ale ona chyba ma widoki na kogo innego.

Toller zmarszczył brwi.

– Chodzi ci o Bartana? Przecież on wkrótce połączy się z żoną.

– Niezbyt dopasowana para, nie sądzi pan? Może Berise też nie widzi przyszłości dla tego związku.

W komentarzu Wrakera Toller rozpoznał echo własnych przemyśleń, więc wyglądało na to, że jedyną osobą, która nie wątpiła w perspektywy dziwnego małżeństwa Bartana, był sam Bartan. Przez większość czasu był umiarkowanie pijany i zdawał się żyć w stanie euforii podbudowywanej przez maniackie przeświadczenie, że kiedy spotka Sondeweere, wszystko znów będzie tak, jak było. Toller nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób młodemu człowiekowi udaje się podsycać takie naiwne przekonania – ale czy ktoś z obecnych mógł rościć sobie prawo do większej zdolności przewidywania?

Toller zauważył, że nawet wtedy, gdy Sondeweere używała słowa, którego nie słyszał nigdy wcześniej, rozumiał jego znaczenie. Było tak, jakby same słowa były jedynie wygodnymi nośnikami, obładowanymi niezliczonymi warstwami znaczeniowych i uzupełniających się koncepcji. Kiedy umysł rozmawiał z umysłem, nie mogło dochodzić do nieporozumień czy niejasności.

Nikt, kto słuchał głosu Sondeweere, nie mógł wątpić w nic, co mówiła. A ona przepowiedziała, że ta misja ratunkowa zakończy się tragedią.



Było ciemno, gdy statek dryfował w kierunku równiny, taki rodzaj ciemności Toller poznał uprzednio jedynie w czasie trwania głębokiej nocy. Kiedy statek znajdował się jeszcze na znacznej wysokości, gdzieś tam w tajemniczej czerni widać było mrugające światła, wskazujące położenie miast czy wsi. Po zejściu na niższą wysokość jedynym źródłem światła stało się niebo i nawet Wielka Spirala tylko przelotnie rozjaśniała srebrzyste opary mgły, która łatami otulała ziemię.

Powietrze było przesycone wilgocią i według Tollera – dziecka słonecznego świata – zniechęcająco zimne, obdarzone osobliwą zdolnością wysysania ciepła z ciała. Wszyscy wcześniej zdjęli krępujące ruchy skafandry i teraz dygotali, trąc pokryte gęsią skórą ramiona w próbie odparcia chłodu. W powietrzu unosił się również zapach roślin – wilgotna esencja zieleni bujniejszej i bardziej ekspansywnej od wszelkich znanych Tolleroi i węż dobitniej od innych zmysłów powiedział mu, że zbliżają się do powierzchni obcej planety.

Stojąc przy relingu gondoli czuł się nienaturalnie ożywiony, podenerwowany, jakby wprowadzony w trans. I pełen żalu, że nie będzie okazji, by powłóczyć się po Farlandzie na piechotę za dnia i obejrzeć jego cuda na własne oczy. Jeżeli Sondeweere spotka ich zgodnie z planem, a co do tego nie miał wątpliwości – wezmą ją na pokład w kilka sekund. Może nawet nie będzie konieczne, by nogi gondoli dotknęły powierzchni Farlandu, zanim znów skierują się w górę pod osłoną nocy. Do rana będą już poza zasięgiem wzroku mieszkańców planety, daleko w drodze na spotkanie z „Kolcorro-nem”.

Nie po raz pierwszy ta myśl sprawiła, że Toller z zadumą ściągnął brwi. Miał wrażenie, że istnieje rażąca niezgodność

między biegiem wypadków a przekonaniem Sondeweere, iż wyprawa zakończy się nieszczęściem. Wszystko zdawało się iść aż za dobrze. Czy Sondeweere naprawdę robiła wszystko co w jej mocy, by utrzymać ratowników z dala od możliwego niebezpieczeństwa, czy też istniały inne czynniki, których Toller nie mógł wziąć pod uwagę, bo ona postanowiła ich nie wyjawiać? Dodatkowy element tajemnicy, cień skradającego się niebezpieczeństwa, działał na niego niczym jakiś potężny narkotyk, przyspieszając pracę serca i zwiększając jego oczekiwanie. Przepatrywał ciemność poniżej, zastanawiając się, czy symbonicy mogli przechwycić i uciszyć Sondeweere, czy miejsce lądowania nie jest pełne żołnierzy.

Wraker zredukował prędkość opadania i widoczny poniżej grunt zaczął płątać Tollerowi złośliwe figle. Ciemność nie była już jednorodna, składała się z tysięcy pełzających, wijących się kształtów, były tym, czego najmniej sobie życzył. Kształty biegły pod dryfującym statkiem, bezgłośnie i bez wysiłku dotrzymując mu kroku, ich uniesione ramiona błagały go, by dostał się w ich zasięg i został pocięty, potrzaskany, rozłupany i rozdarty na strzępy.

Po chwili, która zdawała się wiecznością, w otaczającym mroku pojawiło się wreszcie coś jednoznacznego – drżąca plamka bladej szarości, która stopniowo pojaśniała i zmaterializowała się w postać odzianej w biel kobiety...

## ROZDZIAŁ 17

Sondy! – zawołał Bartan Drumme, przechylając się przez reling obok Tollera. – Sondy, jestem tutaj! – Bartan! – Kobieta szła szybkim krokiem, by nadążyć za gondolą. – Widzę cię, Bartanie!

Nie był to budzący grozę, odrętwiający umysł kontakt telepatyczny – po prostu kobiecy głos przepojony zrozumiałym ludzkim podnieceniem, i jego dźwięk napełnił Tollera zdumieniem. Na chwilę zapomniał o wiedzy na temat symbolicznych superistot, ważne było jedynie to niesamowite, niewyobrażalne spotkanie. Spotkanie z kobietą, która żyła w jego ojczystym świecie, a następnie w dziwacznych okolicznościach została uprowadzona na inną planetę. Zdrowy rozsądek mówił, że na zawsze zniknęła z ludzkiego zasięgu, ale jej oszałały z żalu, przesiąknięty alkoholem mąż rzucił pomysł podróży przez miliony mil przestrzeni i dotarli do niej. Ta kobieta, której głos drżał teraz z emocji, znajdowała się zaledwie kilka jardów od niego w mroku obcej planety – i Toller był urze-

czony jej realnością.

Szuranie stożka wydechowego i nóg gondoli o roślinność przywróciło go do rzeczywistości. Bartan już zdążył wspiąć się na burtę gondoli i przycupnąć na zewnętrznym stopniu. Wyciągnął do żony rękę, którą ona chwyciła i po sekundzie stała obok niego. Toller pomógł jej przejść nad relingiem, zdumiewając się prostotą cielesnego kontaktu. Bartan wskoczył na pokład jednym zwinnym ruchem i przytulił Sondeweere. Tołler, Berise i Zavotle podeszli do nich wzruszeni i mocno otoczyli ramionami szczęśliwą parę. Uścisk został zerwany dopiero, gdy nogi gondoli prześlizgnęły się po gruncie, co wprawiło pokład w drżenie.

– W górę – powiedział Toller do Wrakera, który natychmiast włączył długi impuls, by ożywić gigantyczną pustkę czekającego cierpliwie balonu.

– Tak, tak! – Sondeweere wyzwoliła się ze splątanych ramion i przysunęła do Wrakera. Wyciągnęła w geście powitania prawą rękę. On również uniósł wolną rękę, lecz ich dłonie nieoczekiwanie rozminęły się.

Sondeweere sięgnęła obok niego i – zanim ktokolwiek zdążył zareagować – złapała linkę przywiązaną do płaszczyzny rozrywacza, szarpiąc ją ostro w dół.

W zatłoczonym mikrokosmosie gondoli nie zaszła żadna natychmiastowa zmiana, ale Toller wiedział, że balon został „zabity”. Wysoko ponad nim od korony balonu został oddarty trapez płótna i powłoka już zaczynała marszczyć się i zapadać, gdy gorący gaz, który ją napinał, uciekał w powietrze. Sondeweere nieodwołalnie skazała statek na pozostanie na Farlandzie – możliwe, że na zawsze.

– Sondy! Coś ty zrobiła?! – Zrozpaczony krzyk Bartana

wzbił się nad ogólny gwar zszokowanych protestów. Młody człowiek skoczył ku Sondeweere z rozpostartymi ramionami, jak gdyby z opóźnieniem próbował powstrzymać ją przed wykonaniem tego, co już zrobiła. Ona wymknęła się i przeszła spieszenie do pustej sekcji gondoli. „Sondeweere zniknęła”, pomyślał Toller. „Wśród nas znów jest symbonicka superkobieta”.

– Miałam ku temu dostateczne powody – powiedziała ostrym, czystym głosem. – Jeżeli zechcecie mnie wysłuchać...

Jej słowa zginęły w hałasie, jaki towarzyszył zderzeniu z ziemią. Gondola przechyliła się pod ostrym kątem, rzucając ludzi i ekwipunek na jedną burtę, zatoczyła się niepewnie i wyprostowała.

– Zdjąć wsporniki! – krzyknął Toller, wyrwany z chwilowej zadumy. – Balon spada na nas.

Szarpnął za węzły do szybkiego rozwiązywania, które mocowały najbliższy mu wspornik, i odepchnął go z dala od relingu, mając nadzieję, że nie weźmie na siebie ciężaru zapadającej się powłoki. Gondolę zalewał gorący miglignowy gaz, wydostający się z balonu. Suchy trzask powiedział Tollerowi, że przynajmniej jeden ze wsporników został przeciążony i złamany.

Toller przełożył nogi przez burtę, mimochodem zauważając, że pozostali robią to samo, i zeskoczył na ziemię. Pobiegł przez coś, co wydawało się zwyczajną trawą, i odwróciwszy się zobaczył zapadający się balon. Kolosalna kopuła nadal była na tyle wysoka, by przysłaniać część nieba, ale straciła swoją symetrię. Zniekształcona, zwijająca się niczym lewiatan w śmiertelnych bólach, opadała ze wzrastającą szybkością. Lekka bryza przeniosła ją nieco za gondolę, gdzie legła z łopotem

w trawie, zachowując pozór życia dzięki przemieszczającym się garbom uwięzionego gazu.

Zapadła chwilowa cisza. Nagle członkowie załogi otoczyli Sondeweere. W ich zachowaniu nie było ani cienia wrogości, ani nawet oburzenia, po prostu skoro jedno nieoczekiwane posunięcie z jej strony zmieniło im życie, spodziewali się jakichś wyjaśnień. Toller, który widział ich dobrze mimo ciemności, zauważył, że tylko on ma broń. Posłuszny starym instynktom położył dłoń na rękojeści szabli i rozejrzał się, próbując przeniknąć zasłony obcej nocy.

– W promieniu wielu mil nie ma ani jednego Farlandczyka – zapewniła Sondeweere, zwracając się bezpośrednio do niego. – Nie zdradziłam was.

– Może uznasz moje pytanie za bezczelne, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś? – powiedział z sarkazmem. – Przyznasz, że to nas interesuje najbardziej.

– Musimy wiedzieć – dodał Bartan. Drżenie jego głosu wskazywało, że on, może bardziej niż ktokolwiek inny, jest przytłoczony obrotem wypadków.

Sondeweere miała na sobie białą tunikę i ściągnęła ją pod szyję, nim powiedziała:

– Błagam was, żebyście wzięli pod uwagę dwa fakty

O doniosłym znaczeniu. Pierwszy, że symbonicy tego świata przez cały czas znają moje miejsce pobytu. Dokładnie wiedzą, gdzie jestem w tej chwili, ale nie nabiorą podejrzeń

I nie podejmą żadnych działań, ponieważ, na szczęście dla nas wszystkich, jestem tutaj dość ruchliwa i ta wyprawa nie odbiega od mojego normalnego zachowania.

Po drugie – mówiła dalej – symbonicy przywieźli mnie tutaj statkiem, który dokonuje przelotu międzyplanetarnego

zaledwie w kilka minut.

– Minut! – krzyknął z podnieceniem Zavotle. – Tylko kilka minut?

– Podróż mogłaby zostać zakończona w ciągu kilku sekund, czy nawet ułamków sekund, ale na krótką odległość wygodniej jest przemieszczać się z umiarkowaną prędkością. Gdybym uniosła się w waszym statku, symbonici bardzo szybko zdaliby sobie sprawę, co się stało i dopędzili nas własnym statkiem. Jak już wam mówiłam, nie są z natury mordercami, ale nigdy nie pozwolą mi wrócić do mojego rodzinnego domu. Będą chcieli zmusić nasz statek do wylądowania, a robiąc to, zabiją wszystkich na pokładzie.

– Czy ich broń tak bardzo przewyższa naszą? – zapytał Toller, próbując wyobrazić sobie ten powietrzny pojedynek.

– Statek symbonitów nie posiada broni jako takiej, ale w czasie lotu otacza go pole, nazwijmy je aurą, zabójcze dla życia. Nie mogę wyjaśnić wam teraz podstaw, ale zapewniam, że spotkanie ze statkiem symbonitów zakończyłoby się naszą śmiercią. Niezależnie od tego, czy oni by tego chcieli, czy nie, zginęlibyśmy wszyscy.

Cisza spłynęła na grupkę pilotów, którzy oswajali się ze wstrząsającymi nowinami. Znów zerwał się wiatr, osypując oniemiałe postacie lodowatymi kropelkami deszczu, bez przeszkód przenikającymi przez lekkie koszule i spodnie. Chmury przysłaniające gwiazdy przypominały zamykające się drzwi więzienia. „Farland triumfuje”, pomyślał Toller, próbując pohamować drżenie.

Pierwsza odezwała się Berise, a w jej głosie brzmiała niewątpliwa nuta gniewu.

– Wydaje mi się, że trochę za bardzo porządziłaś się na-

szym statkiem. Gdybyś opowiedziała nam wszystko po wejściu na pokład, moglibyśmy wyrzucić cię i bez przeszkód wrócić na Overland.

– Ale czybyście tak zrobili? – Sondeweere spojrzała na nich z nikłym uśmiechem. – Czy wszystkie wasze decyzje były tak... logiczne?

– Nie mogę mówić za innych, ale jaż pewnością tak bym zrobiła – powiedziała Berise, a Toller natychmiast intuicyjnie wyczuł, że jej wyzwanie było wyrazem nie tyle troski o losy statku i wynik ekspedycji, ile rywalizacji o uczucia Bartana. Mimo ekstremalnej sytuacji znalazł czas, by raz jeszcze pomyśleć z trwożnym szacunkiem o kobiecym umyśle i zacząć lekko bać się Berise. To druga Gesalla! Teraz, gdy się nad tym zastanowił, wszystkie kobiety zdawały się Gesallami, jak nie pod jednym względem, to pod innym, i mężczyzna nie dorównywał im na wybranej przez nie arenie.

– Statek powietrzny nie został nieodwracalnie uszkodzony – podkreśliła Sondeweere. – Celowo sprowadziłam was na ten odległy obszar, na którym Farlandczycy prawdopodobnie was nie odkrywają, więc starczy wam czasu na reperację.

„Zatem jaki sens miało psucie balonu?“, pomyślał Toller. „Ta kobieta ma coś więcej do powiedzenia...”

Bartan zrobił krok w stronę Sondeweere.

– Inni mogą odlecieć, jeżeli chcą – ja zostanę z tobą.

– Nie, Bartanie! Zapomniałeś, dlaczego zostałam tu sprowadzona? Symbonici raczej mnie zabiją, niż pozwolą, bym przestawała z pełnowartościowym samcem własnej rasy.

Toller, wykazując typowo żołnierskie zainteresowanie strategią, zmagął się z problemem, jaki sam sobie postawił. „Sondeweere zniszczyła balon, ponieważ chciała, by statek już



nigdy nie wzbił się w powietrze. W takim razie...”

– Otwiera się przed wami alternatywne rozwiązanie – kontynuowała Sondeweere. – Przedstawię je wam, ale decyzję musicie podjąć sami. Jeżeli zadecydujecie przeciwko, pomogę wam naprawić statek i poprowadzę was z powrotem na Overland, a sama zostanę tutaj. Jeżeli postanowicie zrobić to, co powiem, macie prawo dowiedzieć się o wszystkich niebezpieczeństwach i...

– Jesteśmy za – uciął Toller. – Jak daleko stąd znajduje się symbonicki statek kosmiczny? I jak jest strzeżony?

Sondeweere odwróciła się ku niemu.

– Zaskoczyłeś mnie, Tollerze Maraquine.

– Bez przesady. Nie jestem bystrym człowiekiem, ale nauczyłem się, że niektóre kwestie sporne, niezależnie od mądrości i wiedzy dyskutantów, można rozwiązywać w jeden sposób. Ja tak to rozumiem.

– Morderstwem.

– Uzasadnioną przemocą, blokowaniem wrogiego miecza własnym.

– Nie mów nic więcej, Tollerze. Nie jestem uprawniona do wydawania moralnych osądów. Chciałam zaproponować przejęcie statku, bowiem tylko on mi daje jedyną szansę ucieczki od tej okropnej egzystencji, ale to naprawdę niebezpieczne zadanie.

– Jesteśmy gotowi zmierzyć się z nim – powiedział Toller. Zerknięcie po twarzach towarzyszy utwierdziło go, że myślą tak samo.

– Ale dlaczego jesteście gotowi podejmować śmiertelne ryzyko z mojego powodu?

– Wszyscy mieliśmy własne, wystarczająco dobre po-

wody, by wziąć udział w tej wyprawie.

Sondeweere przysunęła się do Tollera, przez cały czas patrząc mu w twarz, i po raz pierwszy od ich spotkania wyczuła, że zatrudniła nadzwyczajne moce swego umysłu.

– Twój powód nie był wystarczająco dobry – powiedziała ze smutkiem.

– Jak długo mamy stać w tym lodowatym bagnie? – zapytał Toller, przestępując z nogi na nogę w chlupocącej brei. – Prawdopodobnie umrzemy na zimnicę, o ile nie rozprostujemy kości. Jak daleko do statku?

– Dobre dziewięćdziesiąt mil – odparła z nowym ożywieniem Sondeweere, najwidoczniej przyjmując, że podjęto nieodwołalną decyzję. – Ale mam pojazd, który nas tam zawiezie.

– Wóz?

– Swego rodzaju.

– Dobrze. Ten teren raczej nie nadaje się do forsownego marszu. – Toller był zadowolony, że zaoszczędzono mu dalszych rozważań. Pobiegł z innymi do gondoli, by wyładować broń i zapasy jedzenia. Zabrał dla siebie jeden z pięciu muszkietów, ale bez wielkiego entuzjazmu. Sieć sfer ciśnieniowych prawdopodobnie będzie zawadą w bezpośredniej walce, a w dodatku czas konieczny do założenia nowej sfery przed każdym strzałem poważnie obniżał skuteczność broni.

– Popatrz, co znalazłem. – Zavotle, który dygotał nieopanowanie, wyciągnął rękę, w której trzymał drzewce z bracka owinięte błękitno-szarą flagą Kolcorronu.

Toller wziął flagę i cisnął ją w ziemię jak włócznię.

– I w ten sposób wypełniliśmy obietnicę daną Chakkelowi. Od tej chwili możemy zająć się własnymi sprawami.

Wyskoczył z gondoli i pakując zapasy uświadomił sobie, że Sondeweere zniknęła. Rozejrzał się niespokojnie i w tej samej chwili usłyszał dziwny dźwięk – ni to syk gigantycznego węża, ni to parskanie niebieskorożca, ni to grzechotanie i poskrzypywanie wozu. Chwilę później rozróżnił kwadratowy zarys wehikułu, powoli zbliżającego się do statku. Ciekaw, jakie to zwierzę jest odpowiedzialne za tę kakofonię, wyszedł na spotkanie Sondeweere i zatrzymał się zmieszany, gdy stało się jasne, że niezgrabny pojazd porusza się o własnych siłach.

Tył przypominał tradycyjny wóz okryty płótnem napiętym na podpórkach, ale z przodu znajdował się opasty cylinder, z którego wystawała rura, miotająca wycieki w ponure niebo. Sondeweere była widoczna jako blada plama za szklanym ekranem nadbudówki, która tworzyła przednią część wehikułu. Pojazd miał szerokie koła o czarnych obręczach. Po chwili hałas ucichł i Sondeweere wyskoczyła z kabiny.

– Wóz jest napędzany siłą pary – powiedziała uprzedzając lawinę pytań. – Czasami używam go jako domu na kółkach, gdy wyprawiam się w dalszą podróż, więc jest dobrze wyposażony dla naszych celów.

Podróż przez ten region Farlandu była jedną z najbardziej osobliwych, jakie kiedykolwiek przedsięwziął Toller.

Niezwykłość po części wynikała z okoliczności i środowiska. Mimo ochrony zapewnianej przez płócienny dach pojazdu, astronauta musieli znosić wilgotny chłód, niepodobny do niczego, z czym się uprzednio zetknęli. Wkrótce nad niegościnną planetę zawitał świt, nie w postaci fontanny złotego światła i ciepła, jak na Overlandzie, ale jako drobna zmiana tonacji otoczenia, z głębokiej czerni do ołowianej szarości. Nawet powietrze pod płócienną plandeką było zabarwioną

szaro mieszaniną pary oddechów i lepkiej, wciskającej się z zewnątrz mgły, która zdawała się krzepnąć wokół pasażerów i mrozić im krew w żyłach. Tylko Sondeweere, odziana w ciepłą tunikę i spodnie, nie narzekała na przenikliwy ziąb.

Astronauci, spragnieni widoku obcego świata i jego mieszkańców, częściowo rozchyłili płótna, ale nie znaleźli niczego ciekawego w widoku błękitno-zielonych, przysłoniętych deszczem i mgłą trawiastych równin. Toller zwrócił uwagę, że droga jest brukowana i utrzymana dużo lepiej niż trakty na Overlandzie. Gdy stopniowo rozszerzała się, po raz pierwszy ujrzeli farlandzkie zabudowania.

Budynki wywołały komentarze, nie dlatego, że w jakiś sposób były egzotyczne, ale właśnie z powodu całkowitej zwyczajności. Gdyby nie strome dachy, proste parterowe domki mogłyby wtopić się w lokalną architekturę prawie wszędzie na bliźniaczych planetach. O tak wczesnej porze nie widzieli mieszkańców, a Toller pomyślał, że nie ma niczego dziwnego w tym, iż wolą pozostać w łózkach do późna, zamiast narażać się na taką paskudną pogodę.

– Tu nie zawsze jest tak zimno i ponuro – wyjaśniła w tej samej chwili Sondeweere, odwracając się do nich z miejsca w kabinie. – Jesteśmy w średnich szerokościach półkuli północnej, a tak się złożyło, że przybyliście w środku zimy.

Tollerowi, wychowanemu w rodzinie należącej do kasty filozofów starego Kolcorronu, nie była obca koncepcja pór roku, ale dla młodych członków grupy, znających jedynie życie w świecie, którego równik leży dokładnie w płaszczyźnie wokółsłonecznej orbity, była ona całkowicie nowa.

Na początku stwierdzenie, że oś Farlandu jest przekrzywiona, było trudne do zrozumienia, ale gdy je sobie

przyswoili, zarzucili Sondeweere mnóstwem pytań. Byli zaintrygowani różną długością dni i nocy oraz wynikającymi z tego konsekwencjami. Sondeweere wyglądała na zadowoloną, że może odłożyć na bok symboliczny składnik swej osobowości, i reagowała naturalnie, jak człowiek wśród ludzi.

Tollera, przysłuchującego się tej wymianie zdań, ogarnęło poczucie nierzeczywistości. Musiał na siłę przypominać sobie, że Sondeweere przeszła niewiarygodną metamorfozę, że grupa jest w drodze na spotkanie z niewiadomym, że mają walczyć o statek będący kombinacją cudów i magii. I, przede wszystkim, że każdy członek grupy może zginąć w ciągu tych nadchodzących godzin. Młodzi wojownicy, przekonani – jak on niegdyś – że śmierć ich się nie ima, chyba nie zdawali sobie z tego sprawy.

„Bądźcie tacy, jak długo zdołacie”, poradził im w myślach, świadom, że ożywienie, które zawsze towarzyszyło mu w przededniu bitwy, tym razem gdzieś zniknęło. Czy była to reakcja mieszkańca słonecznej planety na ponury i otulony całunem mgły świat, którego lepki, wilgotny ziąb przenikał go do szpiku? Czy do głosu dochodziły złe przeczucia? A może zdolność do przeżywania radości odeszła od niego przygotowując miejsce na ostateczne rozczarowanie?

Ponownie wyjrzał, by przekonać się, czy krajobraz wciąż pozostaje tak samo odpychający. Jego uwagę przyciągnął widok odległych budynków. Zabudowania, jakoś w końcu pasujące do tego obcego świata, różniły się od wszystkich widywanych wcześniej. Skulone w wąskiej dolinie, były zaledwie czarnymi sylwetkami na tle szarego otoczenia, ale w porównaniu z farlandzkimi domami były ogromne i miały liczne kominy, z których w ponure niebo płynęły ciemne pióropusze

dymu.

– Odlewnie żelaza, które zaopatrują fabryki w tym regionie – wyjaśniła Sondeweere w odpowiedzi na jego pytanie.  
– Na Overlandzie tego typu prace przeprowadzano by na otwartym terenie, ale tutaj – z powodu klimatu – konieczna jest zamknięta i zadaszona przestrzeń. Rdzenni Farlandczycy bez wątplenia w odpowiednim czasie sami dorośli by do tworzenia podobnych konstrukcji, ale symbonicy sztucznie przyspieszyli proces uprzemysłowienia. To jedno z ich wielkich przestępstw przeciwko naturze w ogólności i przeciwko mieszkańcom tego świata w szczególności.

„Ale ty także jesteś symbonitką”, pomyślał Toller. „Jak możesz krytykować postęпки swego gatunku?”

Pytanie to zostało natychmiast zastąpione przez inne, mniej filozoficznej natury. Wcześniej, nie angażując w pełni swego intelektu, wyobraził sobie uproszczoną wizję, w której superistoty bez najmniejszego wysiłku przejmują kontrolę nad prymitywnym światem, ale teraz spłynęła nań myśl, że symbonicy byli w sytuacji podobnej do położenia plutonu dobrze uzbrojonych kolcorroniańskich żołnierzy, stawiającemu czoło tysiącom gethańskich wojowników. W przypadku bezpośredniego konfliktu, niezależnie od skuteczności swej broni, byli skazani na przegraną. Potrzebna była inna strategia.

– Powiedz mi – zagadnął Sondeweere – czy Farlandczycy nigdy nie sprzeciwiali się najeźdźcom?

– Nie byli świadomi żadnej inwazji – powiedziała kobieta, nie odrywając oczu od połyskującej matowo drogi – a kto miałby ich uświadomić? Wy też nie byliście w stanie zaakceptować tego, co Bartan wam o mnie 1 powiedział, więc wyobraźcie sobie, jak byście zareagowali, i gdyby ktoś wam powie-

dział, że król Chakkell i królowa Daseene oraz ich dzieci, plus wszyscy arystokraci z potomstwem, są obcymi konkwistadorami w ludzkiej skórze! Czy uwierzylibyście mu i próbowali rozpocząć rebelię? Czy po prostu uznalibyście go za bredzącego wariata?

– Ale mówisz tylko o klasach rządzących. Powiedziałaś nam, że zarodniki symbonów opadły na ten świat na chybił trafił i że nie miały możliwości wybierania swych żywicieli.

– Tak, ale czy nie rozumiecie, że symbonicy w każdym społeczeństwie szybko zinfiltrowaliby struktury władzy? – Sondeweere pokrótce nakreśliła swój punkt widzenia na rozwój Farlandu w ciągu minionych trzech stuleci. Na początku nastąpił wzrost nieporozumień, jakie istnieją między masami a władcami w każdym prymitywnym społeczeństwie. W oczach tubylczych Farlandczyków ich panowie i władcy, już tajemniczy i podobni bogom, po prostu stopniowo stawali się coraz bardziej nowatorscy i pomysłowi. Wprowadzili nowe pomysły, takie jak parowe silniki do ciężkiej pracy, i z każdym krokiem umacniali swoją pozycję.

Wymusili sztuczne tempo rozwoju przemysłowego, ale za pomocą pewnej ręki i cierpliwości. Zaczynając od może, sześciu symbonicznych osobników, doskonale rozumieli J konieczność ostrożnego postępowania, ale dekada po dekadzie kładli podwaliny pod symboniczną kulturę, której przeznaczeniem było zdominowanie całego świata. Swobodnie mieszały się z tubylcami, ale również posiadali ustronia, w których nie postawił nogi żaden czystej krwi Farlandczyk, sekretne miejsca, w których prowadzili prace badawcze i eksperymentowali. Rozumieli, że pewne badania przeprowadzane publicznie mogłyby wzniecić niepokoje. Właśnie w jednej z ta-

kich chronionych enklaw zaprojektowano i zbudowano symboliczny statek kosmiczny.

W trakcie tego wykładu Toller zaczął składać razem przypadkowe kawałki, które złożyły się na obraz samotnej egzystencji, jaką Sondeweere wiodła na tej mało pociągającej planecie. Farlandczycy widzieli w niej groteskową karykaturę normalnej istoty, wybryk natury, który z jakiegoś powodu znalazł się pod ochroną ich panów. Tolerowali jej obecność, ale nie czynili żadnych prób porozumienia się z nią.

Dla zapatrzonych w siebie symbonitów była po prostu umiarkowanym ciężarem, zneutralizowanym zagrożeniem. Z początku próbowali nawiązać z nią przyjazne, oparte na wzajemnym zrozumieniu stosunki, ale z kolei ona zaprezentowała wszystkie te cechy, które zmusiły ich do uniemożliwienia pojawienia się ludzkich symbonitów: oburzenie, pogardę, nienawiść i nieprzejednaną wrogość. I od tej pory zadowolili się trzymaniem jej pod stałym telepatycznym nadzorem. Nauczyli się od niej, czego tylko mogli, wykradli wszystko z jej umysłu i spokojnie czekali na jej śmierć. Czas działał na ich korzyść. Oni jako nowa rasa byli potencjalnie nieśmiertelni; ona była tylko jedna – bezbronna, nietrwała...

– Tam jest jeden! I więcej! – Okrzyk Wrakera, który podniósł płótno, by wyrzeć na zewnątrz, spowodował szybką reakcję pozostałych.

– Pamiętajcie, nie mogą nas zobaczyć – upomniał Toller, robiąc sobie szczelinę między materiałem plandeki a drewnianymi burtami pojazdu. Zerknął na zewnątrz i zobaczył, że przejeżdżają przez wieś, która dla niego była godna uwagi dlatego, iż była tak kompletnie pozbawiona cech szczególnych. Wyglądało na to, że rzemieślnicy w całym kosmosie – mura-



rze, stolarze, kowale – wychodzili z tymi samymi uniwersalnymi praktycznymi rozwiązaniami uniwersalnych praktycznych problemów. Wioska, jak pojedyncze domy widziane wcześniej, równie dobrze mogła znajdować się w umiarkowanych strefach Landu. Ale jej mieszkańcy byli zupełnie inni.

Przypominali ludzi, byli jednak znacznie niżsi i posiadali całkiem odmienne proporcje. Kaptury i wiele warstw odzieży, najwyraźniej do ochrony przed deszczem, nie maskowały faktu, że ich kręgosłupy były wygięte prawie w półkola, przez co chodzili kołysząc się z boku na bok, z wypiętymi brzuchami i twarzami zadartymi w górę. Mieli krótkie i kłocowate nogi, ale nie tak skrócone jak ręce, które nie miały stawów i kończyły się tam, gdzie ludzie mają łokcie. Masywne dłonie, wyposażone w pięć palców, otwierały się i zamykały w czasie marszu. Pod kapturami trudno było zobaczyć twarze, ale zdawały się blade i pozbawione zarostu, pokryte fałdami tłuszczu.

– Elegancy – skomentował Bar tan. – Co to za wróg!

– Nie bądź taki pewny siebie – rzuciła przez ramię Sondeweere. – Są silni i chyba nie boją się bólu czy ran. Są również fanatykami posłuszeństwa władzy.

Toller zobaczył, że Farlandczycy, prawdopodobnie w drodze do pracy, patrzyli na mijający ich pojazd z zainteresowaniem w głęboko osadzonych, migocących bielą i bursztynem oczach.

– Zauważyli cię?

– Możliwe, ale cała ciekawość, na jaką mogą zdobyć się ich tępe umysły, prawdopodobnie jest skierowana na ten wehikuł – transport zmotoryzowany nadal jest rzadkością. W pewien sposób jestem uprzywilejowana.

– A jak dobrze jest zorganizowana i wyekwipowana ich armia?

– Farlandczycy nie mają armii w twoim znaczeniu tego słowa, Tollerze Maraquine. Mordercze konflikty wyszły z mody setki lat temu, dzięki symbonitom, i wtedy skończono z wojskiem, jego miejsce zajęło ogromne zrzeszenie, którego nazwę najlepiej można przetłumaczyć jako Siły Publiczne. Należący do nich osobnicy jednomyślnie i bez pytania wykonują każde przydzielone im zadanie: regulowanie rzek, trzebieenie lasów, budowę nowych dróg...

– Nie są więc wyszkolonymi wojownikami?

– Brak umiejętności zastępuje liczba. I powtarzam: są niscy, niezgrabni, ale bardzo silni.

Zavotle oderwał się od kontemplacji trawiącego go bólu.

– Są inni, a jednak... Jak to powiedzieć? Mamy więcej podobieństw niż różnic.

– Nasze słońce znajduje się blisko środka galaktyki, gdzie gwiazdy leżą blisko siebie. Możliwe, że życie, jakie zostało posiane tysiące lat temu, może więcej niż raz, wywodzi się z jednego pnia... Międzygwiazdny podróżnik mógłby znaleźć ludzi czy ich kuzynów na wielu planetach.

– Co to jest galaktyka? – zapytał Zavotle, rozpoczynając długą sesję, w której pytania zadawali astronauty, a odpowiedzi udzielała Sondeweere. Wszyscy byli żądni wiedzy, którą kobieta uzyskała zarówno przez związek z symbonitami, jak i dzięki własnej umiejętności dedukcji, wzmocnionej do stopnia nieosiągalnego przez zwyczajnych ludzi. Dla Tollera zrozumienie, że każdy z setek mglistych wirów widocznych na nocnym niebie jest skupiskiem może setek tysięcy milionów słońc, było niczym mieszanka zdrowego, intelektualnego za-

dowolenia i bolesnego żalu. Jednocześnie był podniecony zakresem nowej wizji i przygnębiony – wydał się sobie tak nic nieznaczącym pyłkiem wobec ogromu kosmosu i czuł smutek, że jego brat, Lain, nie dożył chwili, w której mógłby zająć należne mu miejsce w intelektualnej uczcie, jaką była ta niezwykła wyprawa.

Gdy transporter z sykiem i prychnaniem jechał przez gęstniejący łańcuch wiosek, Toller stopniowo zdał sobie sprawę, że Bartan Drumme nie bierze udziału w wymianie zdań. Młodzieniec wyglądał dziwnie apatycznie, nawet nie zmienił pozycji, by przestały na niego skapywać krople deszczu, sączące się przez dziurawą plandekę, i pijąc stosunkowo niewiele, tulił do siebie zabrany ze statku bukłak. Toller zastanowił się, czy przygnębiła go perspektywa bitwy, czy może zaczęło do niego wreszcie docierać, że kobieta, którą poślubił, i ta wszechwiedząca, przerażająco utalentowana istota spotkana na Farlandzie są dwiema całkiem różnymi osobami, oraz że wszelkie przyszłe stosunki między nimi nigdy nie będą już podobne do tych minionych.

– ...nie jak spalane w piecu paliwo – mówiła Sondeweere. – Atomy najlżejszego gazu występującego we wnętrzu słońca łączą się, tworząc cięższy gaz. W trakcie tego procesu powstają olbrzymie ilości energii i właśnie dlatego słońce świeci. Żałuję, że nie mogę przedstawić wam tego dokładniej, wyjaśnienie podstawowych zasad i koncepcji trwałoby zbyt długo.

– A nie mogłabyś wytłumaczyć nam tego swym niemym głosem? – zapytał Toller. – Jak wtedy, gdy byliśmy jeszcze w próżni?

Sondeweere zerknęła na niego.

– Niewątpliwie to byłoby pomocne, ale nie śmiem wchodzić w łączność telepatyczną. Mówiłam wam, że symbonici przez cały czas wiedzą, gdzie jestem, a im bliżej statku jestem, tym bardziej koncentrują na mnie swą uwagę, ponieważ to jedyne miejsce w kraju, do którego nie wolno mi się zbliżyć. Gdyby wychwycili najlżejszy ślad aktywności telepatycznej, ich bierne zainteresowanie moimi ruchami natychmiast przekształciłoby się w bezpośrednie działanie.

– Powinni byli zniszczyć statek – skomentowała Berise; w jej głosie nadal pobrzmiwał ślad goryczy.

– Może – ale na razie nie wiedzą, ile zarodków symbonu pozostało na Overlandzie, by dać początek nowym ludzkim symbonitom. – Sondeweere obdarzyła Berise uśmiechem, który miał dawać do zrozumienia, że jest ponad osobiste rozgrywki. – Poza tym zbudowanie statku nie obyło się bez ofiar z ich strony.

– Ofiary wcale nie muszą być jednostronne.

– Wiem – powiedziała z prostotą Sondeweere. – Mówiłam wam to na samym początku.

## ROZDZIAŁ 18

Wehikuł skręcił gwałtownie w lewo i w ciągu kilku minut stosunkowo spokojna jazda przemieniła się w podskakiwanie i kołysanie, któremu towarzyszyły nieustanne jęki podwozia. Toller podniósł się i spojrzał ponad ramieniem odzianej w biel Sondeweere. Zobaczył, że zjechali z drogi i teraz podążają przez otwartą trawiastą równinę. Krajobraz widziany przez zmywaną deszczem szybę był płaski i monotony, tylko gdzieniegdzie rosły stożkowate drzewa.

– Jak daleko? – zapytał.

– Niedaleko. Jakieś dwanaście mil – odpowiedziała Sondeweere. – To nie będzie dla was zbyt przyjemne, ale musimy jechać teraz jak najszybciej. Dotychczas symbionicy nie mieli powodu do wszczynania alarmu, bo droga może prowadzić do wielu punktów przeznaczenia, lecz w tym kierunku znajduje się tylko... – Urwała, wciągając gwałtownie powietrze i na chwilę zwolniła pewny chwyt na rumplu, przez co pojazd zjechał i skręcił gwałtownie. Astronauci wyprostowali się, chwytając za broń.

– O co chodzi? – zapytał Toller, domyślając się, co się stało.

– Zostaliśmy odkryci. Ogłoszono alarm, dużo wcześniej, niż oczekiwałam. – Jej głos nie zdradzał niepokoju, ale Sondeweere przesunęła dźwignię i hałas silnika przybrał na sile. Protesty podwozia stały się głośniejsze, gdy pojazd zwiększył prędkość.

Toller poczuł znajome drzenie starego, paskudnego podniecenia.

– Możesz nam powiedzieć coś o tym, co leży przed nami? Fortyfikacje? Broń?

– Obawiam się, że bardzo mało. Informacje tego typu

trudno jest zgromadzić. – Sondeweere dodała, że zgodnie z tym, czego zdołała się dowiedzieć, symbonicki statek jest trzymany w starym meteorytowym kraterze, pełniącym rolę naturalnych umocnień. Przypuszczała, że jest chroniony również przez wysokie ogrodzenie ustawione na krawędzi krateru oraz strażników uzbrojonych w miecze i może piki, ale nie potrafiła podać ich liczby.

– Bez łuków? Bez włóczni?

– Ich budowa raczej nie sprzyja używaniu łuków czy broni nadającej się do rzucania.

– A broń palna?

– W tym świecie nie ma drzew brakka, a chemiczna wiedza Farlandczyków nie jest jeszcze dostatecznie zaawansowana, by mogli wymyślić sztuczne materiały wybuchowe.

– To brzmi całkiem zachęcająco – wtrącił Wraker, szturchając łokciem Tollera. – Obrona wydaje się nieproporcjonalnie słaba.

– Normalnie obrona ma na celu jedynie powstrzymanie dzikich zwierząt – powiedziała Sondeweere. – W pojedynkę nie miałabym po co tu przybywać – a nikt logicznie myślący nie spodziewałby się przylotu statku z Overlandu przed upływem czterech czy pięciu stuleci. – Uśmiechnęła się i w jej głosie rozbrzmiała ciepła nuta. – W wybitnie racjonalnym symbonickim postrzeganiu rzeczywistości ludzie tacy jak wy po prostu nie istnieją. Wraker w odpowiedzi wyszczerzył zęby.

– Dowiedzą się o nas wkrótce. I drogo za to zapłacą. Toller zmarszczył brwi.

– Nie możemy pozwolić sobie na nadmierną pewność siebie. Ile czasu zajmie im wezwanie posiłków?

– Nie wiem – odparła Sondeweere. – Na północ od tego

miejsca są prowadzone na wielką skalę roboty drogowe, ale nie umiem powiedzieć w jakiej odległości.

– Ale znałaś naszą dokładną pozycję, gdy znajdowaliśmy się wiele tysięcy mil stąd.

– Jedynie dzięki istniejącej między nami naturalnej i potężnej empatii, będącej wynikiem pochodzenia z tego samego pnia. Umysły Farlandczyków są dla mnie zamknięte.

– Rozumiem – powiedział Toller. – Oczywiście z góry I nie możemy uzgodnić taktyki, ale mam ostatnie pytanie...

I odnośnie do samego statku.

– Czy będę umiała nim latać? Odpowiedź brzmi: tak. – Mimo że nigdy go nie widziałaś? – Tego również nie można wam wyjaśnić, nawet za pomocą telepatii, i bardzo mi przykro z tego powodu, ale że tym statkiem nie kieruje się mechanicznie. Gdy ktoś rozumie wszystkie zasady działania, statek robi dokładnie to, co mu się każe, natomiast bez tego niezbędnego zrozumienia nie przesunie się nawet o cal.

Tu Toller zamilkł. Sondeweere znów przypomniała, że mimo swego całkowicie normalnego wyglądu i zachowania w rzeczywistości jest obcą i zagadkową superistotą. To, że on i pozostali mogli porozumiewać się z nią na równych I warunkach, prawie całkowicie zależało od jej chęci – na takiej samej zasadzie szacowny filozof potrafi zabawić dwuletnie dziecko.

Zerknął na Bartana, na nowo świadom niezwyklej i godnej współczucia sytuacji młodego człowieka, który z zadumanym, prawie ponurym wyrazem twarzy wpatrywał się w tył głowy Sondeweere. Czując, że jest obserwowany, zdobył się na krzywy uśmiech i podniósł do ust bukłak. Toller wyciągnął rękę, by go powstrzymać, zobaczył rodzące się w oczach Bartana wyzwanie i odruchowo odwrócił dłoń. „Robię się

miękki”, pomyślał, przyjmując bukłak i pociągając porządny łyk, „ale może nie przedwcześnie”.

– A ty, Sondy? – powiedział Bartan nieco wyzywająco. – Chcesz na rozgrzewkę kropelkę brandy?

– Nie. To ciepło jest fałszywe, a poza tym nie odpowiada mi smak brandy.

– Myślałem, że może się napijesz. – W głosie Bartana dała się słyszeć wyraźna nuta smutku i goryczy. – Czym się tutaj żywisz? Nektarem i rosą? Kiedy wrócimy na farmę, będziesz miała tego pod dostatkiem, ale ufam, że nie zabronisz mi poprzestać na porcjach czegoś mocniejszego.

Sondeweere rzuciła mu błagalne spojrzenie.

– Bartanie, masz prawo mieć pretensje. Wolałabym z tobą porozmawiać na osobności, ale...

– Nie mam nic do ukrycia przed swymi przyjaciółmi, Sondy. Mów! Wyjaśnij nam wszystkim, że dla księżniczki pójście do łóżka z chłopem byłoby wysoce niestosowne.

– Bartanie, proszę, nie przysparzaj sobie niepotrzebnego bólu. – Sondeweere z powodu hałasu pędzącego wehikułu musiała prawie krzyczeć, w jej głosie brzmiała jednak pełna troski czułość. – Chociaż zmieniłam się tak bardzo, nadal chciałabym być twoją żoną, ale tak nigdy nie będzie... bo...

– Bo co?

– Bo spoczywa na mnie nadrzędny obowiązek w stosunku do wszystkich mieszkańców Overlandu. Nie godzę się na odebranie mojej rasie prawa do jej ewolucyjnego dziedzictwa przez założenie dynastii symbonitów, która zdominowałaby zwyczajnych ludzi i ostatecznie doprowadziłaby do ich wymarcia.

Bartan, który najwyraźniej usłyszał coś całkowicie wy-



kraczącego poza jego oczekiwania, wyglądał na zbitego z tropu, lecz nadal był na tyle bystry, by odpowiedzieć:

– Nie musimy mieć dzieci. Są inne sposoby... na przykład nałożnice... Nigdy nie chciałem być obarczony gromadą hałaśliwego potomstwa.

Sondeweere zdobyła się na cichy śmiech.

– Nie uda ci się mnie okłamać, Bartanie. Wiem, jak bardzo chcesz mieć dzieci, prawdziwych spadkobierców – nie obce hybrydy. Jeżeli będziesz miał szczęście wrócić na Overland, twoją jedyną szansą będzie związanie się z normalną młodą kobietą, która urodzi ci normalne dzieci. Wierz mi, ta przyszłość warta jest zachodu.

– To przyszłość, którą odrzucam.

– Decyzja nie należy do ciebie, Bartanie. – Sondeweere umilkła na chwilę, gdy pojazd wpadł na wyboisty kawałek gruntu i dudnienie uniemożliwiło rozmowę. – Czyżbyś zapomniał o symbonitach z tego świata? Jeżeli uda nam się ukraść ich statek i wrócić nim na Overland, zbudują następny i przyłecą po mnie. Nie będą ryzykować, nie pozwolą, bym żyła wśród swoich i urodziła dziecko.

Przypuszczam, że na pokładzie drugiego statku będzie znajdowała się broń, straszliwa broń, a symbonici nie będą i wzdragać się przed jej użyciem.

– Ale... – Bartan przeciągnął ręką po zmarszczonym ' czole.

– To okropne, Sondy. Co zrobisz?

– Zakładając, że przeżyję następną godzinę... Otwiera f się przede mną tylko jedno wyjście: zabiorę statek i polecę do jakiejś galaktyki, może do wielu, poza zasięg symbonitów. Będzie to samotna egzystencja, ale zaoferuje mi coś w zamian.

Wiele zobaczę przed śmiercią.

– Pojadę z... – zaczął impulsywnie Bartan, po czym urwał, a w jego oczach pojawiło się cierpienie. – Nigdy nie| mógłbym tego zrobić, Sondy. Umarłbym ze strachu.

Toller wiedział, że słucha normalnego głosu Sondeweere, ale jej słowa przeszywały go prawie tak, jakby mówiła telepatycznie. Było w nich echo snów, jakich nigdy nie ośmielał się śnić, echo wizji, które niegdyś widział w przelocie – mknąc na myśliwcu w kłujących promieniach słońca... Zawsze marzył, by robić to aż do śmierci, paść oczy, umysł i duszę widokiem rzeczy, których nigdy wcześniej nie widział, nowych światów, nowych słońc, nowych galaktyk, zawsze czegoś nowego, nowego, nowe g o... To była perspektywa, jaką architekt wszechświata zaplanował specjalnie dla niego; wędrówka w mrocznej próżni zapełniłaby dręczącą go mroczną, wewnętrzną pustkę twardym światłem, radosnym światłem; musiał tego zażądać, bez względu na to jak niewielkie były szanse wygranej...

– Ja chciałbym z tobą polecieć – mruknął, a słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte gardło. – Proszę, zabierz mnie.

Sondeweere na wpół obróciła się ku niemu, siła jej umysłu omiotła go niczym snop światła latarni, a on czekał jak sparaliżowany na jej odpowiedź.

– Tollerze Maraquine, mówiłam ci, że twój powód przylotu na Farland nie był wystarczająco dobry, ale powód, dla którego chcesz odlecieć, posiada swego rodzaju wartość. Niczego nie obiecuję. Być może wszyscy zginiemy za kilka minut. Ale jeżeli uda nam się przejąć statek symbonitów, wszechświat będzie należał do ciebie.

– Dziękuję ci. – Głos, jaki wydobył się z krtani Tollera, przypominał pełne bólu krakanie, i mężczyzna musiał zamrużyć, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. – Dziękuję!

Niska ściana krateru niewiele różniła się od otaczającego terenu. Całkowity brak oświetlenia wraz z zamazującym wszystko deszczem sprawił, że wehikuł był niecałą milę od krateru, nim Toller w końcu dojrzał umocnienia.

Jak powiedziała Sondeweere, wokół krawędzi ledwo widocznej w postaci mglistoszarej elipsy ciągnęło się wysokie ogrodzenie z ciemniejszą plamą, w której domyślili się bramy. Teleskop z powodu podskoków i chybotania pojazdu był kompletnie bezużyteczny, ale po pewnym czasie Toller dostrzegł stojące za bramą co najmniej dwa podobne wehikuły. Farlandczycy, rojący się w najbliższej okolicy, wyglądali jak ruchliwe brązowe cętki.

– Musimy ominąć bramę i przedrzeć się przez ogrodzenie – powiedział do Sondeweere, odkładając teleskop. – Możesz przyspieszyć?

– Tak, ale istnieje ryzyko złamania osi na takim gruncie.

– Czyń, jak uważasz, ale pamiętaj, że jeżeli nie przejdziemy przez ogrodzenie, nie pojedziemy już nigdzie.

Toller odwrócił się do pozostałych i natychmiast poznał, że właśnie doświadczają utraty pewności siebie, czegoś, co widywał wiele razy w czasie płynących niemiłosiernie wolno ostatnich minut przed bitwą. Twarz Bartana była tak blada, że prawie świeciła w ciemności, i nawet Berise i Wraker, biegli w sztuce zabijania na odległość, milczeli ponuro. Jedyne Zavotle, zajęty sprawdzaniem muszkietu, nie wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie próbujcie planować niczego naprzód – powiedział

im Toller. – Wierzcie mi, że wasze miecze same zrobią wszystko, co będzie konieczne. No, zrzućmy tę plandekę.

W ciągu kilku sekund szorstki materiał oddzielający skrzynię od zewnętrznego świata został ściągnięty i wyrzucony z niebezpiecznie kołyszącego się wehikułu. Zimny deszcz zawirował wokół cienko ubranych postaci.

– Warto pamiętać o jeszcze jednym – Toller zerknął na zaciągnięte chmurami niebo i skrzywił się z przesadną odrazą. – Wszystko jest lepsze od życia w takim przeklętym miejscu i powolnego zamieniania się w rybę.

Śmiech był głośniejszy, niż na to zasługiwała jego uwaga, ale Toller dawno już nauczył się, że w żołnierskim humorze nie ma miejsca na subtelności, i był zadowolony, że między nim a załogą został przerzucony istotny psychologiczny most. Wyciągnął miecz i stanął za plecami Sondeweere, patrząc nad dachem kabiny.

Wehikuł ruszył skosem w kierunku krawędzi krateru. Toller zobaczył, że ogrodzenie zrobiono z podobnych do włócznie metalowych prętów, połączonych poprzeczkami z mocnymi filarami. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie kazać Sondeweere, by zwiększyła prędkość, lecz przypomniał sobie, że ona zdecydowanie lepiej od niego orientuje się w arkanach mechaniki. Z komina strzelił snop pomarańczowych iskieł, gdy ciężki wehikuł z rumorem zjeżdżał ze szczytu wzniesienia. Daleko po lewej stronie Toller zobaczył biegnących Farlandczyków, a w dali za nimi widniały pewne nierówności terenu, co wskazywało, że roboty drogowe są prowadzone zaledwie milę dalej.

– Trzymać się! – wrzasnął i złapał dach kabiny, gdy wehikuł uderzył w ogrodzenie.

Cała sekcja została zdarta ze słupów i przewróciła się do środka, ale dźwięk zderzenia zmieszał się z zatrważającym charczeniem silnika i syczącą eksplozją. Ze zbiornika trysnęły kłęby gorącej pary, na chwilę spowijając wszystko białym całunem, potem wehikuł stoczył się do okrągłego obniżenia, w środku którego znajdował się symbonicki statek. Stał na kamiennej podmurówce otoczonej fosą.

Toller wcześniej próbował go sobie wyobrazić, ale kompletnie nie był przygotowany na widok prawie gładkiej metalowej kuli, podtrzymywanej przez trzy pałakowate nogi zakończone okrągłymi podkładkami. Kula miała dobre dziesięć jardów średnicy i krąg iluminatorów w górnej części, ale nie było widać ani śladu wejścia.

Niestety, Toller zobaczył nie tylko ucieleśnienie swych marzeń, ale również odzianych na brązowo Farlandczyków, którzy przypadkiem znajdowali się w pobliżu wyrwy w ogrodzeniu i teraz biegli ku pojazdowi. Chociaż wehikuł zjeżdżał po skłonie, gwałtownie tracił szybkość, czemu towarzyszył nieustanny metaliczny rumor, i Farlandczycy z łatwością przecięli jego kurs. Wyglądali jak groteskowe karzełki, gdy podskakiwali na kłocowatych nogach. Spod odrzuconych w tył kapturów ukazały się łyse czaszki. Toller poczuł, że żołądek kurczy mu się raptownie, gdy zauważył, że nie mają broni.

– Stać! – krzyknął mimowolnie, gdy dwóch obcych dopadło wehikułu. Jeden odbił się i złapał za burtę, podczas gdy drugi zajął się kabiną, wyciągając potężną łapę po Sondeweere. Toller z rozmachu ciął w niczym nie chronioną głowę – szabla rozszczepiła ją niemal na dwoje – i napastnik upadł bez jęku, tryskając krwią niczym fontanna.

Drugiego, który próbował wciągnąć się na burtę, Wraker

ciął mieczem po gardle. Obcy zniknął z pola widzenia, ale jego palce nadal uparcie zaciskały się na drewnianej krawędzi. Wraker i Berise odrąbali większość z nich, nim wreszcie Farlandczyk odpadł od boku pojazdu. Znieruchomiał w trawie, ale ku zdumieniu Tollera ten z rozłupaną czaszką był znów na nogach. Zrobił kilka chwiejnych kroków, nim w końcu upadł na kolana i przewrócił się na ziemię.

„Trudno ich zabić”, pomyślał Toller. „Te ludziki mogłyby powalić gigantów...”

Wehikuł zagrzechotał i zatrzymał się, spowity dymem i mgłą. Toller zerknął w kierunku bramy na krawędzi krateru i zobaczył, że inni Farlandczycy pędzą gromadnie w dół skłonu. Przyćmione błyski powiedziały mu, że ci są uzbrojeni. Wziął muszkiet, przełożył nogę przez burtę pojazdu i zeskoczył na ziemię. Towarzysze podążyli za nim.

Sondeweere, nie obciążona bronią, pierwsza dopadła prostego drewnianego mostu. Toller i pozostali pognali za nią, czując, jak grube bale trzęsą się pod ich stopami. Gdy Sondeweere zbliżyła się do statku, prostokątny fragment z boku kuli odchylił się na zawiasach na zewnątrz. Toller wyhamował z poślizgiem i podniósł muszkiet.

– Nie strzelaj! – krzyknęła Sondeweere. – Otworzyłam drzwi. Zaraz opuści się drabinka albo... albo... – Do jej głosu zakradła się dziwna nuta niezdecydowania.

Toller, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem, zauważył poniżej wejścia puste metalowe uchwyty. Przez chwilę jego żołnierski umysł dorównywał jej umysłowi i Toller zrozumiał, że do statku normalnie wchodziło się po wysuwającej się z łuku drabince. Ktoś zastosował prosty i skuteczny środek ostrożności: wymontował ją, przez co wejście stało się jedna-

ko niedostępne tak dla głupca, jak geniusza. Dolny skraj luku znajdował się na wysokości co najmniej dwunastu stóp nad poziomem gruntu, w dolnej połowie kuli, i dla przeciętnego Farlandczyka wysokość ta stanowiła rzeczywiście przeszkodę nie do pokonania. Ale dla ludzi...

– Przeprowadź pojazd przez most! – krzyknął Zavotle. – Możemy wspiąć się po nim.

– Nie dam rady go uruchomić – odpowiedziała Sondeweere. – A ten most i tak jest za słaby.

– Dosięgniemy drzwi! – zawołał Toller, kładąc broń na kamieniach. – Sondeweere, to logiczne, że ty musisz pójść pierwsza. Staniesz na moich ramionach. Chodź!

Rzucił okiem na nadciągających Farlandczyków, potem skinął na Zavotle'a, Wrakera i Berise.

– Brońcie mostu! Używajcie muszkietów ile się da! Weźcie też mój i pokażcie tym pokurczom, że dla własnego dobra powinni trzymać się z daleka. I sprawdźcie, czy można poruszyć belki mostu.

Astronaucci pobiegli, po drodze odczepiając sfery ciśnieniowe, w których znajdowały się zmieszane już porcje pikonu i halvellu. Toller stanął pod drzwiami statku i wyciągnął ręce po Sondeweere, która zbliżyła się bez chwili zwłoki. Objął ją w tali i z jej pomocą podniósł na ramiona. Sondeweere wyprostowała się i położyła ręce na progu.

W tym samym czasie zbiegająca ze zbocza pierwsza grupa Farlandczyków dostała się w pole rażenia i obrońcy otworzyli ogień. Pierwsza salwa powaliła tylko jednego obcego, ale huk muszkietów – wzmocniony przez naturalny amfiteatr krateru – zasiał wśród nich ziarno paniki. Ślizgając się i wpadając na siebie, próbowali zatrzymać się na pochyłości.

Toller odwrócił się i wsunął ręce pod stopy Sondeweere. Wyprostował ramiona i wepchnął ją do statku, całkowitą uwagą poświęcając długiej, targającej nerwy ciszy, jaka zapadła po huku. Opóźnienie, spowodowane koniecznością wykręcenia zużytych sfer i założenia nowych, było głównym powodem, dla którego darzył broń palną niewielkim zaufaniem.

Nim Sondeweere znalazła się w bezpiecznym wnętrzu statku, Farlandczykom zaczęło świtać, że niezależnie od psychologicznej siły nieznannej broni, wyrządzone szkody są raczej niewielkie. Znowu rzucili się do przodu, z krótkimi mieczami w dłoniach. Druga salwa, tym razem z bliższego zasięgu, zwałała z nóg przynajmniej trzech, a nie powstrzymała pozostałych.

– Znajdź linę! – krzyknął Toller.

– Linę? Na tym statku liny nie są potrzebne.

– No to znajdź coś innego! – Toller odwrócił się w kierunku mostu i zobaczył, że przebiega po nim grupa Farlandczyków.

Ilven Zavotle, toczący własną wojnę przeciwko własnemu wrogowi, wybiegł im na spotkanie z muszkietem w lewej, a mieczem w prawej dłoni. Strzelił, przykładając lufę do wystającego brzucha obcego, i prawie natychmiast pochłonęła go fala wzniesionych ramion i mieczy. Toller załkał głośno, gdy zobaczył, jak jego najstarszy przyjaciel, cierpliwy „rozgryzacz problemów”, jest roznoszony na ostrzach mieczy.

Po kilku sekundach muszkiety znowu plunęły ogniem i tym razem, na wąskim froncie mostu, wywarły znaczny efekt. Farlandczycy cofnęli się, pozostawiając martwych i śmiertelnie rannych, ale nie dalej jak na drugi brzeg. Ktoś, kto wyglądał na dowódcę, przemówił do nich w szybkim, obcym języku. Trzej pozostali przy życiu Overlandczycy, patrząc na nich po-



nad czerwonym od krwi mostem, gorączkowo ładowali broń.

Toller pobiegł w ich stronę, jednocześnie zerkając na statek. W ciemnym prostokącie wejścia widniała Sondeweere, bezradnie obserwująca walkę.

„Niedługo będziemy razem”, pomachał do niej, odpierając nowego wroga: myśl, że klęska jest nieunikniona. Ta myśl mogła spowodować spustoszenie większe niż realny zewnętrzny nieprzyjaciel.

Blizsze oględziny potwierdziły jego pierwsze wrażenie, że most był prostą konstrukcją z grubych kłód, których końce spoczywały na murowanych półkach po obu stronach fosy.

– Berise! – krzyknął. – Weź muszkiety i strzelaj z nich po kolei! Bartan i Dakan, pomóżcie mi przy tych dechach!

Ukląkł przy moście, podłożył ręce pod belkę i naprężył się, by ją podnieść. Bartan i Wraker pomogli mu i wspólnym wysiłkiem udało im się zwalić nasiąkniętą wodą belkę do fosy. Farlandczycy wrzasnęli z wściekłością i rzucili się na most, gdzie pozostało jeszcze pięć bali. Berise wypaliła z czterech muszkietów, a w tym czasie Toller i jego pomocnicy, gnani paniką, podnieśli i przesunęli cztery belki, posyłając je wraz z ciałami – żywych i martwych – w brązową wodę. Toller nie patrzył na białopurpurowe 1 strzepy, szczątki przyjaciela, Ilvena Zavotle'a.

Podniósł szablę, gdy zdesperowani Farlandczycy pełzli po ostatniej już belce. Wraker ciął prowadzącego po gardle. Gdy obcy z rozpostartymi ramionami spadał do wody, Berise strzeliła do następnego, a siła uderzenia pchnęła go na drugiego. Obaj zakołysali się, ale nim spadli z belki, ten nie zraniony zdążył cisnąć swój miecz. Krótka, ciężka broń poszybowała w powietrzu z niezwykłą celnością i worała się prawie

po rękojeść w brzuch Wrakera. Wraker zacharczał okropnie, lecz nie upadł.

Toller minął go, rzucił się na kolana i złapał ostatnią belkę. Była oślizgła od porastających ją alg i dodatkowo , obciążona Farlandczykami, temu nie mogły sprostać nawet jego potężne mięśnie. Niejasno zdał sobie sprawę z kolejnego wystrzału i z tego, że za jego plecami stanął Bartan. i Przesunął belkę, tym razem śliska powierzchnia okazała się i pomocna, i prawie zsunął ją z półki. Dwaj Farlandczycy dotarli do niego w chwili, gdy czynił ostateczny wysiłek, by zepchnąć belkę, i usłyszał szcęk zderzających się ostrzy, to Bartan zaczął walkę z obcymi. Czubek miecza ciął Tollera w ucho, gdy rzucił się w tył i zrywał na nogi.

Jeden z Farlandczyków zniknął wraz z belką, drugi skoczył na podmurówkę i teraz jego ramiona kreśliły koła, w powietrzu, gdy próbował odzyskać równowagę. Wraker, nadal na nogach, wbił czubek miecza w jego twarz. | Bartan, blady i jakby nieobecny, stał w pobliżu, ściskając ranę na lewej ręce. Krew obficie spływała mu po palcach. | Berise klęczała, pochylona nad muszkietami; jej zimne palce błyskawicznie wymieniały ciśnieniowe sfery. Toller spojrzał na Farlandczyków po drugiej stronie fosy

I zobaczył, że przez bramę na krawędzi krateru wlewają się | posiłki. Akcja przy moście dała obrońcom nieco czasu, ale można go było zmierzyć w sekundach – a przy wchodzeniu na pokład statku mieli stać się przecież najbardziej bezbronni.

Toller skierował uwagę na Wrakera i zastanowił się, czy ten pilot o łagodnym charakterze rozumie, że umiera, że jego książka nigdy nie zostanie napisana. Plamy krwi szybko rozprzestrzeniały się na przemoczonym deszczem ubraniu, z

brzucha sterczała rękojeść farlandzkiego miecza. Wraker stał niepewnie, ale mówił jeszcze wyraźnie.

– Toller, czemu tracisz cenny czas? Spiesz, dopóki dobrze idzie. Żałuję, że do was nie dołączę – ale mam do załatwienia pewien interes z naszymi szpetnymi małymi przyjaciółmi.

Odwrócił się i osunął na kolana na skraju fosy, kładąc obok siebie miecz. Berise wstała, położyła przy nich trzy załadowane muszkiety. Dakan rozejrzał się, jakby chciał coś powiedzieć, ich oczy spotkały się, ale ona już podniosła czwarty muszkiet i pobiegła do Bartana. Popchnęła go wytrącając z otumanienia i oboje popędzili do statku.

Toller zawahał się. Widział, jak dwaj Farlandczycy po drugiej stronie fosy przygotowują się do wskoczenia do wody. Ich krótkie kończyny młóciły powietrze, gdy nabierali rozpędu. Nawet gdyby obcy byli kiepskimi pływakami, wkrótce wpadną na pomysł, by do pokonania przeszkody użyć rozrzuconych belek – wszystko to przemawiało za zostawieniem Wrakera, który już i tak był skazany, i udaniem się na pokład statku. Toller, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że zdradza towarzysza, odwrócił się i pobiegł do Berise i Bartana czekających pod ogromną, enigmatyczną kulą.

– Nie ma lin! – krzyknęła z ciemności luku Sondeweere.  
– Co zrobicie?

– To co wcześniej! – odkrzyknął Toller. – Podniosę Berise i Bartana.

– A ty? Jak ty wejdiesz?

Bitewna gorączka ogarnęła Tollera, gdy usłyszał huk muszkietu Wrakera.

– Zniżycie mój pas, a ja go dosięgnę. – Odpiął szablę i

wyciągnął ręce po Berise. – Chodź!

Potrząsnęła głową.

– Bartan jest ranny i bez pomocy nie wejdzie ci na ramiona. On musi iść pierwszy.

– Dobrze – powiedział Toller, sięgając po Bartana, który zataczał się niczym pijany. Bartan chciał się wymknąć, ale rozległ się kolejny strzał i Tollera opuściła reszta cierpliwości. Warcząc z wściekłości jak wilk, otoczył biodra młodzieńca rękami i dźwignął go w górę. Berise przytrzymała Bartana w pionie i wsunęła ramię pod jego stopę, a z góry przyłączyła się Sondeweere, i tak wspólnymi siłami wywindowali protestującego młodzieńca na próg drzwi.

Cała operacja trwała kilka sekund, w tym czasie Toller zarejestrował dwa kolejne wystrzały. Zerknął w kierunku fosy i zobaczył, jak Wraker z mieczem w dłoni atakuje Farlandczyków, którym udało się wejść po pochyłych balach mostu. Bicie serca przemieniło się w serię głuchych wewnętrznych eksplozji, gdy Toller zrozumiał, że cenny zapas sekund wyczerpuje się w zatrważającym tempie.

Berise zarzuciła muszkiet na plecy i wyciągnęła ręce. Toller złapał ją w talii i płynnym ruchem podniósł na ramiona. Nawet wtedy nie dosięgała dolnego skraju luku i kołysała się ryzykownie przez chwilę, nim Sondeweere i Bartan wychylili się, złapali ją za ręce i wciągnęli na pokład.

W tym czasie Wraker zniknął z pola widzenia – dołączył do Zavotle'a. Nad krawędzią fosy pojawiły się połyskujące białą głowy czterech Farlandczyków. Obcy rzucili broń przed siebie i zaczęli wdrapywać się na podmurówkę. Stok po drugiej stronie przypominał teraz pole, które obsiadły niespokojne brązowe owady.

Toller spojrział w tajemnicze wnętrze statku, teraz tak odległe jak gwiazdy, do których miał go zanieść, i po chwili, która dla niego trwała tak długo jak całe życie, zobaczył skórzany pas Bartana. Pas był zapięty w ten sposób, że tworzył pętle. Zaciskały się na nim trzy pary dłoni.

Dwaj Farlandczycy, widać zwinniejsi od pozostałych, zerwali się na nogi i biegli z mieczami w dłoniach.

Toller ocenił czas, jaki mu został, i wiedział, że starczy go tylko na jedną próbę. W jego głowie zadźwięczał głos Sondeweere: Szybciej, Toller, szybciej! Spiął się – słysząc parskanie i tupot zbliżających się Farlandczyków – wybił się w górę i złapał pas prawą ręką. Nagły ciężar okazał się zbyt wielki dla trzymających. Berise, najlżejsza z całej trójki, do połowy została wyciągnięta z luku i spadłaby na ziemię, gdyby nie puściła pasa i nie przytrzymała się skraju drzwi.

Toller puścił pas w tej samej chwili.

Mając na wpół wyciągniętą szablę padł na ziemię między dwoma Farlandczykami, ale niewiele mógł zrobić, by zmniejszyć ich przewagę. Dobył szabli, tym samym ruchem ciął pierwszego obcego i jednocześnie chciał rzucić się w bok, by nie dać się zaskoczyć z tyłu. Niestety, konieczność powstania na nogi spowolniła jego poczynania.

Opóźnienie trwało jedynie ułamek sekundy, ale zdawało się wiekiem w gorączce bezpośredniego starcia z przeciwnikiem. Toller stęknął, gdy ostrze Farlandczyka wbiło mu się w plecy na wysokości pasa. Zawirował, jego szabla zafurkotała w powietrzu, ciął napastnika w szyję i odrąbał mu głowę. Obcy upadł w pulsujących bluzgach purpury.

Toller, nie zaprzestając obrotu, stawiał czoło drugiemu, ale ten cofnął się. Wiedział, że czas jest po jego stronie – przy-

najmniej dziesięciu następnych wojowników pędziło po kamieniach podmurówki i miało otoczyć Tollera w czasie, jaki serce potrzebuje na wykonanie kilku uderzeń. Uśmiech triumfu pojawił się na ginącej w fałdach tłuszczu twarzy obcego, ale prawie natychmiast przekształcił się w puste zdumienie, gdy Berise – która znajdowała się bezpośrednio nad nim – strzeliła mu w czubek głowy. Wojownik usiadł gwałtownie, zmywany fontanną krwi.

– Toller, złap muszkiet! – wrzasnął Bartan. – Jeszcze możemy cię wciągnąć!

Ale Toller wiedział, że jest już za późno.

Farlandczycy byli tuż przy nim i nawet gdyby mógł wspiąć się z pomocą muszkietu, jego bezbronne ciało zostałoby posiekane na kawałki. Pragnąc zaoszczędzić swoim przyjaciołom oglądania tego, co musiało się zdarzyć, cofał się pod kulę statku.

Choć rana w plecach nie sprawiała mu bólu, szybko tracił siły. Zatrzymał się, gdy najniższy punkt metalowej krzywizny prawie muskał mu głowę, i próbował zająć ostatnią pozycję, której zdobycie miało drogo kosztować Farlandczyków. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, przewrócił się pod naporem zgodnego, gwałtownego ataku wrogów.

Sondeweere, zawołał bezgłośnie, gdy brązowe postacie przysłoniły szare światło, a obce ostrza zaczęły trafiać w cel. Nie pozwól, by te pokurcze miały satysfakcję. Proszę, startuj... dla mnie...

Kochamy cię, Tollerze, usłyszał głos Sondeweere. Żegnaj.

Nieoczekiwanie, w ciągu ułamków sekundy, jakie mu pozostały, nim jego ciało rozpadło się na atomy – doświadczył

ostatecznego triumfu.

Odkrył, że naprawdę żał mu umierać.

I to odkrycie niosło z sobą radość.

Zrozumienie, że człowiekowi daleko gorzej jest żyć, gdy wolałby umrzeć, niż umierać, gdy wolałby żyć, przywróciło mu pełną miarę człowieczeństwa. Jeszcze jedno, Sondy, pomyślał, gdy wokół niego zapadała ostateczna głęboka noc. Nikt nigdy nie powie, że była to pospolita śmie...

## ROZDZIAŁ 19

Bartan i Berise wciąż zerkali za siebie, i gdy byli w odległości prawie dwóch furlongów od statku, ten nagle zniknął. W jednej sekundzie był – matowoszara kula przycupnięta na szczycie niskiego wzniesienia, a w następnej został po nim tylko rozszerzający się krąg wirujących jaskrawych kuleczek. Nie rozległ się żaden dźwięk, ale nawet słońce wydało się lampką zaledwie w porównaniu z oślepiającym światłem towarzyszącym startowi. Statek wzbił się pionowo w niebo, w miarę nabierania prędkości zmieniając kształt. Przez chwilę Bartan widział czteroramienną gwiazdę, z wierzchołków ramion tryskały fontanny pryzmatycznych barw. W jej jądrze roiły się plamki w wielu odcieniach jasności, ale gdy próbował

skoncentrować na niej wzrok, piękna gwiazda zmniejszyła się i, zgrabnie omijając wielki dysk Landu, zniknęła z pola widzenia.

Chaos w myślach feartana nasilił się i zmienił w ból, nieporównywalny z tym, który sprawiało mu zranione ramię. Niecałą godzinę wcześniej był jeszcze na zmywanym deszczem Farlandzie, patrząc, jak giną jeden po drugim jego przyjaciele – Zavotle, Wraker, na końcu Toller Maraquine. W pewien sposób nawet w tych ostatnich strasznych sekundach Bartan nie wierzył, że ten wielki człowiek umrze. Wydawał się niezniszczalnym gigantem skazanym na nieskończone prowadzenie swoich wojen. Dopiero w chwili, gdy poprosił Sondeweere o zabranie go w kosmiczną pustkę – ta niewyobrażalna perspektywa zmroziła Bartanowi krew z żyłach – zrozumiał, że Toller był kimś więcej niż tylko gladiatorem. Teraz było za późno, by go poznać, za późno, by choć podziękować mu za dar życia, za Sondeweere.

Do tego bólu dołączył inny – świadomość, że jego żona już nigdy nie będzie jego żoną. Wiedział, że Sondeweere jeszcze nie odleciała do swojej galaktyki, miała spędzić kilka dni na odprowadzaniu Tippa Gotlona do domu – ale w pewien sposób stała się bardziej odległa niż najślabiej widoczne gwiazdy. Jego Gola zgasła, odbierając mu cel, ku któremu kierował swe życie.

– Chyba nie musimy iść dalej – powiedziała Berise. – Wygląda na to, że zostaniemy podwiezieni do miasta.

Bartan ocienił dłonią oczy i spojrzął w kierunku Prądu, którego przedmieścia leżały jakieś dwie mile dalej. Patrzył przez ruchliwy ekran poblasku, ale był w stanie rozróżnić chmury pyłu wzbijanego przez koła wozów i kopyta niebie-



skoroźców pędzących po krętej drodze. Kilku pracowników rolnych, bez wątpienia przyciągniętych fantastycznym widowiskiem, jakie towarzyszyło startowi symbonickiego statku, biegło przez pobliskie pola.

– Cieszę się, że mieliśmy wielu świadków – mówiła Berise – w przeciwnym wypadku król miałby trudności z przeknięciem tego, co mamy do zameldowania.

– Świadków – powtórzył obojętnie Bartan. – Tak, świadków.

Berise z bliska spojrzała mu w twarz.

– Nie sądzę, żebyś mógł iść dalej. Lepiej usiądź, ja sprawdzę opatrunek.

– Nic mi nie będzie – nadal mam trochę swego cudownego lekarstwa. – Bartan odwiązał od pasa bukłak z brandy i wyciągał zatyczkę, gdy Berise wstrzymała jego rękę.

– Tak naprawdę to wcale nie jest ci potrzebna, prawda?

– A co to ma do...? – urwał. Zamrugał i spojrzał w twarz Berise, na której malowała się nie złość, ale raczej troska. – Nie, prawdę mówiąc, nie muszę pić.

– No to wyrzuć to.

– Co?

– Wyrzuć to, Bartanie.

Przyszło mu do głowy, że od dawna nikt nie przejmował się tym, co robi. Upuścił skórzany pojemnik, choć z pewną niechęcią.

– I tak był prawie pusty – mruknął. – Dlaczego się uśmiechasz?

– Tak sobie. – Uśmiech Berise świecił w jej zielonych oczach. – Bez najmniejszego powodu.

